

NAJNOWSZY I NAJLEPSZY BESTSELLER NR 1 MISTRZA

SEBASTIAN FITZEK

KSIAŻKA ROKU 2020 „SPIEGLA”



NOCNY POWRÓT


AMBER

**SEBASTIAN
FITZEK**

**NOCNY
POWRÓT**



Przekład

Rafał Sarna

Redakcja stylistyczna

Ryszard Turczyn

Wydawca i redaktor prowadząca

Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta

Aleksandra Kołomecka

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

© nikhg'AdobeStock

Tytuł oryginału

Der Heimweg

Copyright © 2020 by Verlagsgruppe Droemer Knauer GmbH & Co.

KG, Munich, Germany www.sebastianfitzek.de

The book has been negotiated through AVA international GmbH, Germany (www.ava-international.de).

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2021 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7336-5

Warszawa 2021. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

*Dedykuję tym wszystkim, dla których strach jest nieodłącznym
towarzyszem*

Co czwarta kobieta co najmniej raz w życiu doznała przemocy fizycznej lub seksualnej w związku. Dotyczy to kobiet ze wszystkich warstw społecznych.

Informacja Federalnego Ministerstwa do spraw Rodziny, Osób Starszych, Kobiet i Młodzieży z 2 lutego 2020 roku

Badanie przeprowadzone przez Federalne Ministerstwo do spraw Rodziny wykazało, że kobiety, które w dzieciństwie były świadkami przemocy pomiędzy rodzicami, ponad dwukrotnie częściej stają się same ofiarami przemocy domowej. Kobiety, które kiedyś były ofiarami przemocy rodziców, jako osoby dorosłe stają się trzy razy częściej ofiarami przemocy partnerów.

Astrid-Maria Bock, „BILD” z 27 czerwca 2017 roku

Widzisz tam, w górze, księżyc
błyszczący jak talerz srebrny,
choć kulą przecież jest.
Bywa, że szydzisz z czegoś,
co nie da się osiągnąć,
zobaczyć – nie chcesz wierzyć w sens.

*Matthias Claudius
(1740–1815)*

Od autora

Wszystkie wydarzenia opisane w tej książce zrodziły się oczywiście (i na szczęście) tylko w mojej wyobraźni. Jednak serwis telefoniczny towarzyszący ludziom, którzy wracając nocą do domu, czują się nieswojo, istnieje naprawdę. Pomysł ten narodził się w Sztokholmie. Tam usługa ta jest świadczona bezpośrednio przez policję, podczas gdy w Niemczech najwyraźniej nie ma na to pieniędzy i zadanie to musieli wziąć na siebie wolontariusze. Z tego też względu ta ważna instytucja (www.heimwegtelefon.net) często musi niestety walczyć o przetrwanie.

Ważna informacja

Historia ta opowiada o przemocy domowej, masowo występującym przestępstwie, o którym w naszym społeczeństwie mówi się o wiele za mało. Przedstawione w niej opisy mogą wywołać silne reakcje emocjonalne u osób, które były lub są dotknięte przemocą domową. Osoby potrzebujące pomocy mogą ją uzyskać dzwoniąc pod numery:

22 828 11 12 – Telefon Zaufania dla Ofiar i Sprawców Przemocy Seksualnej

801 120 002 – Ogólnopolski Telefon dla Ofiar Przemocy w Rodzinie „Niebieska Linia”

600 070 717 – Całodobowy interwencyjny telefon Centrum Praw Kobiet

888 88 33 88 – Telefon Przeciwprzemocowy dla Kobiet Feminoteki

22 635 93 92 – Telefon Zaufania Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny

Prolog

*P*o tych wszystkich obrażeniach, których doznała w najbardziej wrażliwych miejscach jej pokrytego krwiami ciała, po tych wszystkich ciosach w twarz, plecy, nerki i podbrzusze, po których jej mocz przez wiele dni miał kolor czerwonego barszczu, po tym całym bólu, zadanym ogrodowym wężem i żelazkiem, nigdy by się nie spodziewała, że kiedyś zdarzy jej się przeżyć *coś takiego*.

Seks był obłądny, pomyślała, leżąc w półmroku na łóżku, z którego właśnie wstał, żeby pójść do łazienki on – mężczyzna, w którym zakochała się na zabój.

Co prawda niewiele miała możliwości porównania. Przed mężem miała tylko dwóch kochanków, a wszystko to wydawało jej się strasznie odległe. Negatywne doświadczenia z terażniejszości dawno już przyćmiły pozytywną przeszłość.

Już od lat wszystko, co działo się w sypialni, łączyło się dla niej tylko z bólem i upokorzeniem.

A teraz leżę tu, oddycham i czuję zapach nowego mężczyzny w moim życiu, marząc o tym, żeby ta miłosna noc zaczęła się jeszcze raz od początku.

Sama się sobie dziwiła, jak szybko mu zaufała i opowiedziała o przemocy, której doznawała w małżeństwie. Ale już od pierwszej chwili poczuła, że coś ją do niego przyciąga, gdy usłyszała jego głęboki głos i zobaczyła jego ciepłe, ciemne oczy, które spoglądały na nią tak, jak jej mąż jeszcze nigdy na nią nie patrzył. Otwarcie, szczerze, czule.

Niewiele brakowało, a opowiedziałyby mu o filmie wideo. O wieczorze, do którego zmusił ją mąż.

Z mężczyznami.

Wieloma mężczyznami, którzy ją wykorzystali i upokorzyli.

Aż trudno uwierzyć, że jeszcze raz w życiu byłam w stanie oddać się dobrowolnie jakiemuś przedstawicielowi „silnej płci”, pomyślała, nasłuchując szumu prysznic, pod którym zniknął mężczyzna jej marzeń.

Zwykle to ona była osobą, która po „użyciu” jej przez „małżonka” całymi godzinami próbowała zmyć obrzydzenie z ciała. Teraz jednak rozkoszowała się cierpkim zapachem romansu na swojej skórze, zapachem, który najchętniej zachowałaby już na zawsze.

Odgłos prysznic ucichł.

– Miałabyś ochotę na coś jeszcze? – usłyszała jego zadowolony głos, dobiegający z łazienki po tym, jak chyba wyszedł spod prysznic.

– Straszną ochotę – odpowiedziała, choć nie miała pojęcia, jak wytłumaczyć się mężowi z jeszcze późniejszego powrotu.

Przecież było już...

Spojrzała na zegarek na ręce, ale było za mało światła, by mogła coś dojrzeć. Poza wąskim promieniem, wpadającym do sypialni przez szparę w przymkniętych drzwiach łazienki, jedynym źródłem delikatnego światła był lekko wygięty sztylet samurajski z zielono połyskującą rękojeścią z macicy perłowej. Wisiał na ścianie sypialni, oświetlony przez dwa ledowe reflektorki, których przytłumione światło jeszcze bardziej potęgowało atmosferę nocy.

Sięgnęła po telefon komórkowy, a wtedy jej wzrok padł na listwę z przełącznikami, osadzoną bezpośrednio w stoliku nocnym.

– Na przykład na jakiś koktajl?

Nacisnęła pierwszy przycisk i zachichotała, bo jego funkcja była najwyraźniej inna, niż się spodziewała. Pod odrzuconym prześcieradłem ujrzała materac, który teraz rozświetlił się neonowoniebieskim blaskiem, co wyglądało, jakby leżała na dmuchanym materacu unoszącym się na wodzie w basenie.

Usiadła po turecku. Woda wypełniająca materac świeciła teraz tak jasno jak fluoroscencyjne wnętrze pałeczki świetlnej. W dodatku zaczęła jeszcze zmieniać kolory: z lazurowego na fluorescencyjny żółty, na oślepiający biały, na...

– A to co? – spytała.

Po cichu. Kierując pytanie bardziej do siebie, bo w pierwszej chwili była szczerze zdumiona. Pochyliła się do przodu, żeby spojrzeć poprzez romb utworzony przez skrzyżowane podudzia i krok.

O Boże...

Przerażona zakryła ręką usta i zaczęła gapić się na materac, na którym przed kilkoma minutami kochała się z mężczyzną.

Mam chyba halucynacje. Przecież to niemożliwe, żeby...

– A więc odkryłaś to – odezwał się jakiś obcy głos z lewej strony. Jakby nieznamy, który właśnie pojawił się w drzwiach łazienki, trzymał w rękach pilota, którym można sterować natężenie grozy, łóżko pod nią rozbłysło krwistoczerwoną barwą. Widok, jaki się pod nią roztoczył, był tak przerażający, że najchętniej wydłubałaby sobie oczy.

Tak, odkryła to, choć nie miało to żadnego sensu. Jej rozum nie chciał zaakceptować tego okropieństwa choćby dlatego, że to, co ukazało się jej oczom, przekraczało wszelkie ludzkie pojęcie.

– Gdzie on jest?! Co z nim zrobiłeś?! – wykrzyknęła w kierunku obcego, głośniejszym niż kiedykolwiek wcześniej, podczas gdy potwór w ludzkiej skórze podszedł do łóżka ze strzykawką w ręku i uśmiechając się wyniośle, powiedział:

– Zapomnij teraz o swoim kochanku. Sądzę, że nadszedł już czas, żebyś poznała *mnie*.

1

Jules Tannberg

*J*ules siedział przy biurku, myśląc o tym, że szum w jego uchu idealnie harmonizuje z krwią na ścianie.

Nie umiałby jednak wyjaśnić, skąd wzięło się to makabryczne skojarzenie. Być może stąd, że odgłos docierający przez słuchawki, które miał na uszach, przywodził na myśl płyn przepływający przez jakieś przewężenie.

Jak krew, która wypływa z tętnic konającego człowieka.

Krew, którą można wysmarować ściany sypialni, żeby zostawić światu wiadomość.

Jules odwrócił wzrok od telewizora, na którym w zbliżeniu pokazywane były czerwone, groteskowo duże cyfry, namazane na ścianie nad łóżkiem w sypialni ofiary zabójstwa. Podpis Kalendarzowego Mordercy. Pozdrowienie w stylu: „Byłem tu i możesz się tylko cieszyć, że się nie spotkałiśmy”.

Bo inaczej i Ty leżałbyś na tym łóżku. Z zaskoczonym wyrazem twarzy i podciętym gardłem.

Obrócił się na krześle o mniej więcej dziewięćdziesiąt stopni w stronę biurka i telewizor zniknął z jego pola widzenia, co pomogło mu skoncentrować się na rozmowie telefonicznej.

– Halo, jest tam kto? – spytał już po raz trzeci, lecz ktokolwiek tam był, po drugiej stronie zakłócanego szumami połączenia, nadal nie odezwał się

ani słowem.

Zamiast tego Jules usłyszał za plecami głos mężczyzny, który wydawał mu się znajomy, choć nie spotkał go jeszcze nigdy w życiu.

– *Do tej pory znaleziono trzy kobiety zamordowane w swoich mieszkaniach* – powiedział znany z widzenia obcy, który w regularnych odstępach troszczył się o to, żeby do ludzi zamkniętych w swoich czterech ścianach docierały najstraszniejsze przestępstwa z całych Niemiec.

Magazyn policyjny „Sprawy nierozwiązane”. Najstarszy program kryminalny w telewizji.

Jules zezłościł się, że nie może znaleźć pilota, żeby wyłączyć telewizor, na którym prawdopodobnie wciąż było widać ostatnie miejsce zbrodni Kalendarzowego Mordercy.

Pokazywano właśnie powtórkę audycji z godziny 20.15, uzupełnioną o najnowsze wskazówki nadesłane przez widzów od czasu emisji w najlepszym czasie antenowym.

Gabinet w starym budynku w dzielnicy Charlottenburg był pokojem przejściowym pomiędzy jadalnią a salonem i podobnie jak reszta mieszkania miała imponująco wysokie ściany oraz pokryty sztukaterią sufit, na którym pierwsi mieszkańcy sto lat temu z pewnością mieli ciężkie żyrandole. Jules preferował przytłumione światło i dla niego nawet blask ekranu telewizora był zbyt jasny.

Bezprzewodowy zestaw, składający się z dwóch słuchawek połączonych drutem z tyłu głowy i mikrofonu przy ustach, umożliwiał mu swobodne przetrząsanie zawałonego gazetami i dokumentami biurka w poszukiwaniu pilota do telewizora.

Przypomniawszy sobie, że jeszcze niedawno trzymał go w ręku, a więc teraz pewnie leżał gdzieś tu, zagrzebany pod papierami.

– *I na każdym z miejsc zbrodni ten sam przerażający widok. Data śmierci wypisana na ścianie krwią ofiary.*

30.11

08.03

01.07

– Modus operandi, *któremu Kalendarzowy Morderca* zawdzięcza swoje *przezwiśko*.

Pierwsza zbrodnia, od której za parę godzin miał upłynąć równo rok, już w listopadzie ubiegłego roku zagościła we wszystkich mediach.

Jules przerwał poszukiwania pilota, by wyjrzeć na ulicę przez duże, lekko łukowate okno ze szprosami, które opierało się śnieżnej zawiei. Po raz kolejny zdziwił się swoim brakiem pamięci do pogody. Potrafił zapamiętać najbardziej dziwaczne rzeczy, które słyszał tylko raz, jak na przykład legendy, że Hitchcock nie miał pępka albo że keczup w latach trzydziestych XIX wieku był sprzedawany jako lekarstwo. Nie był jednak w stanie przypomnieć sobie, jaka pogoda była zeszłej zimy.

Czy w pierwszym tygodniu adwentu w zeszłym roku padał już śnieg, tak jak teraz w przeważającej części Niemiec? Rekordowe lato z temperaturami sięgającymi prawie czterdziestu stopni przeszło niemal niezauważenie w okres chłodnej chlapy. Nie było wprawdzie bardzo zimno, przynajmniej w porównaniu z Grenlandią albo Moskwą, ale deszcz na zmianę ze śniegiem, miotany na wszystkie strony przez silny wschodni wiatr, sprawiał, że po pracy ludzie zmierzali najkrótszą drogą do domów. Albo do gabinetów laryngologów. A jednak wyjrzenie na zewnątrz miało w sobie coś uspokajającego, i to nie tylko w porównaniu do malunków pozostawionych przez Kalendarzowego Mordercę.

Świat za wysokim oknem wyglądał tak, jakby jakaś ekipa filmowa wystrzeliwała konfetti w światło latarni ulicznych dzielnicy Charlottenburg, żeby z dużym wyprzedzeniem zapewnić mieszkańcom cieszących się wielkim powodzeniem domów z końca XIX wieku, stojących wokół jeziora Lietzensee bożonarodzeniową atmosferę. Niezliczone płatki tańczyły w ciepłym stożku światła jak rój robaczków świętojańskich, by potem ulecieć ponad zamarznąłą powierzchnią jeziora w kierunku wieży telewizyjnej.

– Czy ktoś nie pozwala ze mną rozmawiać? – spytał Jules domniemanego rozmówcę. – Jeśli tak, to proszę zakasłać.

Jules nie był pewien, ale wydawało mu się, że usłyszał ciche sapnięcie – jak u biegacza, który zakrztusił się własnym oddechem.

Czy ten ktoś zakasłał?

Podkręcił jeszcze głośność na laptopie, przez który przechodziło połączenie. Mimo to wciąż docierał do niego głos prezentera. Jeśli nie znajdzie pilota, nie pozostanie mu nic innego, jak tylko wyciągnąć kabel telewizora z gniazdka.

– Długo się spieraliśmy, czy powinniśmy jeszcze raz tak wyraźnie pokazać państwu oryginalne ujęcia z miejsca zbrodni. Jednak nagrania te są jak na razie jedynym śladem, jakim dysponują śledczy w sprawie tak zwanego Kalendarzowego Mordercy. Jak państwo widzą...

Kątem oka Jules zauważył, że kamera robi najazd i krwawy napis na ścianie pojawia się w zbliżeniu. Tak dużym, że gruboziarnisty tynk wyglądał teraz jak krajobraz księżycowy, który seryjny morderca wykorzystał jako płótno.

– ...cyfra 1 ma w górnej części zawijas, przez co liczba, którą sprawca pozostawił na ścianie w miejscu pierwszego morderstwa, przy odrobinie wyobraźni przypomina konika morskiego. Stąd też nasze pytanie: Czy rozpoznają państwo ten charakter pisma? Czy już się państwo kiedyś z nim zetknęli? Za wszelkie pomocne wskazówki...

Jules drgnął. Teraz było to wyraźne. Usłyszał coś na linii.

Chrząknięcie. Oddech. Nagle szum się urwał.

Przekazywane przez słuchawki tło dźwiękowe zmieniło się, jakby rozmówca przeszedł z tunelu aerodynamicznego w jakieś osłonięte miejsce.

– Nic nie zrozumiałem, więc zakładam, że coś pani lub panu grozi – powiedział Jules i w tym momencie znalazł na biurku pilota, schowanego pod prospektem kliniki zdrowia psychicznego Berger Hof – zdrowie w zgodzie z naturą.

– Cokolwiek się dzieje, proszę koniecznie pozostać na linii. Nie wolno się pani lub panu rozłączać. Pod żadnym pozorem!

Wyłączył telewizor i ujrzał własne odbicie w czerni płaskiego ekranu, który stał się teraz mrocznym zwierciadłem. Jules potrząsnął głową, nieza-

dowolony ze swojej twarzy, nawet jeśli musiał przyznać, że wyglądał o wiele lepiej, niż się czuł. Bardziej na zdrowego niż chorego.

Było to zresztą od zawsze jego przekleństwem. Nawet cierpiąc na gripę żołądkową czy mając złamane serce, Jules sprawiał wrażenie kwitnącego okazu zdrowia. Jedynie Dajana nauczyła się w trakcie ich związku, jak go prawidłowo „czytać”. Przez długi czas pracowała jako dziennikarka freelancerka i dzięki swojej wyostrzonej empatii potrafiła skłonić osoby, z którymi przeprowadzała wywiady, by zdradzały jej od dawna tajone sekrety. To, czego potrafiła dokonać u obcych, udawało jej się oczywiście też u najbliższych.

Rozpoznawała u Julesa oznaki skrajnego wyczerpania, gdy po dwóch zmianach spędzonych w centrali alarmowej jego brązowe oczy lśniły o ton ciemniej lub jego wydatne wargi były nieco bardziej suche niż zwykle, ponieważ nie udało mu się tak pokierować przez telefon jakąś matką, żeby skutecznie reanimowała swoje dziecko. Wtedy Dajana bez słowa brała go w ramiona i masowała jego zeszywniały kark. Gdy leżeli na sofie i zanurzała twarz w jego gęstych, niesfornych włosach, potrafiła wręcz po zapachu wyczuć u niego ból żołądka, przemęczenie i jego często nawracającą głęboką melancholię. Być może analizowała go nawet, gdy spał, jego nerwowe drgawki, jego pomruki. Przytrzymywała go delikatnie za ramię i uspokajała, gdy krzyczał przez sen. *Być może*. Nie zdążył jej o to zapytać i nigdy już nie będzie miał okazji tego zrobić.

Teraz!

Tym razem był pewien. Rozmówca jęknął. Nie można było jeszcze rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta, ale nie ulegało wątpliwości, że ta osoba cierpiała z bólu, który starała się przetrzymać.

– Kto... kto mówi?

Wreszcie. Pierwsze pełne zdanie. I nie brzmiało tak, jakby ktoś przykładł rozmówcy broń do głowy, chociaż nigdy nie wiadomo.

– Nazywam się Jules Tannberg – odpowiedział. Skoncentrował się i chwilę potem rozpoczął jedną z najbardziej intensywnych i brzemiennych

w skutki rozmów w swoim życiu. – Połączyła się pani z Nocnym Powrotem. Jak mogę pani pomóc?

Odpowiedź o mało co nie rozerwała mu bębenków w uszach.

To był jeden, przeraźliwie rozpaczliwy krzyk.

2

*H*alo? Kto mówi? Proszę mi powiedzieć, jak mogę pani pomóc!

Krzyk zamarł.

Jules odruchowo sięgnął po długopis i blok papieru, żeby zanotować godzinę połączenia.

22.09.

– Jest pani tam jeszcze?

– Co... jak... yyy, nie, ja...

Odgłosy ciężkiego oddechu. Szybkiego, zrozpaczonego.

– Bardzo mi przykro, ale...

Bez wątpienia głos kobiety.

Połączenia od mężczyzn były wyjątkiem. Nocny Powrót był usługą, z której korzystały głównie kobiety, kiedy wracając nocą do domu, musiały przemierzać puste parkingi piętrowe, bezludne ulice, a nawet ciemny las. Bo albo do późna pracowały, albo uciekały z jakiejś okropnej randki, czy też nie miały już dłużej ochoty brać udziału w imprezie, na której zostały jeszcze ich przyjaciółki.

Nagle pozostawione same sobie, w porze, kiedy niezręcznie byłoby budzić śpiących już smacznie krewnych, niekiedy zaczynały odczuwać w ciemnościach wielki strach: przy przechodzeniu przez puste parkingi, w słabo oświetlonych przejściach podziemnych, idąc pochopnie wybranymi skrótami wiodącymi przez opuszczone okolice. Odczuwały wówczas potrzebę, żeby był przy nich jakiś towarzysz drogi, ktoś, kto poprowadziłby je bezpiecznie przez noc, ktoś, kto w razie czego będzie znał ich dokładną lo-

kalizację i będzie mógł szybko wezwać pomoc, co prawdę mówiąc, w całej historii Nocnego Powrotu zdarzyło się zaledwie kilka razy.

– Muszę... już kończyć... – powiedziała, a Jules zaczął się obawiać, że przestraszył ją jego głęboki głos. Dlatego jeśli nie chciał jej stracić, musiał działać szybko.

– Czy wolałaby pani połączyć się z osobą płci żeńskiej, z kobietą? – spytał, dobrze wiedząc, że „płci żeńskiej” i „kobietą” to całkowicie bezsensowne masło maślane. Wyczuwał jednak, że rozmówczyni (zanotował sobie: *nieco po trzydziestce*) ma duże problemy z koncentracją, i dlatego starał się wyrażać tak prosto i jednoznacznie, jak to tylko możliwe. – Doskonale rozumiem, że może pani nie chcieć rozmawiać z mężczyzną.

Jak z reguły większość ludzkich obaw, strach odczuwany przez osoby szukające pomocy w Nocnym Powrocie był często bezpodstawny. Zarówno jednak strach wywołany konkretnym zdarzeniem (jak głupie zaczepki jakiegoś pijaka na stacji metra), jak i ten zrodzony z czystego urojenia – zwykle wiązał się z osobnikami płci męskiej. Dlatego dla Julesa było całkowicie zrozumiałe, gdy jakaś kobieta nie miała ochoty rozmawiać z przedstawicielem akurat tej płci, która była w sumie powodem jej strachu, choćby był to strach najbardziej nawet nieracjonalny.

– Mam panią przełączyć? – spytał raz jeszcze i wreszcie uzyskał odpowiedź, choć była ona raczej mało zrozumiała:

– Nie, nie, nie o to chodzi. Ja... po prostu nie zauważyłam.

Sprawiła wrażenie przestraszonej, ale nie spanikowanej. Tak jakby już kiedyś odczuwała o wiele silniejszy strach.

– Czego pani nie zauważyła?

– Że zadzwoniłam do pana. Musiało się to stać podczas wspinaczki.

Wspinaczki?

Szum na linii, który niewątpliwie był efektem wiatru, znów przybrał na sile, ale na szczęście nie był już tak intensywny jak na początku. Rozmówczyni bez wątplenia znajdowała się na zewnątrz.

Papier Julesa zapełnił się pytaniami:

Jaka przestraszona kobieta wspina się w środku nocy? W zadymce śnieżnej?

– Jak pani na imię? – spytał.

– Klara – odpowiedziała. Jej głos zabrzmiał tak, jakby wystraszyła się, że nieopatrznie wymusknęło się jej imię.

– Okej. Klaro, czy chce pani przez to powiedzieć, że zadzwoniła pani do nas przez pomyłkę?

Użył słowa „nas”, ponieważ wyobrażenie, że reprezentuje on cały zespół, budziło w dzwoniących zaufanie, a poza tym rzeczywiście w Nocnym Powrocie pracowało wielu ochotników. Akurat dzisiejszej nocy, w sobotę, w godzinach szczytu na linii, w Berlinie siedziało przy laptopach czterech wolontariuszy, którzy czekali na połączenia przychodzące z całego kraju od godziny dwudziestej drugiej do czwartej nad ranem. Z tym że nie siedzieli oni w jednym pomieszczeniu biurowym, jak to miało miejsce w centrali alarmowej straży pożarnej, dawnym miejscu pracy Julesa.

Dzięki odpowiedniemu oprogramowaniu, przekierowującemu połączenia przychodzące do któregoś z wolnych akurat wolontariuszy, każdy z nich mógł zająć się przestraszonymi, samotnymi, a często również zdezorientowanymi kobietami, siedząc wygodnie we własnym domu. Odkąd informacja o tej nowej, finansowanej z dobrowolnych datków usłudze rozeszła się jak wirus po mediach społecznościowych, liczba przychodzących połączeń stale rosła, chociaż nie było tak, żeby telefony Nocnego Powrotu dzwoniły bez ustanku.

Ochotnicy mogli w międzyczasie zajmować się również swoimi własnymi sprawami, jak oglądanie Netflix, słuchanie muzyki czy czytanie. A dzięki bezprzewodowym zestawom słuchawkowym nawet po odebraniu połączenia można się było swobodnie poruszać po mieszkaniu. Wielu leżało w łóżku, niektórzy nawet w wannie. Przypuszczalnie tylko nieliczni siedzieli tak jak Jules przy biurku, ale stanowiło to jego przyzwyczajenie, które pozostało mu ze starej pracy. Chociaż rozmawiając już potem przez telefon, lubił się przechadzać, na początku rozmowy potrzebował stałej procedury.

Najchętniej wpisałby wszystkie informacje przekazywane przez rozmówczynię w odpowiednie pola formularza komputerowego, ale to nie miało wiele sensu. Inaczej niż wcześniej, kiedy pracował w telefonie alarmowym 112, nie musiał teraz wysyłać wozów interwencyjnych z odpowiednim dla danego wypadku wyposażeniem. Nie widział też na monitorze przed sobą cyfrowego planu miasta, ukazującego przybliżone miejsce pobytu osoby wzywającej pomocy. Mimo to siedząc przy biurku, Jules czuł, że jest lepiej zorganizowany. Dawało mu ono jakieś oparcie, gdy odbierał telefon.

– Tak. Musiałam niechcący wyłączyć blokadę ekranu – wyjaśniła Klara.
– Moja komórka sama się połączyła. Przepraszam za kłopot, nie chciałam do pana dzwonić.

Numer z listy – zanotował Jules. To nie był pierwszy raz, gdy Klara się bała. Ani też drugi czy trzeci. Musiała wcześniej całkiem często odczuwać strach, skoro numer Nocnego Powrotu zapisała w ulubionych.

– Jeszcze raz przepraszam, wybrałam nie ten numer. Najlepiej, jeśli teraz... – Klara najwyraźniej chciała zakończyć rozmowę, a do tego Jules nie mógł dopuścić.

Wstał od biurka. Stary parkiet, porysowany przez niezliczone buty, przesuwane meble i upadające na ziemię przedmioty, zaskrzypiał zmęczony pod jego sneakersami.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale ma pani taki głos, jakby potrzebowała pani pomocy.

– Nie – odpowiedziała Klara, o ułamek sekundy za szybko. – Na to jest już za późno.

– Co ma pani na myśli?

Usłyszał jęk, tak wyraźny w słuchawkach, że przez chwilę miał wrażenie, jakby dochodził z korytarza obok.

– Na co jest za późno?

– Mam już kogoś, kto mi towarzyszy i nie potrzebuję nikogo więcej.

– A więc nie jest pani sama?

Wiatr po drugiej stronie linii znów przybrał na sile, ale nie był w stanie zagłuszyć głosu Klary.

– Przez ostatnie tygodnie nie byłam ani przez chwilę sama.

– Kto był z panią?

Klara odetchnęła ciężko i powiedziała:

– Nie zna go pan. Co najwyżej uczucie, które wywołuje. – Głos jej się załamał. – Strach przed śmiercią.

Czy ona płacze?

– Boże, tak mi przykro – stwierdziła, ze wszystkich sił starając się opanować, i dodała szybko, żeby Jules nie zdążył zapytać, co ma na myśli: – Musimy kończyć. On nie uwierzy, że to była pomyłka. Że źle wybrałam numer. Cholera. Jeśli się dowie, że tu zadzwoniłam, przyjdzie i do pana.

– Po co?

– Żeby i pana zabić – stwierdziła Klara i tym makabrycznym prorocstwem wywołała u Julesa poczucie *déjà vu*.

3

Cztery godziny wcześniej

*J*eśli to sknocisz, to już nie żyjesz – zażartował Cezar, ale jego chichot zamarł, gdy po zakłopotanej minie Julesa zorientował się, że swą grubiańską uwagą posunął się za daleko. – Przepraszam, sorry, to było niesmaczne.

Magnus Kaiser, czule nazywany przez przyjaciół Cezarem, spojrział z zawstydzeniem na swojego wieloletniego najlepszego przyjaciela.

Jules, który stał obok jego biurka, pokręcił tylko głową i obojętnie machnął ręką.

– Ile razy Ci już mówiłem, żebyś mnie nie traktował jak zgniłe jajo? Nic mi to nie pomoże, jeśli będziesz się zastanawiał nad każdym słowem.

– Mimo wszystko jednak słowa takie jak śmierć, umieranie czy morderstwo nie powinny być w Twojej obecności oczywistością. – Cezar westchnął i wskazał na laptop z zainstalowanym oprogramowaniem do obsługi Nocnego Powrotu, który przyniósł ze sobą. – Posłuchaj, może to jednak głupi pomysł. Nie powinieneś bawić się przez cały weekend z nie zrównoważonymi psychicznie osobami.

– Masz po prostu wyrzuty sumienia, że z nikim tego nie uzgodniłeś. Ale nie przejmuj się, nikt się nie dowie. Ogarnę ten Nocny Powrót za Ciebie, nie zajmuj już sobie tym głowy.

Cezar nie wyglądał na przekonanego. W rzeczywistości sprawa była nieco śliska, bo Jules nie powinien ot tak, po prostu zajmować jego miejsca – laptop z oprogramowaniem był przecież własnością stowarzyszenia i mógł

być przekazywany tylko w obrębie ściśle określonego grona osób. Nie było to całkiem w porządku, że Cezar bez uzgodnienia z kimkolwiek angażował w to przyjaciela.

– Znajdę kogoś innego, kto przejmie moją zmianę... – zaczął, ale Jules zdusił jego protest w zarodku, zanurzając dłoń w blond włosach przyjaciela, które ten wciąż nosił długie i kręcone, w stylu surferów. Choć przecież minęły całe wieki, odkąd Cezar ostatni raz widział morze, a na swojej ukochanej desce już nigdy w życiu nie będzie pruć przez fale.

– Ile razy będziemy to jeszcze maglować? Która to Twoja randka od miesiący?

Cezar pokazał mu środkowy palec, na którym na pierwszym roku prawa wytatuował sobie paragraf. Dziś tego żałował, gdyż z tego powodu jego kandydaturę odrzuciły duże kancelarie adwokackie i teraz był skazany na przypadkową klientelę w zajmującej się wszystkim po trochu firemce.

– No właśnie, Twoja pierwsza – stwierdził Jules. – A ile punktów na swojej skali, od jednego do dziesięciu, dajesz tej Ksantypie?

– Ma na imię Ksenia i z pewnością zasługuje na dwanaście. A ja nie jestem jedyny w naszej grupie samopomocowej, który na nią leci. – Cezar spojrzał nerwowo na swojego rolexa, model Submariner, z którym nigdy nie nurkował i prawdopodobnie nigdy już tego nie zrobi. Czasy, w których Cezar zasługiwał na swoje przezwisko i w każdej dyscyplinie sportu był najlepszy, minęły ostatecznie dobry rok temu. Dzisiaj można było odnieść wrażenie, jakby nawet pielęgnacja zarostu stanowiła dla niego nie lada wyzwanie. Broda Cezara z pewnością od tygodnia nie widziała maszynki, przez co wyglądał o wiele starzej niż na swoje trzydzieści sześć lat.

– To na co jeszcze czekasz? – ponaglił go Jules. – Zabieraj się z mojego mieszkania i powiedz to kobiecie swoich marzeń. – Chwycił za rączki wózka inwalidzkiego Cezara, jednak ten złapał za hamulce, przez co nie mógł go ot tak, po prostu odsunąć od biurka.

– Naprawdę mam złe przeczucia – powiedział cicho Cezar i podniósł głowę. Spojrzał przy tym swoimi błękitnymi oczami na wskroś przez Julesa, tak jakby go wcale nie było w pokoju.

To spojrzenie człowieka śniącego na jawie, wprawiające w zakłopotanie wszystkich, którzy nie znali Cezara, pojawiała się u niego wielokrotnie w ciągu dnia, i to pozornie bez powodu. Wyglądał wtedy na całkowicie nieobecny duchem, ale Jules dobrze wiedział, że w tych chwilach jego przyjaciel ma przebłyski największej świadomości. Uświadamiał sobie wtedy z całą mocą, że nigdy już nie będzie mógł chodzić, bo alkoholik, który potrącił go na parkingu przed drive-in McDonalda, nie wsiądzie nagle do maszyny czasu, by cofnąć skutki jazdy po pijanemu.

– Spokojnie, stary. Przez całe lata w numerze sto dwanaście miałem do czynienia z najdziwniejszymi telefonami. Dam radę uspokoić parę przewrażliwionych osób.

– Nie w tym rzecz.

– A w czym?

– Że właśnie Ty, Jules. Po wszystkim, co Ci się zdarzyło. Akurat Ty powinienesz trzymać się z dala od ludzi w sytuacji zagrożenia.

– To znaczy ludzi takich jak Ty? – Jules uklęknął na wprost wózka inwalidzkiego, żeby móc spojrzeć swojemu najlepszemu przyjacielowi prosto w oczy.

– Co masz na myśli?

– Naprawdę masz randkę?

Zbitemu z tropu nagłą zmianą tematu Cezarowi łzy napłynęły do oczu.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem?

– Od podstawówki.

Był tylko jeden taki okres, gdy starali się nie wchodzić sobie w drogę, ale to działo się w jedenastej klasie, gdy obaj zakochali się w tej samej dziewczynie. Jednak nawet ten kryzys udało im się przetrwać. Na koniec Cezar i Dajana stali się bliskimi przyjaciółmi, choć szkolna piękność wybrała jednak Julesa.

– Gdybym był gejem, ożeniłbym się z Tobą – zażartował Jules.

– To mnie więcej nie wypytuj, dobrze?

Jules wstał i podniósł ręce do góry, jakby chciał pokazać, że jest nieuzbrojony.

– Ale nie zrobisz nic głupiego? – spytał Cezara, który obrócił się na wózek i ruszył w kierunku korytarza.

„Któregoś dnia nie wytrzyma”, prorokowała Julesowi Dajana. „Cezar nie miał wystarczająco silnej woli, żeby jako gracz w koszykówkę rzucić palenie, więc jak ma dać sobie radę z porażeniem poprzecznym?”

– Powiesz mi, jakie są Twoje prawdziwe plany na dziś wieczór?! – zawołał za Cezarem.

W odpowiedzi jego najlepszy przyjaciel rzucił zaczerpniętym z *Top Gun* cytatem Toma Cruise’a, którym obaj żartobliwie posługiwali się od czasów szkolnych.

– Mógłbym Ci powiedzieć, Jules, ale wtedy musiałbym Cię zabić.

4

Mnie zabić?, pomyślał Jules i powtarzał sobie ostatnie zdania, jakie usłyszał od Klary przez telefon: „Musimy kończyć. On nie uwierzy, że to była pomyłka. Że źle wybrałam numer. Cholera. Jeśli się dowie, że tu zadzwoniłam, przyjdzie i po pana”.

Żeby mnie zabić?

Choć nie traktował poważnie tego, że jest w niebezpieczeństwie, Jules poczuł nieprzyjemny, nerwowy niepokój. Tak jak w sennym koszmarze szkolnym, w którym wciąż od nowa stawał przed komisją, żeby zdawać egzamin, do którego się w ogóle nie przygotował.

– Co pani ma na myśli? – zapytał Klarę i poprawił sobie zestaw słuchawkowy na głowie. – Dlaczego ktoś miałby do mnie przyjść, żeby mnie zabić?

I o kim my w ogóle mówimy?

– Przykro mi, że to powiedziałam, ale to prawda. Gdy on tylko się dowie, że się skontaktowaliśmy, zacznie pana szukać, żeby i pana wyeliminować.

On?

Jules odczuł nagłą potrzebę ruchu. Jakby bezwiednie ruszył przez gabinet i salon w kierunku korytarza.

– Zrobiła pani to, co należało, dzwoniąc do Nocnego Powrotu – pochwalił ją, żeby wzbudzić jej zaufanie i nieco ją uspokoić.

Jak zwykle w mieszkaniach z końca XIX wieku, znajdujących się w pobliżu jeziora Lietzensee, wąski korytarz łączył kuchnię z jednej strony z sa-

lonem na drugim końcu. Aby pokonać drogę między nimi, która prowadziła obok drzwi do sypialni dzieci, rodziców i gości, a także spiżarni i schowka na sprzęty gospodarstwa domowego, najlepiej byłoby użyć roweru lub przynajmniej deskorolki – tak długie wydawało się to ciasne przejście.

Jules wiedział, że powinien teraz ważyć każde słowo, starając się unikać jakichkolwiek negatywnych wyrażen, o ile chciał utrzymać połączenie z nieznajomą. Z drugiej strony wcale nie był już pewien, czy to na pewno mądra strategia. Przecież Klara właśnie dała mu do zrozumienia, że on sam znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Co oczywiście brzmiało absurdalnie, ale jednak nie do końca jak kompletne szaleństwo – i to dopiero zmartwiło Julesa.

Mniej doświadczony wolontariusz pomyślałby pewnie, że Klara ma nierówno pod sufitem. Że to pacjentka, która cierpi na urojenia, a której w jakiś sposób udało się zadzwonić z telefonu w ośrodku zamkniętym, co nie zdarzało się wcale tak rzadko.

Jednak jej głos nie zdradzał żadnych oznak zamulającego wpływu lekarstw, a użyte sformułowania oraz melodia głosu nie sprawiały wrażenia, jakby zostały uformowane przez dziesiątki sesji terapeutycznych.

Jules czuł, że obawy Klary mają racjonalny fundament. I chciał do niego dotrzeć.

– Gdzie pani jest w tej chwili? – spytał po krótkim zastanowieniu.

Najważniejsze ze wszystkich pytań, które stawiał na samym początku tysiącom rozmówców, gdy jeszcze pracował w kwaterze głównej berlińskiej straży pożarnej w dzielnicy Spandau. Dwadzieścia cztery stanowiska pracy, każde wyposażone w pięć monitorów, cztery tysiące telefonów dziennie, z których połowa kończyła się interwencją. Wielki pożar w dzielnicy Marzahn, udar w centrum miasta, przedwczesny poród w dzielnicy Lichtenrade. Nikomu nie da się pomóc, jeśli dzwoniący nie powie, dokąd mają jechać wozy strażackie lub karetki. W przypadku telefonu z komórki można było wprawdzie ograniczyć to miejsce do okolicy najbliższego masztu nadawczego, ale w dzielnicach peryferyjnych mogło to oznaczać obszar o średnicy kilku kilometrów.

- Dlaczego chce pan wiedzieć, gdzie jestem?
- Żeby pani pomóc.
- Nie słuchał pan, co powiedziałam? Już po mnie. Niech pan się rozłączy, żeby uratować przynajmniej samego siebie.
- Zacisnął mocno oczy – nieświadomy odruch, gdy się koncentrował.
- A więc ktoś pani zagraża. Mężczyzna, jak przypuszczam. Czy jest teraz gdzieś w pobliżu?
- Jest zawsze przy mnie. – Klara zaśmiała się smutno. – Nawet jeśli nie jestem w stanie go zobaczyć.

W mieszkaniu Julesa panowała cisza. Jedynym odgłosem było brzęczenie starej lodówki, ale w trakcie długiej drogi wzdłuż korytarza dźwięk trafił mocno na intensywności i dlatego Jules mógł sobie wyrobić akustyczne wyobrażenie na temat otoczenia Klary. Jej buty skrzypiały na żwirowej alejce, słychać było szum liści, a więc droga była otoczona drzewami. Pojedyncze auto przyspieszyło gdzieś w tle, okolica była więc pusta, ale nie całkiem opuszczona.

- Muszę kończyć.
- Proszę mi powiedzieć, jak mogę pani pomóc.
- Nie słuchał mnie pan. Mnie już nie można pomóc. Niech pan teraz myśli o sobie.
- Klara mówiła teraz bardziej zdecydowanie, niemal pouczającym tonem.
- Czy to jakiś żart? – spytał Jules. – A może chce mnie pani nastraszyć?
- Ależ skąd, nie. Jestem jak najdalsza od czegoś takiego.
- To proszę mi powiedzieć, co się dzieje.

Cisza.

Tak intensywna, że Jules zaczął słyszeć lekki szum w prawym uchu. Brzęczenie, które mu zawsze towarzyszyło, choć czasem zapominał o nim na całe tygodnie, aż coś wprawilo go w zdenerwowanie lub wzburzenie. Wyglądało na to, że ten dźwięk, podobny do bzyczenia komara mógł wywoływać i wzmacniać negatywne emocje.

- Czy odczuwał pan kiedyś strach tak wielki, że każdą komórkę pańskiego ciała wypełniał ból? – spytała go.

Bzyczenie komara w jego przewodzie słuchowym zeszło na dalszy plan, podczas gdy Jules próbował znaleźć odpowiedź na postawione pytanie.

Zamknął oczy, odcinając w ten sposób słabe światło nocnej lampki na korytarzu, ale całkowita ciemność pod powiekami niemal natychmiast ustąpiła o wiele za wesołemu i kolorowemu wspomnieniu.

Było znów lato, trzydzieści dwa stopnie w cieniu. W powietrzu wisiał zapach zbliżającej się do miasta burzy. Jules przełknął ślinę. Nie chciał znów o tym myśleć, ale minęła już godzina, odkąd robił to ostatni raz, co w jego przypadku było dość niezwykle. Zazwyczaj w każdej wolnej minucie myślał o tej chwili, w której utracił wszystko.

– Pyta pani, czy odczuwałem kiedyś taki strach, że chciałem sobie zerwać skórę z ciała, bo bałem się, że spłonę od środka?

– Tak – potwierdziła Klara.

I wtedy Jules już wiedział, że ona się jednak nie rozłączy. Nie zrobi tego tak długo, dopóki on nie skończy jej opowiadać o swoim najstraszniejszym przeżyciu. Takim, które do dziś sprawiało, że wolałby już nie żyć.

5

Trzy i pół miesiąca wcześniej

Mówiło się, że wystarczy spędzić w tym miejscu godzinę, by nie móc już nigdy beztrąsko jeździć ulicami Berlina. Wizja miasta zmieni się już na zawsze, nabierając – do wyboru – chorego, brzydkiego lub budzącego litość wyrazu. A przecież widok samego centrum alarmowego raczej uspokajał: duże pomieszczenie wielkości hali magazynowej, przypominające centrum kontroli jakiegoś poligonu raketowego, wyposażone w dwadzieścia cztery stanowiska komputerowe, przy których siedzieli umundurowani strażacy, gapiący się – jak Jules – w monitory z planem Berlina i jednocześnie wypełniający formularze odpowiadające każdemu ze zdarzeń.

Jules jednak nie miał teraz czasu, żeby przechodzić ze spanikowanym rozmówcą przez pytania z jakiejś standardowej listy. Instynktownie zajmował się tylko tymi punktami, które, jak wiedział ze szkoleń, były niezbędne w tej sytuacji.

Jednej z najbardziej koszmarnych, z jakimi w ogóle można się było zetknąć podczas służby w centrali.

Płeć: męska

Wiek: 4 do 7

Stan: krytyczny.

– Ma pan jeszcze kontakt głosowy z chłopcem?

– Nie, już ani pisnął. Ile to jeszcze potrwa? – Rozmówca, który przedstawił się jako Michael Damelow, miał taki głos, jakby właśnie wbiegł na górę

po stromych schodach. A przecież stał w korytarzu nowego mieszkania przy Brandenburgische Strasse i gapił się na zamknięte drzwi do pokoju.

Numer siedemnaście, czwarte piętro. Pali się. Musicie się pospieszyć!

– Ratownicy są już w drodze – poinformował Jules śmiertelnie przestraszonego mężczyznę. Jego wzrok powędrował ku wielkiemu zespołowi monitorów, który zajmował prawie cały szczyt hali. Na cyfrowej mapie zaznaczone były miejsca, gdzie aktualnie działo się w Berlinie coś groźnego. W tym momencie poza zwykłym dla piątkowego popołudnia szaleństwem godzin szczytu na ulicach nie było widać żadnych szczególnych zdarzeń.

Jeśli nie liczyć wypadku na obwodnicy.

Jules spojrział szybko na monitor po lewej. Sygnał GPS wskazywał, że za trzy minuty straż pożarna będzie na miejscu.

– Okej, to ja już spadam.

– Nie, niech pan poczeka – zażądał Jules od kuriera. Biedny facet miał właściwie dostarczyć paczkę (*państwo Haubach, Brandenburgische Strasse 17, 4. piętro*) i najpierw zaniepokoił go tylko swąd dymu. Potem zaskoczyła go goła stopa kobiety, którą zobaczył, gdy zajrzał do przedpokoju przez dziwnym trafem otwarte drzwi do mieszkania. A potem ujrzał krew.

– Stary, boję się, że to wszystko tutaj eksploduje.

– Czy dym cały czas wydobywa się spod drzwi?

– Tak, cały czas.

Jules zabębnił palcami w brzeg klawiatury. Zgodnie z podręcznikiem powinien się zgodzić z Damelowem, a nawet nakazać mu opuścić miejsce zdarzenia. Żadna postronna osoba nie powinna otwierać drzwi do pokoju dziecięcego, w którym jest pożar, a tym samym narażać się na niebezpieczeństwo.

Jednak Jules nie mógł też zignorować zamkniętego chłopca.

– Boże, on drapie w drzwi! – jęknął kurier. Jego głos brzmiał głucho, jakby mówił przez nos, bo przytykał zmoczoną ścierkę do nosa i ust. Wziął ją z łazienki, jak mu polecił Jules. Posyłanie go tam było jednak błędem. Wyłożona płytkami podłoga wyglądała tak, jakby zarżnięte zwierzę wyszło z wanny wypełnionej krwią. Wszystko wskazywało na to, że kobieta usiło-

wała odebrać sobie życie i z podciętymi żyłami dała jeszcze radę wyczołgać się na korytarz.

– Co pan powiedział? – dopytywał się Jules.

– Chłopiec drapie. Od środka. W drzwi.

Jules zamknął oczy i ujrzał umierającego chłopca, który w daremnych próbach uwolnienia się ryje paznokciami głębokie rysy w drewnie zamkniętych na głucho drzwi.

– Jest pan pewny, że drzwi nie da się otworzyć?

– Nie, no jasne, jestem trochę stuknięty! – Głos Damelowa załamał się. – Przecież te drzwi są pewnie otwarte na oścież. A to ciało, nad którym przechodziłem w przedpokoju, to pewnie nie żaden trup, tylko lalka. No i...

– Już dobrze, proszę się uspokoić!

Kurier kasłał i krzyczał jednocześnie:

– Dobrze panu mówić! To nie pan stoi w kałuży krwi przed dymiącym pokojem dziecięcym.

– Proszę popatrzeć na inne drzwi. Są w nich jakieś klucze?

– Że co?

– Klucze do drzwi. Często jest tak, że każdy pasuje do wszystkich drzwi w mieszkaniu.

– Chwila. Nie. Tutaj... mam.

Jules słyszał kroki. Buty piszczące na linoleum lub na panelach podłogowych.

– Co pan ma?

– Był jeden klucz.

– To niech pan spróbuje.

– Okej, chwila.

Kolejny odgłos silnego kaszlu.

Skoro kurier miał już w korytarzu takie problemy z oddychaniem, to w pokoju dziecięcym musiało być jak w kominie.

– Drapanie ustało – powiedział Damelow.

– Nieważne. Czy klucz pasuje?

– Co? Tak. Ale nie mam odwagi. Czy ogień nie dostanie porcji tlenu, jeśli otworzę drzwi?

– Nie – skłamał Jules.

– Nie, no nie wiem. Nie mam odwagi. Lepiej stąd wyjdę...

Wzrok Julesa powędrował w lewo, w kierunku monitora, na którym zaznaczona była pozycja zaangażowanego w akcję wozu strażackiego.

– Proszę się nie rozłączać – polecił kurierowi i połączył się z dowódcą zespołu ratowników.

Ten natychmiast odebrał.

– Halo?

– No, gdzie jesteście?

– Na miejscu – stwierdził zdenerwowany dowódca grupy. – Ale tu nic nie ma.

Komar mieszkający w nawiedzonym przez dokuczliwy szum uchu Julesa zameldował się z całą siłą.

– Jak to nic nie ma?

– W każdym razie żadnego zagrożenia. U państwa Haubach wszystko w porządku, jeśli pominąć strach, jakiego im napędziliśmy.

Kątem oka Jules zobaczył, że pod ścianą z monitorami kierownik zespołu naradza się ze swoim zastępcą. Z pewnością od dawna przysłuchiwali się rozmowie.

– Rozmawiałeś z rodziną? – spytał przebywającego na miejscu dowódcę grupy.

– Z ojcem, matką, córką. Wszyscy zdrowi.

Z córką?

– Chwila...

Czyżby ten drań zrobił mnie w jajo?

Rozgniewany przełączył się znowu na rozmowę z domniemanym kurierem. Wcale by się nie dziwił, gdyby ten tymczasem już się rozłączył, ale Michael Damelow wciąż był na linii.

– Gdzie pan jest? – spytał Jules.

– Mówiłem już. Na Brandenburgischen Strasse.

– Nie, tam pana nie ma – stwierdził Jules i poinformował go o tym, co właśnie mu doniósł kolega.

– To niemożliwe... o Boże... przepraszam... – zaczął się jąkać DAMELOW.

– Co?

– W tym zamieszaniu, ja... ja...

– Spokojnie. Proszę głęboko oddychać. Co się z panem dzieje? – Jules przewrócił oczami.

Martwa kobieta. Płonący pokój. Wołające o pomoc, drapiące w drzwi dziecko. A do tego jeszcze spanikowany świadek...

– ...podałem panu poprzedni.

– Poprzedni adres dostawy?

– Właśnie. Jestem już gdzie indziej.

– Gdzie–dokładnie–pan–jest?

Wymagało to od Julesa dużego opanowania, żeby się na niego nie wydrzeć. Facet potrzebował dłuższej chwili, zanim wreszcie podał właściwy adres.

– Prinzregentenstrasse dwadzieścia cztery. Trzecie piętro. Dziesięć siedemset piętnaście Berlin.

Jules trzy razy prosił go o powtórzenie adresu.

Za pierwszym razem przestał oddychać. Za drugim razem stanęło mu serce. Za trzecim był już martwy.

Martwy w środku, jak zombie, który wciąż się rusza i mówi, zrywa się z miejsca, zrzuca z głowy zestaw słuchawkowy i patrzy jak niespełna rozum w twarze gapiących się na niego kolegów.

Ale już nie żyje.

Już nie jest taki jak ludzie wokół niego.

– Jules! – usłyszał krzyk kierownika zespołu pędzącego w jego stronę, ale był już nie do zatrzymania. Strząsnął z siebie ręce kolegi, odepchnął na bok przełożonego i pognał schodami w dół. Oślepliły z paniki, ogłuchły z przerażenia, wskoczył do swojego samochodu stojącego na parkingu przed centralą alarmową i ruszył przed siebie.

Pod adres:

Prinzregentenstrasse 24.

Trzecie piętro.

10715 Berlin.

Do swojego mieszkania.

6

Klara

Teraz

Czy odczuwał pan kiedyś strach tak wielki, że każdą komórkę pańskiego ciała wypełniał ból?

– Pyta pani, czy odczuwałem kiedyś taki strach, że chciałem sobie zerzeć skórę z ciała, bo bałem się, że spłonę od środka?

– Tak.

Po tej wymianie zdań jej telefoniczny rozmówca milczał przez niepokojąco długi czas i przez chwilę Klara nie była wcale pewna, czy Jules się nie rozłączył.

Potem się jednak odezwał:

– Proszę wybaczyć, ale właśnie przypomniało mi się coś bardzo traumatycznego w moim życiu. W dodatku wydarzyło się to nie tak dawno.

Klara zatrzymała się i skuliła, dociskając lewą rękę do boku, żeby złagodzić kłucie w okolicach śledzony, a przecież nie szła wcale tak szybko.

Nawet jeśli miała w biodrach parę kilogramów za dużo, czego Martin nigdy nie omieszkał jej wypomnieć („Przynajmniej Twoje sarnie oczy nie zarosły tłuszczem, jedyne, co w Tobie jeszcze jest ładnego”), to nie wysiłek fizyczny ją wykończył, lecz doświadczenie własnej śmierci, na krótko zanim komórka w jej kieszeni się usamodzieliła i wybrała numer Nocnego

Powrotu. Rozmowa z empatycznym nieznanym o bardzo miło brzmiącym głosie odebrała jej resztkę pozostałych sił, których w zasadzie potrzebowała na coś o wiele ważniejszego. Sama nie wiedziała, dlaczego w ogóle jeszcze z nim rozmawia.

– Bardzo dobrze znam stan, który pani opisuje – oznajmił Jules po kolejnej przerwie, a ona niemal fizycznie odczuła, że coś mu leżało na sercu. Coś, co tak bardzo go obciążało, że już nigdy w życiu nie będzie w stanie rzucić z siebie tego ciężaru. Słowa Julesa poruszyły w jej duszy strunę, o której myślała, że już na zawsze pozostanie nieruchoma, a być może jest nawet zerwana.

Głos Julesa, o ile było to jego prawdziwe imię (on sam wymawiał je „Dzuls”), brzmiał... szczerze. Nie potrafiła znaleźć na to innego słowa, jednak wcale nie była też pewna, czy jej zmysły – tu, w ciemności – nie płatają jej figla. Być może był on tylko aktorem, który nosił swój uspokajający głos jak maskę i używał go tak, że trzeba było mu się wierzyć we wszystko, choćby to było całkiem nieprawdopodobne.

– Nikt nie jest w stanie mnie zrozumieć. – Klara znów się wyprostowała i zdjęła gumkę, którą wcześniej były związane jej gęste brązowe loki, choć wiedziała, że ucisk w jej głowie nie był spowodowany mocno zaplecionym warkoczem.

Wciągnęła do płuc świeże, wilgotne leśne powietrze. Gałęzie gęsto rosnących sosen tworzyły nad nią naturalny baldachim chroniący przed śniegiem. Wiatr przestał na chwilę wiać i zrobiło się trochę cieplej, ale ona nie przestawała dygotać. Narzucona w biegu przed wyjściem na norweski sweter kurtka oraz już przemoczone i porwane dzinsy nie dawały wystarczającej ochrony przed zimnem. Nie było to odpowiednie ubranie nawet na jesienny spacer.

Spacery, pomyślała z pewną dozą melancholii, przez którą sama siebie nie cierpiała. Przez trzydzieści cztery lata życia stanowczo zbyt mało spacerowałam. Sądziłam, że to zwykła strata czasu, tak po prostu iść przed siebie, bez konkretnej potrzeby, bez określonego celu, gdzie byłoby coś do załatwienia. A teraz stoję tutaj, zakrwawiona i z mniejszą nadzieją niż skazany

na śmierć w chwili przypinania do krzesła elektrycznego. I żał mi tych wszystkich spacerów po lesie, na które nigdy nie chciałam chodzić.

– Mój strach nie podpada pod żadną kategorię, a więc proszę nie obrażać mojej inteligencji, tłumacząc mi, że mógłby mnie pan zrozumieć, choć nie znamy się ani trochę.

Pomacała czoło, zadowolona, że krew już przyschła. Jednak jej czaszka huczała jak kościelny dzwon, w który ktoś przywalił młotem. Kara za wspinięcie się w środku nocy na skały, o których mało kto nawet w Berlinie wie, że istnieją. Mały sekret bez adresu. Wysokie na osiem, dziewięć, dziesięć metrów sztuczne wieże z betonu natryskowego, po którego krawędziach, występach i zagłębieniach mogą się wspinać na wierzchołek z krzyżem w zasadzie tylko członkowie Niemieckiego Klubu Alpejskiego.

Ale kto by sprawdzał w środku nocy, w zadymce śnieżnej legitymacje klubowe?

– Nie wiem, jak się pani czuje, ale wiem, jak pani się zachowuje: jak przekorne dziecko, a nie jak dorosła kobieta.

Jules znów znalazł właściwą odpowiedź. *Cholera*. Czy przypadkiem nie trafiła właśnie na najlepiej wytrenowanego wolontariusza Nocnego Powrotu, czy też może teraz wszyscy zostali tam tak wyszkoleni? Ostatnim razem, kiedy tam dzwoniła, trafiła na miłą, ale o wiele za młodą dziewczynę przy aparacie, która wszystkie zdania zaczynała od zwrotu „Jak już mówiłam...”, choć wcześniej nie mówiła na dany temat ani słowa.

Z pewnością wszyscy tam musieli odbywać regularne kursy i seminaria doksztalcające o bardzo kreatywnych nazwach, takich jak *Interwencja kryzysowa – człowiek w potrzebie tuż obok ciebie*, podczas których analizuje się nagrania takich rozmów telefonicznych jak ta.

Klara opuściła schronienie przed wiatrem i śniegiem, które dawały sosny, i zaczęła brnąć w dół wąskiej, krętej ścieżki, prowadzącej przez las z Teufelsberg^[1] do drogi Teufelsseechaussee. Zanieczyszczenie światłem wytwarzane przez wielkie miasto, na którego obrzeżach się znajdowała, wystarczało, żeby wytworzyć coś w rodzaju półmroku między kotłującymi się w górze chmurami zrzucającymi śnieżne konfetti.

Powłóczyła nogą. Chyba nie złamała kostki, ale w gruncie rzeczy było jej wszystko jedno. Tak naprawdę to ból dobrze jej robił. Tak bardzo dobrze, że do oczu napływały łzy, a to nie pozwalało jej zasnąć na ostatnich metrach.

– Co zawróciło panią z drogi? – spytał Jules.

Klara zamknęła na chwilę oczy. Ciemność, która ją przez to ogarnęła, pasowała do kosmicznego zimna panującego wokół.

Cholera, dlaczego po prostu się nie rozłączę?

Gdyby zwyczajnie zapytał „Co się zdarzyło?” lub zażądał „Proszę mi wszystko opowiedzieć”, natychmiast nacisnęłaby ikonkę przerywania połączenia. To pytanie jednak świadczyło o tym, że właściwie ją ocenił. Że kiedyś była kobietą, która miała swój cel. Kobieta w długiej podróży, w którą wyruszyła z nadzieją na znalezienie zadowolenia, a być może też miłości, a której trasa – jak się zdążyła przekonać – wyłożona była minami, które tylko przy dużej dozie szczęścia dało się ominąć. A szczęście... no tak... było pierwszym przyjacielem, który się z nią pożegnał, drąc na drobne kawałki bilet na wspólną podróż – i to cholernie dawno temu.

– Zna pan Le Zen przy ulicy Tauentzien? – spytała.

– Ten luksusowy hotel?

– Właśnie.

– Tam nawet kawa jest poza zasięgiem moich możliwości finansowych, ale tak, słyszałem o nim.

– Także o windzie *speakeasy*?

– *Speak* co?

– A więc nie. – Klara odsunęła na bok gałąź, która zagradzała jej drogę.

– Z lobby hotelowego rozciąga się dobry widok na windy. Najlepiej usiąść na wąskiej japońskiej sofie tuż obok waz z fioletowymi orchideami. Na pierwszy rzut oka można zauważyć troje chromowanych drzwi do wind, pięknie ozdobionych azjatyckimi ideogramami, ponieważ wszystko w tym przybytku jest zrobione na dalekowschodnią modłę.

– Ale?

– Ale jeśli siedzi się na wspomnianej sofie dokładnie o godzinie dwudziestej trzeciej dwadzieścia trzy w ostatnią sobotę miesiąca i patrząc poprzez orchidee, nie spuszcza się z oka wąskich drzwi tuż obok wind, można stwierdzić, że to powleczone bibułą przejście wcale nie prowadzi do jakiegoś pomieszczenia technicznego czy czegoś w tym stylu.

– Lecz także do windy.

Prawie się uśmiechnęła. W normalnych warunkach chętnie by porozmawiała z Julesem o sprawach codziennych. O polityce, sztuce, podróżach lub o poglądach na wychowanie dzieci, jeśli je miał. Mówił jak ojciec, któremu udaje się być jednocześnie czułym i wymagającym. Nieczęsto zdarzało jej się trafić na mężczyznę, który myślał podobnie jak ona, a nawet poprawnie kończył zdania, wyciągając właściwe wnioski z już wypowiedzianych słów.

– Właśnie tak. Istnieje też czwarta winda.

– Dlaczego *speakeasy*? – spytał.

– W czasach amerykańskiej prohibicji alkohol dostępny był tylko w barach ukrytych na zapleczu knajp. A zamaskowane drzwi prowadzące do tych pomieszczeń otwierały się, gdy szepnęło się barmanowi odpowiednie hasło. Stąd określenie *speakeasy*, od szeptania.

– Jakie hasło otwiera drzwi do windy?

Dobrze. Nie zadał od razu właściwego pytania: „A dokąd jedzie winda?”.

Wiedział najwyraźniej, że Klara zamknie się w sobie, jeśli będzie zbyt szybko zmierzał do sedna sprawy. Że poczuje się tania i łatwa jak dziewczyna, która na randce zbyt szybko pozwoli, by podczas pocałunku dłonie partnera udały się na wędrówkę.

– Obecnie w środowisku termin *speakeasy* przyjął się jako określenie każdego tajnego lokalu.

– O jakim środowisku mówimy?

Usłyszała jakiś szelest obok siebie. Pewnie był to lis lub dzik, szukający w śniegu pożywienia.

– O takim, w którym kultywuje się ból.

– Wsiadła pani do tej windy?

Jules posuwał się ostrożnie naprzód ze swoimi pytaniami, podczas gdy Klara z kłującym bólem w śledzionie i w kostce dalej kuśtykała w dół, w odległości zaledwie kilku metrów od ulicy Teufelsseechaussee, po której na szczęście nie jechał teraz żaden samochód. Tylko jakiś kompletnie nieużyty dupek nie zatrzymałby się przy tej pogodzie na jej widok, a wtedy co niby miałyby mu powiedzieć? „Wszystko w porządku, nic mi nie jest. Lubię sobie spacerować w taką śnieżycę zakrwawiona i ze stłuczoną kostką”.

– Tak. Zrobiłam to – odpowiedziała na ostatnie pytanie Julesa.

Wsiadłam.

– O dwudziestej trzeciej dwadzieścia trzy, tak jak mi to powiedział Martin, drzwi się otworzyły. Bezszelestnie.

– Kim jest Martin?

– Proszę chwilę poczekać. Już zaraz go pan pozna – stwierdziła Klara i zaczęła opowiadać Julesowi historię, od której nie wszystko się zaczęło. Która nawet nie oznaczała początku jej końca. Która jednak z pewnością wyznaczała punkt zwrotny, po którym nie było już odwrotu. Wtedy, gdy przekroczyła próg zła i weszła do ciemnej windy, a ta katapultowała ją w świat, który okazał się jeszcze gorszy, niż to sobie wyobrażała w swoich najgorszych koszmarach.

7

Klara

Kilka miesięcy wcześniej

Załóż na siebie coś biznesowego – powiedział Martin do Klary. – Ten granatowy kostium z ołówkową spódnicą i białą bluzką pod blezerem. Lakierki od Prady, żadnych odkrytych palców ani szpilek. Musi to wyglądać tak, jakbyś akurat wyszła ze spotkania w kancelarii.

Wiedziała, że on się wstydzi, iż jego żona jest „tylko” asystentką techniczno-medyczną w gabinecie psychiatrycznym, a nie specjalistką od zarządzania lub prawniczką.

– Oczywiście subtelna biżuteria, zegarek Choparda, który Ci kupiłem w Stambule, naszyjnik z pereł i pasujące do niego kolczyki.

Posłuchała Martina – jak zawsze. Przez siedem lat ich związku, z czego wprowadzie tylko trzy były zalegalizowane aktem małżeństwa, nauczyła się nie zadawać zbyt wielu pytań. A założenie na siebie „czegoś biznesowego” w porównaniu z wieloma innymi jego życzeniami było niegroźne, w zasadzie nawet przyjemne. Ostatnim razem musiała założyć buty za kolana i lalkową spódniczkę, żeby spotkać się z nim w kinie porno na placu Adenauera. W porównaniu z tym luksusowy hotel Le Zen wydawał się rajem na ziemi.

Tak myślała Klara. Dobrze przy tym wiedząc, że bramy piekielne mogą zostać otwarte także przez hotelowego boya w liberii, który z szarmanckim uśmiechem wskazuje drogę przez wyłożone chińskim marmurem lobby w kierunku wind. Gdzie weszła do jednej z kabin. Do czwartej, najwyraźniej tajnej windy *speakeasy*, której oświetlenie było tak przytłumione, że potrzebowała dłuższego czasu, aby przyzwyczać się do mroku.

Stara, pomyślała Klara, gdy zarysy jej twarzy odbijającej w lustrze windy stały się wyraźniejsze.

Pomarszczona i nieforemna.

Martin powtarzał jej to codziennie. Od czasu narodzin Amelie nie ustawał w ciągłym wskazywaniu jej następstw ciąży i stałym potępianiu słabości jej charakteru, przez które nie udawało jej się ich pozbyć.

Drzwi na dziewiętnastym piętrze otworzyły się.

Na miękkich nogach Klara weszła do pachnącego odświeżaczem o woni paczuli korytarza hotelowego, który wcale nie wyglądał jak korytarz hotelowy. Miała raczej wrażenie, że z windy trafiła bezpośrednio do westybulu luksusowego, wielopiętrowego penthouse'u. Lekko łukowate, absurdalnie szerokie, drewniane schody biegły w stronę galerii obok nadnaturalnych rozmiarów obrazu olejnego przedstawiającego siwowłosego, bezzębnego Chińczyka. Po prawej i lewej stronie pierwszego podestu schodów umieszczone były cylindryczne wazony wielkości dorosłego człowieka, w których stały największe słoneczniki, jakie Klara widziała w swoim życiu.

Pomiędzy nimi, jakby występowała na schodach rewii, stała uśmiechnięta wróżka. Przynajmniej takie wrażenie robiło na Klarze to boleśnie idealnie zbudowane, całe ubrane na czarno zjawisko.

– Serdecznie witamy w V. P. Mam na imię Lousanne. – Wymawiała te litery po angielsku i osobno, co z lekka przypominało skrót VIP. – To bardzo miło, że pani przyszła. Była już pani kiedyś u nas?

Klara pokręciła przecząco głową, onieśmielona pięknem hostessy. Młodziutkiej, z dużymi, ciemnymi oczami jak z filmów Disneya, które w każdym mężczyźnie budziły instynkt opiekuńczy, a każdej kobiecie dawały do

zrozumienia, że byłaby bez szans, gdyby Lousanne przyszło do głowy uwieść jej męża.

Klara poczuła bolesne ukłucie, bo przypomniało jej to jej własne życie, kiedy jeszcze się ucząc, wieczorami po szkole zawodowej pracowała jako pomoc w recepcji spółki adwokackiej przy Ku'damm^[2]. Jak witała każdego wchodzącego klienta z podobnym uśmiechem, proponowała mu kawę i zapraszała, żeby spoczął na chwilę i poczekał, ponieważ adwokat lub notariusz jeszcze nie skończył spotkania. W ten sposób poznała Martina. Wtedy czuła się jeszcze tak pewna siebie i wolna jak Lousanne, której postawa ciała wręcz promieniowała teraz dumą i pewnym niedomówieniem, jakby chciała dać każdemu gościowi do zrozumienia, że praca w charakterze hostessy jest tylko etapem przejściowym, a ona sama jest powołana do wyższych celów.

Z dużej wysokości można nisko spaść, pomyślała Klara i już w następnej chwili zdziwiła się prośbie Lousanne:

– Jeśli po raz pierwszy zaszczyca nas pani swoją obecnością, chciałabym prosić, żeby zechciała pani wypełnić ankietę członkowską. – Lousanne obróciła się, a Klara zdziwiła się głębokim rozcięciem na jej plecach. – Czy mogę prosić za mną?

Poprowadziła Klarę do marmurowej, sięgającej piersi kolumny stojącej obok jednej z waz ze słonecznikami. Leżała na niej skórzana teczka, którą energicznie otworzyła. Ze środka wyjęła kopertę i podała ją Klarze razem z białym porcelanowym wiecznym piórem marki Montblanc.

– Czy zdecydowała się już pani na poziom?

Poziom?

Klara wzruszyła bezradnie ramionami.

– Nie ma problemu. Kolor może pani zmienić w każdej chwili.

Kolor?

Klara zadrżała, próbując rozerwać kopertę, gdy ta nagle została jej wyrwana z rąk.

– Nie ma potrzeby, skarbie. Załatwiłem już za Ciebie formalności.

Odwróciła się zaskoczona. Martin pojawił się przy niej tak nagle, jakby wyszedł zza jakichś ukrytych drzwi. Koperta (*Z wnioskiem o członkostwo? Po co? Czy to jakiś klub?*) znajdowała się teraz w jego ręku, a on uśmiechał się łobuzersko. Świeżo ogolony, świeżo wykąpany, z szarymi, kręconymi włosami ułożonymi woskiem, pachniał tak samo doskonale, jak przy ich pierwszym, przypadkowym spotkaniu w kancelarii adwokackiej.

– Czy mogę Cię prosić na słówko? – spytała Klara, próbując się uśmiechnąć, co się jej kompletnie nie udało, i wskazując na drzwi, przez które Martin prawdopodobnie dopiero co wszedł. Znajdowały się tuż obok windy i prowadziły prawdopodobnie do przejścia do toalet. Liczyła na to, że mogliby tam swobodnie porozmawiać.

Martin pokręcił przecząco głową.

– Pogadać możemy później. Będziemy też wtedy mieli więcej tematów do rozmowy.

Załapał ją za rękę. Nieco mocniej, niż to było potrzebne.

Skinął głową Lousanne i poprowadził Klarę w górę schodów.

– Co tu się dzieje? – spytała Klara zduszonym szeptem.

Martin kiwnął głową, jakby zadała mądre pytanie, ale nic nie odpowiedział. Położył jej za to dłoń na plecach i popychając lekko, prowadził na górę.

– Mówię poważnie, Martin. Co Ty znowu planujesz?

– Nie psuj zabawy – usłyszała jego zadowolony głos, o krok za nią.

U góry schody przechodziły w wyłożony szarym dywanem korytarz, kończący się po drugiej stronie czarnymi, dwuskrzydłowymi drzwiami, na których był wymalowany czerwono symbol „pi”.

Martin otworzył drzwi kartą elektroniczną.

– Proszę... – zaczęła Klara i pomyślała o swojej sześcioletniej córce Amelie, która zapewne spała spokojnie, nieświadoma niczego, w swoim łóżeczku, pilnowana przez opiekuna. Weszła więc za Martinem, choć wszystkie zmysły przestrzegały ją przed tym.

Ze spuszczonego wzrokiem, bo bała się tego, co tam na nią czekało.

– Muszę do toalety – wychrypiała.

– To może poczekać – zdecydował Martin i w tym momencie coś się poruszyło w pomieszczeniu i Klara nie mogła już unikać patrzenia.

Spodziewała się apartamentu, łóżka, a może nawet zestawu wypoczynkowego naprzeciwko okna z widokiem na kościół Pamięci^[3] oraz kino Zoo Palast^[4] i wszystko to oczywiście tu było. Tyle tylko że łóżko miało okrągły kształt, stało na środku pomieszczenia i było trzy razy większe niż jej dawne lokum w dzielnicy Prenzlauer Berg, gdzie mieszkała, nim się sprowadziła do Martina.

– Co tu się dzieje? – spytała, ale jej słowa były trudne do zrozumienia, bo odruchowo zakryła dłonią usta.

Patrzyła na pół tuzina identycznych twarzy. Wszyscy mężczyźni nosili takie same maski: śmiejące się do łez emoji.

Tymczasem ona miała raczej ochotę płakać.

– Co Wy z nią robicie? – spytała słabym głosem.

Przerażenie ją paraliżowało. Ze wszystkich sił pragnęła, żeby także młoda dziewczyna na łóżku, wokół której stali pozbawieni twarzy mężczyźni w smokingach, była tylko dziełem charakteryzatorki.

Ale krew, ściekająca kroplami z jej ust na nagie piersi, była prawdziwa.

8

*T*orturowana klęczała na materacu na czworakach jak pies. Podpierała się tylko na prawej ręce. Lewa zwisała z jej chudego ciała jak złamane skrzydło.

– Proszę – błagała bezgłośnie, gdy spotkały się spojrzenia jej i Klary. Brakowało jej co najmniej dwóch przednich zębów.

– To Shaniqua. Powiedz jej „cześć”. – Martin się roześmiał. – Oczywiście jest to jej pseudonim artystyczny, ale czyż nie wygląda jak indiańska piękność?

Raczej jak ktoś umierający przy palu męczeństwa, pomyślała Klara.

Ciemnowłosa i ciemnoskóra dziewczyna, licząca sobie nie więcej niż osiemnaście lat, miała drobną figurę. Przy każdym z urywanych oddechów jej żebra niczym kostki na dłoniach starego człowieka odznaczały się przez skórę na klatce piersiowej – poznaczoną krwiałkami i otwartymi ranami.

Ledwie starczało jej powietrza, tak ciasno zaciągnięta na jej szyi była psia obroża. Przyczepioną do niej smycz trzymał krzepki mężczyzna w pomiętym stroju wizytowym. W drugiej ręce miał lutownicę, którą najwyraźniej zostały dziewczynie zadane rany na plecach i pośladkach.

Jestem w piekle!

Klara chciała pospieszyć dziewczynie na ratunek, ale Martin złapał ją od tyłu, przyciągnął do siebie i objął, jakby byli zakochaną parą stojącą na balkonie i podziwiającą cudowny widok.

– V. P. to tylko taka gra, skarbie – szepnął jej do ucha. Teraz także on miał na twarzy maskę z uśmiechem. Zrobiło jej się niedobrze, gdy rozwi-

nał skrót: – *Violence Play*.

Dwa angielskie słowa, które były tak strasznie sobie przeciwstawne, że nigdzie na świecie i pod żadnym pozorem nie powinny być używane w połączeniu.

Przemoc? Zabawa?

Boże!

Klara miała swego czasu nadzieję, że z „pomysłami” i „przebierankami” Martina będzie lepiej, gdy tylko zostanie już ojcem. Okazało się, że było wręcz przeciwnie, ponieważ dziecko stanowiło teraz środek nacisku w jego rękach.

Jeśli nie będziesz się razem ze mną bawić, wszyscy się dowiedzą, co też takiego ta matka robiła. Zobaczą filmy i zdjęcia na ten temat w internecie i będą musieli wysłuchiwać, jak bardzo zepsuta jest ta kochana mamusia, bo właśnie o tym będzie się szeptać na szkolnym podwórku i podczas zebrań rodziców. A wtedy zabiorę Ci dziecko. Bez Amelie nie pozostanie Ci nic innego poza widokiem na zamknięte podwórze w zapuszczonym bloku z wielkiej płyty, na które będziesz się mogła gapić ze swego okna.

– Macie ją natychmiast puścić, bydlaki! – zażądała Klara i wykorzystując okazję, że Martin ją puścił, ruszyła w stronę dziewczyny.

Ta skuliła się ze strachu. Straciła przy tym równowagę, oparła się na złamanej ręce i krzyknęła z bólu.

– Stul pysk! – warknął mężczyzna i szarpnął za smycz.

Klara dopadła go w dwóch krokach i wrzasnęła:

– Zostaw ją natychmiast w spokoju, Ty zboczony bydlaku! – Rozejrzała się po apartamencie w poszukiwaniu telefonu, przez który mogłaby wezwać pomoc. Komórkę zgodnie ze wskazaniem Martina zostawiła w samochodzie.

– Słyszeliście, co powiedziała – rzucił tymczasem Martin do obecnych. – Moja żona nie ma maski ani bransoletki. To znaczy, że to ona jest dziś królową.

Wszyscy skinęli głowami. Klara miała wrażenie, jakby była świadkiem głosowania członków tajnej loży, której praw nie rozumiała.

– Królową?

– Tak, skarbie – potwierdził jej mąż. – Do Ciebie należy prawo wyboru środka ostatecznego.

Mężczyzna ze smyczą podniósł rękę, w której trzymał lutownicę. Kabel był podłączony do przedłużacza, a przyrząd rozżarzony do czerwoności.

– Jakiego znów środka ostatecznego? – spytała Klara, choć właściwie wcale nie chciała znać odpowiedzi. Wszystko, czego chciała, to uciec. Daleko stąd. Z tego pokoju. Z tego hotelu. Ze swojego życia.

– Nabyliśmy nasz sprzęt do zabawy (*Martin naprawdę użył słowa „sprzęt”!*) od jego właściciela do swobodnej dyspozycji. To znaczy, że możemy z nim zrobić wszystko. – Klara była pewna, że pod maską diabolicznie się uśmiechnął. – A mówiąc „wszystko”, mam na myśli naprawdę „wszystko”. – Zatarł dłonie. – Dziś chcemy ją jeszcze oślepić, albo może jakoś dodatkowo podręczyć.

– Nic z nią nie zrobicie, Wy, Wy chore gnojki...

– Otóż to – wpadł jej w słowo Martin. – My nie. Ty to zrobisz. To Ty masz wybór. Chciałabyś może uszlachetnić lutownicą jej oczy albo waginę?

Już same te słowa były jak cios w podbrzusze. Klara miała poczucie, że zaraz skuli się z bólu. Zawsze przeczuwała, że istnieją na świecie kobiety, którym przychodzi znosić jeszcze gorsze rzeczy niż ona. Zniewolone prostytutki pochodzące z biednych krajów, sprzedane jako małe dziewczynki przez swoje rodziny sutenerom, którzy za granicą oferują je zwyrodniałym, sadystycznym klientom do „swobodnej dyspozycji”. Miała jednak nadzieję, że nigdy w swym życiu nie napotka w rzeczywistości czegoś tak przerażającego, że nawet ona – ofiara przemocy domowej – na ten widok będzie musiała zamknąć oczy.

– Ja jestem królową? – zapytała Martina, podczas gdy pewien pomysł zaczął świtać w jej głowie.

– Zgadza się, jesteś!

– I mogę decydować?

– Jak najbardziej.

Wciągnęła głęboko w płuca powietrze.

– Dobrze. W takim razie niniejszym decyduję, że wszyscy macie jej natychmiast dać spokój.

W oczekiwaniu na policzek wstrzymała oddech.

– Dobrze.

Ku jej zaskoczeniu Martin nie wniósł sprzeciwu, tylko trzy razy klasnął w dłonie. Wówczas otworzyły się jedne z powleczonych bibułą przesuwanych drzwi.

9

Jules

Teraz

Wolno im było robić ze mną wszystko. Gasić na mnie papierosy, oddawać na mnie mocz, kopać mnie, gryźć i bić. Wyrwanie włosów należało do najbardziej niewinnych rzeczy. Pęknięcie śledziony bynajmniej nie do najgorszych.

– Boże święty! Czy oni panią...

– ...oślepiłi albo jakoś inaczej dręczyli? Nie, mój mąż mimo wszystko nie dopuścił do tego, żeby wykłuli mi oczy lub zgwałcili rozpaloną lutownicą.

– A czy oni panią w inny sposób...

– ...zgwałcili? – Klara znów dokończyła jego pytanie. – W sensie użycia przemocy? Bez wątpienia tak. W znaczeniu seksualnym? Nie. Nie o to chodzi w klubie sadystów.

Jules potrzebował chwili, żeby przetrawić słowa Klary. A potem jeszcze jednej, by znaleźć właściwe słowa. W końcu odezwał się:

– Większość kobiet, które do mnie dzwonią, odczuwa strach, ponieważ wracając do domu, są same. Czy w pani przypadku jest inaczej? Czy pani boi się wrócić do domu i dlatego błąka się w ciemnościach?

– Tak.

– Boi się pani swojego męża?

– Nie.

Jules podniósł ze zdziwienia brwi i podrapał się tam, gdzie pałąk zestawu słuchawkowego ocierał się nieprzyjemnie o kark pomiędzy włosami. Miał nieco mniejszą głowę niż Cezar, więc wielkość słuchawek nie była odpowiednio dopasowana.

– Ale czy nie opisała mi pani przed chwilą przerażającego przypadku gwałtu małżeńskiego?

– Tak, ale z tym dałabym jeszcze radę przez jakiś czas żyć – stwierdziła Klara. – Chociaż nigdy bym nawet nie pomyślała, że kiedyś coś takiego powiem. A już z pewnością nie po wieczorze w Le Zen, z którego zresztą jest wideo. Martin wstawił je na fora internetowe w celu garniowania.

– „Garniowania”? – spytał Jules.

– Tak określają to zbrodnie, którzy zbierają się na takich forach wymiany. Oglądają tam, jak torturowane są kobiety. Z niektórych scen robią rzuty ekranowe, a potem drukują je. Zwykle są to sceny, na których kobiety mają usta i oczy szeroko otwarte z przerażenia lub bólu. Następnie onaniują się na te fotografie i wrzucają je z powrotem na forum. Martin bardzo się cieszył z komentarzy: „Popatrz, jak ugarniowałem Twoją posiniaczoną kurwomałżonkę. Niezła suka” lub innych w tym stylu.

Głos Klary brzmiał teraz wyraźniej, co nie polegało tylko na braku odgłosów dochodzących z otoczenia. Najwyraźniej nie znajdowała się już teraz na dworze. Jules usłyszał, jak coś metalowego zaszurało po kamieniu. Zacinające się drzwi? Brama do kamienicy? Potem zmieniło się tło dźwiękowe, inny był także ton głosu Klary. Mówiła teraz pewnie i ufnie, co jednak wcale nie pasowało do wypowiedzianych przez nią słów. Jules miał nierzeczywiste wrażenie, że stąpa po chwiejnym gruncie, który w każdej sekundzie może się pod nim zapaść.

– To, z czym już nie chcę żyć, zdarzyło się po moim pobycie w klinice Berger Hof.

Jules przełknął, jednak guła rosnąca w jego gardle nie zniknęła.

Berger. Hof.

Te słowa wprawiły go w większe przerażenie niż opowiadanie o męczeństwie Klary.

Zamknął oczy i zdjęcia z prospektu reklamowego szpitala, który dopiero co, podczas poszukiwań pilota do telewizora, wpadł mu ręce, wyświetliły się na ekranie jego świadomości jak prezentacja w PowerPoincie.

Potrzebował chwili, żeby się na tyle uspokoić, by móc zadać następne pytanie:

– Co sprawiło, że pani tam trafiła?

Gula w jego gardle urosła już do rozmiarów piłeczki tenisowej. Jules nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o Dajanie. O tej wspaniałej osobie, którą zawsze przedstawiał słowami „moja żona”, choć nigdy oficjalnie nie powiedzieli sobie „tak”. Także ona na formularzach zawsze zakreślała rubrykę „zameżna”, jak na przykład wtedy, gdy meldowała się w prywatnej klinice Berger Hof w Schwarzwaldzie, w okolicy Baden-Baden.

– Była tam pani na leczeniu psychiatrycznym? – spytał opanowanym głosem.

Jak Dajana...?

– Nie, trafiłam tam z powodów zawodowych – odpowiedziała Klara i ku zaskoczeniu Julesa ziewnęła.

W połowie drogi przez korytarz usłyszał charakterystyczny sygnał przychodzącego esemesa. Ponieważ podczas prowadzenia rozmowy poprzez oprogramowanie Nocnego Powrotu tego typu wiadomości tekstowe nie wytwarzały dźwięków, a jego własna komórka nie pokazywała, żeby przyszło jakieś powiadomienie, musiał to być sygnał z komórki Klary.

– Zatem jest pani terapeutką? Albo psycholożką?

– Dlaczego pan mówi szeptem? – zdziwiła się Klara i dopiero w tym momencie Jules zorientował się, że ona również ściszyła głos. – Jestem asystentką medyczną w gabinecie psychiatrycznym. W klinice Berger Hof brałam udział w projekcie badawczym.

– I wtedy coś się tam stało? – spytał Jules, znów nieco głośniej. Nie wypowiedział na głos kryjącego się w tych słowach pytania: „Co takiego zdołało przebić okropności, które musiała pani przeżyć ze swym mężem?”.

Klara szepnęła coś, co brzmiało jak wymruczane zaprzeczenie: „Nie, nic”.

– Przepraszam, nie zrozumiałem.

– Yannick – powtórzyła.

Jules wszedł znów do gabinetu.

– Kto to jest?

Westchnęła ciężko i odpowiedziała pytaniem pozornie całkowicie odwrwanym od tematu rozmowy.

– Czy zażywał pan kiedyś dezomorfinę?

– Ma pani na myśli narkotyk nazywany krokodylem? – Zaprzeczył. Podczas pracy w centrali alarmowej ciągle się jednak stykał z tym najbardziej śmiertcionośnym tanim narkotykiem na świecie, gdy ćpuny wstrzykiwały sobie zbyt dużą dawkę żrącej mieszaniny, produkowanej z kodeiny, jodu i czerwonego fosforu. Potem ratownicy pogotowia w toaletach dworcowych znajdowali narkomanów – podobnych do zombie, z zielonymi, przypominającymi skórę krokodyla zmianami w miejscu wstrzyknięcia. Nierzadko w szaleństwie próbowali gryźć samych siebie.

– Wystarczy wstrzyknąć sobie ten narkotyk tylko jeden jedyny raz – wyjaśniła mu całkiem niepotrzebnie Klara. – Tylko jeden przekłęty raz, by zniszczył on zdolność organizmu do wytwarzania endorfin. Wie pan, co to znaczy?

– Że człowiek nigdy już nie będzie szczęśliwy.

– Właśnie. Tak też jest ze mną i z Yannickiem. Jeden jedyny kontakt i wytwarzanie hormonu szczęścia zostało u mnie na stałe i nieodwołalnie wstrzymane. Cokolwiek się stanie, nigdy już nie będę się śmiać, kochać ani z powrotem móc żyć.

Jules usłyszał, jak z głośnym trzaskiem zamykają się drzwi samochodu, i w tym momencie zrozumiał, co znaczył tamten odgłos szurania.

– Jest pani w garażu – stwierdził. Zrobił to także dlatego, że nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć po tym, jak pojawienie się postaci Yannicka zapoczątkowało nowy temat, który wymagał od niego ekstremalnej

zdolności empatii. Każde fałszywe pytanie, każda nieostrożna uwaga – czuł to – mogły się zakończyć natychmiastowym przerwaniem rozmowy.

Zamiast odpowiedzi jakby na potwierdzenie uruchomiła silnik, sądząc po odgłosie pracy – raczej małego samochodu.

– Jeszcze raz bardzo panu dziękuję – powiedziała. – Bez pana nigdy by mi się to nie udało.

Jules stał między biurkiem a telewizorem, który wciąż bezgłośnie migotał. Nadzwyczajne wydanie magazynu policyjnego dawno się już skończyło, a teraz goście jakiegoś talk-show – Ci sami, co zawsze – spierali się, czy powinno się zakazać lotów na krótkie dystanse oraz używania SUV-ów.

– Za co mi pani dziękuje? Że mój głos towarzyszył pani w drodze do domu?

– To głupie pytanie i dobrze pan o tym wie, Jules. Już to sobie wyjaśniliśmy, że powrót „do domu” to raczej ostatnia rzecz na tym świecie, jakiej bym sobie życzyła.

– Ponieważ czeka tam na panią Yannick?

– Wszędzie na mnie czeka.

– Dlaczego?

– Już panu mówiłam. Żeby mnie zabić. I trudno mi sobie wyobrazić, że zostawi pana w spokoju, kiedy się dowie, że chciał mi pan pomóc.

Jules pokręcił głową w obliczu kompletnej zamiany ról. Jeszcze nigdy podczas pracy w telefonie alarmowym osoba dzwoniąca nie ostrzegała go przed niebezpieczeństwem zagrażającym jego własnemu życiu.

– Dlaczego on chce panią zamordować? – *I mnie...* – Kim jest ten Yannick? Niech pani mi o nim opowie.

– Nie ma już na to czasu – stwierdziła Klara, a Jules poczuł, że za chwilę może ją stracić.

Znów mu podziękowała, a on ponownie nie wiedział za co.

– W czym pani pomogłem?

– Naprawdę pan tego nie wie?

– Nie. Niech mi pani powie. Proszę.

Zrobiła krótką przerwę.

– Co pan teraz słyszy? – spytała po cichu, jakby była w kinie lub teatrze i nie chciała przeszkadzać innym ludziom obecnym na sali.

– Głos, który jest pewny siebie, ale zmęczony. Oraz pracujący silnik samochodu.

– A czego pan nie słyszy?

– Chyba...

Zastanowił się. Poza pomrukiem silnika nie było słycać niczego innego. Żadnego pisku opon, trąbienia, radia samochodowego, szumu wiatru... Jules zatrzymał się na środku salonu, jakby wpadł na niewidzialną ścianę.

– Pani stoi, a nie jedzie.

– No właśnie. – Klara zaśmiała się smutno.

A silnik chodzi. W garażu. Metal i beton. Zamknięte drzwi.

Jules wiedział, że matematyka strachu bardzo często stawia ludzki umysł przed całkiem prostymi zadaniami rachunkowymi, tyle że mózg człowieka czasem się wzbrania przed zaakceptowaniem równie jednoznacznego, co szokującego wyniku. Często rozsądek szuka skomplikowanych dróg rozumowania, żeby w mniej traumatyczny sposób rozwiązać równanie grozy. Jednak w tym przypadku z dodania jeden do jednego Julesowi nie mogło wyjść trzy. Samochód stojący nocą z włączonym silnikiem w garażu, w środku kobieta, która powodowana strachem zapisała sobie w komórce numer Nocnego Powrotu... To mogło oznaczać tylko jedno.

– Pani się chce dziś w nocy zabić!

Żeby ubiec Yannicka!

Gazami spalinowymi, które prawdopodobnie wlatują teraz do wnętrza samochodu poprzez wąż założony na rurę wydechową i wciśnięty w szparę w bocznym oknie.

Czy to w tym jej pomogłem? Czy to była jej „droga do domu”, w której jej towarzyszyłem?

– No właśnie. – Klara potwierdziła najstraszniejsze przypuszczenia Julesa. – A teraz pozwoli pan, że przystąpię do realizacji tego planu. Mam nadzieję, że nie będzie miał mi pan tego za złe, ale lepiej mi pójdzie, jeśli się teraz rozłączę.

10

Klara

W kabinie swojego mini coopera Klara zawsze miała wrażenie, że siedzi za sterami samolotu. Także teraz okrągłe aluminiowe wskaźniki różnej wielkości świeciły w ciemności matowym, pomarańczowym blaskiem. W pełni pasującym do jej ostatniego „odlotu” w nieznane.

Przełknęła ślinę, ale drapanie w gardle nie ustało. Złapała się za szyję i wymacała pod norweskim swetrem łańcuszek, na którym wisiał mały, srebrny krzyżyk, noszony przez nią od pierwszej komunii.

Obrotomierz i prędkościomierz rozmywały się przed jej zażawionymi oczami. Kaszała i ciekło jej z nosa. Podrażnienie śluzówek przyszło szybciej, niż się spodziewała, ale bądź co bądź na swoją ostatnią drogę wybrała dość mały samochód. Powietrze miało już smak pyłu węglowego, choć być może tylko to sobie wyobrażała. Naszła ją niepotrzebna myśl, czy Martin będzie mógł kiedykolwiek sprzedać mini, jeśli ona w agonii wypróżni się na tapicerkę. Być może w później fazie rozkładu ciała zaczną też z niej wypływać różne płyny powstające w trakcie procesów gnilnych, w zależności od tego, kiedy zostaną odkryte jej zwłoki. Wówczas będzie śmierdziało gorzej niż w czule pielęgnowanym co sobota oplu omedze taty, kiedy mama pewnego wieczoru zwymiotowała sobie w nim pod nogi.

Było to w drodze powrotnej ze spotkania w knajpie „Loretta am Wansee”, gdzie grono nauczycielskie z gimnazjum im. Alfreda Döblina spo-

tykało się na regularnych popijawach, na które raz w miesiącu można było zabrać ze sobą współmałżonka. Matka Klary nigdy nie mogła za dużo wypić, ale wtedy ojciec wmuszał w nią alkohol, „żeby nie psuła zabawy”, a on sam „nie stał jak jakiś dureń ze spiętą niunią, która nie umie się rozluźnić”.

Tyle tylko że jej usiłowania, aby dopasować się do „zabawnego” zachowania pijanych nauczycieli, skończyły się po jednym campari zwróceniem przesiąkniętych kwasem żołądkowym resztek sałatki ogórkowej na dywanik samochodowy. Klara wciąż bardzo dobrze pamiętała, jak obudziła się tamtej nocy, gdy krótko po jedenastej usłyszała zamykające się z trzaskiem drzwi wejściowe. Wyskoczyła z łóżka, otworzyła drzwi pokoju dziecięcego na poddaszu i zaczęła nasłuchiwać kroków. Bo one były dla niej wskaźnikiem. Jej sejsmograficznym systemem wczesnego ostrzegania, którego użycie trenowała od najwcześniejszego dzieciństwa, a teraz – w wieku czternastu lat – posługiwała się nim niemal bezbłędnie.

Zwłaszcza ciężkie stąpanie ojca, kiedy szedł za jej matką, gdy ta czmychnęła już na górę, było niezawodnym wyznacznikiem jego wściekłości. Ojca demaskowało skrzypienie trzeciego stopnia, który reagował z najwyższym trudem. Musiał więc porządnie na nim stanąć, całym swoim ciężarem, żeby stopień wydał skrzypiący odgłos. Prawdziwie jednoznaczną wskazówkę stanowiła jednak prędkość. Jeśli był pełen nieposkromionej wściekłości, szedł raczej ostrożnie na górę, do małżeńskiej sypialni. Powoli, jak nadciągająca burza, której nie można było niczym zatrzymać, żeby zapobiec nieuniknionemu. Gdy więc Klara słyszała ten dudniący, ociężały krok ojca, wiedziała, że już za późno. Nie potrzebowała nawet schodzić na rodzicielskie piętro, żeby przed zamkniętymi drzwiami sypialni czekać, aż jej matka zacznie jęczeć. Charczeć. Dławić się wymiotami. Nie było nic, co Klara mogłaby zrobić, żeby temu zapobiec. A mimo to tego wieczoru po piątyce w restauracji Loretta Klara spróbowała coś zrobić. Zeszła więc boso na dół, obok znenawidzonej kopii obrazu Rembrandta przedstawiającej mężczyznę w złotym hełmie, którego surowy wzrok przypominał jej ojca.

Na pierwszym piętrze z reguły pachniało kurzem, nawet jeśli wszystko było świeżo wytarte. Stary dom wydawał się produkować go wciąż na no-

wo, jakby bez przerwy zrzucał naskórek. Kurz osiadał na poręczy schodów, na dywanie, nawet na ścianach, a zwłaszcza na obrazku, który wisiał na ścianie pomiędzy drzwiami do łazienki i sypialni.

Czarno-biała fotografia za szkłem. Tata sam zrobił to zdjęcie. Molo w Binz na Rugii zimą. Całkiem bezludne, a wysokie fale, które rozbijały się o pirs, wyglądały, jakby zamarzły w szczytowym punkcie. Oglądający to zdjęcie chwalili dobre oko ojca, nie wiedząc, że jego szczególnie talent nie ograniczał się do zatrzymywania na fotografii pięknych momentów natury. Jego głównym uzdolnieniem był bowiem rentgen duchowy. W sekundę potrafił rozpoznać emocjonalne słabe punkty człowieka. Nie fotografował ich jednak, tylko wykorzystywał, odsłaniając je, aż były przed nim jak otwarta rana, na którą mógł z lubością sypać sól i lać kwas lub coś jeszcze gorszego.

„Każdy człowiek ma swoją piętę achillesową” – tłumaczył pewnego razu Klarze na placu zabaw, biorąc ją w ramiona. Z radości niemal się rozpląkała, tak rzadkie były takie chwile bliskości. „Twoim słabym punktem jest empatia, Klaro. Za bardzo bierzesz sobie różne rzeczy do serca. Musisz być twardsza, inaczej pewnego dnia życie da Ci potężnego kopa w dupę”.

Przy okazji dał jej wtedy dwie marki, które w ich rodzinie należały się za każde brzydkie słowo, i się roześmiał. Potem Klara zadawała sobie pytanie, czy także mamie coś wtykał, gdy przekraczał zakazaną granicę. Pięćdziesiąt marek za podbite oko? Sto za wybity ząb?

Gdy tego wieczoru stała przed zamkniętymi drzwiami sypialni i słyszała rozpaczliwy śmiech matki, tę paradoksalną czynność zastępczą, zanim ją zgwałcił, Klara po raz pierwszy uświadomiła sobie, jaki jest czuły punkt jej ojca. Położyła już nawet rękę na klamce, nie wiedząc dokładnie po co, bez żadnego planu, gdy nagle zrozumiała, co musi zrobić.

Podeszła do fotografii, z której ojciec był taki dumny, złapała obiema rękami za brzegi oszklonej ramki i jednym ruchem zerwała ją ze ściany, by rzucić nią o podłogę.

Potem nie musiała już nawet sama otwierać drzwi sypialni. Poderwany ogłuszającym trzaskiem tłukącego się szkła ojciec otworzył gwałtownie

drzwi. Z gołym torsem, ubrany tylko w spodnie od garnituru, które mama rano przyszykowała mu do szkoły, z paskiem, jak ze smyczą, w dłoni.

– Co, do diabła...? – Otworzył szeroko oczy, gdy zobaczył, co Klara właśnie narobiła.

– Przepraszam, ja...

Nie przygotowała sobie żadnego usprawiedliwienia. Było zresztą niemożliwe, żeby ten akt pozornie bezsensownego zniszczenia wydarzył się niechcący. Jednak ociec nie potrzebował żadnego przekonywującego powodu. Uderzył. Nie pierwszy raz w życiu Klary, ale pierwszy chyba raz paskiem i pierwszy raz w twarz. Z efektem, o jaki jej chodziło: użył jej jako piorunochronu. Burza, którą zapowiadało skrzypienie stopnia schodów, wyładowała się na niej. Na niej – a nie w ciele jej matki.

Gdy Klara następnego dnia poszła do szkoły i opowiadała swojej najlepszej przyjaciółce o tym, jak spadła z roweru i rozbiła sobie przy tym pół twarzy, strasznie się cieszyła i dlatego przy każdym najdrobniejszym uśmiechu z bólu leciały jej łzy z oczu. *W końcu*, myślała i uśmiechała się jeszcze szerzej. *W końcu znalazłam sposób, żeby ochronić mamę, a mnie...*

Dźwięk przychodzącego esemesa wyrwał ją z jej prawdopodobnie ostatnich wspomnień przywracając do brzemiennej spalinami rzeczywistości garażu.

GDZIE JESTEŚ???

Martin. Oczywiście. Jak zawsze pełen pretensji, jak zawsze z czterema pytajnikami.

Niezawodny aż do samej śmierci.

PRÓBOWAŁEM CIĘ ZŁAPAĆ, ALE NIE ODBIERASZ.

Wytarła sobie łzę z kącika oka i przeczytała resztę wiadomości.

NIE MA CIĘ W DOMU?

ZOSTAWIŁAŚ AMELIE SAMĄ???

Klarze zrobiło się niedobrze. Martin miał ten sam talent co jej ojciec. Ten sam psychologiczny rentgen.

Z tą samą nieomylną pewnością potrafił wetknąć palec w głąb jej ran, choć naturalnie nie wymagało to wielkich umiejętności, żeby w dziecku

dopatrzeć się psychicznej pięty achillesowej jego matki.

– Nie, Ty dupku – wyszeptała. – Oczywiście, że nie zostawiłam Amelie samej. Vigo jest z nią. Opiekun, którego tak nienawidzisz, dlatego że jest gejem. Dlatego że jest aktywistą klimatycznym, dlatego że zrezygnował z komórki i samochodu, po prostu dlatego, że jest dobrym chłopcem, a tym samym Twoim kompletnym przeciwieństwem.

„Proszę się nie martwić, pani Vernet” – powiedział szesnastolatek, gdy się rozstawali przy drzwiach jej mieszkania. „Amelie jest tak niekłopotliwym dzieckiem, że w zasadzie to ja powinienem pani płacić za to, że mogę u pani czytać książki. Gdyby coś się działo, zejść na dół i zamelduję się stamtąd”.

Co było bardzo praktyczne, mieszkał w oficynie razem z wychowującą go samotnie matką, tak że musiał tylko przejść przez podwórze, żeby być u nich.

Potem Vigo dodał jeszcze, że Klara nie musi się spieszyć z powrotem. Był już przecież weekend, a on na niedzielę nie miał żadnych planów. Później położy się w pokoju gościnnym, zaraz obok pokoju dziecięcego. „Będę czekać tak długo, aż pani wróci”.

A więc już zawsze.

Klara zaszlochała i nagle w jej myślach pojawiła się budząca obrzydzenie, wykrzywiona gniewem twarz jej męża, któremu krzyczy prosto w oczy: „A wiesz, dlaczego nie wrócę? Dlaczego zostawiam córkę samą? Żeby ją chronić!

Żeby pewnego dnia nie wpadła na taki sam pomysł jak ja. Żeby nie ofiarowała się jako zawór bezpieczeństwa i nie próbowała wzbudzić Twojej złości, żebyś wyładował wściekłość na niej, a nie na mnie”.

Bo jednej rzeczy była pewna: Martin był najgorszym mężem na świecie, ale mimo to dobrym ojcem. Nigdy by nie zrobił niczego córce, chyba że ta któregoś dnia sama sprowokowałaby go do tego, żeby użył jej jako pioru-nochronu, tak jak to Klara robiła ze swym ojcem przez wszystkie te lata swojego straconego dzieciństwa.

Z powodzeniem. Od „dnia zniszczonego zdjęcia” (jak go nazywała w swoich myślach) ojciec nigdy już nie podniósł na matkę ręki. Nigdy już jej nie uderzył, nie zbił ani nie zgwałcił, jak sama wyznała jej lata później, gdy już od dawna nie mieszkała w domu. Bo i po co? Znalazł już sobie nową ofiarę. Własną córkę.

Do tego w naszej rodzinie nigdy nie dojdzie, pomyślała Klara.

Obronię moją córkę przed Martinem, zostawiając ją z nim samą.

Zamknęła oczy świadoma, że to bez wątpienia paradoksalne rozumowanie było tylko połową prawdy, którą ona – była uczennica katolickiej szkoły dla dziewcząt – próbowała usprawiedliwić swój „grzech śmiertelny”. Bo Martin wcale nie stanowił największego problemu.

Tylko Yannick.

To jego obawiała się bardziej niż ognia piekielnego, który w trakcie przygotowań do komunii ksiądz przedstawił jej w tak żywych barwach.

Ale mimo to.

Teraz, gdy przekroczyła punkt, z którego nie było już powrotu, pojawiły się oczywiście wątpliwości. Dotyczyły nie tyle jej pragnienia śmierci – to było niewzruszone jak skała – ile raczej tego, czy miała rację, zakładając, że dorastając bez niej, córka będzie narażona na mniejsze niebezpieczeństwo.

Beze mnie. I bez Yannicka.

Klarze huczało w głowie. Sądziła, że jest to skutek spalin, które powodowały coraz większe stężenie trujących gazów we wnętrzu samochodu. Słyszała, że na krótko przed utratą świadomości może dojść do wystąpienia halucynacji, i rzeczywiście przeżywała teraz złudzenie akustyczne. Jej mąż zaczął mówić. Wymawiał jej imię. Najpierw po cichu, potem coraz głośniej i głośniej, aż rozumiała je całkiem wyraźnie, mimo że nie miała przecież telefonu przy uchu.

– Klara?! – wołał jej mąż, który wcale nie był jej mężem i w najmniejszym nawet stopniu nie miał głosu jej męża, a mimo to ten głos wydawał jej się znajomy.

Jules?

Komórka na jej kolanach ważyła chyba kilka kilogramów.

Cholera. Wydawało jej się, że się rozłączyła, ale najwyraźniej facet z Nocnego Powrotu wciąż był na linii.

Przesunęła nerwowo po ekranie dotykowym komórki, ale zamiast ją wyłączyć, uruchomiła funkcję głośnomówiącą.

– ...już wyjaśniałem – usłyszała jego głos. – Niech mi pani tego nie robi. Nie zniosę tego znowu. Nie dam rady kolejny raz!

Kolejny raz?

Westchnęła. *Cholera, dlaczego?* Dlaczego Jules użył akurat wyrażenia „kolejny raz”, a tym samym utrafił we właściwy ton. Jego błaganie obudziło w niej coś, czego nie zdołali jej odebrać ani Martin, ani Yannick, choć tak wiele udało im się w niej zniszczyć: jej ciekawość. *Boże, jakaż ja byłam kiedyś ciekawa. Życia, podróży, które ono dla mnie szykowało, tego, jak będzie wyglądało moje dziecko, gdy dorośnie.*

– Co ma pan na myśli, mówiąc „kolejny raz”? – zapytała go głosem, który w jej własnych uszach brzmiał bardzo ochryple, a przez to całkowicie obco.

Spojrzała na zegar na desce rozdzielczej, ale cyfry rozmywały się przed jej oczami. Nie mogła się zorientować, czy jest 22.59, czy 23.09. Wiedziała tylko, że już niedługo zacznie się dzień, którego nie chciała dożyć. *Nie powinna dożyć, gdyż tego dnia upływało ultimatum.*

– Odpowiem, gdy wyłączy pani silnik – poprosił Jules.

Pokręciła energicznie głową.

– Mam lepszą propozycję. – Zakasłała sucho, a potem dokończyła: – Nie przestanę wpuszczać spalin do środka. A pan niech się pospieszy z mówieniem, Jules. Być może się to panu nawet uda i zdoła pan opowiedzieć swoją historię, zanim do końca stracę świadomość.

Zakasłała astmatycznie tak głośno, że prawie nie zrozumiała pierwszych słów, którymi Jules zaczął jej relacjonować najstraszniejszy dzień w swoim życiu.

11

Jules

Trzy i pół miesiąca wcześniej

W godzinach popołudniowego szczytu przejazd z dzielnicy Spandau do Wilmersdorf trwa z reguły pół godziny. Z powodu wypadku na autostradzie miejskiej pokonanie tej trasy zajęło Julesowi sześćdziesiąt pięć minut.

Całą pełną udręki, niekończącą się godzinę, która wydawała mu się wiecznością, i w trakcie której zdążył zerwać z głowy zestaw słuchawkowy i popędzić schodami w dół, potem obok starej czujki pożarowej stojącej dla dekoracji w wejściu do centrali alarmowej, do swojego samochodu, gdzie wcisnął do oporu pedał gazu i pognął w kierunku autostrady miejskiej, następnie od zjazdu Spandauer Damm jeszcze kawałek do dzielnicy Halensee i ulicą Westfälische Strasse, aż stanął przed kamienicą, w której mieszkał i w której miały się załamać wszystkie jego życiowe plany.

W sieni kamienicy przy Prinzregentenstrasse 24 pachniało głównie jeźdzeniem. Wydawało się, że czerwony szalony chodnik, który ślizgał się pod stopami Julesa, podczas gdy pędził schodami na górę (wąska, dobudowana kiedyś dwuosobowa winda była nawet w normalnych okolicznościach wyzwaniem dla ludzkiej cierpliwości), przesiąkł przez lata wonią sosu pieczeniowego, frytury, czosnku niedźwiedziego i grillowanego mięsa. Dziś jednak w powietrzu unosił się dodatkowy komponent zapachowy, który

z każdym piętrem, w miarę jak Jules zbliżał się do swojego mieszkania, stawał się coraz intensywniejszy: dym. Duszący swąd.

– Stać, proszę się...!

– Co, do cholery...?

– Nie może pan tak...!

Jules przebiegł obok swoich kolegów strażaków, którzy w zakopconym wejściu do mieszkania powitali go energicznymi urywkami zdań. Jednego z członków ekipy ratunkowej musiał odsunąć z drogi, jednego z policjantów wyminął w przedpokoju, który był do połowy zalany wodą. Kuriera, który odkrył pożar, a także ciała kobiety dawno już tu nie było.

– Stać, to miejsce przestępstwa!... – krzyknął za nim policjant, co sprawiło, że Jules zwątpił, czy jest przy zdrowych zmysłach.

Miejsce przestępstwa? Jak moje mieszkanie może być miejscem przestępstwa?

Kiedy udało mu wywinąć z rąk, które próbowały go złapać od tyłu, podczas gdy jego coś gnało do przodu tam, gdzie swąd dymu stawał się coraz silniejszy, popełnił ten błąd, że rzucił okiem przez otwarte drzwi do łazienki.

Zobaczył wannę, która jemu i Dajanie wydawała się odrażająca, ponieważ emalia w wielu miejscach odpadła, a okolica odpływu cała była pokryta plamami.

Woda w niej przypomniła mu teraz zachód słońca nad jeziorem Scharmützelsee. Ten jeden z ostatnich szczęśliwych dni z Dajaną, gdy za wierzchołkami drzew w Wendisch Rietz zniknęło krwistoczerwone słońce, swoim ostatnim pozdrowieniem sprawiając, że powierzchnia jeziora połyskiwała w kolorze miedzi.

Ruch za jego plecami sprawił, że pognął dalej. Zanim funkcjonariuszom uda się go złapać, musi się jeszcze dostać do ostatniego pokoju na końcu korytarza.

Drzwi wisiały już tylko na górnym zawiasie. Tanie drewno, z którego były wykonane, zostało na wysokości jego głowy rozłupane toporkiem. Stały teraz otworem, zwrócone wewnętrzną stroną do Julesa, i dlatego w ich

dolnej jednej trzeciej zobaczył coś, co miało się stać najbardziej koszmarnym widokiem w jego życiu. Widokiem, którego nigdy, przenigdy nie zapomni.

Ślady drapania.

Głębokie, krwawe bruzdy wydrapane paznokciami. Ciało, które je pozostawiło, najwyraźniej dawno zostało już odtransportowane.

Jules zaczął kasłać. Z oczu poleciały mu łzy. Z powodu smrodu zwęglonego drewna, plastiku, pluszowych zwierzątek...

– Valentin bawił się świeczką – usłyszał czyjś głos za swoimi plecami. Mężczyzny, który płakał tak samo jak on.

– *Musiał ją świsnąć z przedszkola* – odpowiedział podobno Jules, czego sobie jednak dziś już nie przypominał. Podobnie jak tego, że dzieci właśnie w tym okresie uczyły się w przedszkolu obchodzenia z ogniem.

Później dowiedział się jeszcze, że rozmawiał też podobno z dowódcą zespołu interwencyjnego. Też ojcem pięcioletniego chłopca. Z tym, który rozwalił toporkiem drzwi, żeby się dostać do pokoju dziecięcego. W tym jednak momencie Jules widział tylko zadrapania na drzwiach. Bruzdy, jakby pozostawione przez śmiertelnie ranne zwierzę, które próbowało uciec z pułapki.

– ...miejsce przestępstwa? – spytała teraz Klara, a jej głos w jednej chwili wyrwał go ze wspomnień. Nagle nie znajdował się już przed strawionym przez ogień pokojem dziecięcym, tylko w mieszkaniu przy biurku. Znów zestaw słuchawkowy drapiący go w głowę, wzrok mimowolnie skierowany na prospekt kliniki Berger Hof.

– Moja żona zamknęła drzwi na klucz – wyznał.

– Dlaczego to zrobiła?

Jules przełknął ślinę.

– Dajana nie chciała, żeby jej ktoś przeszkadzał. Nie chciała też obciążać duszy dziecka widokiem zwłok.

Nie było to „samobójstwo rozszerzone”, jak stwierdzono na marginesie doniesienia prasowego. Dajana chciała zabić tylko samą siebie. Było to dla Julesa równie oczywiste, jak świadomość, że jeśli istnieje jakieś życie po śmierci, w którym się ponownie spotkają, to nigdy tego nie wybaczy swojej żonie.

Tak samo jak nigdy nie wybaczę tego sobie...

– Straż pożarna sądzi, że Dajana, gdy już podcięła sobie żyły, wyszła z wody z powodu dymu. Dlatego, gdy ją znaleziono, nasze mieszkanie wyglądało jak pole bitwy. Krwawy ślad prowadził z łazienki przez przedpokój prawie do drzwi pokoju dziecięcego.

– Mówi pan tak, jakby pan w to wątpił.

– Przypuszczam raczej, że w ostatnim momencie zmieniła zdanie. Była zrozpaczona, ale jej pragnienie śmierci na koniec okazało się słabsze niż matczyzna miłość. Na nieszczęście doszedł jeszcze ogień.

– Nie mogła otworzyć drzwi?

– Prawdopodobnie nie znalazła klucza i chciała wezwać pomoc, ale upadła na ziemię, gdy tylko otworzyła drzwi do mieszkania, tam gdzie znalazł ją potem kurier.

Jules przejechał grzbietem dłoni po oczach, Przyzwyczajenie, które w fazie żałoby, kiedy jeszcze płakał, tak bardzo weszło mu w krew, że wciąż często powtarzał ten ruch, choć z oczu nie leciały mu już łzy. Jego nieliczni przyjaciele brali to za dobry znak, sądząc, że przy ludziach bierze się w garść i nie wybucha szlochom przy każdej najbliższej myśli o swojej rodzinie. W rzeczywistości jednak było jeszcze gorzej niż wcześniej, ponieważ jego pozbawiony łez smutek powędrował do środka, gdzie go pożerał.

– Zostawiła jakiś list pożegnalny? – chciała wiedzieć Klara.

Jules wstał, czując dokuczliwe drapanie w gardle. Obmacał się w poszukiwaniu złożonej kartki papieru, którą zawsze nosił przy sobie. Żeby wciąż na nowo z niej czytać, gdy opanowywał go smutek. Co działo się wielokrotnie w ciągu dnia.

Dziś miał ją w kieszeni na piersiach koszuli, pod golfem, bezpośrednio na sercu.

Mój najdroższy...

– Tak. – Odchrząknął. – Na stole kuchennym.

Mimo odchrząkiwania i przełykania drapanie w gardle nie ustępowało. Poszedł więc do kuchni, żeby się czegoś napić.

– Czy mogę zapytać, co w nim było napisane?

chciałabym mieć siłę, żeby ciągnąć to dalej...

Jules pokręcił głową.

– Sądzę, że treść tego listu nie jest dla pani tak interesująca jak jego forma.

– Dla mnie? – Klara była zmęczona, a jej głos nieco nosowy, ale ona sama wydawała się wciąż w pełni przytomna.

– Tak, dla pani. To, co dla pani jest szczególnie interesujące, to nie słowa pozostawione przez moją żonę. To raczej nazwa wydrukowana na papierze firmowym, który moja żona wykorzystwała do napisania pożegnalnego listu.

– Jaka nazwa?

– Berger Hof.

12

Co proszę?

Przeciagnęła te dwa słowa niewiarygodnie długo. Brakowało tylko, żeby się ironicznie zaśmiała, ale na to prawdopodobnie nie miała już siły.

Jules aż wibrował z napięcia. W drodze do kuchni miał nieodparte wrażenie, że musi się pospieszyć. Że nie ma już czasu do stracenia i musi wyrzucić na Klarę emocjonalny nacisk. Dlatego zagrał teraz swoją najsilniejszą kartą w nadziei, że tak bardzo pobudzi tym jej ciekawość, iż Klara z powrotem odzyska chęć życia. Choćby tylko na chwilę. Dlatego powiedział jej:

– Moja ukochana Dajana miała duże problemy psychiczne, których przyczyn do dziś nie znam. Dlatego przebywała w klinice psychiatrycznej Berger Hof. W tej samej instytucji, w której pani też była.

Ponownie sięgnął po list, którego treść nawiedzała go nawet w snach.

Żegnaj, mój ukochany. Za chwilę podetnę sobie żyły. Być może uda mi się jeszcze zadzwonić do Ciebie ostatni raz na numer 112, zanim całkiem opuszczą mnie siły. Jeszcze raz usłyszeć Twój głos, który wcześniej dawał mi oparcie, ufność i nadzieję. Być może mi się to uda, a Ty będziesz mi towarzyszyć w mojej ostatniej drodze.

Wściekłość rozpacz i rozgorzała w nim na nowo. Zacisnął dłonie w pięści.

– Kiedy pani tam była? – spytał.

– Pod koniec lipca.

W tym samym czasie?

– To tak jak moja żona.

W zasadzie zgodnie z prawem kasa chorych nie chciała sfinansować kosztów pobytu w tej luksusowej klinice. Dajana jednak tak pochlebnie opisała prezesa zarządu swojej kasy chorych, że ten w ramach rewanzu osobiście zatwierdził poniesienie kosztów leczenia jej wypalenia zawodowego.

– Praca i obowiązki rodzinne sprawiły, że znalazła się na granicy wytrzymałości. Potrzebowała więc chwili przerwy oraz profesjonalnego wsparcia. Wkrótce po zakończeniu terapii Dajana zabiła samą siebie i naszego syna Valentina. Miał dopiero pięć lat.

A mimo to jego palce wpijały się w drewno drzwi pokoju dziecięcego z rozpaczą osoby dorosłej.

Krzyczał przy tym albo płakał? A może tylko rzeził i kasłał? O kim myślał, wydając ostatnie, przesycone dymem tchnienie?

Jules stał tymczasem w kuchni, która była wręcz absurdalnie wielka, co nawet pasowało do reszty przestronnego mieszkania. Choć pośrodku pomieszczenia znajdowała się olbrzymia wyspa kuchenna ze stołkami barowymi, był tam też dodatkowo duży stół jadalny z sześcioma miejscami siedzącymi, a ponadto naprzeciw ściany zabudowanej szafkami ustawiona była sofa.

Otworzył chromowane drzwi lodówki i z półki na napoje wyjął butelkę soku pomarańczowego.

– Jest tam pani jeszcze?

Słyszał głucho stukanie na linii, ale nie miał żadnej pewności. Kobieta nic nie mówiła. Nie wiedział, czy się zastanawia, ignoruje go, czy też może straciła już przytomność.

Mimo to w nadziei, że kontakt z nią wciąż istnieje, odstawił butelkę z sokiem na blacie wyspy, przysunął sobie stołek barowy i położył obok swoją komórkę.

Po chwili, gdy funkcja rozpoznawania twarzy w smartfonie odblokowała ekran, napisał krótką wiadomość na WhatsAppie:

Za chwilę zadzwonię. Odbierz. Ale nie mów ani słowa!

Potem odezwał się do Klary:

– Proszę, nie, nie proszę: błagam panią. Niech pani wyłączy silnik i porozmawia ze mną. Proszę mi zdradzić, co, do diabła, robiła pani w klinice Berger Hof. Co takiego przytrafiło się pani w tym miejscu, które zniszczyło moją rodzinę? – Otworzył pełną tylko w jednej trzeciej butelkę soku, nie pijąc z niej ani łyka. – Moja żona odebrała sobie życie, a teraz pani chce zrobić to samo. Po pobycie w tej samej klinice. To nie może być przypadek!

Po tym niepokojąco brzmiącym stwierdzeniu wysłał wiadomość tekstową na numer swojego ojca.

Następnie zadzwonił do niego i przestawił telefon na tryb głośnomówiący, żeby ojciec mógł wszystko słyszeć.

13

Klara

Klara czuła się tak, jakby ktoś przyłożył jej tępą wiertarkę do czoła i wwiercał się do wnętrza jej czaszki. Zawsze była wrażliwa na dźwięki i już samo spotęgowane przez zamknięcie w garażu warczenie silnika w normalnych warunkach wystarczyłoby, żeby wywołać u niej ból głowy. Nie trzeba było do tego domieszki tlenku węgla w powietrzu, którym oddychała. A teraz w dodatku ten uparty Jules zatruwał je dodatkowo swoimi strasznymi, wprost absurdalnymi twierdzeniami.

– Pan to sobie tylko wymyślił – powiedziała. – Wcale nie zna pan tej kliniki, nie mówiąc już o tym, że nie było tam pańskiej żony, o ile w ogóle pan taką ma. Chce pan tylko zyskać na czasie. – Z trudem przełknęła ślinę. – Czy przekierowuje pan właśnie naszą rozmowę na policję? Są już w drodze?

– Nie. Środki, którymi dysponuję w domu, nie pozwalają na zlokalizowanie pani. Poza tym jest to ostatnia rzecz, którą bym zrobił.

– Dlaczego?

– Ponieważ policja nie może pani pomóc. Znam ofiary przemocy domowej. Wiele z nimi rozmawiałem pod numerem sto dwanaście i wystarczająco często spotykam się z nimi w Nocnym Powrocie. Nie potrzebują lekarza, policjanta ani nikogo z opieki społecznej.

– Zgadza się. Ale kogoś, kto mnie nie zna, a mimo to sądzi, że swoją pustą gadaniną potrafi wyciągnąć mnie z samochodu, też nie potrzebuję.

– To wcale nie jest pusta gadanina! – krzyknął wściekły Jules. – To pani wciąż tylko papla i nic nie robi. Mój Boże, ileż to osób pani pokroju miałem w telefonie alarmowym?! Co tydzień musiałem wysyłać załogę z interwencją do jakiejś kobiety, którą mąż pobił tak, że nadawała się już tylko do szpitala. Kiedy jednak nasi ludzie zjawiali się na miejscu, poszkodowana twierdziła, że wcale nie jest tak źle, i z płaczem prosiła, wręcz błagała, żebyśmy tylko nie zabierali damskiego boksera. – Jules jęknął. – Wszystko tylko połowicznie. Wzywanie pomocy, chęć wyrwania się, ta pani próba samobójcza też. To po prostu śmieszne.

– Śmieszne? – Klara zakasłała. Było dla niej jasne, że Jules chce ją tylko sprowokować, żeby wzmocnić więź emocjonalną pomiędzy nią i sobą. Żeby utrudnić jej trzymanie się raz powziętego postanowienia.

– Tak. Niemal dziecinne. Jak dla mnie, to może sobie pani siedzieć w tym samochodzie, ile tylko pani chce. I tak pani pragnienie śmierci nie jest wystarczająco silne.

Klara miała ochotę złapać się za swoją huczącą w środku głowę.

– Nie jest wystarczająco silne? Właśnie wpuszczam spaliny do kabiny przez wąż ogrodowy!

– A pani samochód z pewnością nie został wyprodukowany przed tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, a zatem ma katalizator i dlatego prawie nie produkuje tlenku węgla – odparł Jules. – Pracowałem w straży pożarnej, proszę pani. Nie czerpię swojej wiedzy z sobotnich dokumentów kryminalnych w telewizji. Zatrucie się spalinami w dzisiejszych czasach jest prawie niemożliwe. To prawda, pani samochód jest nierozgrzany, a w zimie katalizator zaczyna funkcjonować z pewnym opóźnieniem i dlatego na początku byłem nieco zdenerwowany. Ale tymczasem rozmawiamy już o wiele za długo. Ponadto słyszę, że zamknęła pani szyby. To szeroko rozpowszechniony błąd. Powinna pani raczej wypełnić cały garaż spalinami. To wszystko wiedziałyby pani, gdyby na poważnie podeszła pani do zamiaru odebrania sobie dziś życia. Ponieważ wtedy poszukałaby pani

wcześniej informacji. Boże, przecież pani ma dziecko! Wiem, że pani jest zrozpaczona. Wiem, że nachodzą panią najczarniejsze myśli i nie widzi pani wyjścia. Ale w głębi serca nie chce pani zostawić córki samej ze swoim mężem!

Ty przeklęty dupku, pomyślała Klara. Gapiła się na deskę rozdzielczą, gdzie w osłonie z pleksi widziała zniekształcone odbicie własnej twarzy. Nagle poczuła, że nie ma już sił na dalsze prowadzenie tej dyskusji.

– Dziękuję bardzo. Dostarczył mi pan właśnie kolejnego powodu, żeby zakończyć rozmowę – szepnęła do cna wyczerpana. Ewentualność, że Jules może mieć rację, dosłownie ją sparaliżowała. Mimo to powiedziała: – Jeśli to prawda, co pan powiedział, muszę wykorzystać tę resztkę czasu, jaka mi pozostała, żeby spróbować czegoś innego.

– Okej, zróbmy więc *deal* – zaproponował Jules. Jego głos brzmiał uspokajająco.

– Jak miałby on wyglądać?

– Pani mi powie, co się wydarzyło w klinice Berger Hof, a ja zdradzę pani bezbolesną i szybką metodę samobójstwa, o ile potem nadal będzie pani miała chęć rozstać się z życiem.

Uderzyła z wściekłością w kierownicę i krzyknęła:

– Nie o *chęć* tu chodzi! Ja *umrę*! Tak czy inaczej! – Głos jej drżał, bo Jules ją mocno speszył, a mimo to stwierdziła niemal przekornie: – Nie widzę żadnej innej możliwości. Moje życie jest już i tak spieprzone, nie muszę jeszcze rujnować życia córce. Tyle, że odbierając sobie teraz życie, miałam przynajmniej nadzieję, że stanie się to w nieco bardziej humanitarny sposób.

– A zatem zdecydowała się pani popełnić samobójstwo, ponieważ tak bardzo boi się pani strasznej śmierci z rąk tego Yannicka. Dobrze zrozumiałem?

Samobójstwo ze strachu przed śmiercią.

Klara zamknęła oczy, przez co hałas w środku samochodu wydał się jej jeszcze głośniejszy.

– Nie ma pan najmniejszego pojęcia, w co się pan pakuje prowadząc tę rozmowę – ostrzegła go po raz kolejny, ale Jules nie ustępował:

– Nie ma znaczenia, czym grozi pani ten Yannick. Nie może to być nic gorszego od tego, co ja już przeżyłem.

– To prawda. – Klara skinęła głową. – Prawdopodobnie nie ma nic gorszego niż to, gdy dziecko umiera wcześniej niż jego rodzice.

Do cholery z tym! Spaliny rzeczywiście chyba nic nie dają. Poza migreną i mdłościami.

Klara wyłączyła silnik i zdrętwiałymi palcami otworzyła drzwi samochodu.

Zimne powietrze garażu uderzyło w nią jak strumień lodowatej wody. Łapczywie zaczęła chwytać tlen – tak szybko, że aż się rozkaszała.

Jules spytał, czy wszystko z nią w porządku. Klara potwierdziła, chociaż oczywiście nie było chyba takiego momentu w jej życiu, w którym byłoby mniej w porządku niż teraz. Być może jeśli pominąć gwałt w małżeńskim łóżku zakończony pęknięciem krocza, którego nie mogła dać sobie zszyć, bo na pogotowiu zadawano by zbyt wiele pytań. Jeszcze dziś bolało ją czasem przy oddawaniu moczu, nie mówiąc już o seksie.

– Myli się pani – usłyszała głos Julesa.

– W czym? – W czaszce jej huczało. Jedyne, co udało jej się osiągnąć, to zabić swoją pamięć krótkotrwałą. Nie była w stanie przypomnieć sobie, co powiedziała zaledwie przed kilkoma sekundami.

– Że nie ma niczego gorszego niż to, kiedy dziecko umiera wcześniej niż jego rodzice.

– Nie?

– Jeszcze gorzej jest patrzeć, jak własne dziecko umiera, i nie móc nic z tym zrobić.

Klara wysiadła z samochodu. Nogi się pod nią ugięły, więc musiała chwycić się dachu auta.

– To możliwe, ale nie rozumiem, dlaczego...

– ...wspominam o tym akurat teraz?

– Właśnie.

Puściła dach pojazdu i ruszyła w drogę. Drzwi łączące garaż z bungalowem znajdowały się tuż przed nią, w odległości zaledwie pięciu kroków. Przy czym słowo „bungalow” było nieco górnolotnym określeniem domku weekendowego na terenie ogródków działkowych przy ulicy Heerstrasse. Martinowi było niezręcznie mówić o chacie lub domku i nigdy nie zapraszał tu przyjaciół, choć domek był z pewnością najpiękniejszy i największy na tych działkach, rozbudowany tak, żeby mógł służyć przez cały rok, a także wyposażony w garaż, mimo że nie było to oficjalnie dozwolone.

– Przeżyłem obie te rzeczy – powiedział Jules.

– Obie? – Klara zadawała sobie pytanie, skąd wzięła siły, żeby dowlec się z garażu do przejścia do bungalowu. W każdym razie ból w kostce, która na szczęście była chyba tylko stłuczona, nie dopuścił do tego, by straciła przytomność. – Nie wiem, do czego pan zmierza.

Zamknęła drzwi w przejściu i zastanowiła się, czy powinna włączyć światło. W tym supernowoczesnym, świeżo odnowionym półtorapokojowym domku z parkietami, ogrzewaniem podłogowym, klimatyzacją oraz designerskimi włoskimi meblami nadal pachniało farbą i przewodzką, tak rzadko tu bywali. A jeśli już, to bez Amelie, która w najgorszym wypadku musiała pozostać z opiekunem do dzieci, ponieważ jej tata nie życzył sobie, żeby jej tłuste palce i zaśliniona buzia brudziły jasną futonową sofę. Krew Klary na tapicerce najwyraźniej mniej mu przeszkadzała.

Pokuśtykała do zrobionego na miarę stołu kuchennego, który oddzielał małą kuchnię od pokoju będącego połączeniem salonu i jadalni. Usiadła na drewnianym krześle i zdecydowała się na ciemność, choć małe było niebezpieczeństwo, że któryś z sąsiadów – o tej porze roku i o tak późnej godzinie – będzie u siebie w domu i nie będzie spał, i dlatego zdziwi się, czemu w bungalowu Vernetów, po ich wielotygodniowej nieobecności, nagle tak późno pali się światło.

– Valentin nie był jedynakiem – powiedział Jules.

Podczas gdy dopiero zaczynała do niej docierać doniosłość tej informacji, jej komórka zawibrowała jak elektryczna maszynka do golenia. Spojrzała na ekran, na którym zobaczyła kolejną wiadomość od Martina:

GDZIE JESTEŚ???

Skasowała wiadomość i zapytała Julesa:

– Miał pan drugie dziecko?

– Fabienne, siostrę Valentina.

– Czy ona też...?

– Tak. Ona też była w tym pokoju. Ukryła się w szafie, podczas gdy Valentin próbował otworzyć drzwi. Żyła jeszcze, gdy ją znaleźliśmy.

– Boże, to straszne – usłyszała, jak wypowiada na głos swoją myśl. – Jest pan pewien, że Dajana nie...

– ...zrobiła tego umyślnie? – zakończył ostro Jules.

Klara ugryzła się w język.

– Nieważne. Nie chciałam być wścibska.

Głośno wciągnął powietrze.

– Prawdę mówiąc, sam oczywiście zadawałem sobie to pytanie. Ponieważ istniały silne napięcia pomiędzy nią a dziećmi. Fabienne zawsze była córeczką tatusia, a gdy u Dajany pojawił się syndrom wypalenia, jej stosunki z Valentinem także stały się dość napięte. Ale wszystko mieściło się w granicach normy. Niezależnie od wszystkich nieporozumień Dajana nigdy w życiu nie zrobiłaby krzywdy swoim dzieciom.

Po obu stronach zapanowała cisza, którą przerwał w końcu Jules pytaniem:

– I co? Jak będzie z naszym układem?

– Moja historia w zamian za bezbolesny sposób na samobójstwo? – Klara skinęła głową. – Tak, wciąż obowiązuje.

Zaczęła się pocić w zimnym, nieogrzewanym bungalowie. Jednocześnie poczuła, że jej serce robi sobie z jej klatki piersiowej kocioł orkiestrowy.

– Dobrze. – Jules powiedział to tak neutralnym i rzeczowym tonem głosu, jakby zaproponował jej, że zniesie na dół śmieci, podczas gdy ona zajmie się zmywaniem. – Zatem rozszerzę moją część umowy i zdradzę pani, co się zdarzyło z Fabienne. Ale tylko wtedy, gdy pani mi natychmiast powie, kim jest ten Yannick i co ma na panią.

Klara wykasłała resztki spalin z płuc i zaczęła mówić:

– Yannick dał mi czas do północy. Jeśli do tego czasu nie zakończę małżeństwa z moim mężem, zabije mnie w męczarniach. – Pociągnęła nosem i zamrugła, żeby pozbyć się łez, o których nie wiedziała, skąd się w ogóle wzięły. – A gdy on się dowie, że to wszystko panu opowiedziałam... nie, gdy tylko nabierze choćby najmniejszych podejrzeń, że mogłam się panu z tego zwierzyć, doświadczy pan tego samego okrutnego losu, co ja. Czy to jest dla pana warte tej prawdy?

– Tak. – Jego odpowiedź była jak wystrzał z pistoletu.

– Prawda nieznamomej, która przez przypadek wybrała niewłaściwy numer telefonu?

– Biorę to ryzyko na siebie.

– Ależ z pana nieświadomy niczego dureń. – Zaśmiała się prawdopodobnie ostatnim śmiechem w swoim życiu. – Mój telefon jest zhakowany. Wgrał na niego jakieś oprogramowanie szpiegujące. Prawdopodobnie Yannick już wie, że ze sobą rozmawiamy.

– Mówi pani jak paranoiczka.

– A pan jak idiota. Ale wszystko jedno, i tak rozmawiamy już zbyt długo. Jeśli po mojej śmierci przeanalizuje zapisy połączeń, nie spocznie, póki nie dowie się, z kim rozmawiałam. A wtedy już będzie wiedział wszystko.

– No i co wtedy? Niech mi pani powie.

– Okej, niech pan słucha uważnie. Ale proszę mi wyświadczyć jedną przysługę. Proszę nie przeklinać mojego imienia, jeśli za kilka godzin będzie sobie pan życzył, żeby pańskie męczarnie się w końcu skończyły, a Yannick pana od nich ostatecznie wybawił.

14

Klara

*Klinika Berger Hof
Cztery miesiące wcześniej*

Igła nie mogła wejść w żyłę, dlatego Daniel Kernik musiał próbować jeszcze raz, co nie było niczym niezwykłym w przypadku Klary. Miała cienkie naczynia i nawet doświadczone pielęgniarki napotkały w jej przypadku na problemy.

– Bardzo przepraszam – rzucił usprawiedliwiająco lekarz rezydent i spróbował raz jeszcze, tym razem z powodzeniem.

Klara zacisnęła usta i skoncentrowała się na zawieszanej na ścianie grafice – równie nowoczesnej jak całe drogie wyposażenie gabinetu zabiegowego. Fotografia przedstawiała latarnię morską, o której podstawę rozbijały się wzburzone fale Pacyfiku.

Poczuła drugie ukłucie, lecz nie spojrzała w tę stronę. Bała się zastrzyków, co w jej zawodzie nie było zaletą.

– Zwykle nie należy to do moich obowiązków. Proszę na chwilę przycisnąć. – Doktor Kernik podał jej wacik, żeby przyłożyła go w miejsce ukłucia w zgięciu łokcia, po czym przysunął sobie taboret na kółkach.

Klara siedziała na brzegu leżanki, zaraz obok okna wychodzącego na park rozciągający się wokół kliniki.

– Czemu zatem zawdzięczam ten zaszczyt, panie doktorze? – zapytała go.

W tym luksusowym otoczeniu w zasadzie nawet by ją nie zdziwiło, gdyby zastrzyk zrobił jej osobiście szef zespołu lekarzy. Pacjenci, którzy w klinice Berger Hof za dwutygodniową „kurację” skłonni byli wyłożyć równowartość w pełni wyposażonego małego samochodu, oczekiwali, że to miejsce nie będzie w niczym przypominać zwykłego szpitala. Można było to poznać także po położeniu ośrodka i architekturze, na której widok niektórym właścicielom pięciogwiazdkowych hoteli napływały z zazdrości łzy do oczu.

Oddalone o pół godziny jazdy samochodem od Baden-Baden miejsce było posadowione jak orle gniazdo na wzniesieniu w górach Schwarzwald. Pacjenci, którzy trafiali tu z powodu kryzysów w małżeństwie, zespołu wypalenia lub zaburzeń psychosomatycznych, pomiędzy sesjami terapii grupowej i indywidualnej mogli się rozkoszować pocztówkowym widokiem na zalesioną dolinę, roztaczającym się z kawiarni na tarasie, menu przygotowanym przez jednego z najlepszych szefów kuchni, a także zabiegami w spa.

Jako pokoje chorych służyły wyłącznie jednoosobowe apartamenty wyposażone w klimatyzację, kominek, jacuzzi oraz telewizję internetową. Mimo tych wszystkich wymyślnych bajerów także w kręgach fachowych klinika cieszyła się wyśmienitą opinią, co było przede wszystkim zasługą jej szefa, profesora doktora Ivana Corzona.

Ten urodzony w Barcelonie psychiatra był autorem renomowanego podręcznika psychiatrii klinicznej i nader pożądanym gościem specjalistycznych kongresów na całym świecie. Fakt, że Kernik mógł pracować u niego jako rezydent, stanowił w jego karierze zawodowej odpowiednik osobistego polecenia jakiegoś programisty przez samego Billa Gatesa.

– Chciałem przez chwilę zostać z panią sam na sam – powiedział rezydent z dziwnym uśmiechem na twarzy.

Klara przechyliła głowę w bok i mimowolnie zaczęła się bawić obrączką na palcu. *Czy ten facet próbuje ze mną flirtować?* Kernik miał piękne brą-

zowe oczy i rozbrajający uśmiech, ale nie był w jej typie. Z opaloną w solarium twarzą, koszulką firmy La Martina i mokasynami żeglarskimi w pełni odpowiadał stereotypowi grającego w golfa posiadacza porsche.

– A dlaczego chciał pan zostać ze mną sam na sam?

– Nie jest pani lekarką, pani Vernet, więc nie może pani tego wszystkiego tutaj właściwie ocenić. Obawiam się, że potrzebuje pani mojej rady.

Klara podniosła się z leżanki i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu kosa na śmieci. Przestała krwawić i mogła już wyrzucić wacik. Nie potrzebowała też plastra.

Kernik również wstał i przepaszająco uniósł dłonie.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Jestem jak najdalszy od tego, żeby dyskredytować pani stanowisko asystentki medyczno-technicznej. Wiem, jak wielkie są pani zasługi w swoim miejscu pracy. Pani szef sądzi wręcz, że jest pani stworzona do wyższych rzeczy, i popiera pani ambicje studiowania psychologii. Ale przecież sama pani to wie. Gdyby nie była pani tak utalentowana i mądra, pani przełożony nigdy by nie poparł pani wniosku o możliwość uczestnictwa w naszych badaniach.

Jeśli on flirtuje, to zdecydowanie wybrał bardzo niecodzienny sposób, pomyślała Klara, dziwiąc się przy tym zatroskanemu spojrzeniu Kernika. Nagle poczuła wściekłość, bo w gruncie rzeczy zdecydowała się na pobyt w tej prywatnej klinice, żeby przynajmniej przez kilka dni znaleźć się z dala od swojego męża. Daleko od wszystkich tych trosk i obaw. A tu znowu pojawia się jakiś facet, który podkopuje jej pewność siebie.

– Musi pani iść. – Kernik obniżył ton głosu do natarczywego szeptu.

– Iść? Myślałam, że rozmowa wstępna z profesorem Corzonem odbędzie się tutaj. – Klara wskazała na narożną sofę pokrytą welurem. Corzon był weganinem i nie akceptował żadnych produktów odzwierzęcych, także w przypadku kanap i foteli.

– Pani mnie nie zrozumiała. Musi pani jak najszybciej stąd wyjść i...

W tym momencie otworzyły się drzwi. Podmuch powietrza Klara poczuła jak zimny powiew na karku i dostała gęsiej skórki. A może to był efekt słów Kernika?

...*jak najszybciej stąd wyjść...*

Jak przyłapano na gorącym uczynku dziecko lekarz odwrócił się szybko w stronę mężczyzny, który właśnie wchodził do gabinetu zabiegowego.

– *Hola, qué tal?*

Hiszpan nie potrzebował śnieżnobiałego fartucha, żeby zademonstrować swój autorytet. Corzon był niższy, niż można było wnosić z reklam kliniki i broszur reklamowych drukowanych na kredowym papierze. Nieco krępy, z wydatnym brzuchem i podobną w kolorze do włosów na głowie, nieco rudawo połyskującą brodą, której kontury już od kilku dni domagały się użycia trymera. Przy nim Kernik wyglądał niemal jak model okładki jakiegoś pisma, a jednak to profesor roztaczał o wiele silniejszą aurę.

– *Soy Ivan* – przedstawił się z szerokim uśmiechem. Użył tylko imienia, co dobrze wpłynęło na Klarę. Po wszystkich tych deprymujących słowach Kernika zatęskniła za fachowością, otuchą i zaufaniem. – *Muchas gracias por participar en este importante experimento. Con su colaboración está haciendo un servicio extraordinario a la ciencia.*

Klara skinęła głową z uśmiechem. Eksperyment, na udział w którym się zdecydowała, był rzeczywiście niezwykły. Podczas nauki zawodu przez trzy lata uczyła się hiszpańskiego i teraz z grubsza się orientowała, co też lekarz chciał jej powiedzieć. Mimo to była zadowolona, gdy Corzon słowami „*Mi colega actuará de intérprete*” poinformował ją, że będzie miała tłumacza. Radość ustąpiła miejsca otrzeźwieniu, gdy uświadomiła sobie, że tę rolę obejmie Kernik.

– Pan profesor życzy sobie, żebyśmy oboje zajęli miejsce na kanapie – przetłumaczył słowa swojego szefa rezydent. Ton głosu Corzona nie pozostawił cienia wątpliwości co do tego, że nie była to prośba, tylko polecenie.

Na niskim stoliku pomiędzy fotelami a sofą stała plastikowa szkatułka, którą Corzon otworzył. Wyjął z niej jakiś przedmiot, wyglądający jak okulary do rzeczywistości wirtualnej, używane w grach komputerowych.

– *Para inducir los delirios, hay que ponerse estas gafas con auriculares, lo que provoca una sobreestimación por medio de varias señales ópticas*

y acústicas. Un agente intravenoso adicional refuerza los delirios que causan.

– Aby wywołać urojenia, używamy tych oto okularów – przetłumaczył Kernik. – Zostanie pani zalana bodźcami optycznymi i akustycznymi. Przed chwilą otrzymała pani zastrzyk dożylny z opracowaną przez nas substancją czynną, która ma wzmacniać wywoływane przez okulary halucynacje.

Klara skinęła głową. To wszystko było opisane w formularzu, który wypełniła w recepcji podczas przyjmowania do kliniki. Oczywiście zwolniła też szpital z wszelkiej odpowiedzialności prawnej na wypadek, gdyby w trakcie pobytu tutaj popadła w psychozę. Taki był przecież sens tego eksperymentu.

– No se preocupe, todo se dosifica de tal manera que las halucinaciones persistirán solamente durante unos minutos después de que las gafas se hayan apagado. Luego seguiremos ampliando el intervalo lentamente cada día.

– Ten eksperyment jest skrajnie niebezpieczny i może mieć dla pani śmiertelne skutki – usłyszała, jak Kernik całkowicie niewłaściwie tłumaczy słowa swojego szefa. W rzeczywistości Corzon powiedział mniej więcej, że nie powinna się niczym martwić, a urojenia przeminą w ciągu kilku minut po zdjęciu okularów. – Proszę tak nie marszczyć czoła. Corzon omawia właśnie różne skutki uboczne, które bagatelizuje – stwierdził Kernik, wprawiając tym Klarę w jeszcze większe zmieszanie. – Wiem, że stawiam panią w nadzwyczaj trudnej sytuacji – ciągnął swoje fałszywe tłumaczenie. Używał przy tym tak rzeczowego tonu, jak tylko to było możliwe. – Ale nie wolno pani założyć tych okularów. Nigdy. Pod żadnym pozorem. – Odczekał trzy kolejne zdania Corzona, po czym powiedział: – Proszę nie patrzeć z takim przerażeniem, gdy mówię. Inaczej profesor się zorientuje, że staram się panią ostrzec. A teraz proszę kiwnąć głową, bo Corzon właśnie zapytał panią, czy dobrze się pani u nas czuje.

Klara zrobiła tak, jak jej powiedziano.

– Jeszcze raz: wiem, że stawiam panią w nadzwyczaj trudnej sytuacji, i bardzo mi z tego powodu przykro. Ale ma pani małe dziecko podobnie jak

ja.

Tymczasem Klara nie była już dłużej w stanie koncentrować się na miłym głosie kierownika kliniki. Całą jej uwagę przykuwał teraz Kernik, który powiedział:

– Błagam panią, żeby nie zakładała pani tych okularów. Inaczej dojdzie do czegoś strasznego. Może się zdarzyć, że już nigdy nie opuści pani kliniki.

Już nigdy?

Klara nieświadomie pokręciła głową, co spowodowało, że Kernik w pełnym dezaprobaty geście przewrócił oczami, podczas gdy Corzon ponownie wziął okulary do ręki.

Paradoksalnie ostatnie słowa rezydenta zaowocowały nieśmiałą chwilą szczęścia w jej życiu.

Na zawsze w Berger Hof? Już nigdy nie wrócić do Martina?

Nawet fakt, że została wtedy rozdzielona z własnym dzieckiem, nie zaciążył jej tak bardzo, czego już w następnym momencie się zawstydzila. Ale w gruncie rzeczy była pewna, że Martin czule troszczyłby się o Amelie.

A może tylko coś sobie wmawiała?

Nie.

Problem z Martinem z pewnością nie polegał na jego podejściu do własnego dziecka. Nigdy by nie podniósł ręki na swoją małą dziewczynkę.

– Udam teraz, że jestem potrzebny u siebie na oddziale – powiedział Kernik. – Proszę wyjść pięć minut po mnie.

– Ale... – zaczęła Klara, jednak natarczywy wzrok Kernika zmusił ją do milczenia.

Corzon podszedł do biurka i wyglądało na to, że szuka czegoś w górnej szufladzie.

– Zrobi pani teraz, co następuje – szepnął Kernik. – Powie pani, że przed rozpoczęciem pierwszej serii doświadczeń musi się pani udać do toalety. Spotkamy się na klatce schodowej przy końcu korytarza.

Chwilę potem zadzwoniła jego komórka i Kernik wcielił w życie pierwszą część planu. Pożegnał się krótko z Corzonem, który od swego biurka

skinął głową ze zrozumieniem, i Klara została z kierownikiem kliniki sama.

– *Comencemos con la primera etapa del experimento* – powiedział Corzon i wskazał na drzwi prowadzące z gabinetu zabiegowego do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie Klara powinna się udać. Jego słów nie dało się zrozumieć inaczej niż: „Zacznijmy pierwszy etap eksperymentu”.

15

Klara w najmniejszym stopniu nie była zaskoczona tym, że posłuchała rozkazu Kernika. Dawniej był w jej życiu taki czas, gdy uważała się za pewną siebie, wyemancypowaną i samodzielną. Jednak to „dawniej” minęło już wiele lat temu i zniknęło bezpowrotnie w chwili wypowiedzenia słowa „tak”, które zaprowadziło ją do małżeństwa, w jakim od lat była warunkowana w ten sposób, żeby być posłuszną mężczyznom.

Bezwarunkowo.

Gdy Klara wytłumaczyła już Corzonowi swym łamanym hiszpańskim, że chce się jeszcze odświeżyć, zanim założy okulary, udała się korytarzem w kierunku toalet. Czuła się przy tym tak, jakby ktoś pociągał za niewidzialną smycz. Słuchanie się dominujących mężczyzn tak bardzo weszło jej już bowiem w krew, że nie zastanawiała się nad absurdalnością sytuacji, w jakiej postawił ją Kernik. Przecież pojechała do kliniki Berger Hof, żeby pod kierunkiem uznanych na całym świecie ekspertów wziąć udział w ważnym naukowym eksperymencie, a tymczasem już drugiego dnia dała się zmanipulować rezydentowi.

Ale dlaczego?, spytała samą siebie, skręcając przed toaletami w bok i otwierając drzwi na klatkę schodową. Tym samym postawiła zasadnicze pytanie, które określało cały jej nędzny byt. *Dlaczego?*

W oczach swych przyjaciółek i kolegów, postrzegana czysto zewnątrznie, była silną kobietą: nieco mocniejszej budowy ciała, z korzystnymi zaokrągleniami w odpowiednich miejscach. Również jej postawa, wyrazisty podbródek, iskrzące się oczy i być może także jej nieco ciemniejsza karna-

cja, którą zawdzięczała włoskim przodkom ze strony matki, przyczyniały się do tego, że większość uważała ją za osobę o przebojowym i silnym charakterze, a nie za kobietę, którą można było przestawiać z kąta w kąt. I rzeczywiście od dawna nikt już jej nie przestawiał. Martin najchętniej walił od razu. W wątrobę. Tak często i tak mocno, aż leżała dygocąc na brzegu łóżka jak w nagłym przypiływie wysokiej gorączki, niezdolna się poruszyć.

Drzwi na klatkę schodową zamknęły się za nią z głośnym trzaskiem, co sprawiło, że skuliła się w sobie, jakby właśnie znów została uderzona.

Bicie.

Klara dużo czytała na temat maltretowanych kobiet. Odwiedziła nawet odpowiednią poradnię („Pytam tylko w trosce o przyjaciółkę”), gdzie dowiedziała się, że przemoc domowa nie jest problemem ludzi z marginesu, lecz plagą wszystkich warstw społecznych. I że skrada się podstępnie. Prawie niezauważalnie zatruwa to, co kiedyś zaczynało się jako wielka, przesłaniająca cały świat miłość. Najpierw złowróżbne komplementy („Jesteś taka piękna. Nie pozwolę Ci nigdy odejść z mojego życia”), potem domaganie się umożliwiających kontrolę dowodów miłości („Ustawmy wspólne hasło na wszystkie nasze konta e-mailowe i do komórek”) oraz udawane uzalanie się nad sobą („Wiesz dobrze, jak bardzo mnie zraniła moja była”). W końcu dochodzi do sytuacji, gdy werbalne ciosy poniżej pasa ustępują miejsca tym fizycznym. A podczas gdy świat zewnętrzny dalej zasypuje taką kobietę komplementami w stylu: „Ależ Wy macie szczęście, że udało Wam się znaleźć. Tak dobrze do siebie pasujecie. Twój mąż to prawdziwy skarb”, ona marzy tylko o tym, żeby wszystko znów było tak samo, jak przed pierwszym podbitym okiem. Dalsze bezczynne czekanie sprawia, że jej wstyd przeradza się w nienawiść do samej siebie, przez co zwierzenie się komuś innemu staje się wprost niemożliwe. Klara nawet raz spróbowała i zadzwoniła do matki, gdy myślała, że już dłużej nie wytrzyma.

Z początku nie była pewna, czy jej matka cokolwiek zrozumiała przez to jej szlochanie do telefonu. Jej głos drżał z przerażenia, że Martin wróci wcześniej z tenisa do domu i zobaczy ją, jak cała roztrzęsiona siedzi przy telefonie. Coś z tego jej przesyconego łzami potoku słów musiało jednak

dotrzeć do matki, bo odpowiedziała, ale jej słowa sprawiły, że Klara aż zastygła nieruchomo z komórką w dłoni i otwartymi ustami, wykrzywionymi grymasem bólu:

„Mężczyzn nie wolno denerwować, maleńka. Zadaj sobie trochę trudu. Martin przecież tak ciężko na Was oboje pracuje”.

Potem matka zmieniła temat i zaczęła jej opowiadać o bezczelnym sprzedawcy w centrum ogrodniczym, który nie chciał przyjąć z powrotem doniczki z zaatakowanymi przez mszyce orchideami.

I co teraz?

Klara stała sama na klatce schodowej, która była chyba świeżo posprzątana, bo pachniało w niej środkiem dezynfekcyjnym i płynem do mycia płytek podłogowych.

– Halo! – krzyknęła bez sensu, ale w tym momencie dzwonek jej komórki wmieszał się w echo jej głosu, niosące się po pomieszczeniu.

– Jak pani sądzi, w czym pani bierze udział?

Kernik.

Myślała, że spotka go tu osobiście, tymczasem zadzwonił do niej. Od razu przeszedł do rzeczy, nie wyjaśniając jej swojego dziwnego zachowania. Przez chwilę zastanawiała się, skąd zna numer jej telefonu, ale jako lekarz miał oczywiście dostęp do danych, które podała na formularzu zgłoszeniowym.

– Nie odpowiem na pańskie pytania, dopóki mi pan nie powie...

– Nic pani nie powiem. Nasz czas ucieka i już wkrótce nie będę mógł pani uratować.

Uratować? Przed czym?

Klara chciała uświadomić Kernikowi, że nie pozwoli, by w ten sposób do niej mówił, ale jemu udało się utrafić w ten właściwy ton, którego ona nauczyła się słuchać. Dlatego odpowiedziała:

– Razem z innymi uczestnikami badania doświadczę na sobie, co to znaczy być psychicznie chorą. Uważam to za w pełni logiczną i sensowną hipotezę badawczą.

Corzon twierdził, że istnieje pewien zasadniczy problem, który powoduje, że leczenie chorób psychicznych w sposób zasadniczy różni się od terapii dolegliwości fizycznych: otóż niemal każdy psychiatra doświadczył takich czy innych schorzeń fizycznych, ale jedynie nieliczni z nich znali z autopsji choćby w przybliżeniu porównywalne objawy, które opisywali ich psychicznie chorzy pacjenci, albo które sami u nich obserwowali. Nawet ktoś, kto cierpiał „jedynie” na ból zęba, mógł sobie wyobrazić działanie środka przeciwbólowego stosowanego w terapii raka. Natomiast lekarz, który nigdy nie doznał halucynacji, nie miał opartego na własnych doświadczeniach wyobrażenia, co mogą zdziałać u schizofrenika przepisane przez niego środki psychotropowe.

Tak brzmiało sformułowanie wyjściowego problemu. I po to właśnie Klara się tutaj znalazła. Żeby w kontrolowanych warunkach badawczych można było wywołać u niej sztuczne i czasowo ograniczone objawy psychotyczne, które potem zostaną stłumione przez nią samą za pomocą środków psychotropowych.

– Gdzie pan jest? – spytała Kernika.

I czego, do diabła, chce pan ode mnie?

Rezydent nie odniósł się do tego pytania.

– Jaki obraz choroby miał być wywołany u pani?

– Paranoja. Mania prześladowcza.

Zeszła do połowy schodów i stanęła przy szerokim, dwuskrzydłowym oknie. Rozciągał się z niego widok na parking przed kliniką. Nie było na nim ani jednego samochodu, który w swej podstawowej wersji kosztowałby mniej niż osiemdziesiąt tysięcy euro. Porsche, amg, bmw serii 9, touareg, a nawet ferrari w kolorze niebieski metalik parkowały obok kabrioletu luksusowej marki, której Klara nawet nie znała.

Jedyny dysonans stanowiła furgonetka hydraulika – biały van stojący na podjeździe dwa piętra niżej, bezpośrednio pod oknem.

– I gdy tylko zostaną wywołane u pani urojenia, otrzyma pani antidotum?

Klara westchnęła.

– Chyba że trafię do grupy kontrolnej, która dostanie placebo. Co to wszystko ma znaczyć? Jeśli ma pan wątpliwości natury etycznej, niech pan złoży donos na swojego szefa do odpowiednich władz. Ja już się odpowiednio doinformowałam przed wyrażeniem zgody.

Co było kłamstwem. Przed kilkoma tygodniami w pracy wyłowiła ulotkę z kosza na śmieci, gdzie jej szef wyrzucił ją wraz innymi przesyłkami reklamowymi. Przeprowadziła później dwie rozmowy telefoniczne, żeby się upewnić, że w eksperymencie mogą wziąć udział także osoby bez dyplomu lekarskiego. A gdy się potem jeszcze dowiedziała, że musi w to zainwestować prawie cały tydzień, było już po niej. Wiedziała, że Martin za nic by nie pozwolił, żeby wyjechała z przyjaciółkami na weekend. Jeśli jednak chodzi o sprawy zawodowe, dziwnym trafem nigdy nie rzucał jej kłód pod nogi. Zajmował się nawet Amelie, gdy wiedział, że ona jest na jakimś kursie dokształcającym. Dla paru dni bez niego Klara była gotowa zgodzić się na wiele. Nawet na sztucznie wywołane urojenia.

– Pani Vernet, proszę nie wierzyć we wszystko, co się pani opowiada. Berger Hof to nie jest normalna klinika. Możliwe zagrożenia...

– ...zajmują dwie strony w formularzu zgłoszeniowym. Tak, wiem.

– Niech pani zapomni o tym, co zamieszczono w dokumentach. Właściwe zagrożenia nie zostały tam nawet wymienione.

– A są to?

Usłyszała łopot, jakby po drugiej stronie linii przeleciał gołąb, dziko trzepocząc skrzydłami.

– Nie mogę tego pani powiedzieć – odpowiedział Kernik – ale mogę pokazać. Proszę podejść do okna.

– Już tam stoję.

– To dobrze. Jadła pani coś?

On tak na poważnie?

– Chce pan ze mną wyjść coś zjeść? – spytała osłupiała Klara.

Kernik zaśmiał się ponuro.

– Nie. Chciałem tylko wiedzieć, czy jest pani na czczo.

– Dlaczego?

Przez chwilę na linii panowała cisza. Potem Kernik zapytał:

– Patrzy pani przez okno?

– Tak.

– Na białą furgonetkę?

– Zgadza się.

Klara zadała sobie pytanie, czy może zaraz otworzą się przesuwne drzwi samochodu, ujawniając jakąś straszną tajemnicę.

– Okej. Proszę mi więc wyświadczyć przysługę. Wszyscy w tym budynku są skazani na śmierć. Niech mi pani obieca, że opuści pani klinikę natychmiast po tym, jak zobaczy pani, co się zaraz stanie.

– Co się stanie?

– To – odpowiedział Kernik.

Wtedy zobaczyła cień. Zaraz za oknem. Tylko na ułamek sekundy, chociaż potem w jej koszmarach za każdym razem wydawało jej się to niekończącym się trwaniem.

Trwającą bez końca chwilą, w której Klara przycisnęła sobie do ust obie dłonie i zaczęła płakać oraz krzyczeć w tej samej sekundzie, gdy cień przemienił się w głuchy, metaliczno-pękający odgłos. I gdy z wielkim hukiem zatrzęsała się biała furgonetka, której dach wyglądał teraz tak, jakby uderzyła w niego pięść olbrzyma. Nie była to jednak żadna pięść, lecz ludzkie ciało, którego upadek z najwyższego piętra kliniki Berger Hof spowodował ten impet zniszczeń.

Klara krzyknęła i rzeczywiście zwymiotowała, gdy zobaczyła, kto skoczył z dachu.

Poznała go po koszulce firmy La Marina, która zabarwiła się kolorem krwi. I po mokasynach żeglarskich, z których jeden spadł i leżał teraz na żwirze obok furgonetki.

I po tym, że połączenie w jej telefonie nagle stało się równie martwe jak doktor Daniel Kernik na dachu białego samochodu hydraulika.

16

Jules

Teraz

*K*lara gwałtownie przerwała swój monolog. Z troską, a zarazem irytacją w głosie spytała Julesa:

- Rany boskie, co tam się u pana dzieje?
- Przepraszam, ale coś mi właśnie upadło.

Jules chciał wziąć z szafki szklankę, żeby nalać sobie soku, ale wyśliznęła mu się z ręki.

Szklanka roztrzaskała się na kawałki, a huk był tak potężny, jakby nie przymierzając przewróciło się drzewo. Cisza panująca w starym budynku w połączeniu ze skupieniem na tyleż strasznej, co dziwacznej historii Klary dodatkowo spotęgowały wrażenie, jakie wywołał hałas. Gdyby w środku dnia szklanka spadła z górnej szafki do zlewu, to taki dźwięk spokojnie mógłby utonąć pośród odgłosów dnia codziennego. Jednak w nocy rozdarł ciszę jak syrena alarmowa i sprawił, że puls Julesa przyspieszył.

- Przepraszam – powtórzył i spróbował powrócić do tematu: – „Wszyscy w tym budynku są skazani na śmierć”?
- Tak brzmiały jego ostatnie w zasadzie słowa!
- Domyśla się pani, dlaczego Kernik to zrobił? – nawiązał do jej opisu samobójstwa lekarza. Tak melodramatyczna inscenizacja nie odpowiadała

żadnemu ze znanych mu wzorców samobójstwa. Jules wiedział, o czym mówi. W swojej pracy spotkał się niemal ze wszystkimi metodami odbierania sobie życia. Przy czym także zachowanie samobójcze Klary nie odpowiadało normie, jeśli bliżej się temu przyjrzeć. W każdym razie w tej chwili odczuwał ulgę, że odciągnął ją od tego zamiaru, choć oczywiście wiedział, że cała ta rozmowa telefoniczna jest tylko grą na czas.

– Corzon twierdził, że to był wypadek. Kernik już wcześniej często wychodził na dach kliniki, żeby ominąć zakaz palenia obowiązujący na całym terenie.

– Jak pani zareagowała na to kłamstwo?

– Moim pierwszym odruchem była ucieczka – stwierdziła Klara.

– Chciała pani pójść za radą Kernika?

– Zgadza się. Tak szybko, jak to tylko możliwe, uciec z kliniki.

– Ale?

– Ale potem uświadomiłam sobie, jaką mam alternatywę. A był nią powrót do mojego męża. Nagle postępek Kernika wydał mi się godny naśladowania. Przynajmniej sam położył kres swojemu życiu, a nie oddał go w ręce kogoś innego.

Jules wyjął duży, wygięty odłamek szkła ze zlewozmywaka i wyciągnął szufladę z koszami na śmieci spod zlewu.

– Ale dlaczego to zrobił? Czy to miało coś wspólnego z eksperymentem?

– Tak.

– A więc przerwała go pani?

– Nie.

– Nie? – upewnił się Jules, nie mogąc w to uwierzyć.

– Może powtórzę: a co innego miałam niby zrobić? Wrócić do Martina i już pierwszego wieczoru wysłuchiwać, jaka to ze mnie nieudacznica? „Zbyt zestrachana, żeby choć raz zrobić coś wartościowego dla nauki, tylko dlatego że jakiś zniewieściały gej rzucił się z okna”.

Jules zastanowił się przez moment. Jeśli chodzi o strukturę osobowości, Klara przedstawiała dziwną, wręcz schizofreniczną mieszankę. Z jednej

strony pewna siebie, co prawdopodobnie stanowiło wzorzec, jaki realizowała konsekwentnie w sferze zawodowej. Z drugiej strony w sprawach prywatnych szybko poddawała się losowi.

– Jak przebiegł eksperyment? – spytał Jules i wzdrygnął się. Jeden z drobniejszych odłamków, który chciał wyrzucić do śmieci, wbił mu się w mały palec.

– Przypominam sobie, jak zakładałam okulary. Były kłocowate jak duża lornetka i obejmowały prawie całą głowę. Ponadto musiałam mieć na uszach słuchawki. Później nie jestem już w stanie przypomnieć sobie żadnych szczegółów. Tylko tyle, że na początku czułam się jak we wnętrzu tuby do rezonansu magnetycznego. Otoczona przypominającym muzykę techno dudnieniem i łoskotem, które zostały zastąpione przez dźwięki o wyższej częstotliwości, podczas gdy moje oczy były bombardowane przez stroboskopową burzę. W każdym razie wiem już, jak czuje się ktoś, kto w wyniku działania ekstremalnych bodźców świetlnych doznaje przed telewizorem ataku epileptycznego. Już po kilku minutach straciłam przytomność.

– A potem? – Jules włożył mały palec do ust i zatamował językiem upływ krwi. Jednocześnie spojrzął na swoją komórkę, z której wcześniej zadzwonił do ojca. Leżała bezpośrednio obok laptopa, który przyniósł ze sobą z gabinetu do kuchni. Zestaw słuchawkowy zdjął już wcześniej z głowy i rozmowa przebiegała teraz przez mikrofon i głośniki komputera, żeby ojciec mógł wszystko usłyszeć.

– Nie było żadnego „potem”. Profesor Corzon oświadczył mi, że okazałam się zbyt wrażliwa i dlatego w żadnym razie nie mogę uczestniczyć w eksperymencie. Skutki uboczne okazały się u mnie zbyt silne i z etycznego punktu widzenia nie do zaakceptowania.

– A więc wróciła pani wcześniej do domu? – Jules owinął palec kawałkiem papierowego ręcznika kuchennego, który oderwał ze stojącej obok rolki.

– Nie, musiałam najpierw wrócić do siebie po skutkach ubocznych. Dużo czasu upłynęło, nim się ich w pełni pozbyłam. Niestety.

– Dlaczego niestety?

– Patrząc z dzisiejszej perspektywy wolałabym wyjechać natychmiast. Do Martina czy nie do Martina.

– Dlaczego?

– Bo wówczas nigdy bym nie spotkała doktora Kiefera.

– A co to znowu za doktor Kiefer?

Myślałem, że będziemy rozmawiać o Yannicku, zastanowił się Jules, ale zachował tę myśl dla siebie, nie chciał bowiem zbijać Klary z tropu. Im dłużej mówiła, tym mniej prawdopodobne stawało się to, że spontanicznie podejmie kolejne działania, żeby rozstać się z życiem.

– Jo, rezydent. W zasadzie Johannes, ale wszyscy nazywali go Jo.

– Pani też? – spytał Jules, a fakt, że potwierdziła to smutnym westchnieniem, powiedział mu wiele o tym, jak musiała się rozwinąć znajomość między nimi dwojgiem. Intensywnie i tragicznie. – I gdzie dokładnie spotkała pani doktora Johanna Kiefera?

– W parku otaczającym klinikę. Siedziałam na ławce na skraju kawiarnianego tarasu, skąd rozciąga się wspaniały widok na dolinę. Nagle stanął obok mnie. Nie usłyszałam, jak nadchodzi, choć żwir musiał głośno chrzęścić pod jego butami.

W tym momencie dało się słyszeć „ping”, a Jules przeklął w duchu, że nie wyłączył w swojej komórce dźwięku nadchodzących wiadomości. Jego ojciec wysłał mu coś przez WhatsAppa. Zanim Klara zdążyła się zainteresować, co to za odgłos, sam zadał pytanie:

– A co ten doktor Kiefer miał wspólnego z pani eksperymentem?

– Bezpośrednio nic. Powiedział, że jest patologiem i pracuje na drugim planie, gdzie na przykład badał także moją krew.

Jules dotknął przełącznika z boku smartfona i przestawił go na tryb cichy. Pobrudził przy tym zakrwawionym palcem ekran.

– Stwierdziłam, że jest niewiarygodnie miły i sympatyczny. Oceniałam, że ma czterdzieści parę lat, na co złożyły się jego młodzieńcze zachowanie, sneakersy i bluza z kapturem. Jak później mi przyznał, przekroczył już pięćdziesiątkę, w co aż trudno było uwierzyć. No bo ilu zna pan mężczyzn

w takim wieku, którzy mają gładką jak u niemowlęcia, pozbawioną zmarszczek skórę i niefarbowane, a mimo to kruczoczarne włosy?

– Ani jednego – odparł Jules, próbując otworzyć wiadomość od ojca na WhatsAppie.

– Kiedy usiadł obok mnie, moim pierwszym pytaniem było, czy w klinice piastuje też stanowisko trenera fitness. – Tonacja jej głosu zmieniła się z molowej na durową. Najwyraźniej mówiła o przyjemnym wspomnieniu. – Największe wrażenie zrobił na mnie jego autoironiczny, młodzieńczy uśmiech. Myślę, że to była przynęta. Tak jak niektóre ryby nocą przyciągane są przez światło, tak ja zostałam oczarowana tym uśmiechem, rozlewającym się od kącików ust po ciemne jak woda w głębokim stawie oczy.

– Czego chciał od pani?

– Z początku z niczym nie wychodził. Inaczej niż Kernik, który od razu walił prosto z mostu.

Jules milczał, pewien, że Klara bez dalszych pytań z jego strony i tak zaraz mu wyjawia, co takiego sprawiło, że spotkanie z doktorem Kieferem było tak nadzwyczajne. Do tego stopnia, że zaraz po nieudanej próbie samobójczej chciała mu szczegółowo opowiedzieć właśnie o tym.

– Po tym, jak przez chwilę pogadaliśmy o różnych nieistotnych rzeczach, rozmowa zeszła na Kernika. Wciąż pamiętam, jak wzrok Jo powędrował w dal. Choć aż do tej chwili wciąż na mnie spoglądał, teraz wydawało się, że mówienie na ten temat przychodziło mu z trudem. Spytałam go, jak sądzi, co się naprawdę wydarzyło, a on zawahał się, czy może ze mną rozmawiać o moim przypadku.

– *O pani przypadku?*

– Też tak pomyślałam. „Co pan ma na myśli, mówiąc o moim przypadku?”, zapytałam go, a Jo skinął wtedy głową jak człowiek, który podejmuje niewiarygodnie trudną dla siebie decyzję. A potem powiedział... Wciąż sobie dokładnie przypominam jego słowa i drżenie w jego głosie.

– A mianowicie? – spytał Jules, czytając na WhatsAppie wiadomość od ojca:

CO SIĘ TAM, DO LICHA, U CIEBIE DZIEJE?

Jednocześnie Klara zacytowała dosłownie wypowiedziane przez doktora Kiefera słowa, które wtedy sprawiły, że ziemia rozstała jej się pod nogami, a teraz, że Jules poczuł zimny dreszcz na całym ciele:

– „Corzon nie powiedział pani prawdy o przyczynach przerwania eksperymentu, gdy następnego dnia odwiedził panią przy szpitalnym łóżku. Nie była pani pięć minut nieprzytomna, pani Vernet. Była pani przez pięć minut martwa”.

17

Klara

Mówiła teraz bardzo cicho, jak zwykle gdy przez dłuższy czas przebywała w znanym sobie otoczeniu. Zachowanie to przyswoiła sobie, będąc przewrażliwioną i bojaźliwą matką. Gdy tylko Amelie kładła się do łóżka, Klara zaczynała chodzić po mieszkaniu na czubkach palców, przyciszała telewizor do poziomu szeptu, a po wizycie w toalecie rezygnowała nawet ze spuszczenia wody, o ile jedynie siusiała. A wszystko to pomimo tego, że jej córka miała zdrowy i mocny sen, gdy tylko zanurzała się w krainę smoków i jednorożców. Lecz sama tylko myśl, że dziewczynka mogłaby się zbudzić i potuptać do swojego taty, była dla Klary zawsze nieznośna. Na Amelie Martin nigdy by nie wyładował złości, że zakłóciła mu spokój, ale na niej – już tak.

Oficjalnie Martin utrzymywał, że zajmuje się rozliczeniami z pacjentami, ale Klara wiedziała, że zlecił to zadanie biuru rachunkowemu. Nigdy nie miała odwagi odezwać się do niego, gdy siedział przy biurku. Gdyby to zrobiła, musiałaby to opłacić długą nocą cierpień. W najlepszym wypadku. Bez wątplenia to samo czekałoby ją, gdyby spokój zakłóciła mu córka, więc Klara przyzwyczała się szeptać i niemal bezgłośnie prześlizgiwać w grubych skarpetkach po skrzypiącym parkiecie. W pewnym momencie zachowanie to musiało tak bardzo wejść jej w krew, że szeptała we własnych

czterech ścianach, tak jak teraz w domku, choć jej męża nie było nawet w pobliżu.

I miała nadzieję, że nigdy więcej go nie będzie.

– Byłam w stanie śmierci klinicznej – powtórzyła to szokujące stwierdzenie, jakby wciąż nie mogła w nie uwierzyć.

– Sądzi pani, że doktor Kiefer powiedział pani prawdę?

– Dlaczego miałabym w to wątpić?

Doskonale wiedziała, że Julesowi nie umknął fakt, że w ten sposób wywinęła się od odpowiedzi na jego pytanie.

I po raz kolejny jej mimowolny towarzysz okazał się wystarczająco empatyczny, żeby nie drażnić tej kwestii.

– Czy zdradził, co wywołało u pani zatrzymanie akcji serca? – spytał tylko. Wydawało się, że jej rozmówca znajduje się w dużym pomieszczeniu z wysokimi ścianami.

– Powiedział, że było to coś w rodzaju wstrząsu anafilaktycznego, gwałtownej reakcji organizmu na czynnik wyzwalający halucynacje.

– Przez pięć minut nie wykazywała pani żadnych oznak życia? Czy doznała pani jakiegoś trwałego uszczerbku na zdrowiu?

– „Trwałego uszczerbku”? – powtórzyła Klara i niemal się zaśmiała. – Pyta pan o to na poważnie kobietę, która przed chwilą próbowała odebrać sobie życie trując się spalinami samochodowymi?

Paradoksalnie Klara po raz pierwszy od lat zatęskniła za papierosem. Przed zajściem w ciążę paliła okazjonalnie. Nigdy nie kupowała sama papierosów, tylko naciągała czasem na nie kolegów, przyjaciół lub osoby spotkane na imprezach. Dla Martina było to zawsze solą w oku. Krytykował ją stale za „oddech jak z popielniczki”, choć jej zęby były nie mniej białe niż jej małżonka dentysty. Czasami Klara myślała, że Martin tylko dlatego zrobił jej dziecko, żeby rzuciła palenie. Ponieważ wiedział, że Klara jest wystarczająco odpowiedzialna, żeby nie narażać bezbronnego stworzenia na głód nikotynowy zaraz po narodzinach.

– Ale tak, bezpośrednio po pierwszym przebudzeniu się czułam się tak, jakbym miała bliskie spotkanie z kulą wyburzeniową – odpowiedziała na

pytanie Julesa, czy odczuwała skutki reanimacji. – A przez kolejne noce po bliskim spotkaniu ze śmiercią doznawałam silnych potów. Swoją koszulą nocną mogłabym wręcz wytrzeć na mokro całą galerię handlową, nie żartuję. Corzon wyjaśnił mi, że to typowy skutek uboczny środka wyzwalającego halucynacje. Dopiero Jo uświadomił mnie, że jest to raczej oznaka tego, że moje serce całkowicie wypadło z rytmu.

– Hm.

Najwyraźniej Jules musiał dopiero przetrwać to, co usłyszał. *A może coś go rozproszyło?*

Ponownie obudziło się w Klarze podejrzenie, że jej rozmówca może grać podwójną grę. Że próbuje powstrzymać ją od popełnienia samobójstwa, to było jasne. Ale jak daleko gotów był się posunąć w tym celu? Oraz jakimi możliwościami mógł dysponować, żeby zlokalizować jej miejsce pobytu?

– Dlaczego Corzon przemilczał, że była pani w stanie śmierci klinicznej? – spytał Jules. – Czy bał się, że oskarży pani jego placówkę?

– Tak przypuszczam. Poza tym gdyby wieść o tym się rozeszła, klinice Berger Hof tak szybko nie udałoby się chyba znaleźć kolejnych chętnych do testów.

Coś za jej plecami trzasnęło i Klara przestraszyła się tak bardzo, że aż poderwała się z miejsca i obróciła wokół własnej osi, wyciągając w stronę wyimaginowanego włamywacza rękę, w której trzymała komórkę, zupełnie jakby to był nóż. Ale nie było tam nikogo. To tylko dwudrzwiowa lodówka w niszy obok spiżarni, w której włączyła się właśnie kostkarka do lodu.

Boże, ależ ze mnie mięczak! Lękliwa aż do samej śmierci.

Klara ponownie przyłożyła komórkę do ucha i zrozumiała jedynie końcowe fragmenty najwyraźniej dłuższego pytania Julesa:

– ...związek między pani spotkaniem z doktorem Kieferem a Yannickiem?

Yannick.

Żołądek Klary nagle się skurczył.

– Za chwilę pan to zrozumie – szepnęła i odczekała, aż kolejna porcja kostek lodu wpadnie do pojemnika. Zamknęła oczy. Wielkim wysiłkiem woli udało się jej przypomnieć sobie twarz lekarza. Mądrość i jasność w wielkich, otoczonych zmarszczkami mimicznymi oczach. I to, jak musiała patrzeć, gdy w jednej chwili te serdeczne oczy przestały istnieć.

Wzdrygnęła się z obrzydzenia.

– Zanim zdradzę panu wszystkie okrutne szczegóły, chciałabym jeszcze pokrótce opowiedzieć o czymś przepięknym, co mi się bezpośrednio przedtem przytrafiło.

– Z doktorem Kieferem?

– No właśnie. Wiem, że jeszcze nie rozumie pan związku. Ale jeśli da mi pan pięć minut, pojmie pan, czemu Yannick ma nade mną tak morderczą władzę. I dlaczego nie ma pan innego wyboru, niż dotrzymać danego mi słowa.

– Że pomogę pani pożegnać się z tym światem – dokończył Jules, a Klara ucieszyła się, że powiedział to tak otwarcie, bo najwyraźniej miał zamiar spełnić daną jej obietnicę.

– Ale proszę się nie przejmować – uspokoiła go. – Wspomnienia, którymi się upajam i którymi się zaraz z panem podzielę, tylko z początku brzmią jak romantyczna *love story* pomiędzy mną a doktorem Kieferem. Choć rzeczywiście bardzo cieszyłam się tym krótkim czasem, jaki z nim spędziłam.

Mimo tematów poruszanych w naszych rozmowach.

Z początku próbowała zwodzić Kiefiera tak jak wszystkich innych ludzi, którzy pytali ją o sińce na ramionach lub szyi, czy o wszystkie inne widoczne obrażenia. Jednak Jo nie zadowolili się jej standardową wymówką, że ma skłonność do samoistnych krwiaków. W końcu tamę w niej przełamała nie tyle jego nieustępliwość, ile jedno jedyne zdanie. Jeszcze w parku przy klinice powiedział do niej: „Nie mogę sprawić, żeby te gwałty stały się sprawą niebyłą. To niemożliwe”. Nie musiał już nic więcej mówić, a mimo to dodał: „Jednak mogę panią wysłuchać, a jestem związany tajemnicą lekarską”.

Tym samym Jo zrobił jej wielki prezent. Nie zwodził jej fałszywymi nadziejami, że może coś zmienić w jej sytuacji. Nie zachowywał się jak szlachetny rycerz na białym koniu. Ale wzbudził w niej uczucie, że nie potępia jej za to, co pozwoliła ze sobą robić. Na przykład w hotelu Le Zen. Przez to, że Klara już przy ich drugim spotkaniu w parku przy klinice opowiedziała mu o grupowym znęcaniu się pod pozorem zabawy, stał się jedynym człowiekiem na świecie, który wiedział o najczarniejszej godzinie jej życia.

O człowieku w masce.

O opaskach zaciskowych.

O kneblu wciśniętym w usta.

I o mężczyznach. Wielu mężczyznach.

– Zakochała się pani w doktorze Kieferze? – domyślił się Jules.

– Po uszy.

– I wówczas w pani życiu pojawił się Yannick?

Klara otworzyła oczy i zobaczyła, że otacza ją gęsta, przenikliwa czerń, tak jak sobie tego życzyła, gdy nagle stanął obok niej Yannick. Wielki. Nagi. I psychotyczny.

– Właśnie – odpowiedziała Julesowi, powtarzając jego słowa: – I wówczas w moim życiu pojawił się Yannick i obudził we mnie pragnienie pożegnania się z tym światem, w którym dzieją się tak straszne rzeczy jak te, które musiałam z nim przeżyć.

18

Klara

Kilka tygodni wcześniej

Na kilka sekund przed tym, zanim Yannick pojawił się w jej życiu i do szczętnie je zrujnował, Klara czuła się tak szczęśliwa, jak nie była już od bardzo wielu lat.

Seks był obłądny, pomyślała, leżąc w półmroku na łóżku, z którego wstał właśnie Jo Kiefer, żeby pójść do łazienki.

Co prawda niewiele miała możliwości porównania. Przed Martinem miała tylko dwóch kochanków, a wszystko to wydawało jej się strasznie odległe. Negatywne doświadczenia z terażniejszości dawno już przyćmiły pozytywną przeszłość. Już od lat wszystko, co działo się w sypialni, łączyło się dla niej tylko z bólem i upokorzeniem.

A teraz leżę tu, oddycham i czuję zapach nowego mężczyzny w moim życiu, marząc o tym, żeby ta miłosna noc zaczęła się jeszcze raz od początku.

Obróciła się na łóżku wodnym i zachichotała, gdy usłyszała przyjemne bulgotanie, które wywołał ruch jej nagiego ciała. Jak na jej gust łóżko wydawało się odrobinę zbyt nowoczesne w tym mieszkaniu urządzonym poza tym raczej ciężkimi, drewnianymi i skórzanymi meblami.

Jo był wykładowcą patologii psychiatrycznej na Wolnym Uniwersytecie Berlińskim i z tego powodu wynajmował tu drugie mieszkanie, żeby nie

być skazanym na pobyt w hotelu, gdy przyjeżdżał na seminaria i wykłady z kliniki Berger Hof. Tak jak dzisiaj.

Jestem w Berlinie. Godzina 15.00. Mała konsultacja?

Taki esemes dostała dziś rano od Jo. Nie wahała się ani sekundy. Okłamała Martina, że musi iść do biblioteki zrobić kwerendę materiałów potrzebnych jej w doksztalcaniu, a Vigo zajmie się Amelie po przedszkolu. Potem przyjęła zaproszenie lekarza.

– Nie powinnam była panu nic mówić – rozpoczęła „randkę” od przeprosin, które zarazem były nawiązaniem do jej wyznania, złożonego Jo jeszcze podczas pobytu w klinice. – Nie wiem, co mnie tego dnia naszło.

Klara sama się sobie dziwiła, jak szybko mu zaufała i opowiedziała o przemocy, której doznawała w małżeństwie. Ale już od pierwszej chwili poczuła, że coś ją do niego przyciąga, gdy usłyszała jego głęboki głos i zobaczyła jego ciepłe, ciemne oczy, które spoglądały na nią tak, jak jej mąż jeszcze nigdy na nią nie patrzył. Otwarcie, szczerze, czule.

Niewiele brakowało, a opowiedziałyby mu o filmie wideo z wieczoru w hotelu Le Zen, który Martin wstawił do sieci.

Z nią i z mężczyznami.

Wieloma mężczyznami, którzy ją wykorzystywali i upokarzali.

Aż trudno uwierzyć, że jeszcze raz w życiu byłam w stanie oddać się dobrowolnie jakiemuś przedstawicielowi „silnej płci”, pomyślała, nasłuchując szumu prysznic, pod którym zniknął Jo.

Zwykle to ona była osobą, która po „użyciu” jej przez „małżonka” całymi godzinami próbowała zmyć obrzydzenie ze swojego ciała. Teraz jednak rozkoszowała się cierpkim zapachem Jo na swej skórze, zapachem, który najchętniej zachowywałaby na zawsze, żeby stale móc sobie przypominać, jak przed dwiema godzinami „pożegnała się” z nim w „restauracji w ciemności” w dzielnicy Prenzlauer Berg. Niewątpliwie świadczyło to o jego empatii, że na spotkanie wybrał miejsce, gdzie w całkowitej ciemności, obsługiwani przez niewidomych kelnerów, z braku jakichkolwiek bodźców rozpraszających byli niemal zmuszeni skupić się wyłącznie na sobie. I rozmawiać.

– Dziękuję, że mnie pan wysłuchał – powiedziała jeszcze w ciemnościach i nieśmiało dotknęła jego ręki.

– To ja jestem osobą, która powinna dziękować – zaprotestował Jo.

– Za co?

– Po pierwsze, dziękuję, że przyjęła Pani moje zaproszenie, żeby tak spontanicznie się ze mną spotkać. – Zaczął głaskać jej dłoń. – Po drugie, dziękuję, że była pani wobec mnie tak otwarta i opowiedziała mi o swoich prywatnych problemach. A po trzecie, dziękuję, że wolno mi panią pocałować.

Pocałować?, pomyślała, ale zanim zdążyła wypowiedzieć to słowo, poczuła jego wargi na swoich. Samo to uczucie było niesamowite, nie mówiąc już o tym, co wydarzyło się potem – w sypialni.

Niesamowite.

Klara nie miała wprawdzie orgazmu, co to, to nie, ale znalazła się tak blisko niego, jak nie była od wieków. W zasadzie sama nie potrafiła zrozumieć, że tak spontanicznie, a nawet frywolnie zachowywała się przed kilkoma minutami. Jeszcze wczoraj samo wyobrażenie, że nie zareaguje odrazą na męski dotyk, wydawało jej się nie do pomyślenia, wręcz śmieszne. Nie mówiąc już o tym, że się dobrowolnie przed mężczyzną otworzy.

A właśnie to przed chwilą zrobiłam. Ponownie poszukała palcami prześcieradła obok siebie, które zsunęło się częściowo z łóżka od jej niespodziewanej napiętności i było teraz pobrudzone wydzielinami jej ciała. Krew napłynęła jej do policzków i Klara poczuła, że jej twarz płonie. Niestety pozytywne uczucie podniecenia szybko ustąpiło miejsca straszliwemu wstydo wi, gdy pomyślała o poprzednim prześcieradle, które było tak poplamione jej własną krwią, że musiała je wyrzucić po tym, jak Martin ją tam na dole...

Cholera! Martin...

Prześcieradło pod jej ciałem zsunęło się jeszcze bardziej, gdy obróciła się w stronę stolika nocnego i chwyciła za komórkę.

Bogu dzięki!

Jakimś cudem Martin nie wysłał jej żadnego esemesa i nie próbował się do niej w dodzwonić, żeby ją skontrolować.

Ulga rozlała się po jej całym ciele jak uczucie ciepła po łyku wysokoprocentowego alkoholu. Jednocześnie szum prysznica ustał. Nagle w mieszkaniu zrobiło się cicho.

– Miałabyś ochotę na coś jeszcze? – usłyszała po chwili zadowolony głos Jo dobiegający z łazienki. Drzwi były tylko przymknięte. Stopień zażyłości, do którego z Martinem doszli dopiero po miesiącach.

– Straszna ochotę – odpowiedziała, choć nie miała pojęcia, jak wytłumaczyć się Martinowi, z jeszcze późniejszego powrotu. Przecież było już...

Spojrzała na zegarek na ręce, ale było za mało światła, by mogła coś dojrzeć. Poza wąskim promieniem, wpadającym do sypialni przez szparę w przymkniętych drzwiach łazienki, jedynym źródłem delikatnego światła był lekko wygięty sztylet samurajski z zielono połyskującą rękojeścią z macicy perłowej. Wisiał na ścianie sypialni, oświetlony przez dwa ledowe reflektorki, których przytłumione światło jeszcze bardziej potęgowało atmosferę nocy. Jej wzrok padł na listwę z przełącznikami, osadzoną bezpośrednio w stoliku nocnym.

– Na przykład na jakiś koktajl?

Nacisnęła pierwszy przycisk i zachichotała, bo jego funkcja była najwyraźniej inna, niż się spodziewała. Materac pod nią rozświetlił się neonowo-niebieskim blaskiem, co wyglądało, jakby leżała na dmuchanym materacu unoszącym się na wodzie w basenie.

– Twoje łóżko wodne ma nawet wewnętrzne oświetlenie! – krzyknęła zdumiona Klara, odsuwając nieco dalej prześcieradło. – Nie miałam pojęcia, że istnieją przezroczyste materace.

– Zamówienie specjalne – zdradził jej Jo. Nawet nie widząc jego twarzy wiedziała, że się uśmiecha.

Usiadła po turecku. Woda wypełniająca materac świeciła teraz tak jasno jak fluorescencyjne wnętrze pałeczki świetlnej. W dodatku zaczęła jeszcze zmieniać kolory: z lazurowego na fluorescencyjny żółty, na oślepiający biały, na...

– A to co? – spytała. Po cichu. Kierując pytanie bardziej do samej siebie, bo w pierwszej chwili była szczerze zdumiona. Pochyliła się do przodu, żeby spojrzeć poprzez romb utworzony przez skrzyżowane podudzia i krok do wnętrza materaca. Przez chwilę była przekonana, że to musi być jej własne odbicie.

Ale przecież tak chyba nie wyglądam?

Moje oko przecież wciąż tkwi w oczodole?

W absurdalnym odruchu Klara dotknęła nawet tego miejsca na własnej twarzy, ale oczywiście wszystko było w porządku. Jej kości policzkowe nadal pokrywała skóra, a jej wargi nie były tak groteskowo wzdęte jak w tej czaszce, która nagle wynurzyła się pomiędzy jej nogami.

Pod nią.

W podświetlonej wodzie łóżka, na którym leżała.

Na którym przed kilkoma minutami kochała się z mężczyzną, którego miała już nigdy nie zobaczyć po tym, jak zniknął w łazience.

– A więc odkryłaś to – odezwał się jakiś głos z jej lewej strony, który nawet przypominał głos Jo, ale w którym nie było ani odrobiny ciepła.

I zupełnie jakby nieznajomy, który właśnie pojawił się w drzwiach łazienki, trzymał w rękach pilota, którym można sterować natężenie grozy, nagle w krwistoczerwonej teraz wodzie materaca pod Klarą przepłynęły tors i odcięta noga. Krzyknęła głośniejsz niż kiedykolwiek, ale mimo to nie była w stanie oderwać wzroku od poćwiartowanego ludzkiego ciała unoszącego się pod nią.

– Domyślam się, że to pierwszy raz, kiedy pieprzyłaś się na trupie, co?

Klara poczuła, że zaraz zwymiotuje. Jednocześnie chciała wydłubać sobie oczy, żeby nie musieć kolejny raz patrzeć na materac.

– Gdzie jest Jo?! Co z nim zrobiłeś?! – wykrzyknęła w kierunku obcego, choć pytanie to, jak sama dobrze wiedziała, ocierało się o granice szaleństwa. Bo mężczyzna przed nią wciąż wyglądał tak samo jak Johannes Kiefer, tyle tylko, że to wszystko, co stanowiło o nim, jako o osobie, wszystkie miłe cechy jego wrażliwej istoty nagle zniknęły. Przed nią stało jego ciało, które wzięła chyba w swoje posiadanie jakaś złośliwa moc.

I właśnie ten potwór powiedział:

– Zapomnij teraz o swoim kochanku. Sądzę, że nadszedł już czas, żebyś poznała *mnie*. – Uśmiechając się wyniośle, podszedł bliżej. – Nie nazywam się Johannes Kiefer. I nie jestem też lekarzem. Media nazywają mnie Kalendarzowym Mordercą, ale Ty możesz mi mówić Yannick. Jestem tutaj, żeby wyznaczyć Ci datę.

Jednocześnie Klara poczuła, jak w szyję ugryzła ją pszczoła – po raz drugi w życiu. Za pierwszym razem – na weselu jej wujka – było to nawet bardziej bolesne i jej tchawica natychmiast obrzmiała, chwilę po tym, jak upuściła przy kuchennym bufecie talerz. Teraz pulsowanie pod skórą było słabsze, ale za to zrobiło jej się czarno przed oczami ...*co prawdopodobnie wynika z tego, że tym razem nie ugryzła mnie pszczoła, tylko ukłuła igła.*

I mając przed oczyma obraz uśmiechniętego Yannicka z nagim torsem i strzykawką w dłoni, który popycha ją z powrotem na łóżko wodne, w którym pływały ludzkie zwłoki, Klara straciła przytomność.

19

Skurcz całego ciała.

Tak jej przyjaciółka Anne opisała jej kiedyś swój stan podczas ostrej fazy ciężkiego zatrucia pokarmowego po zjedzeniu zepsutego sushi. Klarze wydawało się teraz, że rozumie, jak musiała się czuć Anne, gdy zarazki, które dostały się do jej organizmu, rozkazały jej ciału wywrócić się wnętrzem na drugą stronę.

(Mój Boże, Anne, jak bardzo bym chciała, żebyśmy nie straciły kontaktu, kiedy wyprowadziłaś się w ślad za swą wielką miłością do Saarlouis) .

Określenie „skurcz całego ciała” świetnie pasowało także do jej samopoczucia, tyle że było o wiele zbyt łagodne. Obrzydzenie, które odczuwała teraz – po przebudzeniu – było silniejsze i bardziej intensywne niż każde inne negatywne uczucie, jakie do tej pory odczuwała w swoim życiu. Co po części było skutkiem ubocznym środka znieczulającego, ale przede wszystkim pochodną faktu, że z czyścica trafiła prosto do piekła.

Przy próbie ucieczki choćby na jedną godzinę z męczeństwa w małżeństwie Klara trafiła prosto w szpony sadysty, który mógłby jej mężowi udzielać lekcji z przedmiotu „perwersja i przemoc”. A pierwsza lekcja zaczęłaby się prawdopodobnie od odtworzenia filmu wideo, który zmuszona była teraz oglądać.

– Przypatrz się dokładnie – usłyszała za sobą głos mężczyzny, który przeszedł już odwróconą metamorfozę. Z pięknego motyla w paskudną gąsienicę.

Z Kiefera w Yannicka.

Stał teraz obok niej. Z japońskim sztyletem ze ściany sypialni w dłoni.

Siedziała na kuchennym krześle, zaciskając kurczowo ręce na drewnianych poręczach, żeby nie polecieć do przodu, w kierunku telewizora, na którym właśnie była bita bez pamięci przez trzech mężczyzn w maskach.

Wideo z hotelu Le Zen. Kolejny powód, dla którego chciałaby ponownie stracić przytomność.

Przynajmniej nie upadłaby na nic twardego. Gruby dywan o srebrnym włosiu leżał pod jej stopami na parkiecie. Zadrzała, gdy uświadomiła sobie, że jest naga i że Yannick musiał ją przenieść do salonu prosto z łóżka.

Łóżko!

Gwałtownie, o wiele za szybko, obróciła się w kierunku sypialni, mimo że w żadnym wypadku nie chciała ponownie zobaczyć podświetlanego łóżka wodnego i tego, co w nim pływało. Odwróciła głowę raczej powodowana pragnieniem, żeby poćwiartowane zwłoki pod przezroczystym materacem okazały się tylko złudzeniem. Jednak Yannick zaraz wymierzył jej policzek, po którym podbródek Klary znów zwrócił się w przeciwnym kierunku. Ponownie w stronę telewizora, który w zasadzie ukazywał jej odbicie – bo podobnie jak na wideo była teraz naga, torturowana i nie chciała już dłużej żyć.

– Dlaczego? – zadała to podsumowujące wszystko pytanie.

Dlaczego mi to robisz?

Dlaczego oszukałeś mnie co do tego, kim jesteś?

Dlaczego znów muszę oglądać to upokarzające wideo?

Dlaczego znalazłam się w Twojej rękach?

– Jak możesz się chyba domyślać, to wszystko nie jest dziełem przypadku. Zebrałem wcześniej dużo informacji na Twój temat. Martin, Twój mąż – nie mówię tu nic nowego – jest świnią.

Klara nie odważyła się skinąć głową. Ani nie wiedziała, czy taka reakcja jest dozwolona, ani czy kolejny ruch głowy nie wywoła u niej jeszcze silniejszej fali mdłości, po których będzie zmuszona wymiotować. A tego dodatkowego upokorzenia, że siedziałaby przed tym szaleńcem nie tylko naga, lecz także cała zarzygana, za nic by nie zniosła.

– Rozpowszechnia to wideo w sieci, na odpowiednich portalach. Łatwe do znalezienia dla kogoś, kto wie, czego szukać.

Nie poruszając głową, Klara zwróciła oczy tak bardzo w bok, że zobaczyła część twarzy Yannicka. Wyglądał równie atrakcyjnie jak mężczyzna, który zagadnął ją w parku przy klinice. I z pewnością pachniał równie dobrze jak jej kochanek, który jeszcze niedawno na niej leżał i w nią wnikał. Zamienił jednak swój miękki, ciepły głos na diabelski.

– A mimo że on Ci to zrobił, mimo że Cię wykorzystał, a potem podzielił się swoim przestępstwem z całym światem, żeby móc Cię ciągle i bezustannie upokarzać, mimo to go nie opuszczasz. Przeciwnie: wracasz – z wyjątkiem dzisiejszego dnia – punktualnie do domu, gotujesz mu jego ulubione potrawy, pierzesz mu skarpetki, prasujesz koszule, zaspokajasz jego żądze. – Yannick urwał i sam zadał to pytanie, które ona przed chwilą postawiła: – Dlaczego?

Stanął na wprost krzesła, tak że zasłonił sobą telewizor (co za ulga) i ukląkł przed nią. Pokazał jej ostrze sztyletu samurajskiego, na którym łamał się jej wzrok.

– Niezależnie od tego, jak mocno Cię bije, jak często gwałci. Zawsze, za każdym razem, do niego wracasz. Dlaczego?

Tym razem Klara skinęła głową, bo nie mogła się powstrzymać.

– Dunedin – odezwała się ochryłym głosem. Marzyła o choćby łyku wody. Prawie tak bardzo, jak marzyła, by obudzić się z tego koszmaru.

– Co to takiego?

– Wyliczyłam to kiedyś. Dunedin to drugie co do wielkości miasto na Wyspie Południowej w Nowej Zelandii, a zarazem miejsce najbardziej oddalone od Berlina. Ponad osiemnaście tysięcy dwieście kilometrów. – To była największa odległość na całej Ziemi, na jaką miała szansę oddalić się od Martina. – Tam bym najchętniej uciekła.

– Dlaczego więc tego nie zrobiłaś?

Klara pokręciła głową. Yannick znał przecież odpowiedź, nie był tak głupi, żeby na nią nie wpaść. Wyświadczyła mu jednak tę przysługę i odpowiedziała na jego czysto retoryczne pytanie.

– Amelie – szepnęła. Jej cały świat, jedyny powód, dla którego już na samym początku nie próbowała wyrwać się ze swojego nieszczęścia.

– Wymówka! – warknął Yannick. – A do tego jeszcze tania.

– Ty... – Klara urwała.

Nagle poczuła opór przed zwracaniem się na Ty do tego mężczyzny, który albo był utalentowanym aktorem, albo rzeczywiście miał osobowość wieloraką. Kiefer, czuły, miły, bliski jej człowiek, zniknął. Przed nią stało teraz jakieś monstrum.

– Mój mąż jest silny. Ma pieniądze, władzę i przyjaciół. Nie da się go tak po prostu opuścić.

– Ależ da się, można to zrobić. Ty możesz to zrobić. Musisz w końcu przestać godzić się ze swoją rolą ofiary. A może to Ci się podoba?

Klara pokręciła przecząco głową.

– To dlaczego przyjmujesz ją bez sprzeciwu? Mój Boże, ta rola ofiary, w którą Wy, kobiety, ciągle na nowo same wchodzić, jest źródłem wszelkiego zła! – Yannick wstał i zaczął głęboko oddychać, jak gdyby przygotowywał się do nurkowania na wstrzymanym oddechu. – Większość dzieci jest wychowywana przez kobiety. Emancypacja emancypacją, ale poczynając od matek przez wychowawczynie w przedszkolu po nauczycielki w szkole podstawowej, dzieci prawie zawsze trafiają na kobiety przez wszystkie najważniejsze lata swojego życia, gdy ich umysły się kształtują. Wiesz w ogóle, ilu jest męskich wychowawców przedszkolnych? – Zaśmiał się niewesoło. – Trzy procent. Po prostu żart. Śmiesznie mało mężczyzn korzysta z urlopu wychowawczego, bo dzieci to wciąż jeszcze domena kobiet. Tak więc to Wy odpowiadacie za wychowanie swoich córek i robicie z nich słabe mimozy, a potem tylko narzekacie na ucisk mężczyzn. Ale to przecież Wy, Wy, kobiety, kupujecie dziewczynkom różowe ubranka i lalki w kolorze lila. To Wy zapisujecie je na balet, a nie na sporty walki. W ten sposób uczycie je, nawet jeśli nie świadomie, to podprogowo, żeby zawsze podporządkowywały się i wszystko znosiły. Bo mężczyźni już tacy są. Prawda?

Klara pokręciła głową. Chciał zaprzeczyć, ale nawet jeśli byłaby w stanie znaleźć właściwe słowa, Yannick nie dał jej na to szansy.

– To Wy przez całe lata zatruwacie ich samoświadomość, aż Wasze córki w pełni uwewnętrznią swoją rolę jako słabszej płci. I to do tego stopnia, że nie wykazują potem nawet odrobiny odwagi czy siły woli, żeby kierować się własnym rozumem. Na koniec znajdują sobie najbardziej odrażającego dupka na męża i ciągle do niego wracają, tak jak Ty.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. – Klara, drżąc z zimna, skrzyżowała ręce na piersiach. Jej uczucie wstydu powróciło i próbowała się teraz zakryć, na ile to było możliwe. – Czego pan ode mnie chce?

W odpowiedzi sztylet, który trzymał w ręku Yannick, zniknął błyskawicznie w jej lewej dziurce nosa.

I ją przeciął.

– Ręce w dół! – ryknął Yannick, zagłuszając tym jej okrzyk bólu.

Odruchowo uniosła obie dłonie do twarzy w bezcelowej próbie zatrzymania krwawienia.

– Przysięgam, że obetnę Ci cycki, jeśli nie będziesz siedziała spokojnie.

Wyciągnął w jej kierunku palec wskazujący, jak belfer w stronę niegrzecznego ucznia.

– Proszę – błagała Klara. – Proszę mnie nie zabijać.

– Nie mam takiego zamiaru. Jeszcze nie. – Podszedł bliżej. – W tej chwili potrzebuję tylko niewielkiej ilości Twojej krwi. Dlatego zadałem Ci nic nieznaczącą, niegroźną ranę, żeby coś Ci unaocznić.

Klarę przeszły ciarki, gdy Yannick niemal czule ją dotknął trzymając palce w stróżce krwi, która ciekła z jej rozciętej dziurki w nosie po podbródku, szyi i piersiach w dół, aż na brzuch i łono. W ten sposób umoczył jeden po drugim wszystkie palce – najpierw kciuk, potem wskazujący, duży, serdeczny i mały.

Następnie podszedł do ściany i wykorzystał palce jako krwawy pędzel. Szybkimi ruchami namalował na białym tynku obok telewizora cztery czerwone, zwężające się na końcach cyfry.

Potem odwrócił się ponownie do Klary i podał jej bawełnianą chusteczkę, którą ta sobie natychmiast przycisnęła do nosa, po czym spytał:

– Rozumiesz, do czego zmierzam?

Zamknęła oczy i po raz kolejny pokręciła przecząco głową. Szok, zimno, a prawdopodobnie też utrata krwi sprawiły, że dygotała na całym ciele.

– To jest data. Dobrze ją zapamiętaj. Jeśli do trzydziestego listopada niczego nie zrobisz, żeby zakończyć swoje małżeństwo z Martinem, zabiję Cię, gdy tylko nadejdzie ten dzień. I to w większych męczarniach, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić.

Klara zaśmiała się. Na przekór całemu bólowi i bezsilności. Śmiechem rozpacz i beznadziei, w którym wyraźnie było słyhać gniew, wywołany w niej przez niemożliwe do spełnienia żądanie szaleńca.

– Małżeństwa z Martinem Vernetem nie da się tak po prostu zakończyć. Schroniska dla kobiet, w którym byłabym przed nim bezpieczna, jeszcze nie zbudowano. A kraj, w którym mogłabym się schronić przed armią dobrze opłacanych prywatnych detektywów, nie ma jeszcze flagi. Za to Martin ma dużo pieniędzy, władzy i energii. Jeśli coś sobie wbije do głowy, nie odpuści. I nie pozwoli zabrać sobie niczego, co traktuje jako swoją własność. A już z całą pewnością nie swojej żony.

– Nie słuchałaś mnie uważnie. Nie mówiłem o rozstaniu, rozwodzie czy ucieczce.

– Tylko?

– O końcu. Zakończ to z mężem. I to w jedyny sposób, jaki w takich przypadkach jest możliwy. Jedynym językiem, który takie tchórzliwe dupki maltretujące swoje żony rozumieją.

– A mianowicie?

– Morderstwem.

Klara zakrztusiła się własnym oddechem i zaczęła kasłać.

– To znaczy...?

– Właśnie to. Zabij swojego męża. Masz na to kilka tygodni. Jeśli nie zrobisz tego do trzydziestego listopada, wiesz, co się stanie.

– Pan mnie zabije.

– No właśnie. I niech Ci nie przyjdzie na myśl, żeby zadzwonić na policję lub w inny sposób wezwać pomoc. Jeśli z kimkolwiek porozmawiasz o tym wieczorze, wydasz na tę osobę wyrok śmierci. Zrozumiałaś?

Klara przytaknęła.

– Wszystko w Twoich rękach. Zrób to, co słuszne. Inaczej skończysz jak te wszystkie kobiety, które okazały się na to zbyt słabe.

Yannick zrobił gest w kierunku sypialni.

– Ich kawałki widziałas w moim łóżku.

20

Jules

Żadnych słów, żadnego pomrukiwania, czy kaszlu. Jules ponownie założył zestaw słuchawkowy, zdjął buty i podczas rozmowy przekradł się do łazienki. Tam wyjął z szafki za lustrem mały plaster, którym opatrzył rozcięcie na palcu.

Potem wrócił do kuchni i usiadł na taborecie przy wyspie. Słuchając Klary, ciągle starał się unikać wydawania jakichkolwiek rozprasających odgłosów. Tylko od czasu do czasu przez głęboki oddech lub ciche chrząknięcie dawał jej do zrozumienia, że wciąż jest na linii, a ona nie mówi w próżnię. Był jednak w zasadzie pewny, że Klara, odtwarzając swoje koszmarnie przeżycia, jakby w hipnozie została ponownie przeniesiona na scenę przestępstwa i nawet nie dostrzega jego obecności na drugim końcu połączenia.

– Ale poszła pani jednak, mam nadzieję, na policję? – spytał w pierwszej dłuższej przerwie, kierując wzrok na kalendarz z kartkami do zrywania, wiszący na ścianie koło lodówki. Widniała na nim data 26 listopada. Wydrukowana pod nią mądrość głosiła:

Prawdziwą przygodą w bliskim związku jest poszukiwanie właściwego dystansu.

Kartek z kalendarza od trzech dni nikt nie zrywał. Dziś był już 29 listopada. Ultimatum postawione Klarze przez mordercę upływało już za kilka

minut.

– Złożyła pani doniesienie na tego mężczyznę?

– Oczywiście.

– I?

– Yannick wciąż przebywa na wolności. Moje zeznanie najwyraźniej niewiele zdziało.

– Jak to możliwe?

Przecież potrafiła go opisać, miała niezaprzeczone rany na ciele i znała miejsce zamieszkania sprawcy. To powinno wystarczyć przynajmniej do przeszukania jego mieszkania.

– Yannick był bardzo sprytny. Umówiliśmy się, że odbierze mnie na placu Poczdamskim i pojedziemy do centrum coś zjeść. W tym czasie nie wiedziałam jeszcze, że zarezerwował miejsce w restauracji, gdzie w kompletnych ciemnościach będziemy obsługiwani przez niewidomych. Najpierw poszliśmy na krótki spacer, a potem, w drodze do garażu podziemnego, gdzie stał jego samochód, spytał mnie, czy może mnie zaskoczyć. Chciałby mnie gdzieś porwać, a ja za nic w świecie nie powinnam wcześniej zobaczyć tej niespodzianki. Z początku nie było to przyjemne i chciałam z miejsca przerwać nasze spotkanie. Ale był tak czuły i empatyczny, a ja sobie pomyślałam, że przecież nie może mnie spotkać nic gorszego niż to, przez co już przeszłam, więc nadzieja na niezwykle i ekscytujący wieczór zwyciężyła. – Zaśmiała się jak ktoś, kto śmieje się z własnej głupoty. – Bardzo przejęta zgodziłam się zatem, żeby zawiązał mi oczy jedwabnym szalem. Potem zawiózł mnie do restauracji, w której zarezerwował dla nas miejsce, a gdy usiedliśmy, poprosił mnie o zdjęcie opaski z oczu.

– A gdy otworzyła pani oczy, nadal nic pani nie widziała.

– Tak. I choć bardzo mi trudno to przyznać, było to naprawdę wspaniałe, zmysłowe doznanie. Bez udziału wzroku moje zmysły były niezwykle wyostrzone. Jedzenie wręcz eksplodowało w ustach, a każde dotknięcie było jak zastrzyk energii, który nastrojał mnie pozytywnie i podniecał. Kiedy już zjedliśmy, Yannick powiedział, że przygotował dla mnie drugą niespodzian-

kę u siebie w domu. Do tego czasu całkowicie mu już uległam i czułam się w jego obecności nieskończenie bezpieczna.

– Niech zgadnę: także w drodze do swojego mieszkania zawiązał pani oczy?

Westchnęła przytakująco.

– I dlatego właśnie nie wiem, dokąd mnie zabrał, żeby mnie dręczyć. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Po tym, jak już postawił mi swoje ultimatum, dostałam kolejny zastrzyk, po którym odzyskałam przytomność pod kamienicą, w której mieszkam, gdzie znaleźli mnie sąsiedzi. Co okazało się moim szczęściem, ponieważ tylko świadkowie powstrzymali Martina przed pobiciem mnie jeszcze w ogródku przed budynkiem. Okłamałam go, że zostałam napadnięta, bo co niby innego miałam mu powiedzieć? Tak doszło do tego, że złożyłam pierwsze zeznanie w charakterze ofiary, które dzień później odwołałam. Po kryjomu, oczywiście, tak żeby Martin się o niczym nie dowiedział.

Jules skinął głową. Powoli stawało się dla niego jasne, jak bardzo skomplikowana jest sytuacja Klary.

Sięgnął po butelkę z sokiem pomarańczowym i zamarł w pół ruchu. Nadal była napełniona w jednej trzeciej, a przecież wydawało mu się, że tymczasem wypił z niej kilka dużych łyków, ale teraz nie był już tego wcale taki pewien. Rozmowa z Klarą pochłonęła całą jego uwagę. Drapanie w gardle znów powróciło, a więc nie mógł wypić zbyt wiele.

– Jedyne, co z pewnością mogę powiedzieć, to tyle, że było to stare budownictwo, takie jakie można znaleźć w dzielnicach Charlottenburg, Steglitz, Schöneberg, Prenzlauer Berg, Kreuzberg, Wedding, Friedrichshain i prawie w każdym innym miejscu w Berlinie.

Wziął duży łyk i ponownie odstawił butelkę.

– Niezbyt pomocna wskazówka.

– Tak, ale gdybym przynajmniej miała jego nazwisko, to być może moje zeznanie zostałoby potraktowane nieco poważniej. Kiedy jednak policjanci usłyszeli, gdzie poznałam tego doktora Johannes Kiefera, który później miał się okazać Yannickiem alias Kalendarzowym Mordercą, najwyraźniej

doszli do wniosku, że mają do czynienia z wariatką, która za wszelką cenę chce zwrócić na siebie uwagę. Nie muszę chyba dodawać, że żaden Yannick ani doktor Kiefer nie są w klinice Berger Hof znani.

– Rozumiem. – Klara stanowiła wzorcowy przykład tego, co się rozumie pod pojęciem „niewiarygodny świadek”. Była pacjentka kliniki psychiatrycznej, która wzięła udział w eksperymencie mającym na celu wywołanie sztucznych urojeń, chce następnego dnia sprostować swoje pierwsze fałszywe zeznanie, twierdząc, że miała kontakt z Kalendarzowym Mordercą. I to akurat w mieszkaniu, do którego weszła z zawiązanymi oczami.

– Musiałam ich dosłownie zmusić, żeby sporządzili portret pamięciowy, ale do tej pory nie został on nawet opublikowany. Jeden ze śledczych powiedział mi całkiem otwarcie, że z podobnymi zeznaniami i datami śmierci, które rzekomo zostały napisane na ścianach, stykają się niemal codziennie. Było też coś jeszcze.

– Co?

– Coś, co każe mi wątpić w siebie samą.

Jules dał jej nieco czasu, żeby się pozbierała, nie naciskając ją kolejnymi pytaniami. Po chwili podjęła ponownie:

– Wypytałem mnie szczegółowo o pewną cechę szczególną jego pisma, której jednak nie potrafiłam wskazać.

Jules przypomniał sobie program „Sprawy nierozwiązane”, który oglądał na początku tej rozmowy.

„Cyfra 1 ma w swej górnej części zawijas, przez co liczba, którą sprawca pozostawił na ścianie w miejscu pierwszego morderstwa, przy odrobinie wyobraźni przypomina konika morskiego”.

– I nie wiedziała tego pani.

– Byłam tak bardzo spięta i przestraszona, że jak mogłabym w tym stanie zwracać jeszcze uwagę na szczegóły pisma Kalendarzowego Mordercy?

Jules skinął głową i nagle poczuł się głodny. Przypomniał sobie, że od wielu godzin nie miał niczego w ustach.

W trakcie rozmowy jego uwagę przyciągnął blok na noże stojący obok kuchenki, zaraz koło ekspresu do kawy. Cztery noże z brązowymi drewnia-

nymi rączkami tkwiły schowane ostrzami w drewnie. Jeden z nich, najdłuższy, pochodził z innego zestawu i nie pasował do pozostałych. Jego ząbkowane ostrze wystawało nieco z bloku. Jakże chętnie chwyciłby go i odkroił grubą kromkę chleba z chrupiącą skórką, żeby zrobić sobie kanapkę z masłem.

– Po złożeniu zeznania całkowicie straciłam pewność i nawet nie umiałabym powiedzieć, czy...

Jules uniósł ze zdziwienia brwi, gdy Klara nagle umilkła.

– Wszystko w porządku? – spytał do cichej nagle słuchawki. – Jest pani tam jeszcze?

Nagle także po jego stronie zmieniło się tło dźwiękowe.

Co, do diabła...?

Usłyszał drapanie.

Zaledwie kilka metrów dalej. Gdzieś w korytarzu.

Jakby to było uzbrojone w pazury zwierzę. Albo jakaś inna żywa istota przesuająca ostrym narzędziem po metalu.

21

*P*roszę poczekać i cokolwiek się stanie, proszę się nie rozłączać – powiedział szeptem Jules i za pomocą przełącznika w lewej słuchawce wyciszył rozmowę.

Czy Klara tego posłucha?

A może tak czy tak stracił już połączenie z nią? A jeśli tak, to czy już na zawsze?

Serce podchodziło Julesowi do gardła, ale nie miał innego wyboru.

Przypomniały mu się słowa Klary wypowiedziane na początku rozmowy: „On nie uwierzy, że to była pomyłka. Że źle wybrałam numer. Cholera. Jeśli się dowie, że tu zadzwoniłam, przyjdzie i do pana”.

Drapanie przeszło w pobrzękiwanie przypominające odgłos monet potrząsanych w ceramicznej misie. Na chwilę stało się głośniejsze i Julesowi zdawało się nawet, że słyszy, jak ktoś kaszle w korytarzu. Lecz teraz w mieszkaniu znów panowała cisza.

Sięgnął po leżącą na wyspie kuchennej swoją komórkę, z której wcześniej zadzwonił do ojca, żeby mógł się przysłuchiwać rozmowie.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał cicho, wychodząc z kuchni.

– Nie, już odłożyłem.

Nocna lampka na korytarzu rzucała na ścianę jego cień ponadnaturalnych rozmiarów. Wyglądało, jakby Jules chodził na szczudłach.

– Żarty na bok. Jesteś trzeźwy?

– Teraz to Ciebie żarty się trzymają.

– Trafiony zatopiony.

Było już grubo po osiemnastej i ojciec dawno osiągnął swój zwykły stan, co w zasadzie było nawet dobre, bo ten stary pijus funkcjonował lepiej, gdy pracował na wysokoprocentowych obrotach.

– Zrozumiałeś wszystko?

Parkiet zaskrzypiał pod jego krokami, choć był wyłożony grubym chodnikiem. Odgłosy – ktokolwiek je powodował – nie pojawiły się ponownie.

– Nie. Co to, na miłość boską, było? Po co, do cholery, miałem tego wszystkiego wysłuchiwać?

– Tej kobiecie grozi Kalendarzowy Morderca.

– No dobra, chłopcze. Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, ale...

– Oszczędź mi tego – przerwał ojcu Jules. – Powtarzam raz jeszcze: to, że od czasu do czasu do Ciebie dzwonię, nie znaczy wcale, że Ci wybaczyłem.

– A raczej, że potrzebujesz mojej pomocy.

Przez krótką jak mgnienie oka chwilę Jules wsłuchiwał się w samego siebie, czy nie powinien mieć wyrzutów sumienia. Za każdym razem gdy kontaktowali się przez telefon – a od śmierci Dajany zdarzyło się to z pewnością jakieś dwanaście razy – nigdy nie rozmawiał z nim jako ze swoim biologicznym rodzicem, tylko zawsze jako z Hansem-Christianem Tannbergiem, najlepszym detektywem ubezpieczeniowym w swoim fachu. H. C., jak nazywali go koledzy, pracował na zlecenie dla największych koncernów, jak Axa, Allianz czy HUK. W ostatnich latach nikt nie odkrył machinacji większej liczby oszustów ubezpieczeniowych niż Hans-Christian Tannberg.

– Dlaczego przez cały czas mówisz szeptem? I czego właściwie ode mnie chcesz? – zapytał ojciec.

– Żebyś nie ruszał dupy z miejsca, nie zbliżał się do domowego barku i nigdzie nie dzwonił. Odezwę się do Ciebie za dziesięć minut.

Wyłączył się bez słowa pożegnania, i już wiedział, co przed chwilą usłyszał. Ponieważ stał teraz bezpośrednio przed źródłem dźwięku.

Pobrzękiwanie brało się z pęku kluczy tkwiącego w drzwiach wejściowych. Poszczególne klucze, kołyszące się jeszcze na boki, wciąż uderzały

o siebie. Było tylko jedno wytłumaczenie tej sytuacji:
Ktoś próbował dostać się do środka.

22

Niewiele osób wsiada do kolejki górskiej w nadziei, że podczas jazdy siłą rozpędu zostanie wyrzuconych z wagonika. Większość decyduje się na tę piekielną jazdę tylko po to, żeby na koniec, spojrzawszy śmierci w twarz, rozkoszować się uczuciem ulgi wywołanym endorfinowym upojeniem.

Jules też wolał kontrolowaną ekspozycję na strach od bezpośredniej, realnej konfrontacji ze śmiercią. Teraz jednak nie miał wyboru. Musiał stawić czoła temu, co go czekało za drzwiami. Ponieważ jak zwykle w jego przypadku rozsądek tonął w zalewie adrenaliny, najchętniej natychmiast otworzyłyby drzwi na oścież. Mimo to najpierw wyjrzał przez wizjer i zobaczył coś, co go zaniepokoiło bardziej, niż gdyby zobaczył uzbrojonego mężczyznę w sieni kamienicy, a mianowicie... *nic!*

Ciemność, pochłaniająca wszystko czerń. Nie było nawet czyjś cień i dlatego pobrzękiwanie pęku kluczy nabrało teraz cech nadprzyrodzonego zjawiska. No bo kto je poruszył? Jaka bezcielesna istota była w stanie przejść przez klatkę schodową, by wsadzić do zamka z zewnątrz klucz (skądkolwiek go miała), wytrych lub jakieś inne narzędzie, nie uruchamiając przy tym czujnika ruchu zainstalowanego w korytarzu?

Zamknął oczy, opierając głowę o drzwi.

Przez krótką, wręcz metafizycznie irracjonalną chwilę Jules poczuł obawę, że znajduje się na świecie całkiem sam i zobaczy tę samą, nieprzenikliwą ciemność wokół siebie, gdy ponownie otworzy oczy. I poniekąd właśnie z troski, że jego zawiły tok myślenia mógłby odpowiadać rzeczywistości,

uaktywnił z powrotem rozmowę z Klarą. Dotknął przełącznika na słuchawkach i zapytał:

– Jest pani tam jeszcze?

Szelest. Trzask. Jakieś zakłócenie elektrostatyczne. I wreszcie:

– Tak, jestem, ale proszę nie pytać dlaczego.

Bogu dzięki.

Jules zamrugał i ponownie uniósł prawą powiekę. Po drugiej stronie wizjera wciąż rozciągała się mroczna sień, jednak światło w kuchni nadal się paliło i oświetlało korytarz, w którym stał i który był teraz tak samo realny jak komoda, wiszący nad nią obrazek z narysowanymi skałami kredowymi na wybrzeżu i pęk kluczy w drzwiach, które jednak już się nie poruszały.

Czyżbym to wszystko tylko sobie ubzdurał?

23

Klara

Drzenie rąk, kołatanie serca, nagłe poty. Gdyby Klara wpisała do Google'a swoje objawy, doszłaby chyba do wniosku, że nie musi sobie zadawać trudu popełniania samobójstwa, bo i tak za chwilę dozna śmiertelnego ataku serca. Znała jednak swój organizm i wiedziała, że po prostu spadł jej poziom cukru i jak najszybciej musi coś zjeść, najlepiej coś słodkiego.

Na szczęście w kuchennej szafce było jeszcze trochę niezniszczalnych batonów musli, które wprawdzie wyschły na wiór, ale od biedy mogły doprowadzić poziom cukru w jej krwi do porządku.

– Nie rozłączyłam się tylko dlatego, że wciąż nie wywiązał się pan ze swojej części umowy.

– Bezbolesna metoda popełnienia samobójstwa? – spytał Jules.

Klara odchrząknęła. Wciąż bolało ją gardło.

– Tak.

– Jeśli teraz to pani powiem, i tak na nic się to pani nie przyda.

– Bo myśli pan, że jestem na to zbyt słaba?

– Bo markety budowlane są o tej porze zamknięte. A to, czego pani potrzebuje do samobójstwa, kosztuje wprawdzie tylko kilka euro, ale nie da się tego dostać w środku nocy.

– Ależ z pana dupek!

– A pani jest taka, jak Kalendarzowy Morderca powiedział pani prosto w twarz.

– A mianowicie?

– Słaba. Jest pani słabym człowiekiem. I nie mówię tego w charakterze zarzutu. Też taki jestem. Moja słabość kosztowała mnie utratę tego, co w życiu najważniejsze.

Rodziny, pomyślała, nie mówiąc tego na głos, choć pewnie lepiej by było, gdy tak zrobiła, bo wtedy być może oszczędziłaby sobie wysłuchiwanie jego wykładu.

– Wiele osób ma skłonność do wyrzekania się samych siebie, byle tylko dogodzić wszystkim wokół. Moja matka na przykład przez całe lata znosiła eskapady mojego ojca. Gdy wracał pijany z pracy, z uśmiechem stawiała przed nim jedzenie. Gdy narzekał, że jest odgrzewane, nie bąknęła ani słowa o tym, że przyszedł do domu trzy godziny później, bo zabalował w knajpie. A gdy ją bił, tłumaczyła nam, dzieciom, że to jej własna wina. Powinna była wiedzieć, że po tak wyczerpującym dniu ojciec nie mógł znieść zapachu jej perfum, którymi się specjalnie dla niego popsikała. Wielu ludzi jest takich jak moja matka. Naginają się do innych tak bardzo, że na koniec gotowi są raczej zaakceptować własną śmierć niż podjąć aktywne działanie.

Klara sapnęła rozgniewana.

– Może powtórzę raz jeszcze: mój mąż ma pieniądze, władzę, wpływy. Jego najlepszy przyjaciel jest prawą ręką naczelnika policji. Z burmistrzem raz w tygodniu gra w squasha. Na forum publicznym jest uwielbiany i szarmancki. Nawet moje przyjaciółki nie wierzą mi, że on ma także ciemną stronę. I ona nie zawsze się objawia. Po swoich ekscesach jest czasem przez całe tygodnie najbardziej czułym i wrażliwym mężem na ziemi. Jest tak kochany, że sama mogłabym zapomnieć, jaki jest naprawdę.

– Faza miodowego miesiąca – potwierdził Jules. – Po akcie przemocy standardowo pojawiają się przeprosiny i prezenty.

– Właśnie. A w takiej fazie miodowego miesiąca jest bardziej charyzmatyczny niż George Clooney. Jeśli Martin jest w stanie zwieść wszystkich

moich przyjaciół, to jak mam przekonać całkiem obcą sędzię w sądzie rodzinnym?

– A czy nie pomyślała pani w ogóle o tym, jaki wpływ ma to na pani dziecko? Już w najmłodszych latach widzi więcej, niż nam się wydaje. To naznaczy... przepraszam, jak ona się nazywa?

– Amelie.

– ...to naznaczy Amelie na całe życie. Naprawdę chce pani zostawić ją samą z tym potworem?

– Ależ ja nie mam innego wyjścia. Nie mogę odejść od Martina i wziąć ze sobą Amelie. Dokądkolwiek i jakkolwiek ucieknę, Amelie z nim zostanie. Sama by go wybrała, gdyby sąd ją zapytał, bo wobec niej nigdy nie zachowywał się jak potwór.

– Nie może pani tego wiedzieć.

– Mogę. Układ sił pomiędzy Martinem a mną jest bardzo szczególny. Na początku naszego związku byłam dla niego zbyt silna i zbyt pewna siebie. Nic mu to nie da, że zdominuje małe dziecko. Martin czuje się super, tylko jeśli udaje mu się złamać dorosłą, silną kobietę.

– Co najwyraźniej mu się powiodło – stwierdził Jules.

Nietrudno to poznać, pomyślała zrezygnowana Klara. Znów walczyła z napływającymi łzami.

– Pozostała mi tylko jedna rzecz, a mianowicie moja śmierć. Widzi pan, moje życie i tak jest już piekłem. Samobójstwo jest po prostu mniejszym złem, mającym ten sam skutek – a mianowicie, że stracę swoje dziecko, tyle że bez nieustającej psychicznej udręki, której doświadczę na własnej skórze, gdy zabierze mi Amelie i sprawi, że będę cierpieć do końca życia, ponieważ odważyłam się przeciwko niemu zbuntować.

– To bzdura i dobrze pani o tym wie. Wszystko to wymówki słabej kobiety. Przed panią jest coś więcej niż alternatywa pomiędzy samobójstwem a schroniskiem dla kobiet.

– A co innego mi pozostaje? – warknęła w odpowiedzi.

– Radzę pani pomyśleć o własnej wściekłości. Zżera panią, prawda?

– Tak.

– To niech pani postąpi tak, jak się to robi w tenisie. Niech pani zagra z woleja, wykorzystaj siłę przeciwnika, nie ustępuje, tylko podstawia raketę i skieruje jego siłę, nieprzefiltrowaną, przeciwko niemu samemu, żeby go zniszczyć.

Gdy Klara odezwała się po chwili do Julesa, słychać było, że jest całkowicie zbita z tropu, wręcz zszokowana.

– Mówi pan poważnie? To jest pańska rada? Więc myśli pan tak jak Yannick? Mam zabić Martina?

Usłyszała szelest, jakby jej rozmówca na drugim końcu linii kręcił przecząco głową.

– W tej chwili to nie mąż jest pani głównym przeciwnikiem. On chce panią tylko dręczyć. Zabić chce kto inny.

Yannick...

– Niech pani przestanie być taka bierna. Co ma pani do stracenia? Z własną śmiercią już się pani pogodziła. Niech pani odzyska własne życie. Życie ze swoją córką. Bez strachu. Uda się to tylko wtedy, gdy właściwie ustawi pani priorytety i zajmie się najpierw największym dla siebie niebezpieczeństwem.

Klara potrząsnęła głową. Ile już razy przechodziła przez to wszystko w myślach i za każdym razem dochodziła do wniosku, że jej życie minęło już dawno temu i nie ma niczego, co by mogła „odzyskać”.

– Co dokładnie miałabym według pana zrobić? – spytała, nie licząc tak naprawdę na żadną odpowiedź.

– Na początek musi pani ubiec Yannicka. Nie może pani czekać jak królik w norce na nadejście drapieżnika. Musi pani ustalić jego tożsamość.

– Powtarzam raz jeszcze: nie wiem, gdzie on jest!

– Ale on najwyraźniej wie, gdzie się pani ukrywa, jeśli prawdą jest to wszystko, co mi pani opowiedziała. Proszę mi więc zdradzić, gdzie pani jest, a ja spróbuję panią ochronić, gdy tylko on pojawi się w pobliżu.

– Co za głupota! Co pan niby chce zrobić? Może sądzi pan, że da pan radę człowiekowi, który trzyma poćwiartowane zwłoki w swoim łóżku wodnym?

– Ja nie, ale policja już tak.

– Która dopiero wtedy podejmie działanie, gdy będę miała dowody.

Już i tak suche gardło Klary po tak długim mówieniu bolało jak otwarta rana. Poszła więc do lodówki, żeby wyciągnąć z niej wodę mineralną.

– Jeśli Yannick, czy jak ten facet się nazywa, zostanie przyłapany na gorącym uczynku, dowodów nie zabraknie – stwierdził Jules.

– A co, jeśli mnie po prostu zastrzeli? Kto powiedział, że będzie pan miał wystarczająco dużo czasu, żeby mi pomóc, gdy on się pojawi? – Otworzyła lodówkę i oślepiąca światłem z jej wnętrza gwałtownie zamknęła oczy. Nie pomogło to jednak w wyparciu obrazów, które przywołała jej pamięć w odpowiedzi na postawione przez nią pytanie. Jeśli Yannick był rzeczywiście Kalendarzowym Mordercą, a co do tego nie miała żadnych wątpliwości, zadzga ją, żeby potem jej krwią namalować na ścianie datę jej śmierci.

– Policja przybędzie na czas, jeśli będzie wiedzieć, dokąd ma jechać.

– A jeśli nie? Jeśli wkroczy za wcześniej? Wtedy nie będzie mieć w ręku nic przeciwko niemu. Przemyślałam już to wszystko tysiące razy. To bez sensu.

– Myli się pani... – zaczął Jules, ale ona już odsunęła telefon od ucha, bo usłyszała jakieś odgłosy przed domkiem.

Chrzęst i warkot.

Natychmiast zamknęła z powrotem lodówkę, ale prawdopodobnie było już za późno. W panujących na zewnątrz ciemnościach blask z jej wnętrza wyglądał z pewnością jak flara tonącego statku.

Automatycznie ściszyła głos i skuliła ramiona, jakby musiała się już teraz schować przed nadciągającym zagrożeniem.

– Tracimy tylko czas. Nie ma o czym dyskutować – powiedziała ściszo-
nym do szeptu głosem.

– Ale proszę mnie posłuchać.

– Nie. To pan niech posłucha. Jest już za późno. Mam gościa. – Skiero-
wała komórkę w stronę okna, które musnięte stożkiem światła z reflekt-
arów, rozbłysło nagle srebrnym, matowym blaskiem.

Kilka sekund później samochód zatrzymał się.

– Jakiego gościa? – usłyszała całkowicie zbędne pytanie Julesa.

– Przed chwilą minęła północ.

30.11.

– Ultimatum już upłynęło. Oboje wiemy więc dobrze, jakiego gościa – mówiła szeptem Klara. – I co on ma zamiar ze mną zrobić. A potem z panem, gdy już ze mną skończy.

24

Klara już chciała się rozłączyć, ale zawahała się. Miała poczucie, że gdyby zakończyła tę rozmowę, przecięłaby jedyną linę ratunkową. Przy czym w chwili gdy usłyszała zatraskujące się na zewnątrz ciężkie drzwi samochodu, zadała sobie pytanie, czyje życie nagle tak bardzo chce uratować. Przecież dopiero co chciała je zakończyć.

I tylko z tego powodu, że przed chwilą Jules przemówił Ci do sumienia, miałoby się to wszystko zmienić? To bzdura!

Zamiast z podniesioną głową ruszyć w kierunku drzwi, żeby stawić czoła losowi, cofnęła się, obciążając przy tym obrzmiałą stopę tak bardzo, że z bólu miała ochotę głośno krzyknąć. Miała wrażenie, że jej kostka zdążyła już przybrać rozmiary dyni.

Dlaczego po prostu nie pokuśtykasz na spotkanie własnego końca? Przecież nie chcesz niczego innego!, zapytał mroczny wewnętrzny głos, który w ostatnich dniach ciągle jej się naprzykrzał i który utwierdzał ją w jej samobójczych planach.

Ponieważ nie jest to już wyłącznie Twoja decyzja, inny głos w jej głowie udzielił jasnej odpowiedzi mrocznemu diabłu. Czym innym jest samej zrobić ten ostatni krok, a zupełnie czym innym jest pozostawić to komuś innemu. W dodatku mężczyźnie, któremu torturowanie kobiet sprawia przyjemność i który nie zada jej bezbolesnej śmierci.

Jak udało mu się tak szybko mnie znaleźć?

W sklepie z telefonami komórkowymi w dzielnicy Kreuzberg poprosiła, żeby sprawdzono jej smartfon pod kątem oprogramowania szpiegowskiego,

ale student o przetłuszczonych włosach zapewnił ją, że jej aparat jest czysty. Nie uwierzyła mu jednak. Jej strach był silniejszy niż zaufanie do wiedzy technicznej jakiegoś niechlujnego nerda.

A może to ten Jules mnie zlokalizował?

Deski przed wejściem zatrzęszczały, uginając się pod czyimiś ciężkimi krokami. Ktoś zdecydowanie zbliżał się do drzwi. Były to zwykłe drzwi z marketu budowlanego, może nieco mocniejsze niż drzwi z płyty wiórowej zainstalowane w innych domkach, ale na pewno nie stanowiły przeszkody nie do przebycia dla silnego intruza.

– Halo? – Męski głos zabrzmiał głucho (ten ktoś nosił maskę?), ale nie tyle jego ton był groźny, ile kierunek, z którego dobiegał. Morderca nie stał na zewnątrz, pod drzwiami, tylko tuż obok niej.

Klara obróciła się gwałtownie i w ciemnościach przygryzła wargę, żeby nie krzyknąć ze strachu. Wargę zaczęła krwawić, gdy Klara zrozumiała wreszcie, że to tylko nerwowe napięcie spłatało jej figła.

To nie intruz jakimś cudownym sposobem zdołał się dostać do środka domku przez zamknięte drzwi. Głos, który usłyszała, to był Jules, ponieważ jej komórka wciąż była ustawiona na tryb głośnomówiący.

– Niech pani się nie rozłącza!

Na szczęście telefon nie leżał już na stole, tylko tkwił w kieszeni jej spodni, których podszewka tłumiła głos Julesa. Mimo to Klara obawiała się, że morderca i tak mógł go usłyszeć.

Czekała na nieuchronnie zbliżającą się chwilę, w której kopnięte podkutymi metalem butami drzwi wylecą z zawiasów, ale ku jej ogromnemu zdziwieniu te otworzyły się bez użycia widocznej czy słyszalnej siły. Jak poruszone tajemniczą ręką odchyliły się do wnętrza wraz ze światłem stojącego przed domkiem pojazdu do środka wtargnął mroźny tuman śniegu.

Morderca stanął w drzwiach jak aktor przed wielkim wejściem na scenę. Jego spowita mrokiem twarz pozostawała w ukryciu, podczas gdy nadnatURALNIE duża sylwetka rzucała ogromny cień na deski. Intruz nie powiedział

ani słowa nawet wtedy, gdy Klara otrząsnęła się z odrętwienia i pomimo przeszywającego bólu nogi pobiegła w przeciwną stronę.

W kierunku wyjścia do ogrodu z tyłu spizarni.

Natychmiast też zrozumiała, że popełniła błąd. Być może miałyby jakąś szansę, gdyby pognęła w stronę łącznika z garażem, zanim Yannickowi udałooby się ją złapać. Zamiast tego stała teraz przed zamkniętym tylnym wyjściem, przed którym na uciekinierkę nie czekał żaden samochód, o ile w ogóle dałaby radę otworzyć oszklone drzwi.

Nie, nie, nie...

Jej spocona dłoń ześlizgiwała się z okrągłej gałki, która nie poruszyła się ani o milimetr. Zanim Klara przypomniała sobie, że w środku gałki znajduje się mały guzik, który trzeba nacisnąć, żeby odblokować zamek, było już za późno.

Chłód stał się przejmujący, zdawał się przenikać jej prze poczone ze strachu ubranie. Poczowała kościstą, lodowatą dłoń na karku, która z całych sił pociągnęła ją w tył, a także zgniły oddech śmierci...

Na szczęście tylko w swoich myślach.

Jak na razie.

Usłyszała dyszenie i było ono – w przeciwieństwie do jej wizji śmierci – nad wyraz realne i nadzwyczaj bliskie. Dobiegły ją kroki wciąż milczącego intruza, któremu z pewnością musiało sprawiać przyjemność patrzeć, jak jego ofiara miota się w opresji. Który prawdopodobnie bawił się tym, że udało jej się wprawdzie otworzyć tylne drzwi, ale teraz potknęła się na drewnianych schodkach i upadła w śnieżną zaspę.

W jej oczach wybuchł snop iskier, jak podczas spawania.

Aaa...

Ugryzła się w dłoń, żeby nie wykrzyknąć w ciemność swojego bólu. Przez chwilę kulila się, skryta w całkowitych ciemnościach. Światło reflektorów zaparkowanego z włączonym silnikiem samochodu nie docierało do ogródka warzywnego na tyłach domku.

Mimo to wydawało jej się, że widzi nad sobą jakiś cień, gdy próbowała się podnieść z pozycji na czworakach i wyprostować.

Gdy już jej się to udało i obróciła głowę w kierunku domku, prawie nic nie widziała, tak gęsta była zadymka śnieżna.

Gęste, wilgotne płatki, które na jej twarzy zmieniały się chyba w kryształki lodu. Podświetlane latarką, za pomocą której morderca przeszukiwał okolicę. Promień światła wydawał jej się kulą wystrzeloną z pistoletu. Trafiona nim, natychmiast upadła, choć było to w tym przypadku raczej śmieszne i całkowicie pozbawione sensu.

Jak dziecko, które myśli, że go nie widać, gdy ma zamknięte oczy.

Na domiar złego, rzuciła się prosto w kałużę, pokrytą jedynie cienką warstwą lodu. Jej ubranie wchłonęło wilgoć jak gąbka. Zimno wbiło się w nią tysiącem igieł. A potem, gdy uniosła głowę i znów spojrzała w kierunku światła latarki, zdarzyło się coś niewiarygodnego.

Cień mordercy chyba skinął głową w jej kierunku, nie była tego całkiem pewna. Postać nie wyszła jednak z domku ani nie skierowała w jej stronę broni palnej, lecz zamknęła za sobą drzwi.

Od środka!

W następnej chwili latarka zgasła, a tym samym sylwetka widoczna przedtem za szybą drzwi całkowicie zniknęła.

I wraz z ciemnością w świadomość Klary wtargnęło zimno – tym razem z całą niemiłosierną mocą. Poczwała, że dygoce na całym ciele, i to nie tylko z zimna.

Boże, proszę, nie...

Zapomniała o czymś niezwykle istotnym.

Moja kurtka!

Wciąż wisiała na krześle w kuchni. Razem z jej portmonetką i kluczami.

Cholera jasna!

Nic dziwnego, że morderca mógł się rozsiaść wygodnie. Była ranna, spanikowana i już teraz przemarznięta do szpiku.

Miała dwie opcje: wrócić do domku, do jaskini polującego na kobiety drapieżnika. Lub skąpo ubrana, z uszkodzoną kostką, mimo śnieżnej zadymki ruszyć w kierunku lasu, który graniczył z domkiem weekendowym. Jeśli w ogóle uda jej się go przejść, wyląduje nad jeziorem Teufelsee, które-

go nigdy nie da rady pokonać. W wodzie będzie po czterech minutach martwa, a droga wzdłuż brzegu była o wiele za długa. Gdy tylko morderca zauważy, że zdecydowała się na ucieczkę przez las, może tam po prostu na nią poczekać i bez trudu ją zgarnąć – śmiertelnie wyczerpaną, tak jak już teraz.

Jestem w pułapce, pomyślała Klara.

I zaczęła się w nią zagłębiać jeszcze bardziej.

25

Jules

Jules wrócił do salonu, rozpaczliwie starając się z szelestów i szumów dobiegających ze słuchawki wyciągnąć jakieś sensowne wnioski, gdy na myśl przyszły mu znów słowa Klary:

„Przykro mi, że to powiedziałam, ale to prawda. Gdy tylko on się dowie, że się skontaktowaliśmy, na przykład gdy znajdzie pański numer w mojej komórce, zacznie pana szukać, żeby także pana wyeliminować”.

I nagle myśl o pęku kluczy już nie dawała mu spokoju. *Do tego wszystkiego zaczynasz jeszcze świrować.*

Kręcąc z politowaniem głową, *Jules* wrócił do drzwi wejściowych i wyciągnął z nich klucze.

Na wszelki wypadek.

W razie gdyby na jakiejś zupełnie niewyobrażalnej zasadzie, komuś rzeczywiście udało się dostać do środka, nie chciał dawać tej osobie możliwości zamknięcia się razem z nim w mieszkaniu. Pęk leżący w jego dłoni wydał mu się ciężki i zimny, składający się ze zdecydowanie zbyt wielu kluczy, jak na zwykłe mieszkanie. *Julesa* naszło bolesne wspomnienie. *Dajana* zawsze się z niego wyśmiewała, że wygląda z nimi jak jakiś dozorca. Włożył klucze do kieszeni spodni i podszedł do biurka.

– Halo?

Żadnej odpowiedzi. Wydawało mu się, że słyszy, jak Klara jęknęła, potem chyba się gdzieś przemieszczała. Ale skrzypienie i kołatanie mogło oznaczać cokolwiek, zwłaszcza że jakość połączenia stale się chyba pogarszała.

Opadł na krzesło obok biurka i wyciągnął szufladę, w której znajdowały się kable do różnych drobnych urządzeń elektrycznych. Na próżno szukał jednak kabla z ładowarką, którą mógłby włożyć do gniazdka, żeby podłączyć do niej swój telefon komórkowy, bo bateria już niedługo miała się zbliżyć do czerwonego zakresu. Wyciszył mikrofon, zsunął z ucha lewą słuchawkę zestawu i zadzwonił przez komórkę do ojca.

Ten odebrał telefon, zanim Jules usłyszał choćby jeden sygnał.

– Wy tłumaczysz mi wreszcie, o co biega?

Jules przewrócił oczami. Hans-Christian Tannberg najwyraźniej nie dostrzegał, jak śmieszny się staje, używając słów i wyrażeń, które on sam uważał za „coolowe”, a które od lat nie były już w modzie. I które już wówczas, gdy jeszcze były zaliczane do slangu młodzieżowego, w jego ustach brzmiały absurdalnie.

– Musisz się dla mnie czegoś dowiedzieć.

– Hmm, w zasadzie to chciałem odmówić, ale skoro tak ładnie mnie o to prosisz.

– Daruj sobie te gadki, nie mamy czasu do stracenia. Słyszałeś chyba, o co tu chodzi?

– Najwyraźniej o życie lub śmierć.

– Dokładnie. Kobieta, z którą właśnie rozmawiam...

– I to jest coś, czego nie bardzo rozumiem – wpadł mu w słowo ojciec, nie zważając na to, że Jules dopiero co poprosił go o to, żeby nie zbaczał z tematu. – Przecież Ty już nie pracujesz w numerze sto dwanaście.

Jules musiał się opanować, żeby nie rzucić przyciskiem do listów w telewizor. Jego ojciec miał rzadki talent doprowadzania go do białej gorączki w mniej niż dziesięć sekund.

– Przejąłem dyżur Cezara w Nocnym Powrocie – wysyczał.

– Co to jest Nocny Powrót?

Jules wyjaśnił mu to tak krótko, jak to możliwe.

– Zrozumiałem. Ale kim, do wszystkich diabłów, jest Cezar?

– To mój stary kolega szkolny. Mieszkał kiedyś w domu tuż koło nas. Zanim się przeprowadziliśmy do miasta. Powinieneś go jeszcze pamiętać. Często słyszał, jak się wydzierasz, kiedy wracałeś do domu.

– Dobrze sobie przypominam rodzinę Kaiserów. Skończone dupki. Wciąż nowe samochody i wakacje na Malediwach, a wszystko na kredyt. A ten wysoki, pryszczaty Magnus najbardziej mnie wnerwiał ze wszystkich. To ten z tym debilnym paragrafem wytatuowanym na środkowym palcu, zgadza się? Do dziś nie potrafię zrozumieć, dlaczego musisz sobie znajdować akurat takich beznadziejnych przyjaciół. Ja...

– Skończ już i posłuchaj uważnie: kobieta, która do mnie zadzwoniła, twierdzi, że zetknęła się z Kalendarzowym Mordercą. Obawia się, że zostanie jego następną ofiarą. Dowiedz się o niej wszystkiego, co Ci się uda wyciągnąć od pracowników Berger Hof. Ma na imię Klara.

– A dalej?

– Nie chciała powiedzieć.

– No super.

– Ale mam dla Ciebie inne osoby: Daniel Kernik, Johannes Kiefer, Ivan Corzon. To podobno lekarze i szef kliniki Berger Hof.

Jules przysunął sobie blok papieru w kratkę, oderwał pierwszą, zapisaną kartkę i wypróbował czarny wkład długopisu. Podczas gdy wyjaśniał ojcu pokrótce, że Klara brała udział w eksperymencie psychiatrycznym, w którym chodziło o sztuczne wywołanie urojeń, zapisał w notatniku sam dla siebie poszczególne hasła:

Klara, nie jest lekarką, prawdopodobnie asystentka medyczna, paranoja???

– Znam Corzona – stwierdził ojciec. – Prześwietlałem go już po śmierci Dajany. Jest czysty.

Jules skinął głową. Także jemu to nazwisko wydawało się znajome. Bezpośrednio po samobójstwie Dajany jego ojciec z własnej inicjatywy zaczął szukać informacji i w Berger Hof sprawdził wszystko, co się dało, na wypa-

dek gdyby klinika miała cokolwiek wspólnego z tą tragedią. Ale, jak sam przyznał, niczego nie znalazł. Żadnych nieprawidłowości, żadnego niewłaściwego postępowania lekarzy i pielęgniarzy, choć do kliniki Berger Hof skierował najlepszych ludzi w swoim zespole.

– Nazwiska Kiefer i Kernik nic mi nie mówią, ale jutro puszcę w ruch komórkę.

– Jesteś głuchy czy głupi? Skąd Ci przyszło do głowy, że możemy z tym czekać do jutra?

– A skąd Ci przyszło do głowy, że możesz do mnie mówić w ten sposób? Jules roześmiał się gorzko.

– Być może stąd, że mam nagranie wideo, na którym bijesz mamę bez opamiętania.

Było to kłamstwo. Jedyne film, który udowodniał, jak brutalny był Hans-Christian Tannberg wobec swojej żony, wyświetlał się bez końca w koszmarach Julesa. Wciąż i wciąż, odkąd pamiętał.

– Dlaczego nie możesz mi przebaczyć tak jak Twoja siostra?

– Becci Ci nie przebaczyła. Jest tylko grzeczniejsza ode mnie.

Rebecca, młodsza siostra Julesa, przez przemoc w domu niemal całkiem się posypała. Było jedno kluczowe wydarzenie. Ich ojciec wrócił w biały dzień do domu z klubu tenisowego całkowicie pijany. Przegrał poranny mecz z o wiele słabszym od siebie przeciwnikiem i musiał potem znosić w klubowym kasynie docinki kolegów. W związku z tym przyszło mu do głowy, że odpowiednim środkiem na odbudowanie poczucia własnej wartości będzie zaserwowanie swoim najbliższym w domu dość szczególnej potrawy jednogarnkowej.

Niedziela była jedynym dniem tygodnia, w którym rodzina jadała razem. Ledwie Rebecca i Jules włożyli pierwsze łyżki do ust i zdziwili się słonemu smakowi dania, ich ojciec zaczął się śmiać jak szalony: „Spójrzcie na swoją matkę, na ten wrak człowieka! Jaka jest słaba i tchórzliwa”.

Rzeczywiście matka Julesa wyglądała o wiele bladziej niż zwykle, a spojrzenie jej głęboko osadzonych oczu było rozbiegane. Sama nie tknęła

jeszcze jedzenia, co jednak nie było niczym niezwykłym. Rzadko kiedy miała apetyt i często całymi dniami nie brała do ust ani kęsa.

– SPÓJRZCIE TYLKO NA NIĄ! – krzyknął Hans-Christian Tannberg, wskazując widelcem na jej żalostną postać, która na zdjęciu ze ślubu stojącym na gzymisie kominka ważyła ze dwadzieścia kilogramów więcej. – Woli otruć własne dzieci, niż choć raz pierdnąć nieco odważniej.

A potem pochwalił się, co zrobił. Ledwie przyszedł do domu, chwycił garnek stojący na kuchence, nasikał do środka i zmusił żonę, żeby podała takie „jedzenie”.

Było to na trzy dni przed dwunastymi urodzinami Rebekki, w dniu, w którym z powrotem zaczęła moczyć łóżko. Skończyło się to dopiero wtedy, gdy pewnej nocy matka zniknęła, a tym samym Hans-Christian Tannberg stracił ofiarę, nad którą mógłby się znęcać.

– Naprawdę nie możesz mi wybaczyć? – spytał dziś syna, całe dziesięciolecia później.

– Zastanowię się nad tym, gdy staniesz się lepszym człowiekiem.

Gdy skończą się weekendowe pijaństwa. Gdy ustaną ciągle nowe łóżkowe historie. Kiedy Jules się nad tym zastanawiał, był prawie pewien, że to nie samo bicie było przyczyną, dla której mama tak przedwcześnie się postarzała. Dochodziło do tego bowiem jeszcze upokorzenie, że jest regularnie zdradzana przez męża, który nie przestawał wyglądać doskonale, zupełnie jakby wysoki poziom alkoholu we krwi jeszcze dodatkowo go konserwował. Z roku na rok H. C. pił coraz więcej i coraz częściej pieprzył się w cudzych łóżkach. I z roku na rok nie starzał się ani o jeden dzień, podczas, gdy jego żona zapadała się coraz bardziej w sobie.

„A mimo to była wystarczająco twarda, żeby nas po prostu zostawić. Licho wie, gdzie wykorkowała” – powiedział mu ojciec pewnego wieczoru na dobranoc. Matki wtedy już od pół roku nie było z nimi. W przeciwieństwie do Becci, Jules po niej nie płakał. Oczywiście cała ta sprawa rozrywała mu serce, ale w przeciwieństwie do swej młodszej siostry rozumiał, że była to dla niej jedyna możliwość wyrwania się ze spirali przemocy. Do tego dzisiaj był całkowicie przekonany, że gdyby nie to, Becci nigdy by nie wyrosła

na pewną siebie, afirmującą życie kobietę. Dzieci zawsze starają się naśladować rodziców, zwłaszcza w okresie chłonięcia wzorców. Aż do dnia swojego zniknięcia matka nie stanowiła dla Becci przykładu, była tylko słabą, bezwonną kobietą. Gdy jednak pewnego dnia nie wróciła do domu, Rebecca dowiedziała się, że nie ma czegoś takiego jak nakaz losu, któremu trzeba się bezwzględnie podporządkowywać, lecz że kobieta może się od niego uwolnić i podążyć własną drogą. Drogą, która Rebecę doprowadziła na Malagę, gdzie żyła dziś w szczęśliwym małżeństwie z dwójką dzieci i robiła oszałamiającą karierę adwokatki specjalizującej się w nieruchomościach.

– Zgłoś się, gdy tylko uda Ci się coś wyszukać – powiedział Jules do ojca. – Muszę wiedzieć, gdzie mieszka ta Klara. Ma dziecko w wieku jakichś siedmiu lat. Dziewczynka ma na imię Amelie. Jej mąż jest majętny. Więcej nie wiem.

Mówiąc to, Jules wstał, najpierw nieświadomie, ale teraz jego myśli poprowadziły go w stronę kuchni po coś do jedzenia. W tym momencie nawet napięcie wywołane telefonem od Klary nie było w stanie odwrócić jego uwagi od burczenia dobiegającego z żołądka. Z komórką przy lewym uchu i słuchawką zestawu słuchawkowego na prawym uchu – jak gdyby był karykaturą jakiegoś zakręconego menedżera – Jules wrócił korytarzem do kuchni. Z połączenia z Klarą dobiegał go nadal tylko chłodny szum, ojciec też nic nie mówił. Prawdopodobnie był zajęty notowaniem wskazówek syna.

– Zapisaleś wszystko?

– Chyba tak. Dużo tego nie ma.

– Proszę, zrób, co tylko możesz.

– O, powiedziales „proszę” – stwierdził Hans-Christian. Tym razem rozłączył się, zanim syn zdążył go ubiec.

Nagła cisza w uchu zrobiła się nieprzyjemna. Wspomnienia, które przywołała każda rozmowa z ojcem, pozostawiły po sobie tępy ból.

Wchodząc do kuchni, Jules czuł się jak ciężko pobity, co pasowało do odgłosów, które zaczęły dobiegać z połączenia z Klarą.

26

Klara

„*M*usisz sobie uświadomić, że zimno to stan normalny, a ciepło stanowi absolutny wyjątek we wszechświecie”.

Tego dnia, kiedy jej ojciec wypowiedział to zdanie, Klara miała poczucie, że już nigdy w życiu bardziej nie zmarznie.

Miała wtedy osiem lat i wracała ze wspólnej wycieczki na sanki na berlińską górę Teufelsberg. Krótco przed wyjściem, w napadzie dziecięcej przekory, odmówiła założenia grubych jednopalczastych rękawic i uparła się przy cienkich rękawiczkach z włóczki. Podobnie błędną decyzję podjęła przy wyborze spodni. Zamiast kombinezonu narciarskiego, który proponowała jej mama, wciągnęła zwykłe dżinsy. Zgodnie z zasadą „kto nie chce słuchać, ten musi poczuć” jej ojciec niemiłosiernie przedłużył wycieczkę i raz po raz wspinał się na północny stok wzgórza, żeby ponownie z niego zjechać, choć już po godzinie dygocząca z zimna Klara pytała go, czy mogą już wrócić do domu.

„Każdy ogień kiedyś gaśnie, każde ciepłe życie zmierza do grobu, a nasze Słońce pewnego dnia się wypali. Tylko zimno, które wtedy nastąpi, przetrwa wieczność”.

Klara nigdy nie zrozumiała, jakiej lekcji chciał jej tego dnia udzielić ojciec. W każdym razie na tortury, które teraz przeżywała, nie zdołał jej w ten sposób przygotować.

Mróz zedrze mi chyba skórę z ciała, pomyślała, gdy nie była już w stanie zginać palców, żeby gołymi rękami odchyłać gałęzie, które podczas forsownego marszu przez las uderzały ją w twarz. Jakby były złośliwymi przeciwnikami, którzy chcieli ją w ten sposób ukarać za bezsensowną próbę ucieczki.

Także wiatr zdawał się szeptać prosto w jej rozpalone uszy pożegnalną pieśń dla jej godnego pożalowania życia:

– Nie zasłużyłaś na nic lepszego. Chciałaś się zabić i zawiodłaś. Teraz my zatroszczymy się o Twoją śmierć.

Klara potknęła się zdrową nogą o gruby jak ramię korzeń, który był równie słabo widoczny jak inne przeszkody. Zwykle świetlny klosz widniejący nad centrum Berlina sięgał daleko poza granice miasta aż do podmiejskiej dzielnicy Grunewald, ale dzisiaj śnieżna zadymka pochłaniała każdy promień tworząc nad lasem nieprzeniknioną zasłonę.

Klara słyszała swój własny oddech, gardłowy i chrypiący jak u starej kobiety. Przynajmniej nie płakała – tak jak zwykle, gdy miała poczucie, że w całkowitej beznadziei nieodwracalnie osuwa się w głęboką przepaść. Ale zapewne po tych wszystkich latach małżeństwa po prostu wyschły jej łzy. A może nie czuła już ich na stężałej od mrozu skórze.

Kolejny raz poczuła w nodze silny ból, który przeszył ją od kostki aż po rzepkę, że aż na moment znieruchomiała. Nie miała pojęcia, jaki dystans pokonała już od wyjścia z domku, ale musiała na chwilę odsapnąć. Choćby z powodu klucia w bok, którego nie była w stanie już dłużej ignorować.

Czy mój rozmówca wciąż jest na linii?

Była pewna, że połączenie z Julesem już się zerwało, ale jeśli jej komórka jeszcze całkiem się nie rozładowała, Klara mogłaby przynajmniej włączyć latarkę. Żeby się jednak o tym przekonać, musiała najpierw spróbować wyciągnąć ze spodni komórkę, która jak przymarznięta tkwiła w przedniej kieszeni.

Cholera.

Oparła się o grube drzewo, z trudem zwalczając pokusę, żeby osunąć się po pniu i spocząć na leżących na ziemi gałęziach. Jej oczy przywykły z cza-

sem do ciemności, dzięki czemu cienie zamieniły się w kontury. A kontury uformowały się w trójwymiarowy obraz.

Jeśli się nie myliła, stała na skraju ścieżki, która prawdopodobnie nie była urzędowo wytyczona. Była na to zbyt wąska. Przypomniała jej o tym, jak w dzieciństwie bawiła się z koleżankami w przebijanie w lesie tajnych dróg, przy czym słowo „przebijanie” było o wiele zbyt militarnym określeniem jak na zabawy dziesięciolatek. Pochylały do ziemi krzaki i nożycami ogrodowymi taty przycinały mniejsze gałęzie, aż jakieś większe drzewo, oddalone zaledwie o kilka metrów, ostatecznie zagrodziło im drogę. Rozbijały w tym miejscu swój „tajny obóz” i z patyków, gałęzi oraz liści stawiały indiański wigwam.

Przeświadczona, że natknie się na taką właśnie nieprzydatną nikomu dziecięcą konstrukcję, Klara skrzyła mimo to ścieżką w prawo, ponieważ po prostu nie miała innego wyjścia.

Także ta droga zaprowadzi ją pewnie nad brzeg jeziora, gdzie będzie już na nią czekał Yannick. O ile Klara się nie zgubi i nie zamrznie gdzieś w środku lasu, na co w tym momencie wyraźnie się zanosilo.

„Nic dziwnego, że ludzie w agonii często opowiadają o tym, jak jest im zimno. Ponieważ już za chwilę zjednoczą się z jedyną stałą we wszechświecie”.

Ojciec Klary, który już od długiego czasu rozkładał się w chłodzie ziemi po tym, jak pewnej nocy zasnął spokojnie i nigdy więcej się nie obudził, wciąż był przy niej w jej ostatnich godzinach jako upiorny głos w jej głowie. Wolałaby, żeby było to coś przyjemniejszego – teraz, gdy zmierzała w kierunku światła na końcu tunelu życia.

Przy czym Klarę zdziwiło, że wąska ścieżka przed jej oczami rzeczywiście zaczyna robić się coraz jaśniejsza. I szersza.

Cholera, czyżbym już była nad jeziorem?

Wydawało jej się, że słyszy stację uzdatniania wody w Centrum Edukacji Ekologicznej Ökowerk, co o tej porze roku było oczywiście całkowitą bzdurą. Jednak jej mózg najwyraźniej nie chciał przyjąć do wiadomości, że Yannickowi tak szybko udało się ją tutaj dorwać.

Skąd wiedział, że wybiorę akurat tę wąską dróżkę prowadzącą do jeziora?

Wyszła chwiejnie z lasu i nagle zobaczyła na prawo od siebie podskakujące dwa światła, niczym dwie nadnaturalnie wielkie latarki w rękach oszalałego olbrzyma.

Ale kiedy już zrozumiała swój błąd i chciała się cofnąć, poczuła mocne uderzenie, jakby trafił ją młot kowalski. Wyleciała w powietrze, obróciła się wokół własnej osi, próbując się osłonić rękami.

Daremnie. Ciemność ogarnęła ją z całą zdolną połamać kości siłą.

27

Jules

Nieustanny szum umieszczonego pod oknem kaloryfera sygnalizował, że od dawna nie był odpowietrzany. Jules przykręcił termostat i od tej chwili szumiało już tylko w jego uchu, do którego miał przytkniętego iPhone'a.

Teraz, gdy jego ojca nie było już na linii, Jules mógł z powrotem aktywować mikrofon zestawu słuchawkowego.

– Słyszysz mnie pani?

Tym razem też nie było żadnej reakcji. O ile się nie mylił, z odgłosów otoczenia wynikało, że Klara musi być gdzieś na zewnątrz. Otworzył lodówkę i sięgnął po pokrojoną wędlinę i masło. Położył jedzenie na drewnianej desce obok pojemnika na pieczywo, w którym znalazł ciemny chleb.

W poszukiwaniu noża jego wzrok zawisł na drewnianym bloku obok zlewu. Upłynęła dobra chwila, zanim Jules sobie uświadomił, co go zaskoczyło.

Nóż!

Ten, który nie pasował do bloku. Którego ząbkowane ostrze nieco wystawało.

Zniknął!

Jules pomacał się w poszukiwaniu pęku kluczy w kieszeni spodni, ale te wciąż były na miejscu. Nóż natomiast...

Jules wpatrywał się w drewniany blok jak mocno wierząca osoba w krwawiący posąg Matki Boskiej.

Zapomniał o głodzie, nie przełknąłby teraz ani kęsa. I to nie tylko dlatego, że zrozumiał, iż nie jest już sam.

Ale też dlatego, że od strony korytarza rozległ się pełen bólu krzyk. Dobiegający z dziecięcego pokoju.

28

Klara

Obudziła ją wilgoć. Śnieg z deszczem na twarzy. W pierwszej chwili pomyślała, że to krew, ponieważ ta ciecz najlepiej pasowała do bólu, który teraz nie ograniczał się do kostki i stopy, lecz rozciągał się na całą lewą stronę jej ciała.

Zamarznięta gruntowa droga, na której leżała teraz na plecach, z pewnością nie znajdowała się w żadnym wykazie dróg publicznych. Była na to o wiele za wąska, a mimo to z pewnością pojazd, który ją na tej nieutwardzonej, wyboistej drodze frontalnie potracił, nie należał do służb leśnych. Był to raczej mały samochód, smart albo mini, który jechał w jej stronę, podskakując jak łupina orzecha na wzburzonych morskich falach, bo tak bardzo zamarznięte wyboje rzucały tym niewielkim pojazdem.

Prawdę mówiąc, marka samochodu nic jej nie obchodziła. Decydujące o jej życiu lub śmierci było pytanie, cóż to za ogromny potwór gramolił się właśnie z wnętrza samochodu.

Yannick?

Zapamiętała, że był niższy i szczuplejszy, ale być może potężny cień, który teraz widziała, był tylko złudzeniem optycznym.

A może to wszystko tutaj jest tylko złudzeniem?

Klara zastanowiła się, czy byłaby w stanie do tego stopnia znieść ból, by wstać i pobiec z powrotem w głąb lasu, lecz ta chwila namysłu kosztowała

ją stratę czasu potrzebnego na reakcję. Cień nad nią rósł. Kroki się zbliżały.

Wprawdzie udało jej się odtoczyć na bok i wstać, zdołała nawet strząsnąć z siebie dłoń, która chwyciła ją za ramię. Potem jednak potknęła się o jakąś nierówność terenu czy gałąź, a może o własne stopy. Nie była w stanie tego stwierdzić. Jej własne ciało wydało jej się dziwnie odrętwiałe, nawet język poruszał się ociężale, gdy upadłszy znów na plecy, krzyknęła:

– Zostaw mnie w spokoju, Yannick! Odpieprz się, Ty podła świni!

Jednak morderca nie wyświadczył jej tej przysługi. Nie cofnął się ani o centymetr. Zamiast tego pochylił się nad nią i zaczął chyba uważnie przypatrywać się jej w świetle reflektorów.

Oślepiąca zacisnęła powieki.

– No to przynajmniej zrób to szybko – poprosiła Klara, otwierając znów oczy tak szeroko, jak to możliwe.

To, co zobaczyła nad swoją głową, sprawiło, że ostatecznie zwątpiła, czy jest przy zdrowych zmysłach.

29

Klara znała zasadę nazywaną brzytwą Ockhama. Wiedziała, że najprostsze wyjaśnienie najczęściej jest tym najwłaściwszym. Zgodnie z mottem: jeśli coś z głośnym rzeniem przebiegnie galopem przed drzwiami Twojego domu, jest to prawdopodobnie koń, a nie zebra. Jednak teoria wywodząca się od angielskiego filozofa Williama Ockhama nie dawała w przypadku Klary – która chciała się dowiedzieć, jaka to postać właśnie się nad nią pochyła – zadowalających rezultatów.

Twarz z perkatym nosem, biała, krzaczasta broda, czerwona peleryna...?

Najprostsze z możliwych wyjaśnień nie miało żadnego sensu.

Jeśli jednak Klara skupiłaby się na najbardziej prawdopodobnej teorii, to osobą, która pochyliła się nad nią musiał być dobrodusznie przypatrujący się jej, pucułowaty Święty Mikołaj.

Mam halucynacje, pomyślała i zamknęła oczy. To skutki uboczne nieudanego eksperymentu w Berger Hof.

W ciemnościach wzrosło w niej przekonanie, że jest całkowicie zdana na łaskę Yannicka, który pozwolił sobie wobec niej na ten makabryczny żart.

– No, na co jeszcze czekasz! – zachęciła do działania fałszywego Świętego Mikołaja. Chłód leśnej ziemi wnikał coraz głębiej w jej ciało. Zesztywniała, jakby była na fotelu dentystycznym, na chwilę przed tym, nim wiertło miało trafić w nerw. Klara wiedziała, że za chwilę poczuje ból, wiedziała, że będzie on nie do zniesienia, ale jeszcze trudniejsze do zniesienia były sekundy poprzedzające jego pojawienie się, w których jej ostateczny przeciwnik zaczął się z nią chyba bawić w kotka i myszkę.

– Dobrze się czujesz? Niech to jasny szlag! Co Ty tu robisz na dworze, dziewczyno? – usłyszała głos przebierańca, mówiącego dialektem berlińskim. Jego słowa były przesycone wonią alkoholu i tytoniu. Wydawało się, że nawet samo mówienie jest dla tego korpulentnego mężczyzny dużym wyzwaniem, bo dyszał teraz jak kurier po dostarczeniu paczki na piąte piętro.

Klara otworzyła ponownie oczy.

– Ty nie jesteś Yannick – stwierdziła.

– Kim nie jestem?

Ani też Martinem. Jej snobistyczny mąż wprost nienawidził dialektów i wolałby sobie język wyrwać, niż mówić „z niewątpliwym akcentem niższych klas”, jak sam określał berlińską odmianę niemieckiego. Przy czym ten facet zdecydowanie starał się mówić literackim niemieckim i tylko przy niektórych słowach przechodził w dialekt.

– Rany, rany, rany, chyba całkiem fest Cię walnąłem. Złamałaś sobie coś?

Klarze udało się unieść nieco głowę. Jej myśli wirowały jak śnieżne konfetti w blasku reflektorów samochodu, z którego przed chwilą wysiadł ten mężczyzna. Oceniała, że ma już dobrze po pięćdziesiątce.

– Nie, nie, nie ruszaj się. Słyszałem, że jak się ma złamany kręgosłup, to może być nieprzyjemne.

Klara najchętniej wybuchłaby śmiechem. Określenie „nieprzyjemne” doskonale pasowało do jej sytuacji, i to z pewnością od znacznie dłuższego czasu niż od dzisiejszej nocy. To, co tak naprawdę do niej nie pasowało, to Święty Mikołaj, który właśnie przykładał telefon do ucha.

– Nie! – naskoczyła na niego, o wiele ostrzej, niżby się tego po sobie spodziewała.

– Skarbie, musimy wyzwać karetkę, choć nie mam zielonego pojęcia, jak ona ma się tutaj dostać. Cholera, co Ci przyszło do głowy, żeby tak wyskakiwać mi prosto pod brykę jak jakiś jelonek Bambi?

– Spokojnie, nic mi nie jest – skłamała Klara. – Nic sobie nie złamałam – dodała, mając nadzieję, że przynajmniej to stwierdzenie odpowiada praw-

dzie. Zacisnęła zęby i podniosła się do pozycji siedzącej.

– Poważnie? To było całkiem głośne bum.

– Jak najpoważniej. Kim pan jest? – zapytała mężczyznę, którego twarz składała się chyba tylko z brody i włosów. Najchętniej dodałaby jeszcze: *Czy jest pan prawdziwy? Czy to może tylko skutek uboczny przeprowadzonego na mnie eksperymentu psychiatrycznego?*

Słuchając swojego głosu prawie nic nie mogła zrozumieć i miała wrażenie, że tylko niewyraźnie mamrocze, ale mimo to dostała odpowiedź.

– Jestem Hendrik, z firmy Jimmy-Hendrik Entertainment. Normalnie wręczam potencjalnym nowym klientom wizytówkę. Nie chciałbym być niegrzeczny czy coś, ale nie wyglądasz mi na osobę, która w najbliższym czasie chciałaby mnie wynająć.

Klara zaśmiała się z niedowierzaniem i spróbowała się nieco bardziej wyprostować.

– Pan sobie ze mnie żartuje, tak?

– Nie, nie, naprawdę jestem Świętym Mikołajem. – Mężczyzna odwrócił się lekko w bok i kręcąc głową, mruknął jakby sam do siebie: – Dżizaz, ta kobitka już przed wypadkiem musiała parę razy zdrowo przywalić w choinkę. – Spojrzał w stronę swojego samochodu i podrapał się w potylicę. – Kurczę, już myślałem, że tych szalonych kobitek z leśniczówki nikt nie przebije, ale ta jest jeszcze bardziej odjechana. Chociaż nie, zaraz. – Najwyraźniej przypomniał sobie, że nie jest sam, bo zwrócił się znów do Klary: – Jesteś jedną z tych robotnic leśnych?

– Kim?

– Okupują leśniczówkę i odpalają tam niezłą imprezę. Lollapalooza^[5] to przy tym *kinder party*, słowo daję. Jedna z nich całkiem serio mnie zapytała, czy może wypić grzańca z cholewy mojego buta. A Ty mi wyglądasz na taką, która naprała się gorzej niż tamta, żeby rzucić mi się pod koła.

Klara chwyciła jego wyciągniętą rękę i podciągnęła się do góry.

– Nie jestem pijana – wybełkotała. Nie udało jej się przy tym stłumić głośnego krzyku, gdy stanęła na kontuzjowanej nodze.

– Jasne, a moją brykę ciągną renifery. Hej, hej, zaczekaj.

Krok po kroku Klara kuśtykała w kierunku reflektorów małego samochodu, który – jeśli sądzić po logo – był produkcji koreańskiej lub japońskiej. Nie znała się zbyt dobrze na markach samochodów.

– Zaraz, a Ty dokąd?

Klara nie udzieliła odpowiedzi, bo rzeczywiście nie miała pojęcia. Jej zamrznięte na lód spodnie szorowały ją w kroku, a ciało drżało w równej mierze z wyczerpania, co z zimna. Tylko do bólu wywołanego potrąceniem była już od dawna przyzwyczajona. Czuła się po prostu jakby była ciężko pobita. Jedyne, co zdołała wyszeptać, to:

– Jest mi zimno.

Następnie otworzyła drzwi samochodu i ciężko opadła na siedzenie obok kierowcy.

– Wszystko jasne. Nie ma problemu. Czuj się całkiem jak w domu, skoro już się tak dobrze znamy – dobiegł ją z tyłu głos Hendrika. – Dżizaz, ale się porobiło. Nikt mi w to nie uwierzy.

Przyszedł w ślad za nią, otworzył drzwi od strony kierowcy i wkręcił się jak śruba do środka pojazdu.

– No to Cię teraz zawiozę na ostry dyżur. – Prawdziwy cud, że przy tych gabarytach w ogóle zmieścił się na siedzeniu kierowcy.

– Nie, nie. Czy mógłby mnie pan...

Urwała w połowie zdania, bo nie miała pojęcia, gdzie indziej ten przebrany nieznajomy mógłby ją zawieźć. A z drugiej strony on nie wykonał żadnego ruchu, który wskazywałby na to, że zamierza uruchomić silnik.

– Nie ruszę się ani na milimetr, zanim mi nie powiesz, co tu jest grane. Kim Ty jesteś? I co tu robisz o tej porze w samym środku pustkowia?

– To długa historia – mruknęła.

– Mam czas.

Mimo swego godnego pożałowania stanu Klara nie mogła się nie uśmiechnąć. Gdy pomyślała o tym, jak jej prawda zabrzmiałaby w uszach przebranego za Świętego Mikołaja wybawcy, musiała się mocno wziąć w garść, żeby nie wybuchnąć jak szalona śmiechem.

„Jestem szantażowana, żebym zabiła albo męża, albo samą siebie. Ponieważ jestem tylko słabą kobietą, czego potwierdzenie usłyszałam niedawno od pracownika Nocnego Powrotu, zdecydowałam się na popełnienie samobójstwa. Okazałam się jednak zbyt głupia, żeby skoczyć ze ścianki wspinaczkowej, a próba zatrucia spalinami samochodowymi nic nie dała. Dlatego teraz podczas ucieczki z mojego domku weekendowego przed Kalendrzowym Mordercą wpadłam pod koła minisamochodu Świętego Mikołaja”.

Ponieważ zachowała te słowa dla siebie, Mikołaj-Hendrik odezwał się za nią:

– Wiesz w ogóle, jakie Ty masz szczęście? Dostałem specjalne zezwolenie od tych tumanów z zarządu lasów. Normalnie nie wolno tu nikomu jeździć, a tej drogi i tak nie zna nikt, kto nie pracuje w lesie.

Usłyszała sygnał ostrzegawczy swojej komórki, oznaczający, że stan naładowania akumulatora spadł poniżej dwudziestu procent.

Klara wyciągnęła telefon z kieszeni i ze zdziwieniem stwierdziła, że wciąż nie rozłączyła się z Julesem.

– Halo? Słyszysz mnie pan?

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast, jednak bardzo cicho:

– Tak, wciąż tu jestem. Wszystko u pani dobrze?

– Hmm, to zależy, jak na to spojrzeć. – Popatrzyła w kierunku Hendrika, który skierował ku niej sceptyczne spojrzenie i prawdopodobnie zadawał sobie teraz pytanie, czemu ta wariatka wolała włóczyć się na wpół zamarznięta po lesie, niż wezwać pomoc przez komórkę. – Jestem słaba, jest mi zimno i nie wiem, gdzie mam się teraz udać.

Hendrik pokręcił skonsternowany głową, jakby z każdą sekundą coraz mniej rozumiał, w jaką sytuację wdepnął, ale przynajmniej uruchomił silnik, a tym samym ogrzewanie.

Jules mówił tymczasem coraz ciszej, niemal szeptał:

– Niech mi pani powie, gdzie pani jest. Przyjadę po panią.

– Nie wiem, gdzie jestem. Siedzę w samochodzie.

– W pani samochodzie?

– Nie, ktoś mnie wiezie.

– Kto taki?

– Święty Mikołaj. – Zaśmiała się histerycznie do słuchawki. Boże, teraz także Jules uzna ją za pijaną. – To nie żart. Koło mnie naprawdę siedzi Mikołaj w pełnym umundurowaniu. Z butami, płaszczem, peruką, no i oczywiście brodą.

Dziwnym sposobem właśnie absurdalność tego przebrania była przyczyną, dla której odczuwała mniejszy strach przed tym nieznanym, niż byłoby to wskazane. Z drugiej strony ileż to już razy w swoim życiu dała się nabrać na sympatyczny wygląd danego człowieka.

– Niech mi pani da do telefonu tego faceta – zażądał Jules.

Początkowo chciała zaprotestować, ale w zasadzie po co? I tak nie miała żadnego planu, który jej telefoniczny rozmówca mógłby teraz przekreślić.

– Chwileczkę.

Klara już chciała podać komórkę Hendrikowi, gdy usłyszała w niej coś, co kompletnie zbiło ją z tropu.

– Co to było?

Przyłożyła telefon z powrotem do ucha w nadziei, że przed chwilą się pomyliła, ale odgłos się powtórzył.

Urywany, zniekształcony, a mimo to nie do pomylenia z niczym innym.

Klara zadała sobie pytanie, czy to rzeczywiście możliwe. Jules przecież dopiero co twierdził, że jego dzieci zginęły w pożarze mieszkania.

Valentin rzekomo już nie żył, a Fabienne umarła na jego oczach.

Tymczasem bez wątpienia Klara usłyszała właśnie głos małej dziewczynki, która po drugiej stronie linii rozpaczliwie wzywała pomocy.

30

Jules

*R*atunku, ratunku!

Krzyk, jaki rozległ się przed sekundą, był o wiele cichszy niż pierwszy, który przebił się przez cały korytarz aż do kuchni. Mimo to był wystarczająco głośny, żeby Klara zdołała go usłyszeć przez telefon.

– Co to było? – spytała raz jeszcze.

W jej głosie słychać taki sam strach, jaki teraz odczuwał Jules, a przecież trzymał w ręku pistolet CZ. kalibru 9 mm, z którego dawniej raz w miesiącu ćwiczył na strzelnicy. Broń nie była jednak naładowana. Pod żadnym pozorem nie chciał mieć dostępu do działającej broni – musiałby wtedy wzywać zbyt wiele radiowozów i karettek do ofiar postrzałów. Mimo to ciężar pistoletu w dłoni uspokajał go. Dlatego wyciągnął go, zanim udał się do pokoju dziecięcego, choć nie umiał sobie wyobrazić, jakiego to potencjalnego przeciwnika mógłby tam spotkać.

– Kto tam tak krzyczał?

Jules zastanowił się, czy nie powinien okłamać Klary i co w ogóle może jej powiedzieć.

„Tylko *small talk*, nie mów niczego prywatnego przez Nocny Powrót”, upomniał go wcześniej Cezar. „Wystarczająco dużo stalkerów włóczy się po ulicach. Nigdy nie wiesz, co zrobią z informacjami na Twój temat, gdy

sobie pomyśla, że nawiązali z Tobą osobistą więź. Wierz mi. Najlepiej jest nie zdradzić nawet swojego prawdziwego imienia”.

Całkiem mądrze. Jak jednak miał utrzymać więź z Klarą, nie zdradzając niczego na swój temat?

– Moja córka ma koszmary – powiedział w końcu.

Gdy wchodził właśnie do pokoju na końcu korytarza, rzeczywiście przez krótką chwilę liczył się z tym, że siedmiolatki tam nie zastanie. Że jego wzrok padnie na niepościelone łóżko, pomięte prześcieradło, zgniecioną poduszkę i w połowie wypitą butelkę z wodą na stoliku nocnym, ale wszystko to będą tylko pamiątki, które ona dla niego pozostawiła.

Relikty przypominające o terażniejszości, która już na zawsze przeminęła.

W pełni przekonany, że ponownie będzie świadkiem, jak Fabienne z jakiegoś powodu kolejny raz walczy ze śmiercią, otworzył drzwi do pokoju dziecięcego. Gdy jednak światło z korytarza wpadło do pastelowego królestwa dziewczynki, ku swej uldze Jules stwierdził, że ta wciąż jest w środku.

Bogu dzięki.

I oddycha.

Jeszcze.

Tętno Julesa uspokoiło się, choć widok małej w najmniejszym stopniu nie był uspokajający: szeroko otwarte oczy, których powieki nawet nie mrużyły, a nieruchome źrenice zdawały się przebijać ciemność. Usta poruszały się jak u wyjętego z wody karpia, a sądząc po bladociętej skórze twarzy, działo się to już od dłuższej chwili.

Dajano, błagał w myślach. Pomóż mi!

Jego żona dobrze by wiedziała, co robić w przypadku takiego ataku. Gdy Fabienne pewnego razu dostała wysokiej gorączki, pojechali z nią razem na SOR. Tam jakaś wypindrzona panienska w recepcji przewróciła z niesmakiem oczami i zaczęła mrużyć pod nosem coś o rodzicach, którzy nie mają w ciągu dnia ochoty, żeby udać się z dzieckiem do pediatry, a zamiast tego wieczorem, po pracy, naprzykrzają się lekarzom na oddziale ratunkowym z błahymi, codziennymi dolegliwościami.

W tej samej sekundzie Fabienne przestała oddychać. Zrobiła się sina jeszcze w ramionach Dajany, która wcale nie spanikowała ani nie zaczęła biegać wokół, krzycząc ze strachu, tylko zawołała do przechodzącego obok pielęgniara: „Potrzebujemy natychmiast sztucznego oddychania!”, po czym udała się prosto do najbliższego pokoju zabiegowego, położyła Fabienne na łóżku i aż do przybycia kompetentnego lekarza sama wykonywała masaż serca.

Jeśli chodziło o innych, Dajana była uosobieniem spokoju i rozwiązywała wszystkie problemy z zimną krwią.

Tylko własnych demonów nie potrafiła okiełznać.

– Pańska córka? – spytała nieufnie Klara. – Czy nie powiedział pan, że zmarła?

Jules usłyszał coś, co brzmiało jak piszczące zawieszenie pojazdu. Najwyraźniej jego rozmówczynie znów gdzieś jechała.

– Nie. Źle mnie pani zrozumiała. Powiedziałem, że jestem zmuszony patrzeć, jak umiera. Fabienne przeżyła pożar schowana w szafie, ale odkąd jej mama i brat odeszli, każdego dnia po kawałku odchodzi. Ma dopiero siedem lat, ale smutek ją pożera. A ja nic nie mogę z tym zrobić. – Odłożył pistolet na podłogę, usiadł na brzegu łóżka i odsunął małej kosmyk z czoła. Zacisnęła wściekle usta, szepnęła coś niezrozumiałego, ale przynajmniej zamknęła oczy.

– Przykro mi, ale muszę się nią teraz zająć.

– Co jej jest?

Jules przyłożył dziewczynce dłoń do czoła oraz oczu i poczuł, jak obracają się pod zamkniętymi powiekami, niczym kulki w łożysku. Nagle dostała gorączki, co nie było niczym niezwykłym w jej wieku. Gdy przedtem do niej zaglądał, jej głowa była całkiem chłodna. Teraz była rozpalona.

– Prawie nic nie je, tylko śpi, nie jest już w stanie chodzić do szkoły. Psycholożka dziecięca powiedziała, że są to typowe objawy zespołu stresu pourazowego.

Jules odniósł broń z powrotem do gabinetu i schował ją w najniższej szufladzie biurka.

– Musi się uporać z tym, że jej brat zmarł, a ona jakimś cudem uniknęła śmierci, ukryta w szafie – wyjaśniał dalej Klarze. – Choć oczywiście silnie zatruta dymem, co według twierdzeń lekarzy zapewne może mieć poważne następstwa w przyszłości.

Przeszedł do łazienki i musiał wyciągnąć trzy szuflady, zanim sobie przypomniał, gdzie przed godziną widział nurofen. W szafce z lustrem nad umywalką.

Wciągnął do strzykawki dziesięć mililitrów lekarstwa i wrócił do pokoju.

Klara spytała go o coś, czego z powodu zakłóceń na linii nie zrozumiał.

– Chwileczkę, muszę coś podać Fabienne. – Wstrzyknął śpiącej dziewczynce do ust nurofen poprzez rozchylone wargi.

Przełykając, otworzyła na chwilę drżące powieki, ale natychmiast je zamknęła.

– O co pani przed chwilą pytała?

– Czy dlatego porzucił pan pracę, żeby być zawsze blisko niej?

– Między innymi dlatego. Ale też z tego powodu, że byłem zbyt zaangażowany. Strażak musi mieć zawsze dystans do przypadków, z którymi się styka. Nie może po skończeniu dyżuru jeździć do obcych ludzi, żeby zapytać czy reanimacja zakończyła się powodzeniem albo czy przedwcześnie narodzone dziecko przeżyło.

– A pan tak właśnie robił? – raczej stwierdziła, niż spytała.

I rzeczywiście, Jules przyznał się jej:

– Jeszcze przed samobójstwem Dajany przypadki, z którymi się stykałem w straży, wykańczały mnie nerwowo. Potem było jeszcze gorzej. Nie byłem w stanie przyjmować telefonów z prośbą o pomoc, więc zwolniłem się z pracy. Nie było innej możliwości. W jaki sposób miałem komukolwiek pomóc, skoro nie byłem nawet w stanie uratować własnej rodziny?

– A mimo to rozmawia pan ze mną.

– Zwykle nie ma tego typu przypadków w Nocnym Powrocie. Przynajmniej tak mnie wszyscy zapewniali.

– A zatem miał pan dzisiaj pecha.

– Albo pani. W zasadzie nie jestem dla pani właściwą osobą. Powinna pani porozmawiać raczej z jakimś psychologiem.

– W zasadzie to nie chciałam z nikim rozmawiać...

Rozmowę przerwał pełen udręki, wywołany przez gorączkę krzyk dziecka.

– Czy to znów pańska córka?

– Przepraszam – szepnął tymczasem Jules, ale nie do Klary, lecz do siedmiolatki, której za nic w świecie nie chciał stracić. Nie po tym wszystkim, co już w swoim życiu musiał poświęcić.

– Obudziła się? – spytała Klara.

– Jest raczej w półśnie. Dałem jej właśnie trochę nurofenu.

Oczy dziewczynki znów były tylko na wpół przymknięte. Poruszały się jeszcze gwałtowniej niż do tej pory.

– Ale lekarstwo jeszcze nie działa.

– Znam to. Amelie także szybko łapie infekcje, kiedy dni są dla niej zbyt stresujące. Jak często w ostatnim czasie.

Pewnie dlatego, że coś wyczuwa. Dzieci są jak sejsmograficzne systemy wczesnego ostrzegania. Mają najdelikatniejsze antenki.

Jules usłyszał, że Klara coś mówi. Miał wrażenie, jakby zasłoniła dłonią mikrofon telefonu, najwyraźniej po to, żeby coś omówić z kierowcą. Potem coś zaszurało, a jej głos znów stał się wyraźniejszy.

– Zna pan z pewnością jakąś kołysankę?

– Coś w rodzaju „Ach śpij, kochanie”?

– Niech pan ją zaśpiewa. Ja zawsze to śpiewam Amelie. To ją uspokaja.

– Nie umiem śpiewać – przyznał się Jules.

Potrafię tylko rozmawiać przez telefon. Wczuwać się w innych ludzi. W ich bóle, troski i obawy. Ale to, co najważniejsze – uwalnianie ludzi od nich – to mi się nigdy nie udaje.

A nawet jeśli, to w tej chwili nie był do tego zdolny. Martwił się bowiem nie tylko dzieckiem, ale też obecnością ewentualnego intruza, który mógł stanowić zagrożenie dla nich obojga.

– To niech pan przestawi telefon na głośnomówiący – poleciła Klara.

Poważnie?, pomyślał Jules i wzruszył ramionami. Czuł przed tym pewne opory, ale być może głos Klary naprawdę zdołała pomóc przynajmniej na koszmary wywołane gorączką.

– Chwileczkę.

Przyniósł laptop z kuchni, zdjął z głowy zestaw słuchawkowy i aktywował głośniki. Komputer trzymał przy łóżku.

– Proszę bardzo – ustąpił pola Klarze.

Natychmiast skorzystała ze sposobności i zaśpiewała dźwięcznym, choć nieszkolonym, ale za to bardzo ciepłym głosem, którego brzmienie uspokoiło nawet Julesa:

Ach śpij, kochanie.

Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz – dostaniesz.

Czego pragniesz, daj mi znać.

Ja Ci wszystko mogę dać.

Więc dlaczego nie chcesz spać?

Już po tej pierwszej, bardzo melancholijnej zwrotce wydarzył się cud, którego mogła dokonać tylko muzyka. Chemicy i neurobiolodzy być może znają naukowe wyjaśnienie dla eksplozji uczuć, które brzmienia i rytmy potrafią wywołać w ludzkim mózgu. Dla Julesa jednak działanie muzyki zawsze zakrawało na cud.

– Czy Fabienne się uspokoiła? – spytała Klara po drugim refrenie.

– Tak, jest już dobrze – potwierdził Jules, niemal z żalem. Najchętniej położyłby się obok córki i całymi godzinami słuchał głosu Klary. – Miała pani rację. To działa.

Nie ruszała już oczami skrytymi pod jego dłonią. Oddech stał się regularny. Tylko jej kark był wciąż mokry od potu wywołanego zmaganiem z sennymi koszmarami.

Jules poczekał jeszcze chwilę, póki się nie upewnił, że najgorsze już minęło, po czym wyslizgnął się na paluszkach z pokoju dziecięcego i zamknął drzwi za sobą najdelikatniej, jak tylko mógł.

– Dziękuję pani.

– Nie ma za co.

Teraz, gdy nie musiał już szeptać, dźwięki dochodzące z otoczenia Klary wydały mu się nagle o wiele głośniejsze.

W każdym razie siedziała wciąż w samochodzie, który właśnie ruszył i teraz wyraźnie przyspieszał.

– Dokąd pani jedzie? – chciał się dowiedzieć Jules.

– Do domu. Ta piosenka także we mnie coś obudziła.

– Rozumiem. Chce pani zobaczyć córkę.

– No właśnie.

– Sądzę, że to właściwa decyzja – powiedział Jules zastanawiając się nad kolejnymi słowami. Ponieważ jeśli teraz popełni błąd, tak bardzo zastraszy Klare, że ją nieodwołalnie straci.

Pomacał, czy w kieszeni jego spodni wciąż tkwi pęk kluczy, pomyślał o brakującym nożu na wyspie kuchennej i spytał:

– Ma pani coś do pisania?

– Oczywiście, że nie. Ale chwila, obok dźwigni zmiany biegów leży pi-sak.

– Proszę się nie krępować – usłyszał na wpół rozbawiony, na wpół zdzi-wiony głos siedzącego obok niej kierowcy.

– Okej, zrobmy zatem tak, jakbyśmy byli w szkole. Proszę sobie zapisać numer mojej komórki na wewnętrznej stronie dłoni.

– Po co te głupoty? Przecież już ze sobą rozmawiamy.

– Przez Nocny Powrót. Jeśli połączenie ulegnie zerwaniu, a pani spróbu-je raz jeszcze zadzwonić, z pewnością połączy się pani z innym wolontariu-szem. Podaję teraz mój numer prywatny.

– Ale pan chyba rozumie, że od paru godzin próbuję przerwać naszą roz-mowę? Z pewnością nie zadzwonię na prywatny numer.

Z każdą minutą Klara w słyszalny sposób odzyskiwała energię. Nadszedł już czas, żeby tę siłę skierować wreszcie na właściwe tory.

Czasami, pomyślał Jules, przydatne jest w tym celu stworzenie poczucia zagrożenia.

– Czy zdaje sobie pani sprawę, że pani sytuacja dramatycznie się pogorszyła?

– W jakim sensie?

– Proszę tylko teraz nie panikować, ale przed chwilą opisała mi pani kierowcę samochodu, do którego pani wsiadła.

– No i?

– Proszę mi wyjaśnić jedno... – Zrobił pełną napięcia pauzę – ...jeśli Święty Mikołaj siedzący obok pani wraca z jakiejś imprezy, to o tej godzinie jest już z pewnością po pracy. Dlaczego zatem wciąż ma przyczepioną brodę?

31

*N*ic, nawet żadnego szumu.

Odpowiedź Klary, jeśli w ogóle jakiejś udzieliła, utknęła gdzieś w eterze.

Brak zasięgu?

Według ciągle chodzącego licznika na ekranie połączenie z Klarą wciąż istniało, choć od czasu ostatniego pytania jego rozmówczyni nie wypowiedziała ani słowa. Cyferki informujące o czasie trwania połączenia przeskaکیwały co sekundę do przodu, w niepewną, groźną przyszłość. Nie tylko dla Klary, która podczas swej nocnej ucieczki przed Martinem i Yannickiem być może napotkała kolejne męskie zagrożenie w postaci kierowcy u swego boku. Także Jules czuł się zagrożony przez jakąś niewidoczną siłę. Przez osobę, której udało się niepostrzeżenie dostać do mieszkania. Która – kiedy Jules pomyślał o drewnianym bloku koło zlewu – mogła być nawet uzbrojona.

I którą zamknął razem ze sobą w środku mieszkania.

Pęk kluczy w kieszeni jego spodni sprawiał wrażenie rozpalonego, jakby leżał wcześniej na grillu. W drodze do kuchni Julesowi wydawało się, że klucze przepalają materiał, podobnie jak rozpalone do czerwoności żelazo.

Wrócić do pokoju dziecięcego?

Zaryglować wszystkie drzwi?

Zadzwoić na policję?

Jules zastanowił się, co na jego miejscu zrobiłby każdy normalny człowiek, i zdecydował się na najbardziej oczywiste rozwiązanie. Zanim miałyby

poprosić kogoś obcego o pomoc, musiał się sam upewnić, więc postanowił gruntownie przeszukać całe mieszkanie. Poza wszystkim policja nie przyjechałaby z interwencją tylko dlatego, że Jules powiedziała by do słuchawki: „Proszę jak najszybciej przyjeżdżać. Jestem wraz córką w niebezpieczeństwie. Słyszałem brzęk kluczy i zginął mi jeden nóż kuchenny”.

W sobotni wieczór taki jak dzisiaj, gdy sama tylko pogoda stawiała miasto w stan alarmowy, na całą dzielnicę były co najwyżej trzy radiowozy, a ich załogi musiały się zajmować o wiele poważniejszymi sprawami.

Jules właśnie się zamyślił, od którego pokoju powinien zacząć przetrząsanie mieszkania, gdy jego komórka zawibrowała.

Bez pozdrowienia, bez słów wprowadzenia. Ojciec od razu przeszedł do rzeczy:

– No więc rozgrzałem kilka telefonów do czerwoności, co jak sobie możesz wyobrazić, chłopcze, o tej godzinie nie jest wcale taką prostą sprawą. Ale mam specjalny układ z pewną pierwszoklasną pielęgniarką.

Aha. „Specjalny układ”. A więc w taki sposób określa teraz swoje seksualne eskapady.

Jules, który tymczasem dotarł do kuchni, zdziwił się, że wciąż jest wystarczająco dużo młodych i najczęściej całkiem nieźle wyglądających kobiet, które ciągle dają się nabierać na sztuczki tego posuniętego już w latach playboya, podającego się za prywatnego detektywa. Być może pociągały je jego mroczne strony, które czasami prześwitywały jak zmarszczki spod pokruszonego make-upu. Podczas jednej z rozmów prowadzonych przy okazji świąt Bożego Narodzenia ojciec, zalewając się łzami, zapewnił go, jak bardzo żałuje swojego brutalnego zachowania. Także tego, że całą wściekłość na swoje spieprzone życie wyładowuje teraz na synu po tym, jak biciem wygnał mamę z ich wspólnego życia. Jules nigdy jednak nie uwierzył w jego skruchę. Dla niego brzmiało to jak zapewnienia skończonego alkoholika, że od tego dnia ani razu nie weźmie alkoholu do ust, podczas gdy udało mu się wyszukać klinikę odwykową zlokalizowaną w pobliżu jego ulubionej knajpy.

– Co masz dla mnie? – spytał Jules i obrócił się, by spojrzeć za siebie. Wydawało mu się, że w matowym lustrze chromowanej lodówki widzi jakiś cień. W kuchni nie było jednak nikogo.

– Trzy słowa: zapomnij o tym!

– Całkiem nic?

– Mam na myśli to, że powinieneś zapomnieć o tej babce. Z nią jest coś nie teges. Tak, była w klinice Berger Hof, ale nie jako uczestniczka jakiegoś eksperymentu, ale na leczeniu, bo rzeczywiście cierpiała na zaburzenia poznawcze czy jak to się tam to nazywa, gdy człowiek nie jest w stanie odróżnić urojeń od rzeczywistości.

– No i?

– I? Czego Ci więcej trzeba, by skumać, że się zagalopowałeś? Wyłącz na chwilę syndrom pomagacza i wrzuć na luz. Skoro już chcesz uratować świat, skoncentruj się na realnych ludziach. Także o tym Johannesie Kieferze nikt nic nie słyszał. Nie było i nie ma lekarza o tym nazwisku.

Jules przysunął sobie stółek barowy i usiadł przy blacie wyspy. Stąd miał dobry widok przez otwarte na oścież drzwi na korytarz. Gdyby ktoś próbował się zbliżyć do pokoju dziecięcego, będzie go z tego miejsca widzieć i słyszeć.

– Sprawdź jeszcze pod nazwiskiem Yannick. A co z Kernikiem?

– A tak, racja. To jest w tym najlepsze. Rozmawiałem z nim przez telefon.

– Żyje?

– Cały i zdrowy. Co najwyraźniej świadczy, że lekarz rezydent nigdy nie wyskoczył z okna, jak Ci to próbowała wmówić ta bajkopisarka.

– Dziwne. – Jules otworzył górną szufladę w wyspie kuchennej. Ze znajdujących się w niej przyborów do pieczenia (foremek, wałka, papieru do pieczenia) nie dało się zrobić żadnej użytecznej broni przeciw jakimukolwiek intruzowi, o ile taki w ogóle gdzieś tu się znajdował.

– Nie dziwne, tylko szalone. Po prostu odłóż tę sprawę i zapomnij o niej. Wracam do łóżka.

– Nie, nie zrobisz tego. – Jules musiał przyznać, że wnioski wysunięte przez ojca same się nasuwały: zagalopował się. Ale choćby dla zasady nie chciał teraz ot tak po prostu odpuścić ojcu. – Dowiedziałeś się, jak ona ma na nazwisko?

– Nie. Nie poznałem też adresu.

Że jak?

– Skąd ta pielęgniarka wiedziała, o kim jest mowa?

– Bo wszyscy tam bardzo dobrze pamiętają tę szaloną kwokę, która krzycząc, latała po całej klinice i twierdziła, że jakiś lekarz odebrał sobie życie. Nawet tam zbyt często się to nie zdarza.

Jules pokręcił głową. Coś się w tej historii nie zgadzało. Jego ojciec był zmęczony i po prostu nie miał ochoty na zgromadzenie wszystkich potrzebnych informacji.

– Niech zgadnę. Twoje źródło nie ma w środku nocy dostępu do bazy danych z personaliami pacjentów.

– Bingo.

– No dobrze, ale nie ustępuj. Chciałbym wiedzieć, z kim mam do czynienia. Aha, musisz się jeszcze dla mnie udać do Le Zen.

– Do tego hotelu?

– Właśnie.

– Ale po co?

Jules zmrużył oczy, co nie miało najmniejszego sensu, bo to nie bodziec wizualny go zaalarmował przed sekundą, lecz jakiś trzask. Przy czym mógł on dobiegać od strony starego okna. Na zewnątrz wciąż padał śnieg z deszczem, a porywisty wiatr cały czas szarpał wszystkim, co mu stało na drodze. Nic dziwnego, że w środku mieszkania co jakiś czas coś trzeszczało i skrzypiało.

– Powiem Ci, jeśli za trzydzieści minut będziesz stał w hotelowym lobby – powiedział do ojca, który niezwłocznie zaprotestował:

– Spojrzałeś może na zegar albo przez okno? Nie mam najmniejszej ochoty opuszczać przy tej pogodzie mojej ciepłej chaty.

– Mimo to zrobisz to.

– A jeśli nie?

– To już nigdy w życiu nie zamienię z Tobą ani słowa.

Ostateczna groźba. Jules wiedział, że choć ciągle na niego wymyślał, w gruncie rzeczy był dla ojca jedynym naprawdę istotnym kontaktem. Na pierwszy rzut oka H. C. Tannberg wyglądał jak pień masywnego dębu. Przed wzrokiem osób postronnych ukryte było jednak to, że drzewo to było utrzymywane w pionie przez zaledwie kilka niewidocznych pod powierzchnią ziemi korzeni. Najsilniejsze stracił wraz z odejściem żony, przyjaciół miał niewiele. Jeśli teraz przeciąłby więź łączącą go z synem, przy najbliższej nadarzającej się burzy zaczęłby się chwiać i runął na ziemię.

– Okej, okej, zrobię to – zgodził się szybko ojciec. – Ale jeśli mnie o to pytasz, powinieneś pomyśleć o czymś zupełnie innym.

– A mianowicie? – Jules zamrugął.

– Rozmawiasz z tą kobitką przez laptopa, prawda?

– Racja.

– Który otrzymałeś dziś od tego Cezara?

– Tak. – Do czego ojciec zmierzał?

– I pierwszy telefon, który odebrałeś zaraz po rozpoczęciu swojej zmiany, pochodzi akurat od niedoszłej samobójczyni, która podobnie jak Dajana była na leczeniu w klinice Berg Hof? – Ojciec mlasnął językiem. – A więc, jeśli nie jest to niewiarygodny zbieg okoliczności, to już sam nic nie wiem.

Masz rację. Nic tutaj nie jest dziełem przypadku, pomyślał Jules i przechylił ponownie głowę. Kolejny raz zamknął oczy, choć tak naprawdę było to bezcelowe, ponieważ w ten sposób jego zmysły wcale nie uległy wyostrzeniu. Przeciwnie. Prawdopodobnie spletały mu teraz figla.

Niepewny, czy nie pada przypadkiem ofiarą własnej wyobraźni, zakończył połączenie z ojcem, wziął do ręki głuchy w tej chwili telefon komórkowy, przy którego użyciu miał nadzieję na utrzymanie kontaktu z Klarą, i ruszył w ślad za odgłosem ciekącego kranu.

Chociaż nie bardzo wiedział, skąd on może dobiegać.

32

Klara

Trzydzieści potworów, z których większość śpi.

Klara podczas dłuższych podróży samochodem, chcąc zadbać o nastrój córki, zawsze jej opowiadała, że nawigacja samochodowa służy do poruszania się w świecie potworów. Gdy tylko robiło się ciemno, pokazywała liczbę oraz aktywność duchów znajdujących się na ich trasie. Ciemnozielone obszary na mapie sygnalizowały obecność śpiących potworów, jaśniejsze kolory oznaczały te, które właśnie gdzieś wędrowały. Wskaźnik prędkości pojazdu oznaczał ich łączną liczbę, ale Amelie nie miała się czego obawiać. Złe stworzenia nie mogły przeniknąć przez karoserię samochodu, w środku auta dziewczynka była zawsze całkowicie bezpieczna.

Wszystko to kłamstwo, pomyślała Klara, gdy pojazd opuścił wyboistą drogę leśną i skręcił w Teufelsseechaussee. Telefon komórkowy tkwił między jej udami, które powoli tajały, podobnie jak reszta jej ciała.

„Dlaczego wciąż ma przyczepioną brodę?”

Odkąd Jules zadał to pytanie, Klara marzyła, żeby bajka o nawigacji do poruszania się wśród potworów, którą wciskała Amelie, przynajmniej w swoim ostatnim punkcie odpowiadała rzeczywistości. Jednak oczywiście w prawdziwym życiu nie istniały bariery, które zatrzymałyby bestie, i z bardzo dużym prawdopodobieństwem Klara siedziała właśnie w samochodzie obok jednej z nich.

Przecież Hendrik (czy jak on tam się nazywał) wciąż miał na sobie kompletny kostium Świętego Mikołaja, a brody nie odczepił nawet teraz.

W podnieceniu nie pomyślała o tym, jak bardzo to było bezsensowne. Samo tylko pracujące na wysokich obrotach ogrzewanie samochodowe powinno było go skłonić do zerwania białego filcu z twarzy (a przecież Hendrik nie był tak przemarznięty jak ona). W dodatku wciąż miał na sobie rękawiczki, które podobno były obowiązkowym elementem idealnego stroju postaci (czytała o tym kiedyś w jakimś czasopiśmie dla kobiet), ponieważ najlepiej pozwalały ukryć prawdziwy wiek osoby wcielającej się w rolę Świętego Mikołaja.

Żadnych ozdób, zegarków, białych skarpetek, tanich dżinsów. Niczego, co mogłoby rozwiewać iluzję w oczach dzieci, które z natury są nieufne.

– Wydaje mi się, że najbliżej jest szpital Paulinenkrankenhaus na Heerstrasse, ale nie wiem, czy mają tam SOR.

Drażek zmiany biegów zaskrzypiał, gdy Hendrik wrzucił wyższy bieg. Wiatr szalejący za oknem wiał tak mocno, że mały samochód co jakiś czas był przyhamowywany, jakby jakiś niewidzialny olbrzym siadał na jego dachu.

Liczba wskazywana przez nawigację potworową zmieniła się z trzydziestu na pięćdziesiąt. Wraz z prędkością rosła też obawa Klary.

Sam tylko fakt, że o tej porze Hendrik wciąż był w drodze, stanowił wystarczającą przesłankę, że miała do czynienia z kłamcą, który w najłagodniejszym przypadku był tylko ekscentryczny, ale bardzo prawdopodobne, że również groźny. Osoby przebrane za Świętego Mikołaja występowały na uroczystościach urządzanych po południu w prywatnych mieszkaniach, a nie o tej godzinie duchów w środku lasu.

– Może byś mi tak powiedziała, co to wszystko ma znaczyć? No wiesz, najpierw skaczesz mi pod koła, a potem podczas jazdy do szpitala śpiewasz kołysanki. Nic nie mówię, ale moje pierwsze randki wyglądały zazwyczaj nieco inaczej.

Ach tak? Najpierw koktajl gwałtu, potem opaski zaciskowe i taśma klejąca?

Klara zastanowiła się, czy nie powinna zrobić tego, co nasuwało się samo przez się, i zapytać go po prostu o przebranie. Ale jaką odpowiedź mogłaby wówczas otrzymać? „Tak, to prawda, jestem obrzydliwym zbokiem, który chętnie się przebiera przed uprowadzeniem i zgwałceniem kobiety. Przepraszam, że wcześniej tego pani nie powiedziałem”.

Nie. Teraz, gdy opuścili już las i odjechali spory kawałek od domku letniskowego, musiała najszybciej, jak to tylko możliwe, wydostać się z samochodu. W gruncie rzeczy było jej wszystko jedno, czy Hendrik był psychopatą, czy tylko niegroźnym czubkiem. Tak czy owak nie miała zamiaru zdradzać mu swojego prywatnego adresu, a musiała się tam jak najszybciej dostać. Do Amelie. Tę tęsknotę wzbudził w niej z powrotem Jules. Klara pragnęła po raz ostatni ujrzeć twarz córki, potrzymać ją za rękę, pocałować, zanim Yannick lub Martin doprowadzą swoje dzieło do końca. Tak czy inaczej, każdy z nich na swój sposób.

– Zmieniłam zdanie – odezwała się Klara. Mijali właśnie kościół po lewej. – Proszę mnie wysadzić przy stacji kolejki podmiejskiej Heerstrasse.

– W żadnym razie – odpowiedział Hendrik zgodnie z jej podejrzeniami. Przykręcił o jeden stopień ogrzewanie, przestawił wycieraczki o jeden stopień wyżej, ale nie wyglądało na to, że ma zamiar zdjąć z twarzy atrapę brody.

– Jeden mój kumpel, Jürgen, został kiedyś potrącony przez takiego typka. Lekka stłuczka na skrzyżowaniu. Bolał go kark, więc chciał dopiero na drugi dzień pójść na rentgen. Na szczęście jego kobitka go przekonała. I co się okazało? Dwa kręgi szyjne złamane.

– Proszę, chcę wysiąść.

– A ja nie chcę się spotkać z prokuratorem, który mnie zapyta, jak mogłem pozwolić ciężko rannej kobiecie po prostu wysiąść w środku nocy.

– Nie jestem ciężko ranna.

– Jürgen też tak myślał... Hej, co jest?

Kierowana głosem natchnienia Klara otworzyła tymczasem schowek obok pasażera. I wraz z zawartością, która wysypała się z przepelnionego pojemnika, znalazła odpowiedź na pytanie, czy Hendrik jest tylko niegroź-

nym czubkiem, czy też niebezpiecznym psychopata. Gdyż pomiędzy prezerwatywami, kajdankami oraz lateksowymi rękawiczkami błyszczał długi, ząbkowany nóż, a także lufa pistoletu kalibru 9 milimetrów.

33

Zatrzymaj się! – krzyknęła Klara, kierując broń prosto w pierś Hendrika. Nigdy w życiu nie strzelała z pistoletu, ale z odległości dwudziestu centymetrów trudno byłoby jej chybić tak ogromnego celu siedzącego za kierownicą.

– Jesteś pijana?

– Powiedziałam...

– Tak, tak, nie jestem głuchy. – Hendrik nadepnął na hamulec, co na zasnieżonej drodze sprawiło, że samochód wpadł w poślizg.

– Zatrzymaj się!

– Kiedy nie mogę.

W końcu pojazd stanął. Nieco krzywo, obrócony w prawo w kierunku ścieżki rowerowej, za którą był las, z którego Klara dopiero co wyszła.

Z deszczu pod rynnę.

– Spokojnie, okej? – Choć Klara groziła mu śmiertcionośną bronią, Hendrik najwyraźniej nie tracił spokoju. Przeciwnie, wydawał się dobrze bawić. Pod doczepioną brodą chyba się nawet uśmiechał.

Chciała zażądać od niego, żeby zdjął brodę i pokazał swoją prawdziwą twarz, ale w gruncie rzeczy było jej wszystko jedno. I tak go już nigdy w życiu nie zobaczy. Jeśli tylko uda jej się wyjść żywą z samochodu.

Albo jeszcze lepiej...

– Wsiadaj!

– Co?

– Wsiadaj stąd!

- Chcesz zwędzić mi hyundaia?
- Pożyczyć. Odstawię go przy stacji Heerstrasse. To dziesięć minut piechotą stąd.
- Słuchaj no. Nie wiem, czym się tam ujarąłeś, ale nie mam najmniejszej ochoty łązić w tej chlapie tylko dlatego, że Ci się coś pokićkało.
- Wypad! – Dosłownie przystawiła mu pistolet do piersi.
Co okazało się błędem.

Z szybkością, której się nie spodziewała po tak potężnym mężczyźnie, podniósł gwałtownym ruchem przedramię, tak że pistolet walnął Klarę w nos. Natychmiast krew połała się strumieniem, jak gdyby ktoś nagle odkręcił kran. Oślepiąca bólem pozwoliła wyrwać sobie broń z dłoni, zanim w ogóle zdążyła pomyśleć o tym, żeby zgiąć palec. Jednak zważywszy na to, że lufa przez krótki moment była skierowana w jej kolano, było to prawdopodobnie szczęściem w nieszczęściu.

Z pewnym opóźnieniem Klara poczuła, jakby za jej oczami eksplodował mały ładunek wybuchowy. Wraz z falą uderzeniową ból utorował sobie drogę od środka na zewnątrz, przekształcając się z jasnych, migotliwych płomieni w środku głowy w przeraźliwy krzyk w jej ustach. Jednocześnie poczuła, jak coś unosi jej rękę. Jak poruszona niewidzialną siłą jej prawa dłoń, którą chciała zatamować płynącą z nosa krew, podniosła się jeszcze wyżej. Potem Klara usłyszała kliknięcie i okazało się, że Hendrik ostatecznie ją unieszkodliwił, przypinając kajdankami jej prawy przegub do uchwyty nad drzwiami pasażera.

- Szlag jasny! – ryknął na nią, podczas gdy ona nie mogła z bólu otworzyć oczu i nie czuła niczego poza smakiem krwi. – Musiałaś to zrobić? Czemu nie mogłaś po prostu tu siedzieć na tyłku?

Ton jego głosu się zmienił. Wraz z rosnącą wściekłością stał się nie tylko głośniejszy, ale też wyższy i młodszy. Brzmiał teraz prawie jak głos kogoś całkiem młodego.

- Nie chciałem tego, rozumiesz? Chciałem tylko do domu. Nie chciałem znów kłopotów. A teraz to. Niech to szlag!

Klara słyszała narastającą w nim rozpacz. Słyszała wycieraczki szorujące zawzięcie przednią szybę. Słyszała swój wewnętrzny głos, który jej mówił, że w końcu jednak udało jej się znaleźć sposób na rozstanie się z życiem bez przykładania do tego ręki, ponieważ szaleniec w kostiumie Świętego Mikołaja załatwi to za nią. Mimo to zaczęła błagać:

– Proszę, pozwól mi odejść.

– A gównu. Trzeba się było wcześniej zastanowić. Teraz już nie mogę.

– Dlaczego? Nikomu nic o Tobie nie powiem.

Nie wiem nawet, jak wyglądasz.

– I ja mam Ci uwierzyć? Cholera, jestem na warunkowym. Ty polecisz zaraz do glin, a ja wyląduję za kratkami. Nieee, nieee, nieee...

Klara, która przycisnęła lewe przedramię do krwawiącego nosa, jak gdyby chciała w nie kichnąć, pokręciła głową tak ostrożnie, jak to tylko możliwe.

– Przecież ja nawet nie wiem, jak wyglądasz. Proszę, uwolnij mnie i pozwól mi wyjść. Chciałam tylko wysiąść.

– Kurwa! – Z rozpaczliwym okrzykiem otworzył drzwi samochodu, a wówczas zapaliło się oświetlenie kabiny.

Ta część ulicy Teufelsseechaussee była pogrążona w całkowitych ciemnościach. Nie było tu ani domów mieszkalnych, ani latarni ulicznych i oczywiście nikt nie jechał z naprzeciwka ani nie wymijał ich. Szeroka ulica prowadziła w kierunku jeziora, torów saneczkowych oraz punktów widokowych i w zimie była odwiedzana przez miłośników wycieczek tylko za dnia.

Poza ewentualnie kimś, kto chce się rzucić w dół ze ścianki wspinaczkowej, ale nawet taki ktoś przyjeżdża tu kolejką, a ostatni odcinek pokonuje na piechotę.

Klara zadrżała. Gdy silnik nie działał, zimno jak głodne zwierzę wgryzało się do środka samochodu, mimo że Hendrik natychmiast zamknął drzwi.

Na warunkowym?

Nawet gdyby jego przebranie, broń oraz kajdanki nie były wystarczającymi poszlakami, to właśnie sam jej to powiedział. Siedziała w samocho-

dzie przestępcy. Przykuta i ranna.

Za każdym razem gdy w ostatnich dniach wizualizowała sobie godziny dzielące ją od śmierci, widziała się w takim stanie, w jakim znajdowała się teraz: zdana na cudzą łaskę, omdlała, zakrwawiona. A właśnie tej bezradności chciała za wszelką cenę uniknąć.

Przed kilkoma laty słuchała podcastu o różnych dziwnych faktach na temat śmierci. Dwójka moderatorów wyśmiewała się z tego, że w Wielkiej Brytanii jeszcze w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia nieudane próby samobójstwa były karane śmiercią. „Na sam koniec biedaczyna i tak dostawał to, co chciał!”, brzmiał komentarz jednego z prowadzących. Klara już wtedy wiedziała, że ten ktoś się bardzo mylił, ponieważ naturalnie były to dwie całkowicie różne rzeczy. Czym innym jest własna decyzja, a czym innym sytuacja, gdy kat odbiera komuś życie. Jednak na stanowienie o swoim losie było w jej przypadku już za późno. Uciekając przed dwoma śmiertelnymi niebezpieczeństwami, wpadła w łapy trzeciego drapieżnika.

W śmiesznej próbie uwolnienia się szarpnęła kajdankami, które trzymały równie mocno jak uchwyt nad drzwiami. Jakże szybko udało mu się ją przykuć! Bez wątpienia miał wprawę.

Doświadczenie w zabijaniu...

Wzdrygnęła się, gdy drzwi po jej stronie się otworzyły i nagle stanął przy niej Hendrik. Przytrzymał się dachu samochodu i pochylił się nad nią.

Jak prostytutka na Kurfürstenstrasse, która szuka chętnego na swoje usługi, pomyślała Klara.

– Tak to jest, jak człowiek stara się być miły – narzekał. Broń, którą jej przedtem zabrał, błysnęła w jego rękach. Na lufie, którą wymachiwał jej teraz przed nosem, odbił się blask oświetlenia wnętrza pojazdu. – Cholera, wcale tego nie chciałem.

– To pozwól mi odejść – spróbowała raz jeszcze. – Proszę.

Hendrik zrobił ruch ręką, jakby chciał ją spoliczkować. Odwróciła głowę, żeby uniknąć ciosu, a wtedy jej wzrok padł na deskę rozdzielczą, która pod jednym względem była bardzo podobna do tej, jaką miała w mini.

Nie było stacyjki.

Podobnie jak w jej samochodzie, Hendrik nie musiał wkładać kluczyków do stacyjki i ich przekreślać. Wystarczyło tylko dotknąć przycisku START obok dźwigni zmiany biegów i silnik się uruchamiał, pod warunkiem że elektroniczny kluczyk znajdował się we wnętrzu samochodu.

Lub przy ciele kierowcy, który dotykał pojazdu!

Nawet przez sekundę nie próbując analizować tej rozpaczliwej myśli, Klara wyciągnęła lewą nogę i przesunęła ją w kierunku miejsca przed siedzeniem kierowcy. Na szczęście pojazd był tak mały, że mogła dosięgnąć stopą pedału hamulca. Było to konieczne, żeby aktywować zapłon przez dotknięcie przycisku. I zanim Hendrik zdążył zareagować i puścić dach, kontakt między elektroniką samochodową a nadajnikiem na jego ciele został nawiązany i silnik rzeczywiście zapalił.

Fala euforii, wywołana przez ten drobny sukces, wyzwoliła w Klarze nowe siły. Z prawą dłońią wciąż przytwierdzoną do uchwyty nad głową, przełożyła lewą nogę z hamulca na pedał gazu. Samochód zrobił skok do przodu i pociągnął Hendrika kawałek za sobą. Pojazdem zatrzęsło, jakby jechał po nierównym bruku, lecz pełen bólu krzyk mężczyzny zasygnalizował jej, że po prostu przejechała mu po stopach.

Poprzez wycie pracującego na wysokich obrotach silnika usłyszała, jak coś w środku samochodu poleciało na przednią szybę i spadło po desce rozdzielczej pod jej nogi. Prawie jednocześnie popchnięte pędem powietrza drzwi od strony pasażera, które otworzył wcześniej Hendrik, zamknęły się, choć nie tak mocno, by zamek się zatrzasnął.

Wszystko jedno.

Najważniejsze to oddalić się na wystarczająco duży dystans od tego szaleńca.

Z buksującymi tylnymi kołami i lewą ręką na kierownicy pędziła wyjąłym samochodem przez śnieżycę. Pięćdziesiąt, sto, dwieście metrów, aż...

O Boże, nie!

Silnik nagle zamarł i gdyby usłyszała huk, Klara pomyślałaby, że eksplodował od przeciążenia. Wiedziała jednak, że się po prostu pomyliła i tym samym zaprzepaściła swoją ostatnią szansę.

Nerwowo nacisnęła ponownie przycisk START. Jeszcze raz i znów. Wszystko na nic.

Silnik zgasł i nie dało się go ponownie uruchomić. Świeciły się tylko reflektory i wskaźniki na desce rozdzielczej.

I to by było na tyle...

Miała nadzieję, że raz uruchomiony silnik już się nie zatrzyma. Ale system najwyraźniej rozpoznał, że kluczyka elektronicznego nie ma już w samochodzie.

Lub to Hendrik – co wydawało się bardziej prawdopodobne – wykorzystał swój kluczyk jako pilota zdalnego sterowania i aktywował blokadę antykradzieżową.

Tak czy inaczej wciąż tkwiła w pułapce. Niezdolna przesunąć ją choćby o metr.

Zerknęła do lusterka wstecznego, a potem obróciła się, żeby spojrzeć na Hendrika.

Powoli zbliżał się do niej i Klara miała ochotę głośno krzyknąć, tak niesamowity i dziwaczny obraz widziała w krwistoczerwonym blasku tylnych świateł samochodu: utykający Święty Mikołaj zmierzał w jej kierunku po oblodzonej drodze i przedzierał się przez zadymkę śnieżną z bronią w rękę. Rzucił w jej stronę wyzwiska, niesłyszalne, bo całkowicie zagłuszone przez szalejący za oknem wiatr i narastający w niej strach.

W rozpacz Klara zaczęła rozglądać się gorączkowo po wnętrzu hyundai. W ten sposób odkryła przedmiot, który przedtem poleciał na przednią szybę, a teraz był oddalony od niej zaledwie o kilka centymetrów. Musiał mu wcześniej wypaść z rąk – z pewnością wbrew jego woli – ponieważ tym małym metalicznym obiektem okazało się kółko z dwoma małutkimi kluczykami, które – o ile się całkowicie nie myliła, powodowana zniekształcającą postrzeganiem paniką – pasowały do kajdanek.

Niestety kluczyki utknęły pomiędzy siedzeniem a wykładziną samochodową, koło szyny, po której przesuwało się fotel. Klara mogła ich wprawdzie dotknąć, podobnie jak kilku starych frytek i monety dziesięciocentowej, które musiały tam kiedyś wpaść, potrzebowała jednak drutu, pa-

tyka albo – do cholery – obu rąk, żeby je w jakiś sposób stamtąd wydobyć. Poza tym Hendrik był już o wiele za blisko. Już za chwilę otworzy drzwi od strony kierowcy, usiądzie obok niej i stłucze ją na kwaśne jabłko. Lub zrobi coś jeszcze gorszego po tym, jak go zraniła, podejmując próbę ucieczki.

Mimo to spróbowała niemożliwego. Wcisnęła rękę tak głęboko, jak to tylko możliwe, pomiędzy siedzenie i...

Pomóż mi, Panie Boże...

Czubki jej palców dotknęły kluczyków i przesunęły je do przodu, pod stopy, tylko o kilka centymetrów. Czują zapach własnego strachu, pot, którym przeniknęło jej ubranie. Podniosła znów głowę i obróciła do tyłu. Zobaczyła Hendrika, oddalonego co najwyżej o dwa metry. Zostało zbyt mało czasu, żeby sięgnąć po kluczyki, włożyć je lewą ręką do zamka, obrócić, uwolnić się, wysiąść i uciec.

Nie miała jednak innego wyjścia, więc spróbowała raz jeszcze. Pochyliła się do przodu, szarpiąc z całej siły za przegub ręki, wieszając się na nim całym ciężarem ciała. Poczuła, jak kajdanki rozrywają skórę w najbardziej wrażliwym miejscu koło tętnic na nadgarstku, których nigdy nie odważyła się przeciąć (choćby dlatego, że chciała osobie, która znajdzie jej ciało, oszczędzić widoku krwi), aż wreszcie udało jej się uchwycić pióro kluczyka między palcami serdecznym a małym. Ponownie spojrzała za siebie, przekonana, że zobaczy Hendrika zaraz za tylną szybą samochodu. Pomyliła się jednak.

Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu gapiała się na ciemną ulicę.

Hendrik, czy jak tam się naprawdę nazywał skazany już kiedyś przestępca, który przykuł ją kajdankami we wnętrzu swojego samochodu, nagle zniknął.

Spojrzała w prawo, w straszliwym oczekiwaniu, że zobaczy go tuż koło drzwi po swojej stronie, lecz ponownie patrzyła w próżnię. *Nic*. Jeśli pominąć stojące na skraju lasu jodły ze zlodowaciałymi gałęziami, z których podmuchy wiatru zrzucały pacyny śniegu.

Wtedy dostrzegła jakiś ruch za sobą. Czyżby ten facet się przewrócił?

Co, co diabła...?

Klara zapomniała otworzyć usta do krzyku, gdyż jej mózg był zbyt zajęty pytaniem, jak to się mogło stać, że cień Hendrika nagle stał się o wiele wyższy i szczuplejszy oraz dlaczego zdjął czapkę, żeby nią do niej pomaćhać. Nie była także w stanie krzyknąć, gdy otrzymała odpowiedzi na te wszystkie pytania. Gdyż człowiek, który pojawił się jakby znikąd i teraz stał obok samochodu z diabelskim uśmiechem na ustach i czapką Świętego Mikołaja jak z trofeum w dłoni, bynajmniej nie był Hendrikiem.

– Znalazłem Cię, Ty pieprzona zdziro! – pozdrowił ją.

Klara zamarła ze strachu. Chciała sięgnąć po telefon znajdujący się wcześniej pomiędzy jej udami, który jednak podczas prób wydobycia kluczyków spadł pod jej stopy. Z przerażeniem stwierdziła, że ekran jest ciemny, a połączenie z Julesem najwyraźniej zerwane. Straciła z nim kontakt. Bardzo prawdopodobne, że nigdy w życiu już się z nim nie skontaktuje, podobnie jak z Hendrikiem, który gdzieś zniknął.

Jedynym człowiekiem który miał jej towarzyszyć w ostatnich godzinach życia, był potwór, który właśnie przytykał jej do głowy przez boczne okno samochodu broń, zabraną najwyraźniej Hendrikowi: Martin.

A potem jej mąż wyryczał prosto w jej twarz mokrą od śliny groźbę, której całego koszmarnego znaczenia Klara nie była w tej chwili w stanie pojąć:

– No to się dorobiłaś! Teraz Cię, suko, zaprowadzę do stajni!

34

Jules

„Znalazłem Cię, Ty pieprzona zdziro!”

Czyżby usłyszał przed chwilą jakiegoś mężczyznę ryczącego to zdanie do słuchawki?

Jules podkreślił głośność w zestawie słuchawkowym, lecz na linii panowała cisza.

Cholera!

Stracił ją.

Niestabilne już do tej pory – zarówno emocjonalnie, jak i akustycznie – połączenie z Klarą przestało ostatecznie istnieć i było bardzo mało prawdopodobne, że kobieta znów do niego zadzwoni, choć podyktował jej wcześniej swój prywatny numer.

„Zdziro”?

Podejrzewał, że Klara jest właśnie w znacznie większym niebezpieczeństwie niż wcześniej tego wieczoru. I to akurat teraz, gdy nie zdążył nawet rzucić jej cyfrowej liny ratunkowej! Odkładając zestaw słuchawkowy na krawędź umywalki, Jules czuł się jak ostatni nieudacznik.

Ciekący kran, który zwabił go do łazienki, był pobrudzony resztkami pasty do zębów, co wcale nie było dziwne w domu, gdzie mieszkało małe dziecko.

Przed pożarem na Prinzregentenstrasse, gdy jeszcze Valentin i Fabienne razem szaleli po zbyt małym dla czteroosobowej rodziny mieszkaniu, pianę o smaku truskawkowym lub malinowym – która po umyciu zębów zasadniczo powinna wylądować w umywalce – można było znaleźć na wszelkich możliwych powierzchniach oraz we wszelkich niedostępnych zakamarkach, roznoszoną przez źle lub wcale nieumyte ręce, które nie ustawały w ciągłym poznawaniu świata – pełnego tajemnic, kryjówek i przygód.

A także śmiertelnych niebezpieczeństw.

Nawet we własnym mieszkaniu.

Po przeprowadzce w obecnym mieszkaniu Julesa było o wiele więcej miejsca, lecz nikt już po nim nie szalał, od tego fatalnego, śmiertelnego dnia, kiedy Dajana zamknęła swoje dzieci, żeby na wieki zgasić płonące w niej światło. Światło, które Jules zawsze uważał za wystarczająco silne, żeby mogło wskazywać innym drogę, a nawet żeby inni mogli się przy nim ogrzać.

Jak mogłem się tak pomylić?

Jules nie spojrział w lustro nad umywalką, ponieważ dobrze wiedział, na jak przemęczonego i zaniedbanego teraz wygląda, z ciemnymi obwódkami oczu i suchą skórą pomiędzy czołem, nosem i ustami. Zadawał sobie pytanie, ile razy pomylił się tylko w ciągu ostatnich paru godzin.

Czy Klara naprawdę była w niebezpieczeństwie? Czy była ofiarą przemocy domowej? Czy też większość tego, o czym opowiadała, istniała tylko w jej wyobraźni, jak twierdził jego ojciec?

„Powinieneś zapomnieć o tej babce. Nie jest całkiem teges. Tak, była w klinice Berger Hof, ale nie jako uczestniczka jakiegoś tam eksperymentu, ale na leczeniu, bo rzeczywiście cierpi na zaburzenia poznawcze, czy jak to się tam to nazywa, gdy człowiek nie jest w stanie odróżnić urojeń od rzeczywistości”.

Czy dzisiaj wieczorem rzeczywiście siedziała w samochodzie i próbowała odebrać sobie życie? Czy w tej chwili naprawdę jechała w środku nocy obok przebranego w kostium Świętego Mikołaja obcego człowieka?

I czy ten kran przed nim kapał przez cały czas?

Jules miał dobry słuch. Gdy chciał iść spać, w całym domu musiał panować spokój. Dajana lubiła się naśmiewać z jego uszu jak u nietoperza, gdy przeczesywał sypialnię w poszukiwaniu urządzenia elektronicznego pikającego na standby’u lub po raz enty odpowietrzał kaloryfer, ponieważ bulgotanie doprowadzało go do białej gorączki. Było dla niego wprost niewyobrażalne, że mógłby przeoczyć ciurkanie dobiegające z łazienki. Poza tym na emaliowanej umywalce zostały rozbryzgi wody – pewny znak, że ktoś niedawno korzystał z kranu, a potem nie zakręcił go porządnie.

A może wcale nie?

Jules czuł, jak serce bije mu szybciej niż zwykle, kiedy sięgał w kierunku kurka, żeby go zakręcić. Pomyślał przy tym o pęku kluczy w kieszeni oraz o braku noża w kuchennym bloku, a także o zdaniu wypowiedzianym kiedyś przez jednego z instruktorów straży pożarnej: „Słuchajcie zawsze swojej intuicji, chłopcy. Kaski, kombinezony robocze, całe wyposażenie tego świata nie ochroni Was tak dobrze jak wewnętrzny, wyszkolony przez doświadczenie życiowe głos. A gdy on mówi, że coś się nie zgadza, to najczęściej rzeczywiście coś się nie zgadza”.

Jules mimowolnie skinął głową. Coś się tu nie zgadzało. Jego wewnętrzny głos nie mówił mu tego, on wprost krzyczał w jego wykrzywioną ze strachu twarz: „NIE JESTEŚ TU SAM!”.

I nie pomagało nic, że dociskał obie dłonie do skroni. W ten sposób Jules nie mógł zmusić tego głosu do milczenia. Przeciwnie, wydawało mu się, że przez to naciskanie na czaszkę głos dochodzący z jej wnętrza krzyczy jeszcze donośniej: „WY OBOJE NIE JESTEŚCIE TU SAMI. TY I TO CUDOWNE, ŚPIĄCE STWORZENIE, KTÓRE W ZASADZIE CHCIAŁEŚ OCHRONIĆ PRZED KOSZMARAMI SENNYMI, A KTÓRE SAM NARAZIŁEŚ NA NIEBEZPIECZEŃSTWO”.

Ponieważ nie posłuchał Klary. Ponieważ nie rozłączył się, gdy go o to poprosiła.

„On nie uwierzy, że to była pomyłka. Że źle wybrałam numer. Cholera. Jeśli się dowie, że tu zadzwoniłam, przyjdzie i”.

– DOSYĆ TEGO! – krzyknął Jules, uderzając pięścią w lustro, które sucho trzasnęło w swojej drewnianej ramie. Ten nieprzyjemny dźwięk niedającego się naprawić zniszczenia zatrzymał karuzelę myśli kręcącą się w głowie Julesa i sprawił, że jego wewnętrzny głos zamilkł.

– Co za głupota!

Nie było demonów, które najpierw nastawały na życie Klary, a potem, po zakończeniu z sukcesem swej misji, miały ruszyć dalej, żeby nawiedzić Julesa.

Pokręcił głową i zaśmiał się ze swojego braku rozsądku i ze swoich nieracjonalnych zmartwień, wywołanych przez brzęk kluczy, który mógł być przecież efektem powiewu wiatru lub ciężkich kroków dochodzących z sąsiedniego mieszkania. W jasnym świetle jego myśli były równie absurdalne jak strach przed własnym odbiciem w lustrze, któremu stawiał teraz czoła. Rysa na powierzchni szkła dzieliła jego głowę na dwie niesymetryczne połowy, ale naturalnie nie było tam żadnego cienia, który kryłby się za jego plecami, żadnej twarzy, która pojawiłaby się nagle wykrzywiona straszliwym grymasem. Nie czuł też zimnego oddechu na karku.

Zamiast tego kran znów zaczął kapać. Prawdopodobnie był po prostu zepsuty i ciekł niezależnie od tego, jak mocno by się go zakręciło. Jules spróbował ponownie dokręcić kurek, ale to nie miało sensu. Rury wodociągowe też najwyraźniej wymagały naprawy, bo woda przybrała teraz brudny odcień.

Jules się zdziwił, dlaczego nagle osłabł, a wtedy do umywalki zaczęła jeszcze mocniej kapać pachnąca żelazem, gęsta ciecz, która – jak teraz uważał – nie leciała bynajmniej z kranu.

Kapała grubymi, rdzawoczerwonymi kroplami prosto z jego nosa.

35

Klara

Samo-bójstwo.

Tor-tury.

Ból.

W życiu Klary wiele słów miało potworne znaczenie. Żadne z nich jednak nie wywoływało w niej takiego strachu jak imię Martin. Żadnego nie darzyła większą nienawiścią. Żadnego z biegiem czasu nie nauczyła się tak bardzo bać. Żadne przez te lata nie zmieniło się równie mocno. Z kochanka w sadystę. Z czułości w męczarnie.

...których dzisiejszej nocy jeszcze wiele będę musiała zaznać, pomyślała Klara i odwróciła głowę od Martina. Usiadł przed chwilą za kierownicą, oczywiście nie odpinając jej od uchwytu nad drzwiami, do którego wciąż była przykuta kajdankami Hendrika. Zdążył też już wyłowić jej komórkę z podłogi i włożyć do wewnętrznej kieszeni marynarki. Broń, którą zabrał Hendrikowi wraz z czapką, znajdowała się teraz poza zasięgiem Klary w kieszeni drzwi po stronie kierowcy.

Bez patrzenia wyczuwała sadystyczny uśmiech Martina.

Poza wyzwiskami na powitanie nie wypowiedział do niej jednego słowa. Ani wtedy, gdy uruchomił silnik, ani też wtedy, gdy ruszył na ślizgających się kołach. Najwyraźniej ukradł też Hendrikowi elektroniczny kluczyk do samochodu, którym ją teraz uprowadzał.

Nie wiadomo gdzie.

Wszystko, co wiedziała o celu ich podróży, kryło się w zagadkowym okrzyku: „Teraz Cię, suko, zaprowadzę do stajni!”.

Dokąd jedziemy? I co zrobiłeś z Hendrikiem?, najchętniej by go zapytała, ale dobrze widziała, że w najlepszym wypadku dostałaby w odpowiedzi w twarz. Mimo całego strachu wciąż była w stanie myśleć logicznie. W domku weekendowym uciekała nie przed Yannickiem, lecz przed swoim mężem.

To Martin mnie śledził. Gdy błądziłam po lesie, od dawna czekał już na mnie w swoim samochodzie stojącym na Teufelsseechaussee – jedynej drodze prowadzącej z lasu do cywilizacji. Jechał potem, zachowując bezpieczny odstęp, za samochodem, który wyłonił się z leśnej dróżki ze mną jako pasażerem. Obserwował, jak pokłóciłam się z dziwacznie przebranym kierowcą i próbowałam uciec. I wykorzystał odpowiedni moment, żeby na ciemnej ulicy powalić Hendrika na ziemię.

Tylko w ten sposób Klara zdołała sobie wytłumaczyć, dlaczego Hendrik nagle zniknął, jakby się zapadł pod ziemię, podczas gdy ona rozpaczliwie próbowała się uwolnić.

Prawdopodobnie leżał teraz bez ruchu na zamarzniętej jezdni, wystawiony jednocześnie na dwa niebezpieczeństwa: albo nieprzytomny zamarzenie na śmierć, albo w ciemnościach zostanie przejechany przez inny samochód. Klara znów miała uczucie, że jej życie się beznadziejnie zapętiło, a jedno nieszczęście prowadziło nieuchronnie do następnej katastrofy, w porównaniu z którą to, co dotychczas wycierpiała, zaczynało wyglądać na całkiem niegroźne.

Gdyby mogła teraz zdecydować, wolałaby pozostać dalej we władzy nieznanego, niż być narażona na brutalność swojego męża, który mimo kompletnej wściekłości w oczach wyglądał tak samo bezwstydnie atrakcyjnie jak pierwszego dnia, gdy na jego widok od razu wpadła. Jego trzydniowy zarost był równo przycięty, gęste włosy – dzięki ponawianej co dwa tygodnie, kosztującej sto euro wizycie u fryzjera – idealnie ułożone, a paznokcie foremnych dłoni miały doskonały kształt. Nawet śnieg z deszczem

nie był w stanie zaszkodzić jego stylizacji. W szytym na miarę garniturze opinającym muskularne ciało, z białymi mankietami koszuli wystającymi z rękawów ciemnej marynarki z różową poszetką wyglądał jak model wybierający się na sesję zdjęciową do kampanii reklamowej luksusowych towarów dla mężczyzn: markowych zegarków, sportowych samochodów lub jachtów. Jego głos brzmiał jednak jak głos płatnego mordercy.

– Kto to był? – zapytał Klarę. Zimno. Ostro. I bezwzględnie.

Przyspieszył i wypalił ponownie:

– W którym samochodzie siedzimy?

– Nie wiem.

Uderzenie było mocne, choć nie niespodziewane. Poczwała po nim aż na-
zbyt dobrze znany smak krwi, która pociekła jej z rozciętej wargi.

– Co za pieprzony, zasrany dzień. Najpierw okazało się, że ktoś się włamał do mojego samochodu. Ale mojej żony to oczywiście nic nie interesuje, nie można z nią porozmawiać, nie odbiera telefonów. Jakżeby inaczej... – I znowu wrzasnął: – Bo akurat pieprzy się z jakimś obcym facetem!

Kropelki śliny poleciały jej na twarz.

– Nie, ja...

– Robisz to z nim w naszym domku?

– Ja nie, ja...

– No jaaasne: to nie jest tak, jak wygląda – zakpił Martin i ponownie uderzył. Tym razem kantem dłoni w żołądek.

Klara chciała się skulić, ale nie mogła tego zrobić, ponieważ była przykuta. Poleciała w lewo, gdy Martin zmienił pas.

– Kostiumy i kajdanki? – Martin rzucił jej pogardliwe spojrzenie. – Myślałem, że nie lubisz przebieranek.

Klara rzeźbiła, brakowało jej powietrza, by odpowiedzieć. Poza tym całą swoją uwagę skupiała na tym, żeby nie opróżnić pęcherza na siedzenie pod sobą. Ból po uderzeniu wbił się w jej podbrzusze jak kilof i szalał teraz we wnętrznościach z trudną do powstrzymania siłą.

Martin przyspieszył, żeby zdążyć złapać żółte światło na Heerstrasse. Prawdopodobnie nie chciał ryzykować zatrzymania się koło innego sa-

mochodu, którego kierowca mógłby rzucić ciekawskie spojrzenie na osobę siedzącą obok kierowcy. Przy czym za zaporowanymi szybami ten ktoś zobaczyłby tylko zastraszoną kobietę trzymającą się mocno uchwyty nad drzwiami.

– Myślałem o nas. – Nagle Martin zmienił zarówno nastrój, jak i temat. Był to jego dar albo jego choroba, w zależności od tego, jak na to spojrzeć. Klara nienawidziła tej jego zdolności szybkiego przełączania się z postawy agresywnej na patriarchalną. – A ściślej rzecz biorąc, myślałem o tym, o co mnie zapytałaś.

Na Theodor-Heuss-Platz skręcił na obwodnicę, a Klara oparła czoło o szybę.

Które z moich pytań masz na myśli? Dlaczego w Wigilię rzuciłeś mi na stopę stojak od choinki, łamiąc mi duży palec? Dlaczego oblałeś mnie niemal wrzącą wodą, tak że przez tydzień nie mogłam chodzić do pracy, a potem musiałam udawać, że to był wypadek w solarium?

Żadnego z tych pytań oczywiście nie zadała.

Nauczyła się siedzieć cicho i nie wypełniać nawet najdłuższych przerw w jego monologu dopytywaniem o coś. Bo choćby nie wiadomo jak się starała, żeby wyglądało to na prawdziwe zainteresowanie, zawsze istniało niebezpieczeństwo, że w ten sposób przerwie bieg myśli Martina, co mogło ją kosztować kolejny siniak na plecach.

– Pamiętasz jeszcze? To było w zeszłym roku, jak Cię zawiozłem na SOR w Poczdamie.

Skinęła głową. Bo w Berlinie byliśmy już we wszystkich szpitalach i obawiałaś się, że ktoś zwróci kiedyś uwagę, że Twoja żona, „ta niezdara”, nieco za często „spada ze schodów”.

Tego dnia sprawdził wiadomości na jej komórce (używania PIN-u zabronił jej już wiele lat temu) i znalazł czat z Toni: „Jutro obiad, skarbie?”.

Te trzy słowa, a także to, że Martin nie uwierzył w jej zapewnienia, iż Toni nie jest imieniem męskim, lecz skrótem od Antonia (jej koleżanka z pracy), kosztowały Klarę pęknięcie kręgu szyjnego, tak mocno uderzył jej głową w ścianę.

– Gdy wróciliśmy do domu, a ja gotowałem dla Ciebie Twoją ulubioną potrawę, zapytałaś mnie po raz bez wątpienia tysięczny, czemu nie idę na terapię, skoro po naszych sprzeczkach zawsze jest mi tak przykro. – Odchrząknął i znów przejechał na żółtym świetle. – Wiesz co? Prawda jest taka, że *ja byłem* na terapii. Poszedłem do majstra od dusz, który jest całkiem niezły. Nazywa się Haberland. Jest już dość stary i w zasadzie już nie przyjmuje. A jeśli już, to zajmuje się tylko specjalnymi, ciekawymi przypadkami. Mnie odmówił.

Odważyła się rzucić mu spojrzenie.

– Ponieważ byłem dla niego zbyt zwyczajny. Że tak powiem, standardowy przypadek, jeśli chodzi o przemoc w małżeństwie. – Martin się zaśmiał. – Widzisz, nie mam żadnych problemów, żeby mówić o tym otwarcie. Gdyby była grupa samopomocowa, w której tak jak u Anonimowych Alkoholików trzeba się najpierw przedstawić przed całym zgromadzeniem, zrobiłbym to. Wstałbym i powiedział: „Cześć, nazywam się Martin Vernet. Mam czterdzieści osiem lat, jestem dentystą i biję swoją żonę”.

Spojrzała na niego.

Nieprawda, Martin. Ty jej nie bijesz, Ty ją zabijasz. Być może nie w rozumieniu prawa karnego, ale Twoje uderzenia niszczą duszę Twojej żony, a bez duszy jest ona jedynie martwą powłoką.

– Odbyłem tylko jedną sesję z Haberlandem, który odesłał mnie do innego konowała. Ale tamten powiedział mi jedynie to, co wiedziałem już od dawna: że przemoc domowa nie jest niczym innym jak brakiem pewności siebie. I że pojawia się jako niemal nieuchronny skutek właśnie u takich mężczyzn jak ja.

– Takich jak Ty? – wymknęło się jej.

Dziwny trafem nie ukarał jej tym razem za to przerwanie jego monologu, lecz nawet do niego nawiązał:

– Opowiadałem Ci przecież, jak bardzo zraniony czuł się mój ojciec, gdy moja matka go opuściła.

Klara skinęła głową. Na początku ich związku traktowała to jako dowód zaufania, że Martin podzielił się z nią tą tajemnicą. Współczuła mu, gdy do-

wiedziała się, jak bardzo cierpiał wówczas w wyniku rozstania.

Jaka matka zostawia własne dziecko?

Wtedy nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Dziś rozumiała to lepiej, choć jej sytuacja nie była porównywalna z sytuacją matki Martina. Podczas gdy ona nie była w stanie wyobrazić sobie życia, które nie byłoby naznaczone troskami, strachem i bólem, dla matki Martina zrobiło się po prostu za ciasno w samodzielnie wybranej klatce małżeństwa. To nie ona, lecz ojciec Martina pragnął dziecka. Niestety ustąpiła mu, i to krótko po otrzymaniu angażu jako tancerka w Friedrichstadt-Palast^[6].

Miało to taki skutek, że od pierwszego dnia była przytłoczona rolą gospodyni domowej i matki oraz wciąż opłakiwała swoje dawne życie artystki występującej na scenie.

Z perspektywy czasu wydawało się wręcz cudem, że udało się jej wytrwać w tym całe dziesięć lat, nim poznała znacznie lepiej pasującego do siebie mężczyznę: niekonwencjonalnego, pełnego kreatywności reżysera, z którym rozpoczęła nowe życie. Nie mając pieniędzy i stałego dochodu, zostawili wówczas dziesięcioletniego chłopca z ojcem, który jako prokurent hurtowni z napojami zarabiał wystarczająco dobrze, żeby zagwarantować synowi rozsądny poziom życia. Nie dysponował jednak tym, czego chłopiec wówczas potrzebował najbardziej: ciepłem serca. Skupiony na stałym użalaniu się nad sobą ojciec Martina nie szukał bynajmniej przyczyn rozstania w sobie, w swojej porywczoci czy też w więzieniu, jakim stało się ich małżeństwo, w którym chciał zamknąć swoją obdarzoną silną wolą żonę, gdy zabronił jej występów z zespołem oraz tak ograniczył pieniądze, jakie dawał jej na utrzymanie, że nie mogła już sobie pozwolić na lekcje gry na pianinie. Powodem, dla którego jego zdaniem rozpadło się ich małżeństwo, była „o wiele za długa smycz”, na której ją trzymał i która na koniec rzekomo sprawiła, że mogła się w niej swobodnie rozwinąć „naturalna przyrodzona złośliwość płci żeńskiej”.

„Kobiety są jak płomień”, filozofował ojciec Martina w obecności syna, a ten tak często powtarzał te słowa Klarze, że dziś znała je na pamięć. „Wyglądają tak przepięknie, są pełne ciepła, kuszące i wspaniałe. Ale biada

temu, kto im zaufa i podejdzie zbyt blisko, bo wtedy go spalą. Kobiety wykorzystują ciała i dusze mężczyzn jako pokarm. I gdy już kogoś całkowicie pożrą, kiedy dany mężczyzna jest bez reszty wypalony, rozprzestrzeniają się tym samym jeszcze bardziej. Jaśniejsze, większe i cieplejsze niż wcześniej, przyciągają kolejne ofiary”.

Klara zamknęła oczy, ale słowa, którymi ojciec Martina zatrzał w dzieciństwie umysł swojego syna, nie chciały ucichnąć w jej głowie:

„Jedyne, co możesz zrobić, żeby uchronić się przed kobietami, to nie pozwolić, żeby ich ogień zbyt rozgorzał. Nie zostawiaj mu zbyt wiele miejsca. Nie za dużo tlenu. Miej zawsze na podorędziu coś, czym możesz stłumić płomienie, a w razie potrzeby je zgasić, jeśli rozumiesz, co mam na myśli”.

Na zakręcie jej ciałem rzuciło w prawo. Otworzyła oczy, by przekonać się, że zupełnie nie wie, gdzie są. Ulica zrobiła się o wiele węższa i bardziej śródmiejska niż główna arteria, którą jechali wcześniej. Znajdowali się teraz w dzielnicy mieszkaniowej z kawiarniami, butikami i sklepami ze zdrową żywnością w parterowych częściach starych kamienic.

– Wtedy tylko kiwałem głową, nie pojmując znaczenia tego, co mówił mi ojciec – stwierdził Martin. – Dopiero dzisiaj jego nauka w pełni do mnie dotarła. Kobiety trzeba trzymać krótko. W razie potrzeby należy łamać ich pewność siebie, żeby samemu nie zostać złamanym. Od małego byłem tak warunkowany.

Klara zamknęła oczy, żeby Martin nie zobaczył, jak nimi przewraca.

Jeśli mi teraz zaczniesz jeszcze opowiadać, że jako mężczyzna nie potrafisz się odnaleźć w stale zmieniającym się społeczeństwie, to się porzygam.

Ale Martin się roześmiał. Jego nastrój ponownie uległ zmianie. Mówił teraz przez lekko zaciśnięte usta, głośniejszym wymawiając syczące głoski, co nadawało jego słowom agresywne brzmienie.

– Ale wiesz co? Mój stary miał rację. W ostatnich tygodniach się wycofałem. Pozwoliłem Ci wziąć udział w eksperymencie. Opuścić miasto. Bez szemrania wziąłem na siebie podwójne obciążenie: pracę i Amelie. Gdy wróciłaś, mogłaś dłużej zostawać w bibliotece. Ale pewnego razu sobie po-

myślałem: „Hmm, czy ona dobrze wykorzystuje Twoją dobroduszość?”. – Spojrzał na nią. – „Nie”, pomyślałem. „Nie moja Klara. Nie moja żona, którą tak dobrze wychowałem”. Oparłem się pokusie, żeby wziąć pod lupę Twoją komórkę, choć czułem, że się zmieniała. Choćby przez to, że nagle zaczęłaś kłaść telefon na stole wyświetlaczem do dołu. Bałaś się że zadzwoni ten świąteczny klaun?

Pokręciła przecząco głową.

Nie, chociaż mi nie uwierzysz, to ja go nawet nie znam.

– Nawet po tym, jak próbowałaś mi wcisnąć te swoje bajeczki o napadzie, kiedy ku naszej hańbie znalazłem Cię kompletnie ubabraną w ogródku przed domem, powstrzymałem się i tylko lekko skarciłem Cię pasem. Ale oczywiście podjąłem odpowiednie środki zaradcze, zgodnie z mottem mojego starego: „Kontroluj każdy krok swojej żony, bo inaczej stracisz kontrolę nad własnymi krokami”.

Zatrzymali się pod wiaduktem kolejki podmiejskiej i teraz Klara poznała okolicę. To był Savignyplatz. Amelie uwielbiała tutejszy plac zabaw. Jednak o tej godzinie, dużo po północy, Klara za nic by tu nie przyszła ze swoim dzieckiem. Szeroki chodnik pod łukami wiaduktu był teraz cały zajęty przez zabrudzone i zawilgocone materace, na których mnóstwo bezdomnych rozbiło nocne obozowisko.

Dlaczego tu się zatrzymaliśmy?, zadała sobie pytanie, ale nie miała odwagi wypowiedzieć go na głos, bo za bardzo obawiała się odpowiedzi. Spróbowała więc odwrócić uwagę Martina i skłonić go do dalszego mówienia.

– A więc wgrałeś na mój telefon pluskwę? – Zastanowiła się, czy to było rzeczywiście możliwe, żeby Yannick i jej własny mąż niezależnie od siebie zainstalowali w jej telefonie dwa różne programy śledzące, których techniczny nerd w sklepie z telefonami komórkowymi nie był w stanie zlokalizować?

Martin pokręcił głową.

– Nie, to byłoby dla mnie zbyt skomplikowane. Masz w swoim samochodzie lokalizator GPS. Można go dostać w sieci za grosze i przyczepić

magnezem do podwozia.

Gdy to mówił, szyba po stronie pasażera opuściła się. Lodowate powietrze momentalnie wtargnęło do wnętrza pojazdu. Serce Klary zaczęło uderzać mocniej o klatkę piersiową, a Martin włożył do ust dwa palce i głośno zagwizdał:

– Hej, Profesorze!

Ku przerażeniu Klary poruszyła się jedna z postaci leżących na materacach.

Mężczyzna zsunął z siebie plastikową plandekę i zaczął wygrzebywać się ze swojego legowiska.

– Ruszaj się, Profesorze! Nie mam za dużo czasu.

Powłócząc nogami, bezdomny zbliżał się do nich. Szedł skulony, ale nie z powodu śniegu z deszczem, który leciał mu prosto w twarz. Wszystko wskazywało na to, że to życie na ulicy tak go złamało.

– Kto to jest? – szepnęła Klara. Także na to pytanie w zasadzie nie chciała poznać odpowiedzi.

Im bliżej podchodził starzec, tym większą litość budziła jego postać. Wszystko, co z daleka i w półmroku latarni ulicznych widać było tylko w ogólnych zarysach, oglądane z bliska Klara mogła określić tylko jednym słowem: chore.

Matowoszare włosy wyglądały jak u poddanego naświetlaniom pacjenta. Wydawały się przy tym tak słabe, jakby miały wypaść, gdy tylko mężczyzna nieostrożnie potrząśnie głową. Jego skóra miała zielonoszare zabarwienie charakterystyczne dla topielca i pasowała kolorystycznie do parki, którą zarzucił na siebie jak przeciwdeszczowe ponczo, nie wkładając rąk w zwisające rękawy.

– Doktor Vernet? – zapytał uprzejmie mężczyzna, stojący o dwa kroki od szyby po stronie Klary. Woń, która towarzyszyła jego słowom, dobrze komponowała się z barwą jego pożółkłych i zepsutych zębów, które w większej liczbie zachowały się jedynie w górnej szczęce. W zuchwie błyszczał tylko jeden osierocony siekacz.

– Masz ochotę zarobić parę euro? – odezwał się do bezdomnego Martin.

W odpowiedzi ten tak energicznie pokiwał głową, jakby go zapytano, czy chce spędzić resztę swojego życia w apartamencie luksusowego hotelu.

Klara znów poczuła kilof wbijający się w jej wnętrzności, bo przeczuwała, co zaraz nastąpi.

I rzeczywiście jej mąż powiedział do śmierdzącego kałem, moczem i rozkładem mężczyzny:

– To wsiadaj i załóż sobie to na głowę.

Rzucił na tylne siedzenie czapkę Świętego Mikołaja, którą ukradł Hendrikowi.

– Moja żona ma dziś ochotę na perwersyjne przebieranki.

36

Jules

Za nic nie odchyłać głowy do tyłu.

Tak robi większość ludzi, którzy nie mają wielkiego doświadczenia z krwawieniem z nosa. Jules w ciągu ostatnich miesięcy tak często cierpiał na tego typu ataki, że przyswoił sobie właściwe według doktora Google'a postępowanie: należy usiąść prosto, a głowę, o ile to możliwe, nawet zwiesić w dół, o ile ktoś nie chce, żeby zrobiło mu się słabo albo krew zatkała drogi oddechowe.

– Gdzie jesteś? – spytał z kompresem ze zmoczonych w wodzie ręczników kuchennych na karku.

– No tam, gdzie mnie posłałeś – odpowiedział jego ojciec, który zadzwonił do niego zaraz po tym, jak Jules wrócił do kuchni. – W lobby hotelu Le Zen. Całkiem szykowny lokal. Nieco zbyt sterylny jak na mój gust, ale toalety są superanckie. Musiałem koniecznie postawić klocka, a nigdzie nie robi się tego lepiej niż w pięciogwiazdkowym hotelu. Nie potrafię zrozumieć ludzi, którzy siedzą na kiblu w McDonalddie, kiedy tuż obok...

– Przestań pieprzyć – przerwał mu ordynarnie Jules – i posłuchaj mnie. Idź do recepcjonistki, o ile tylko taka gdzieś tam jest, i wykorzystaj cały swój urok, żeby się czegoś dla mnie dowiedzieć.

– Jules?

Zdziwiony tym, że ojciec nagle odezwał się do niego po imieniu, i w dodatku tak niezdecydowanie, Jules odsunął telefon od ucha i sprawdził siłę sygnału. Cztery kreski, odbiór niemal idealny.

– Słyszysz mnie?

– Bardzo dobrze i dlatego właśnie zachodzę w głowę.

– Dlaczego? – Jules zmrużył oczy.

– Co z Tobą, chłopcze? – W głosie ojca brzmiała niekłamana troska.

– A co ma być?

Jules spojrzął przez otwarte drzwi kuchenne na korytarz. Drzwi do pokoju dziecięcego tylko delikatnie przymknął, żeby w najgorszym wypadku mógł usłyszeć, gdyby ktoś się skradał.

– Wszystko u mnie w porządku – stwierdził, na co ojciec tylko gniewnie mlasnął językiem.

– Wciąż nie nauczyłeś się dobrze kłamać, chłopcze. Przed półgodziną kwitło w Tobie życie. Teraz mówisz jak zakatarzony Kermit. Znów krew Ci leci z nosa?

Znów?

Jules z trudem powstrzymał się, żeby nie poszukać wzrokiem na suficie kuchni ukrytych kamer. Skąd ojciec mógł o tym wiedzieć?

Od miesięcy się nie spotykali, a poza tym nigdy nie rozmawiał z ojcem o swoich osobistych sprawach.

– Nie jestem głupi – wyjaśnił mu ojciec. – Nie pamiętasz? Jak musiałem wzywać do Ciebie ślusarza, bo sąsiad z dołu myślał, że pękła u Ciebie rura?

Jules skinął głową. Tylko obawa przed tym, że dopiero co zatamowany krwotok odezwie się ponownie z całą siłą, powstrzymała go przed opieprzeniem ojca.

Już wtedy podejrzewał, że jego stary wykorzystał ten fałszywy alarm, żeby intensywnie rozejrzeć się po jego mieszkaniu, skoro udało mu się dostać do środka. Przecież przed wieloma laty było ono siedzibą rodziny Tanberg i na papierze wciąż należało po części do niego.

– Przyznaję, byłem ciekawy – przyznał ojciec otwarcie. – Chciałem wiedzieć, jak się urządziłeś. Nigdy mnie przecież nie zapraszasz. Kto raz był

szpiclem, zostanie nim na zawsze.

– Grzebałeś w moich rzeczach?

Po krótkiej przerwie, gdy na linii słyhać było jedynie z japońska brzmiącą muzykę relaksacyjną, która mogła pochodzić tylko z lobby hotelu Le Zen, ojciec przyznał:

– Dopiero jak zobaczyłem zakrwawione chusteczki w śmieciach. Te lekarstwa w łazience...

– To nie Twoja sprawa!

– Od jak dawna bierzesz te prochy?

Woreczek łzowy pod lewym okiem Julesa zaczął drgać, jak skóra na bębnie, w który ktoś uderza w nieregularnych odstępach.

– Jakie prochy? – Czyżby zweryfikował zawartość jego domowej apteczki w internecie?

– Daj spokój. Antydepresanty. Poszukałem informacji. Inhibitory wychwytu zwrotnego serotoniny mogą wywoływać obfite krwawienia. Będziesz musiał to powiedzieć lekarzom, gdybyś miał być kiedyś operowany.

Citalopram 10 mg. Pigułki były mniejsze niż główka od szpilki i Jules nie mógł uwierzyć, że taka mała drobina jest w stanie cokolwiek działać w ludzkim organizmie. Niestety skutki uboczne lekarstwa w jego przypadku okazały się nadzwyczaj silne – silniejsze nawet niż zakładane działanie pozytywne.

– Bierzesz te gówny od śmierci Dajany?

– Którego wyrazu w „to nie Twoja sprawa!” nie zrozumiałeś?

– Chodzi mi o to, że być może depresja nie jest Twoim jedynym problemem.

– Do czego zmierzasz?

– No cóż, wysyłasz mnie w środku nocy do luksusowego hotelu, bredzisz coś o jakiejś Klarze, której rzekomo grozi Kalendarzowy Morderca, a przy okazji wyraźnie tracisz siły i...

– Co to znaczy „bredzisz”? – przerwał mu szorstko Jules. – Nie przysłuchiwałeś się mojej rozmowie z Klarą?

– Nie.

– Co proszę? – Zmrużył bezsensownie oczy, jakby mogło mu to pomóc w nadążeniu za rozumowaniem ojca.

– Pytałeś mnie wcześniej, czy coś zrozumiałem, i odpowiedziałem wtedy „nie”. Potem przez kilka minut na linii było słychać tylko szumy i trzaski, a od czasu do czasu jakieś mamrotanie, ale jedyne, co udało mi się zrozumieć, to był Twój głos, chłopcze. I to mi się wcale a wcale nie podoba.

– Pleciesz głupoty.

Co ojciec chciał mu w ten sposób wmówić? Czyżby to, że tylko ubzdurał sobie rozmowę z Klarą?

– Chwileczkę. – Julesowi coś przyszło do głowy. – Przecież sam mi powiedziałeś, że w klinice wciąż pamiętają Klarę.

– Babkę, która tam całkiem sfiksowała? Tak. – Ojciec zakasłał z zażenowaniem. Cicho, jakby jemu samemu było przykro, że podejrzewa własnego syna o zaburzenia postrzegania rzeczywistości, powiedział: – Ale o tym mogła Ci kiedyś opowiedzieć Dajana, skoro była w klinice Berger Hof w tym samym czasie co ta osoba. Poza tym nikt w klinice nie mógł mi potwierdzić personaliów tej kobiety.

– To jakiś absurd...

– Absurdalna wydaje mi się tylko nasza rozmowa, chłopcze. Nic z tego, co miałem dla Ciebie sprawdzić, się nie potwierdziło. Proszę, pomówmy otwarcie. Czy odkąd bierzesz środki psychotropowe, cierpisz na jeszcze jakiś inne objawy poza krwotokami z nosa?

– Nie.

– A co z zaburzeniami postrzegania?

Masz na myśli coś w rodzaju pobrzękujących kluczy, brakującego noża w kuchni albo ciekącego kranu?

– Nie mam halucynacji – prychnął Jules, podczas gdy jego wzrok padł na plastikową butelkę stojącą na wyspie kuchennej. Przyłożył dłoń do gardła, które sprawiało takie wrażenie, jakby zaciskała się na nim niewidzialna pętla z drutu.

Co, do diabła...?

Podniósł butelkę, w której znajdowało się już tylko kilka łyków, i przytrzymał ją ukośnie pod światło.

Czyżby to były...?

Ostrożnie przechylił butelkę, tak żeby żółty sok pomarańczowy spłynął w kierunku szyjki. Choć jeszcze przed chwilą szukał jakiegoś niegroźnego wyjaśnienia, teraz już nie miał żadnych wątpliwości.

To, co na jego oczach pływało w soku, to nie były wcale drobiny owocowego miąższu. Lecz tabletki!

Białe, płaskie pigułki, częściowo już rozpuszczone, ale bez trudu można było w nich rozpoznać lekarstwa.

Jak one się tu dostały?

– ...z tą Klarą – powiedział jego ojciec.

Jules był tak zaabsorbowany czym innym, że musiał poprosić ojca, o powtórzenie całego zdania.

– Powiedziałem: To pozwól mi samemu pogadać z tą Klarą. Chciałbym sobie wyrobić własny obraz. Włącz mnie do Waszej rozmowy.

Jules z trudem przełknął ślinę, patrząc na zestaw słuchawkowy leżący na krawędzi umywalki.

– Nie mam jak – przyznał się ojcu.

– To przełącz przynajmniej rozmowę na głośniki.

Jules zamknął oczy na dwie sekundy. Wiedział, jak to zabrzmiał w uszach ojca, ale musiał to powiedzieć:

– Straciłem połączenie. Rozłączyła się.

– Hmm. – Zabrzmiało to tak, jakby w tym dźwięku jego ojciec zawarł całą swoją nieufność.

Jules zauważył, jak zaczyna wątpić w samego siebie. Jak ziemia pod jego stopami, fundament, na którym budował całą swoją pewność, zaczyna się rozstępować. I podczas gdy narastał w nim strach przed swobodnym upadkiem w koszarne samopoznanie, jednocześnie zaczęła się w nim kształtować myśl, której się uchwycił w ostatniej sekundzie:

– Winda!

– Co z nią?

– Tam, gdzie jesteś. W Le Zen. Czy widzisz czwartą windę? Nieco ukrytą za trzema innymi w lobby. Na pierwszy rzut oka wygląda jak powleczone bibułą drzwi do jakiejś komórki.

Ojciec najpierw zaprzeczył, potem chyba przeszedł kilka kroków przez lobby, aż wreszcie stwierdził podnieconym głosem:

– Rzeczywiście, chłopcze. Tak, jest tutaj jeszcze jedna winda.

A więc nie wszystko sobie ubzdurał!

Bogu dzięki!

Jules odetchnął z ulgą.

– Skorzystaj z niej. Pojedź na dwudzieste piętro.

37

Klara

W swoim światowym bestsellerze *Kawiarnia na końcu świata* John Strellecky zadaje decydujące o wszystkim pytanie, przez które straciły sen miliardy zainteresowanych filozofią ludzi: „Dlaczego tu jesteś?”.

Klarze – ściśniętej w małej przestrzeni skradzionego hyundaia, uprowadzonej przez swego sadystycznego męża, siedzącej w towarzystwie umiarkowanego już, jeśli sądzić po zapachu, bezdomnego na tylnej kanapie samochodu stojącego na parkingu pod łukami wiaduktu kolei podmiejskiej na placu Savignyplatz – nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź na pytanie o przyczyny własnej egzystencji.

Jeśli Bóg nie był psychopatą, który stworzył tę dziwną orgię przemocy o nazwie Wszechświat, by służyła mu jako reality show, które mógłby dla odprężenia i perwersyjnej przyjemności oglądać sobie z daleka, musiał ich tu wszystkich już dawno temu opuścić. Klara była tego pewna.

Najprawdopodobniej Boga jednak nie było. Żadna dobra, wszechmocna istota nie dopuściłaby do tego, żeby Martin obrócił się w kierunku siedzącego na tylnej kanapie menela i wręczył mu srebrzyste kleszcze dentystyczne, które z niewyjaśnionego powodu nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Po co mi to? – spytał bezdomny. Wydawał się zawstydzony. Nie tylko dlatego, że Martin zmusił go do założenia zabranej Hendrikowi śmiesznej czapki Świętego Mikołaja. Cała ta sytuacja była dla niego przykra, co Klara

mogła poznać po niepewnych spojrzeniach smutnych oczu, jakie rzucał w jej stronę. Biedak nie odważył się dłużej na nią spoglądać, a także unikał gapienia się na jej przykutą rękę. Prawdopodobnie najchętniej by zaraz wysiadł, żeby wywinąć z tej przykrej sytuacji, ale ciepło samochodu i nadzieja na gotówkę były zbyt kuszące.

– Chciałbym coś od Ciebie kupić, Profesorze. – Martin zwrócił się teraz do Klary: – Wykładał informatykę na politechnice, przed laty robiłem mu wypełnienie. To było oczywiście, zanim opuściła go żona i po rozwodzie pozbawiła go wszystkiego. Po tym wszystkim miał jeszcze dość czasu, żeby winem z Lidla doprowadzić się do utraty pracy i rozumu.

Odwrócił się ponownie w stronę bezdomnego.

– Dam Ci dwieście euro.

– Ale za co? Przecież nie mam nic do sprzedania.

Martin skinął głową.

– Ściśle rzecz biorąc, masz rację. W zasadzie chciałbym tylko dostać z powrotem to, co dałem Ci dawno temu.

Profesor starł sobie niedbałym ruchem ręki resztki deszczu ze śniegiem z krzaczastych brwi.

– Dał mi pan coś?

– Chcę od Ciebie jeden cztery.

– Przepraszam, co takiego?

Nie zapytał „He?” ani „Że jak?”. Mimo życia na ulicy, które przemieniło go w chodzącego trupa, ten bezdomny człowiek nadal był kulturalny, zwłaszcza teraz, gdy agresja Martina była tak wyraźna, jak pomruki wulkanu na krótko przed wybuchem.

– No, jeden cztery, tu durniu.

– Bardzo proszę o wybaczenie, ale niestety nie zrozumiałem pana.

Martin westchnął i wskazał na usta mężczyzny, które otoczone brodą były zapewne siedliskiem najróżniejszych mikrobów.

– To było jakieś dziesięć lat temu, zrobiłem Ci wtedy ceramiczne wypełnienie w pierwszym zębie trzonowym. Górna szczęka z prawej strony.

Klara z przerażeniem spojrzała na kleszcze, które zaczęły drzeć w pokrytych zaskorupiałym brudem dłoniach bezdomnego.

– Proszę, ja...

– Nie pieprz mi tutaj. Z każdym słowem zatruwasz powietrze w samochodzie, więc się pośpiesz.

Teraz Profesor spojrzał jednak na Klarę. Jego błagalny wzrok sprawił, że ze wściekłości na Martina napłynęły jej łzy do oczu.

– Zostaw go w spokoju, Ty skurwielu! – naskoczyła na męża. W następnej chwili jej głowa trzasnęła w boczną szybę. Tym razem nie zdążyła nawet zobaczyć zmierzającej w jej stronę ręki Martina. Świeża krew popłynęła z jej warg, mimo to odezwała się do starszego człowieka: – Nie musi pan tego robić. Niech pan wysiada.

Martin się roześmiał.

– Tu nie ma żadnego „musi”. Tu jest dwieście euro. – Przesunął się nieco w bok, żeby wyjąć klips na banknoty z kieszeni spodni. Z rozkoszą odliczył cztery banknoty po pięćdziesiąt euro i podetknął je bezdomnemu pod nos.

– Ta forsa za Twój ząb trzonowy. To jak? Dobijemy targu?

Tym razem to Klara patrzyła na bezdomnego błagalnym wzrokiem, gdy ten naprawdę zbliżył kleszcze do ust.

– Nie, proszę tego nie robić.

– Dwieście euro pozwoli mi przez wiele tygodni utrzymać się przy życiu – powiedział Profesor, który w przeciwieństwie do Klary najwyraźniej widział jakiś sens w ciągnięciu swojej nędznej egzystencji.

– No właśnie. To dobry interes. I tak masz już niewiele zębów w swojej zasyfiałej szczęce. W zasadzie jedynie Ci przeszkadzają w chlaniu. Zgadza się?

– Martin, proszę. Wyładuj się na mnie. On Ci nic nie zrobił...

Jej mąż zacisnął zęby i syknął:

– O, nasza Klara znowu ratuje świat? Czegoś tu nie rozumiesz. Ten me-nel powinien być mi wdzięczny. Nikt inny nie złoży mu tak dobrej propozycji. Przecież w jego zgniłych zębach nie ma złotych plomb.

Przerażona Klara zapomniała się odwrócić.

– Musisz wykreć, a nie ciągnąć – powiedział wyraźnie podniecony Martin, gdy zobaczył, że Profesor posłuchał jego sadystycznego rozkazu i włożył kleszcze do ust.

Nic go tak nie rajcowało jak posiadanie władzy nad innymi.

Klara zamknęła oczy i wydawało się jej że słyszy trzeszczenie i chrupanie. Tak jak wówczas, gdy w wieku szesnastu lat była u dentysty i jej ząb mądrości podczas wyrywania pękł na dwie części. Jednak wszystko, co poza jej wyobraźnią docierało tak naprawdę do jej uszu, to tylko spowodowane bólem jęczenie bezdomnego, po którym nastąpił okrzyk, powitany przez Martina z głośnym aplauzem.

– No proszę, dla chcącego nic trudnego.

Klara otworzyła oczy i zobaczyła, jak Martin bierze z rąk mężczyzny kleszcze i przygląda się zakrwawionemu zębowi w blasku lampki oświetlającej kabinę.

– Boli – mruknął Profesor, któremu brunatna krew skapywała po brodzie.

Martin, który stracił już zainteresowanie wyrwanym zębem, wrzucił go wraz z kleszczami do kieszeni w drzwiach od strony kierowcy.

– Chciałbym już sobie pójść – powiedział Profesor.

Klara nie mogła i nie chciała patrzeć na tę kupkę nieszczęścia, która z trudem poruszała ustami. Wezbrało w niej obrzydzenie. Nie do upokorzonego i zmaltretowanego mężczyzny, tylko do Martina. Nie sądziła dotychczas, że jej negatywne uczucia wobec niego mogą być jeszcze bardziej intensywne, ale szybko się przekonała, jak bardzo się myliła, kiedy jej mąż wyrwał pieniądze z ręki bezdomnego i pomachał banknotami w kierunku Klary.

– Najpierw musisz ją pocałować.

Ty podły sukinsynu!

– Nie było o tym mowy – wymamrotał zdruzgotany Profesor, podczas gdy Klara z wściekłości ponownie zaczęła szarpać kajdankami.

– Ależ oczywiście, że tak – zaproponował Martin. – Gdy wsiadałeś, powiedziałem: „Moja żona ma dziś ochotę na perwersyjne przebieranki”. Powiedziałem tak, prawda? – Spoglądał to na Klarę, to na Profesora.

– Bardzo proszę, ja tego nie mogę...

– No chyba dasz radę wetknąć język w pieprzony pysk mojej kurewskiej żony. Bo tym właśnie jest. Kurwą! Popatrz tylko na nią! Pół godziny temu przyłapałem ją, jak pozwoliła się swojemu kochankowi przykuć w samochodzie, żeby mogli odgrywać te ich pojebane gierki. Dasz wiarę, chłopie?

– To nie było tak, Ty zboczony idioto! – krzyknęła Klara. Mimo to obróciła się na swoim fotelu w kierunku tylnej kanapy. Bezdomny zasługiwał w jej oczach na o wiele więcej respektu i szacunku niż jej własny mąż. Złapała Profesora za kołnierz sfilcowanego płaszcza i przyciągnęła tego prawie nic nieważącego człowieka do siebie.

– Proszę, nie musi pani.

Teraz role się odwróciły. Tym razem to Profesor próbował ją powstrzymać przed zrobieniem czegoś wbrew jej woli.

Klara spojrzała na jego zasmuconą twarz, która kiedyś dawno temu nie była może piękna, ale za sprawą dużych, ciemnych oczu musiała być z pewnością inteligentna i dobrotliwa.

– Inaczej on nie da panu pieniędzy. – Wskazała wolną ręką na zakrwawione usta bezdomnego: – I to wszystko okazałoby się na nic.

– No właśnie. Moja żona to zdzira, ale mądra zdzira. Nie ma całusa, nie ma pieniędzy.

Oddech ciężko dyszącego bezdomnego miał zapach pleśni. Klara rozchyliła wargi.

Pomyślała o mężczyznach, którzy maltretowali ją w hotelu Le Zen, o wideo, które Martin wstawił do sieci. O wszystkim innym, co na niej „wypróbowywał”, o „sprzęcie do zabaw”, którego nie można kupić nawet w markecie budowlanym. I myśl o tym, że była już kiedyś wydana na pastwę ludzi budzących w niej znacznie większą odrazę niż psychicznie i fizycznie złamany nauczyciel akademicki, pomogła jej w zrobieniu tego, co musiała.

Pomogła jej zamknąć oczy i rozchylić wargi. Pomogła jej stłumić odruch wymiotny i z powrotem przełknąć cofający się obiad. Pomogła jej przywrzeć ustami do czegoś, co śmierdziało ropą, krwią i alkoholem, a w dotyku przypominało zapleśniałą ścierkę do podłogi. Pomogła jej zignorować uczucie, które budziła w niej sfilcowana, zapleśniała broda, podobnie jak wyobrażenie chmary robaków kłębiących się w dziąsłach bezzębnej zuchwy, podczas gdy język Profesora dotykał jej własnego.

Ból, który chwilę potem poczuła, był dla niej jak wybawienie.

– Ależ z Ciebie ohydna kurwica! – ryknął jej mąż ze śmiechem, odciągając ją za włosy od bezdomnego. – Pieprzysz się ze wszystkim, co ma fiuta, prawda?

Splunął jej w twarz.

– A Ty spadaj! – warknął do bezdomnego.

– No, ale moje pieniądze... – Profesor wyciągnął błagalnie rękę.

Martin splunął także na nią.

– Spierdalaj, powiedziałem!

– Proszę, zrobiłem wszystko, co pan chciał, doktorze Vernet.

– To rób tak dalej i wypad z samochodu.

– Proszę, ja...

Klarze łzy napłynęły do oczu. Spływały po jej policzkach i mieszały się ze śliną na podbródku. Powinna była wiedzieć. Martinowi nie wystarczyło, że doprowadził złamanego życiem człowieka do tego, że sam wyrwał sobie ząb ze szczęki. Nie wystarczyło, że zmusił ją do pocałowania śmierdzącego szczynami i zgnilizną włóczęgi. Prawdziwą satysfakcję dało mu to, że po wszystkich tych upokorzeniach zgasił jeszcze ostatnią iskierkę nadziei w gnębionych przez siebie jednostkach.

– Spieprzaj, bo wezwę policję i powiem, że próbowałeś mnie okraść. – Odchylił się do tyłu i otworzył boczne drzwi. – SPIEPRZAJ! – wrzasnął Profesorowi prosto w ucho, a ten z rezygnacją poddał się swojemu losowi.

Jego wrzask wypędził tego biedaka z powrotem do innych wykolejeńców. Na przenikliwie zimno, do jego wilgotnego legowiska. Klara spojrzała za nim, jak mimo całej swojej hańby starannie zamyka drzwi samochodu.

Jak na chodniku znów sięga po plandekę, żeby się nią przykryć i spędzić pod nią pozostałą część nocy, w której pozbawiono go nie tylko zęba, ale też resztek ludzkiej godności.

– Jesteś wcielonym diabłem – powiedziała do Martina, który ponownie uruchomił silnik samochodu i zawrócił pod wiaduktem kolejki podmiejskiej z powrotem na ulicę.

Yannick miał rację. Powinnam była zakończyć nie swoje życie, ale Twoje.

– Co, czyżbyś mu współczuła? Oszczędź go sobie. Tobie też nikt nie pomoże. – Włączył kierunkowskaz, żeby za światłami skrócić ulicą Kantstrasse w kierunku zoo.

– Dokąd mnie wiesz? – spytała.

– Czy naprawdę nikt mnie dzisiaj nie słucha? Przecież Ci powiedziałem, że zaprowadzę Cię do stajni.

38

Jules

Proszę czekać. Tu numer alarmowy berlińskiej policji. Obecnie wszystkie linie są zajęte. Proszę nie odkładać słuchawki. Please hold the line. Police Emergency Call Department. At the moment...

Zdenerwowany Jules zabębnił palcami w blat kuchennej wyspy i zastanowił się, czy się jednak nie rozłączyć. O tej porze mogło to potrwać dość długo, nim ktoś pod numerem 110 odbierze telefon.

W nocy z soboty na niedzielę centrala pracowała na najwyższych obrotach, bo wówczas nastroje w stolicy były rozbuchane od weekendowego pijaństwa, wandalę pod osłoną nocy przemierzali ulice, zgłaszane były wszelkiego możliwego rodzaju wykroczenia, a załóg zawsze brakowało. Dzisiaj, z powodu pogody sprzyjającej ekscesom turystów, dochodziły jeszcze liczne kolizje samochodowe. Do samej obsługi zdarzeń z okolic placu Alexanderplatz i mostu Warschauer Brücke należałoby prawdopodobnie uruchomić osobną linię. Jules był szczęśliwy, że w ogóle udało mu się połączyć, bo jeśli numer 110 wybierało jednocześnie więcej niż trzydziestu czterech rozmówców, system padał.

Celem policji było obsłużenie wszystkich nadchodzących zgłoszeń w czasie krótszym niż dwanaście sekund. W zeszłym roku udało się to tylko w siedemdziesięciu pięciu procentach. Także teraz trwało to o trzydzie-

ści sekund dłużej, nim automatyczną informację przerwał zaskakująco dziecinnie brzmiący głos dyspozytorki.

– Telefon alarmowy berlińskiej policji. Dzień dobry.

Jules usiadł nieco bardziej prosto, żeby jego ciało przybrało odpowiednią pozycję, dzięki której miał nadzieję nadać odpowiednią wagę wypowiadanym zmęczonym głosem słowom:

– Tu Jules Tannberg, czternaście zero pięćdziesiąt siedem Charlottenburg. Chodzi o włamywacza w mieszkaniu przy Lietzenseeufer dziewięć A, trzecie piętro.

Usłyszał klikanie klawiatury, któremu w tle towarzyszył gwar głosów pracujących przy sąsiednich stanowiskach dyspozytorów. Typowe odgłosy centrali alarmowej.

– Czy sprawca wciąż znajduje się w mieszkaniu?

Z doświadczenia Jules wiedział, że wszystko leży teraz w jego rękach. W zależności od tego, jak opíše swój przypadek, młoda kobieta nada odpowiedni priorytet sprawie. Gdyby na przykład użył sformułowania „broń palna”, jednostka interwencyjna natychmiast znalazłaby się pod drzwiami mieszkania. Jeśli jednak powiedziałaby prawdę, musiałby się liczyć z czasem oczekiwania wynoszącym kilka godzin, zanim zajrzałaby tu załoga przejeżdżającego obok radiowozu. Mimo to zdecydował się na razie przedstawić stan rzeczy na tyle uczciwie, na ile to możliwe.

– Mam niejasne wrażenie, jakby w naszym mieszkaniu przebywał ktoś obcy. Nie widziałem go, ale jest coraz więcej oznak, że ja i moja córka jesteśmy w niebezpieczeństwie.

– Jakie to oznaki?

Kostkarka do lodu w lodówce zatrzeszczała, co dobrze pasowało do nieśląbnej wciąż zamieci za kuchennym oknem. Jules spróbował skupić wzrok na pojedynczych płatkach śniegu, zanim te – podświetlone przez latarnie uliczne stojące przed domem – zdążyły się rozmazać na szkle i przemienić szybę w krzywe zwierciadło.

– Mam wrażenie, że ktoś majstrował przy drzwiach. Poza tym w kuchni brakuje pewnych przedmiotów. Sądzę też, że ktoś używał umywalki w ła-

zience oraz... – Nie dokończył zdania, bo obawiał się, że funkcjonariuszka zaszereguje go do kategorii „sąsiad wpuszcza mi trujący gaz”. W zasadzie chciał bowiem powiedzieć „...oraz w moim soku pomarańczowym pływają nagle jakieś tabletki. Być może są one przyczyną mojego krwotoku z nosa”.

– Mieszka pan z córką przy Lietzenseeufer dziewięć A? – powtórzyła funkcjonariuszka.

– Tak.

– Ile ona ma lat?

– Siedem.

– Czy pańska córka może być przyczyną, dla której brakuje tych przedmiotów? – spytała policjantka.

Ponieważ jest lunaticzką z upodobaniem do kuchennych noży?

Jules odwrócił się od okna i spojrzął przez otwarte drzwi kuchenne na korytarz, jak robił co trzy minuty. Ze swego miejsca przy kuchennej wyspie miał idealny widok. Jeśli istniało niebezpieczeństwo, że ktoś ukrył się w mieszkaniu, nie mógłby niezauważony prześlizgnąć się do pokoju dziecięcego. Przymknięte drzwi nie poruszyły się ani o milimetr.

– Nie. Śpi mocno i głęboko.

Ma tylko lekką gorączkę, a poza tym dzisiaj niewiele do niej dociera.

Usłyszał, jak policjantka przez chwilę pisze coś na klawiaturze.

– Ale dobrze pana zrozumiałam: nie widział pan ani nie słyszał potencjalnego intruza?

Jeśli pominąć brzęk kluczy...

Odruchowo pomacał się po kieszeni spodni, by się upewnić, że klucze wciąż tam są, i powiedział:

– Proszę posłuchać. Wiem, że to nie wygląda w pani rozumieniu na pilny przypadek. Przez dłuższy czas pracowałem po drugiej stronie linii i obsługiwałem interesantów w centrali Spandau numer sto dwanaście.

– Ach tak? – Ton głosu funkcjonariuszki był sceptyczny.

– Tak. I dlatego jest dla mnie jasne, że nie przekieruje teraz pani do mnie jednostki zajętej jakąś inną interwencją, ale byłoby mi bardzo miło, gdyby nadała pani mojej sprawie status T siedem.

– Rozumiem. – Tym razem sprawiała wrażenie prawie przekonanej.

W rzeczywistości używając tego skrótu, Jules dał jej do zrozumienia, że a) naprawdę kiedyś był jej kolegą po fachu i wie, o czym mowa, oraz że b) chce, by w systemie zostało założone nowe zgłoszenie, żeby w przypadku dramatycznego pogorszenia się sytuacji on nie musiał jeszcze raz opisywać dyżurującej osobie stanu rzeczy i dyktować od początku swojego adresu.

– Zrobione, panie Tannberg. Jeszcze jedno pytanie: Jak duże jest pańskie mieszkanie?

W tej sekundzie poczuł zimny powiew na policzkach, a drzwi do pokoju dziecięcego się zatrzasnęły.

O Boże...

Gdyby w tej chwili znów miał szklankę w rękę, ponownie by mu upadła, tym razem z przerażenia.

Gdzieś musiało się otworzyć okno albo drzwi, co spowodowało przeciąg.

– Prawie sto czterdzieści metrów kwadratowych, stare budownictwo – odpowiedział, wstając z taboretu. – Sześć pokoi.

– I wszystkie już pan przeszukał?

– Tak – odpowiedział, co nie było do końca prawdą.

Bezpośrednio przed tą rozmową telefoniczną otworzył wszystkie drzwi, ale nie zajrzał do każdej szafy lub za każdą sofę. Coś, co teraz chyba musi zrobić. Gdy tylko sprawdzi, dlaczego drzwi do pokoju dziecięcego się zatrzasnęły.

Wciąż w samych tylko skarpetkach ruszył korytarzem z telefonem komórkowym w rękę.

– Co zginęło?

– Nóż kuchenny.

– Czy miał jakąś szczególną wartość?

– Był z Ikei.

– Rozumiem – powiedziała ponownie policjantka, nieco już nadużywając tego słowa. – Czy istnieje jakaś szczególna przyczyna zagrożenia? – dopytywała się, stukając w klawiaturę. – To znaczy, czy pokłócił się pan

z kimś, ma pan z kimś jakiś zatarg lub jest jakiś inny uzasadniony powód, dla którego podejrzewa pan, że ktoś nieuprawniony może przebywać w pańskim mieszkaniu?

Jules stanął przed pokojem dziecięcym i delikatnie nacisnął na klamkę. Zastanawiał się przy tym, jak funkcjonariuszka by zareagowała, gdyby powiedział, co następuje:

Hmm, jak by to najlepiej sformułować? Pewna kobieta, która chce się właśnie zabić, zanim to zrobi Kalendarzowy Morderca, przepowiedziała mi, że ten najbardziej poszukiwany przestępca w Niemczech wpadnie do mnie, żeby mnie załatwić.

Gdyby istniało zdanie, które katapultowałoby go natychmiast na koniec listy oczekujących, to brzmiałoby ono właśnie w ten sposób. Dlatego Jules stwierdził:

– Nie, nikt mi nie groził. Nie mam też pojęcia, kto by chciał mi spłatać figla.

Otworzył drzwi, licząc się z tym, że chyba straci rozum, jeśli za chwilę zobaczy otwarte okno. I krzesło przy nim. I powiewającą zasłonę, którą będzie wydymać w jego stronę wyjący, przesiąknięty wilgocią wiatr, jakby przywołując go: „Podejdź bliżej. Popatrz, gdzie skoczyła Fabienne”.

Ale gdy wszedł do pokoju dziecięcego, dziewczynka leżała tak jak poprzednio. Głęboko oddychając i jeszcze głębiej śpiąc. Zatrzaśnięcie drzwi nie obudziło jej, a okno było zamknięte.

Co spowodowało przeciąg?

– A więc nie ma pan wrogów?

– No właśnie dlatego jest to takie niesamowite – odpowiedział szeptem, sprawdzając jednocześnie okno. – Proszę mi wierzyć, normalnie nie zaliczam się do specjalnie strachliwych.

W tym momencie, zupełnie jakby chciał zadać kłam własnym słowom wzdrygnął się na dźwięk jakiejś melodii.

Za sobą. Melancholijne, przesycone smutkiem akordy molowe. Melodia urwała się równie szybko, jak się pojawiła.

Co, do...?

– W takim razie nie mogę niestety zrobić wiele więcej, jak tylko zapisać pańskie dane – oświadczyła funkcjonariuszka, lecz on słyszał ją teraz jedynie jakby z dużego oddalenia, gdyż wszystkimi zmysłami koncentrował się na tym, czy to, co przed chwilą usłyszał, to był rzeczywiście Chopin. – Proszę dzwonić, gdy pojawią się jakieś inne powody do niepokoju.

– Hmm.

Dla Julesa było już tego nieco za wiele. Grzeczność wymagała, żeby przynajmniej podziękował, zanim się rozłączy, ale z jednej strony był zbyt zajęty dociekaniem, czy dźwięki klasycznej muzyki fortepianowej rzeczywiście dobiegały z korytarza, a z drugiej strony jego ojciec dobijał się właśnie do niego przez telefon.

Bez słowa rozłączył się z numerem alarmowym, zamknął za sobą drzwi do pokoju dziecięcego i odebrał w korytarzu przychodzące połączenie.

– Czego się dowiedziałeś?

– Nigdy już do mnie nie dzwoń, chłopcze.

Julesa przeszedł zimny dreszcz, ale nie z powodu przeciągu, którego już nie było, podobnie jak muzyki. To głos jego ojca brzmiał tak jak kiedyś, w domu, kiedy dopuszczał się przemocy: przepęnlony nienawiścią i agresywny. I to pomimo że mówił szeptem. Jules z trudem mógł go zrozumieć. Skomlenie psa słyszalne gdzieś w tle sprawiało, że rozmowa była jeszcze dziwniejsza.

– Co się dzieje? – dopytywał się Jules. – Odbiło Ci, czy jak?

Ojciec zakasłał i wyszeptał jeszcze dobitniej:

– Kasuję Twój numer. Nigdy już nie chcę mieć z Tobą więcej do czynienia.

39

Na szum w uchu Julesa nałożyły się syki i szумы dochodzące z linii, za każdym razem, gdy ojciec zrobił pauzę. Skomlenie psa ucichło krótko po tym, jak Jules usłyszał ciężkie drzwi zatraskujące się z głuchym odgłosem.

– Znów piłeś?

– Nie, ale to będzie pierwsza rzecz, jaką zrobię po powrocie do domu. – Jego ojciec mówił teraz nieco głośniej, choć nadal przyciszonym głosem.

– Powiedz mi, co się dzieje. Byłeś na dwudziestym piętrze?

– Nie wszedłem nawet do windy.

– Tylko?

– Jest przeznaczona wyłącznie dla członków, tak powiedziała mi Cindy.

– Cindy?

– Babka w recepcji. To nie ma teraz najmniejszego znaczenia. Kończyła zmianę i zaczęłam ją, jak wychodziła z hotelu Le Zen i zmierzała do metra.

Jules usłyszał skrzypienie skórzanych podeszew butów ojca. Wnosząc z pogłosu, poruszał się po jakimś wysokim pomieszczeniu wyłożonym twardymi płytkami.

– Cindy powiedziała, że na dwudziestym piętrze znajduje się coś w rodzaju klubu i że trzeba mieć zaproszenie od niejakiej Lousanne, czy jakoś tak.

– Zgadza się – stwierdził Jules. – O niej także Klara mi mówiła.

– Ach tak? A wspominała Ci może, co tam na górze odchodzi?

Jules ponownie usłyszał skrzypienie, tym razem jednak jego źródłem nie były podeszwy butów. Brzmiało to raczej jak szorująca po betonowej podłodze krawędź otwieranych drzwi. Potem ponownie rozległo się skomlenie psa.

Czy kilku psów?

– No pewnie, że wiem, co tam *odchodzi!* – odpowiedział ojcu. – Imprezy sadystów. W każdą ostatnią sobotę miesiąca. Klara została tam brutalnie wykorzystana. Dlatego chce uciec teraz od swojego męża.

W śmierć.

– Bzdury – fuknął jego ojciec i znów zaczął mówić ciszej. Jules wiedział dokładnie, jak teraz wyglądał. Dolna szczęka zadziornie wysunięta, jedna ręka nerwowo się poruszała, a żyła na jego czole pulsowała z wściekłości. – Wciska Ci same kłamstwa.

– Le Zen, winda, dwudzieste piętro, Lousanne, Violence Play – powtórzył Jules fakty, które znał z opowiadania Klary.

– Okej, w tych punktach być może powiedziała prawdę.

– A w których nie?

– Weź nie udawaj.

Jules zatrzymał się na końcu korytarza przed małą komodą, nad którą wisiało lustro w złotej ramie w kształcie promieni słonecznych.

– Przysięgam, że nie mam pojęcia, o czym mówisz. I do cholery, nie wiem nawet, gdzie jesteś!

– Na klatce schodowej parkingu grozy.

– Pojechałeś tam samochodem?

Nawet w półmroku słabego nocnego światła Jules mógł w lustrze dostrzec, że jego nos wciąż jest zalepiony zaschniętą krwią. Przed umyciem się w łazience chciał jednak przeszukać po kolei wszystkie pokoje. Choć ciągle nie wiedział, jak i dlaczego ktoś miałby się tu wślizgnąć, zaczął od pomieszczenia, które wcześniej pominął: małego schowka po prawej.

– Nie, pojechałem taksówką. Ale, chłopcze, jesteś mi winien o wiele więcej niż dwadzieścia pięć euro za taryfę. Dzięki Tobie i Twojej szurniętej przyjaciółce sam teraz muszę pójść do magika od mózgów. Tego, co tu zo-

baczyłem, nigdy już nie wykasuję z dysku twardego. Obawiam się, że te obrazy wżarły się w moją siatkówkę.

Podczas gdy Jules naciskał klamkę, w telefonie krawędź drzwi ponownie zazgrzytała o podłogę. I znów Jules zaraz potem usłyszał skowyt, tym razem bardziej przeraźliwy. W dodatku po raz pierwszy wydało mu się, że dochodzą go ludzkie głosy. Przyciszone rozmowy. Śmiechy.

I jęki?

Oczywiście wyobraźni widział, jak jego ukryty na klatce schodowej ojciec otwiera ciężkie drzwi przeciwpożarowe prowadzące na poziom parkingu i przygląda się grupie ludzi, którzy maltretują zwierzęta. I nagle ku przerażeniu Julesa skomlenie zabrzmiało jakoś inaczej. Tak jak nie brzmi skomlenie wydawane przez żadne zwierzę. Ludzko.

– Co się tam u Ciebie dzieje?

Drzwi od schowka się zacięły.

– Cindy powiedziała, że chodzą takie pogłoski, jakoby sobotnia impreza w Le Zen była tylko niewinną zabawą w porównaniu z after party, które odchodzi kawałek dalej, na nieczynnym już piętrowym parkingu. Chłopcze, wiedziałeś, co tu robią z kobietami, a mimo to mnie tu wysłałeś!

Ty obłudny draniu, najchętniej wykrzyknąłby do niego Jules. Krzyki mamy też Cię wtedy podniecały, a teraz odgrywasz strażnika dobrych obyczajów! Ale gdyby to zrobił, ojciec natychmiast by się rozłączył i zablokował w komórce połączenia od niego. Pewnie tylko na jeden lub dwa dni, ale dziś wieczór nie stanowiłby już dla niego pomocy. A niezależnie od tego, jak Jules gardził swoim ojcem za to, co kiedyś wyprawiał, bardzo potrzebował go tej nocy.

– Gdzie, u licha, jesteś?

Szarpnął mocniej drzwiami do schowka, ale wydawały się zamknięte.

A może ktoś je od środka przytrzymał?

Przyszło mu do głowy, że nie ma przy sobie niczego, co w razie potrzeby mogłoby mu posłużyć do obrony. W bezradnym geście wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, żeby w najgorszym przypadku użyć go jako kastetu.

– Wślizgnąłem się tu za jakimś pojazdem, zanim opuszczana krata znów opadła. Ten piętrowy parking znajduje się za Europa Center, rzut beretem od wejścia do akwariów w zoo. Zgodnie z oznakowaniem za dwa miesiące kula do rozbiórki rozwali to wszystko w drobny mak. Ale do tego czasu siódme piętro parkingu jest wciąż w użyciu.

– Co tam się dzieje?

– Nie udawaj, że nie wiesz.

Jules zostawił to bez komentarza, żeby nie skierować na niewłaściwe tory ponownie wzbierającego potoku słów ojca, a przecież najchętniej krzyknąłby do niego: „Przejdź wreszcie do rzeczy!”. Jednocześnie zastanowił się, czy może nie otworzyć drzwi siłą. Były zrobione z drewna i chyba nie stanowiłyby poważnej przeszkody. Jednak trzask i huk, gdyby kopnięciem wyważył je z zawiasów, obudziłyby całą kamienicę.

– Stoi tu z pewnością sześć samochodów, a w każdym siedzi kobieta. A ściśle rzecz biorąc leży w otwartym bagażniku. I do tego co najmniej pół tuzina mężczyzn, stojących wokół każdego samochodu.

Jules znieruchomiał i zaczął się zastanawiać. Rój najrozmaitszych odczuć i myśli wirował w jego głowie, poza wszelką kontrolą, jak płatki śniegu za oknem.

– Okej, miasto jest pełne zboczeńców – wymamrotał w końcu.

– Najwyraźniej nie jest to dla Ciebie nic nowego – syknął ojciec. – Ale być może udało mi się jednak dowiedzieć od Cindy czegoś, co Cię zaskoczy.

– Niby czego?

– Prawdziwych personaliów Lousanne. Tych, które znajdują się na umowie najmu na dwudzieste piętro hotelu.

– A mianowicie?

– Wolno Ci zgadywać trzy razy.

Jules zamknął oczy, z dłonią wciąż zaciśniętą na klamce, która zaczęła się robić coraz gorętsza, aż wydała mu się rozpalonym żelazem, które zaraz wypali mu ślad na skórze.

– Kto to taki?

Wcale nie chciał usłyszeć odpowiedzi, ale oczywiście ojciec mu tego nie oszczędził:

– Klara Lousanne Vernet.

40

Klara

Droga spod łuku kolejki podmiejskiej nie zajęła nawet pięciu minut. Nie trzeba było więcej czasu, by przedostać się z czyścica do piekła przy placu Breitscheidplatz.

– Głowa w dół – rozkazał Martin. Nie dał jej czasu na wykonanie polecenia, tylko od razu popchnął ją do przodu, tak że uderzyła czołem o plastikowe wykończenie samochodu. Kajdanki, z których Martin najwyraźniej nie zamierzał jej uwolnić dzisiejszej nocy, ponownie boleśnie wbiły się w jej przegub.

Kolejne otarcie, pomyślała z głową na desce rozdzielczej. Gdybyś miała dość odwagi, żeby skoczyć ze ścianki wspinaczkowej, ta rana oraz wszystkie następne, jakie odniesiesz jeszcze tej nocy, byłyby Ci oszczędzone.

Czy ją także zmusi teraz do wyrwania sobie zęba?

Poczuła, jak uchodzą z niej siły potrzebne do podjęcia ucieczki, gdy Martin z karkołomną prędkością pokonywał coś w rodzaju serpentyn. Silnik małego samochodu wył jak tania maszyna do szycia. Klarze zrobiło się niedobrze, gdy jej mąż nagle nadepnął na hamulec.

Coś trzasnęło w jej uszach, tak mocno pociągnął ją za włosy do góry. Oczami zasnutymi łzami rozglądała się, próbując zorientować się w nowym położeniu.

– Gdzie jesteśmy?

– A na co to wygląda?

Na uosobienie grozy.

Czyli dokładnie na takie miejsce, o jakim kobiety myślą z przerażeniem, że mogłyby zostać tam zgwałcone. I dlatego właśnie Martin ją tu zabrał.

Samochód stał krzywo na opustoszałym poziomie naziemnego piętrowego parkingu, zaklinowany między dwoma betonowymi filarami, podpierającymi niski sufit.

Poza zakurzonym, pozbawionym kół volkswagenem garbusem pięć stanowisk dalej, na całej powierzchni równej z pewnością czterem kortom tenisowym nie było żadnego innego samochodu. Większość wyznaczonych miejsc do parkowania była ledwie widoczna pod warstwą brudu i gołębic odchodów. Szare betonowe ściany zostały zabazgrane graffiti, a światła na suficie nie działały, bo prawdopodobnie dawno już odcięto dopływ prądu do budynku. To, że w ogóle dało się coś zobaczyć, było zasługą dwóch reflektorów budowlanych. Jeden z nich stał na prawo od niej, w pobliżu wyjścia ewakuacyjnego, a drugi po jej lewej stronie, przed wielką, szarzieloną plandeką, która zasłaniała Klarze widok na ulicę. Przechodnie spoglądający w górę z poziomu chodnika musieli pewnie myśleć, że przeprowadzane są tu jakieś nocne prace. Nie mieli najmniejszego pojęcia o okropnościach, jakie się tu odbywały.

– Zasadnicza impreza kręci się na poziomie siódmym – wyjaśnił jej Martin, odpinając pasy. Ale mamy dla siebie własną stajnię.

– Stajnię?

– A jak myślisz, dokąd się prowadzi kłacze, żeby je nauczyć dyscypliny?

Na przeznaczony do rozbiórki parking?

– Normalnie mogłoby Cię poskramiać jednocześnie ośmiu facetów – wyjaśnił jej rzeczowo, jakby wtajemniczał ją w zasady gry towarzyskiej. – I dlatego warto tu przyjechać kombi albo SUV-em, tak żeby ogiery miały do dyspozycji większą powierzchnię. Ale jak się improwizuje, nie można za bardzo wybrzydzać.

Martin pogłaskał kierownicę.

– Proszę Cię. – Klara spróbowała niemożliwego i zniżyła się do błagania Martina. – Pozwól mi odejść. Możesz zatrzymać Amelie. Wiem, że będziesz dla niej dobry. Ja tylko Cię denerwuję. Obiecuję Ci, że jeśli pozwolisz mi teraz odejść, nigdy w życiu mnie już nie zobaczysz.

– Nie rozumiesz mnie. Nigdy mnie nie rozumiałaś. – Spojrzał na nią smutno. Wydawało się, że naprawdę wierzy w idiotyzmy, które teraz wyowiada. – Kocham Cię. Nawet wtedy, gdy popełniasz błędy. Nawet wtedy, gdy przynosisz mi grzanekę z żytniego chleba, choć dobrze wiesz, że lubię tylko pszenny. Nawet wtedy gdy wkładasz sztućce do zmywarki uchwytami do góry, choć tysiące razy Ci tłumaczyłem, że w ten sposób nie zostaną porządnie umyte. Nawet po tym, gdy Cię za to ukarałem i czułem do siebie nienawiść, że mnie znów do tego zmusiałaś. Nawet wtedy Cię kocham.

– Żaden mąż, który kocha swoją żonę, nie robi jej czegoś takiego.

– Nieprawda. Tylko słabi mężczyźni zaniedbują swoje żony. To tak samo jak z dziećmi. One wymagają zasad. To nie jest oznaka miłości, kiedy się im wszystko puszcza płazem. Przeciwnie. To przejaw lenistwa i słabości, gdy rodzice nie pilnują swoich dzieci. W gruncie rzeczy jest to nawet przestępstwo, ponieważ dzieci takich antyautorytarnie nastawionych rodziców nie są potem zdolne do życia i same stają się złymi rodzicami, którzy płodzą kolejne zepsute, niezdolne do życia dzieci.

– Nie jesteś moim ojcem.

– A mimo to wyprostuję jego błędy wychowawcze.

– Nie, Martin. Ty jesteś chory. Jesteś przeżartym kompleksem niższości, pozbawionym jaj dupkiem, który pozwala innym mężczyznom, żeby bili jego żonę. Który każe im ją upokarzać, żeby podciąć jej skrzydła. Ponieważ sam nie byłbyś w stanie znieść, gdyby Twoja piękna, mądra i pewna siebie żona kiedyś od Ciebie odfrunęła. Myślisz sobie, że w ten sposób sprawujesz nad nią kontrolę. Ale to nie jest nic innego jak samobójstwo ze strachu przed śmiercią.

Paradoksalnie Klara aż się uśmiechnęła, po raz pierwszy w czasie trwania ich toksycznego małżeństwa wygarniając mężowi prosto w oczy całą

prawdę. Nieświadomie zacytowała przy tym słowa, które całkiem niedawno usłyszała od Julesa przez Nocny Powrót.

– Dziękuję – powiedział Martin, głaszcząc jej rękę. – Dziękuję, że mi to jeszcze bardziej ułatwiłaś. Ponieważ wierz mi, także dla mnie to, co teraz nastąpi, nie jest przyjemne. Nie będę się nawet temu przyglądał, bo mogłoby mi pęknąć serce. Ale kto wie, może kiedyś obejrzymy sobie razem dokumentację wideo z tego wydarzenia.

Klara rozejrzała się wokoło, ale nigdzie nie dostrzegła kamery.

– Dopiero się pojawi – poinformował ją Martin, odgadując jej myśli. – Reguły w stajni są całkiem proste. Ten, kto najwięcej płaci, może najwięcej. Dostaje kamerę Go Pro, gdyby chciał sobie potem to wszystko raz jeszcze pooglądać.

– Ośmiu mężczyzn?

– To na poziomie siódmym. Ja wynająłem od Lousanne stajnię dla dzikich zwierząt. Przeznaczona jest tylko dla najbardziej narowistych kłaczy. Które potrzebują czegoś więcej niż zwykłego ujarzżenia. Przez jednego mężczyznę, któremu jednak wolno postępować z całą bezwzględnością.

Martin nie potrzebował nic więcej mówić. W jego wściekłych oczach Klara mogła odczytać to, co nie zostało wypowiedziane. *„Tutaj kobiet się nie łamie. Tu się je niszczy”*.

– Odwiedzi Cię ten, kto zaoferuje najwięcej – wyjaśnił i wyglądało na to, że napawa się strachem w jej oczach.

Wystawił mnie na sprzedaż. To zboczone, chore na umyśle bydlę wystawiło mnie na licytację!

Wraz z członkostwem w „Klubie dla Panów” Lousanne otrzymywało się konto w zagranicznym serwisie obsługującym płatności, dzięki któremu można było w czasie rzeczywistym przelewać „składki członkowskie”. Martin wyjaśnił jej to, gdy wracali do domu po nocy w hotelu Le Zen, jakby w jej ówczesnym stanie była to jakaś ważna informacja. To zresztą typowe dla niego. Gdy tylko opadało jego podniecenie seksualne, zaczynał żałować swoich ekscesów, a to sprawiało, że stawał się gadatliwy. Zupełnie jak-

by myślał, że wykorzystanie staje się mniej obrzydliwe tylko przez to, że w obecności ofiary mówi się otwarcie o szczegółach planu i jego realizacji.

– Mam nadzieję, że to specjalne traktowanie będzie dla Ciebie nauczką – powiedział Martin i wysiadł. Wyraźnie podniecony, co było dla Klary słyszalne i widoczne.

– Ty bydlaku! – krzyknęła za nim, nie bojąc się, że w ten sposób pogorszy jeszcze swoją sytuację. Wiedziała, że nie może być nic gorszego niż to, co miało się stać. Czekają ją dokładnie to, co było powodem, dla którego zaplanowała swoje samobójstwo. – Ty zboczony, chory umysłowo bydlaku! – krzyknęła jeszcze głośniej, ale Martin był już za daleko, by to usłyszeć.

Krzyczała, wierzgała nogami, płakała, rozorała sobie jeszcze głębiej skórę na nadgarstku, niemal zwichnęła sobie staw barkowy, gdy uwiesiła się całym ciężarem ciała na uchwycie, a mimo to nic nie zmieniła w swym beznadziejnym położeniu. Wyczerpana i ciężko dysząca po tych bezcelowych wysiłkach opuściła głowę. Pomyślała o nieosiągalnych kluczykach do kajdanek w drzwiach od strony kierowcy i zastanowiła się, czy dałaby radę jakoś ich dosięgnąć, gdyby wywichnęła sobie bark. Pokręciła jednak głową, bo takiego bólu nigdy nie wytrzymała. I podczas kręcenia głową, w chwili gdy usłyszała zatraskujące się na prawo od niej ciężkie drzwi, coś wpadło jej w oczy.

Spojrzała w lewo. W stronę miejsca dla kierowcy.

Czy to możliwe?

Słyszała zbliżające się kroki. Były o połowę wolniejsze niż bicie jej serca, które coraz bardziej przyspieszało.

Nie, to wprost niemożliwe... A może jednak?

Ugryzła się w dolną wargę, żeby nie krzyknąć głośno z przejęcia.

Jeśli się nie myliła, jej mąż popełnił właśnie zasadniczy błąd.

41

Jules

Jules walnął ciałem o ścianę w tym samym momencie, w którym jego ojciec zaczął biec.

Tak mocno szarpał za drzwi do schowka, że z wyrwaną klamką w dłoni zatoczył się do tyłu. Uderzył się przy tym w ramię tak mocno, że z bólu wypuścił z rąk pęk kluczy, który miał w jego pięści pełnić funkcję kastetu. Telefon komórkowy mu nie wypadł, a mimo to połączenie z ojcem było bliskie zerwania. Szelesty, trzaski, głośnie kroki po twardym podłożu.

Z odgłosów dochodzących przez komórkę wywnioskował, że Hans-Christian Tannberg wcisnął telefon do kieszeni spodni i rzucił się sprintem przez klatkę schodową piętrowego parkingu.

– Tato?

Usłyszał tylko „Cholera!” oraz inne przekleństwa, wszystkie przytłumione i w otoczeniu innych dźwięków, wytwarzanych przez ubranie trące o szybko poruszające się ciało.

Choć słowa były trudne do zrozumienia, dla *Julesa* było całkowicie jasne, że ojciec znalazł się w poważnych tarapatach. Prawdopodobnie o jeden raz za dużo spojrzął przez szparę w drzwiach na poziom parkingu. Ktoś go pewnie dostrzegł, prawdopodobnie zaczął go ścigać, żeby uciszyć nieproszonego świadka „imprezy”.

– Co się dzieje?

– Jestem... na klatce... schodowej... – wydyszał ojciec. A potem: – O nie... zamknięte...

I gdy Julesowi zdawało się, że słyszy metaliczne grzechotanie, jakby ktoś potrząsał płotem z drutu kolczastego, połączenie się zerwało.

– Halo?

Potań sobie obolałe ramię i spojrzął na wyświetlacz telefonu.

POŁĄCZENIE NIEUDANE – przeczytał na wyświetlaczu, jakby nigdy nie rozmawiał ze swoim ojcem, a cała ta rozmowa nigdy nie doszła do skutku. Jules zdziwił się, widząc nie po raz pierwszy ten w gruncie rzeczy błędny komunikat, gdy rozmowa została przerwana przez brak zasięgu.

Ponowił wybieranie numeru i usłyszał sygnał. Po raz drugi, dziesiąty i dwudziesty. Ojciec nie miał skrzynki głosowej, więc po trzydziestym sygnale operator automatycznie zmienił sygnał na „zajęty”. Spróbował więc połączyć się raz jeszcze.

Otworzył przy tym po raz co najmniej piąty drzwi do pokoju dziecięcego, ale tutaj nadal było cicho i spokojnie.

Żadnego intruza czy pustego łóżka. Wszystko bez zmian.

– Moje maństwo – szepnął, siadając na brzegu łóżeczka. Dziewczynka oddychała cicho, ale równomiernie. Wcześniejsze koszmary senne najwyraźniej minęły. Podciągnął nieco kołdrę, ale wtedy przemknęła mu przez głowę myśl, która sprawiła, że zadrżał.

A co, jeśli to nie jest niegroźne przeziębienie?

Dotknął jej wilgotnego czoła i pomyślał o tabletkach w soku pomarańczowym.

Sięgnął po butelkę z motywem Hello Kitty stojącą obok łóżka i wyniósł ją z pokoju, żeby w jasnym świetle kuchni przebadać ją pod kątem resztek, choć w zasadzie było to głupie. Nie widział przecież nikogo w mieszkaniu, nie słyszał żadnych kroków, a drzwi do pokoju dziecięcego nie poruszyły się ani o centymetr.

A mimo to Jules miał wrażenie, że coś przeoczył.

Tylko co?

Zaledwie wyszedł na korytarz, poczuł wibracje swojego telefonu sygnalizujące nowe połączenie, tak jak odgłos grzechotnika zwiastuje nadciągające niebezpieczeństwo.

– Tato?

– We własnej osobie. O Boże, było blisko.

– Gdzie jesteś?

– Znów w taksówce. Oby znaleźć się jak najdalej stąd. Prawie mnie złapali przy opuszczanej bramie, ale była tak rozklekotana, że wystarczyło ją nieco przesunąć, żeby się wydostać. – Ojciec zaśmiał się euforycznie, najwyraźniej przepelniony uczuciem szczęścia, że w ostatniej sekundzie udało mu się umknąć. – Chcieli mnie pobić. Nie ma wątpliwości.

– Kto? – Jules oddalił się od pokoju dziecięcego, którego drzwi najchętniej by zamknął na klucz. Jednak w całym domu, jeśli pominąć drzwi wejściowe i do łazienki, nie było zamków. Przez co fakt, że nie udało mu się otworzyć drzwi do schowka, stawał się jeszcze bardziej zastanawiający.

– No, zboczeńcy z imprezy na parkingu. Nie mam pojęcia, co to za jedni. Trzech typów. Wszyscy nosili kominiarki.

– Jakież znaki szczególne?

– Tak. Jednego mogę Ci dokładnie opisać. Ale to Ci się nie spodoba.

Z nerwów Jules niemal wypił łyk z butelki z Hello Kitty.

– Co masz na myśli?

Usłyszał, jak ojciec spiera się o trasę, którą wybrał taksówkarz („Wszystko mi jedno, czy autostradą miejską jest szybciej, ale z pewnością jest drożej, łobuzie!”), a potem mówi już do niego:

– Miał jasne włosy, takie dłuższe, jak hipis. Wystawały mu spod maski. Szczupła, sportowa sylwetka. Mniej więcej w Twoim wieku. Coś Ci świta?

– Nie.

– W prawej ręce trzymał tonfę.

– No i? – Poirytowany Jules wrócił już do kuchni i postawił butelkę obok zlewu. Tego typu pałkę, używaną przez policję, każdy czubek może sobie zamówić w internecie. Julesowi znacznie bardziej działał na nerwy sposób, w jaki ojciec kazał wyciągać z siebie każdą informację.

– Nie rozumiem, co mi chcesz powiedzieć. – Przytrzymał przezroczystą butelkę pod światło wiszącej u sufitu lampy, ale nie zobaczył niczego. Żadnych zabrudzeń, żadnych kłaczków, a już z pewnością żadnych tabletek. Gdy jednak ojciec zaczął mówić dalej, Jules poczuł się tak, jakby butelka była wypełniona trucizną, a on wypił przed chwilą jej duży łyk, bo Hans-Christian Tannberg stwierdził:

– Będziesz wiedział, o kim mówię, jeśli zdradzę Ci, że ten typ miał wytatuowany paragraf na środkowym palcu?

42

Jules, który właśnie chciał postawić butelkę obok zlewu, zamarł w pół ruchu, podobnie jak Fabienne i Valentin zatrzymywali się kiedyś na urodzinowych przyjęciach dzieci podczas zabawy „muzyka stop”.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo Cezar jeździ na wózku inwalidzkim.

– Od kiedy, chłopcze? Byłeś przy tym, jak lekarze wypuszczali go ze szpitala? Czytałeś jego wypis?

– Nie, ale...

Szum w uszach, bzycający dodatek do stresu, znów się pojawił.

– Nie, nie zrobiłeś tego – przerwał mu ojciec. – A on nie byłby pierwszą osobą, która symuluje, że jest skazana na wózek inwalidzki. Nie wiesz nawet, jak wielu oszustów ubezpieczeniowych stosujących tę sztuczkę udało mi się zdemaskować.

– Cezar jest na randce. Opowiadał mi o tym. A jego sympatia także jeździ na wózku.

– To on tak twierdzi. – Jego stary westchnął. – Jeśli mi nie wierzysz, to po prostu do niego zadzwoń.

– A co to ma udowodnić? – Rozmawiając, Jules kręcił się niespokojnie wokół wyspy kuchennej. – Jeśli nie odbierze, znaczy to, że jest zajęty z Ksenią.

– Boisz się prawdy – stwierdził ojciec ze szczególną intonacją, którą doprowadzał Julesa do szału już od najmłodszych lat. Uśmiechając się z zado-

wolaniem, tak jakby posiadał wszystkie mądrości świata.

– Nie rozłączaj się – rzucił do ojca i przesunął go do kolejki połączeń oczekujących. Następnie wybrał z listy ulubionych numer swojego najlepszego przyjaciela.

Upłynęła chwila, zanim nawiązał połączenie. Przedtem na chwilę zaszumiało jak podczas dawnej rozmowy zamiejscowej.

Co za idiotyzm...

Jules oczywiście wiedział, że ojciec musiał się pomylić. Niemożliwe, żeby Cezar był na tym parkingu. I to w dodatku bez wózka inwalidzkiego.

Mimo to, kiedy wreszcie rozbrzmiał sygnał, Jules przeżył doświadczenie niemal nadzmysłowe. Ponieważ usłyszał dźwięk nie tylko w swojej komórce. Jednocześnie z pierwszymi sygnałami rozległa się muzyka, która przed kilkoma minutami już raz go przestraszyła.

Muzyka klasyczna.

Smutne, melancholijne dźwięki molowe.

Chopin?

Jules poczuł się tak, jakby momentalnie został przeniesiony wstecz w tę chwilę przerażenia, gdy w dniu tragedii przy Prinzregentenstrasse chciał wbiec obok stojących funkcjonariuszy do własnego mieszkania. Napędzany pewnością, że za chwilę dokona straszliwego odkrycia. Podobnie czuł się teraz, gdy stwierdził, że źródło dźwięku, z którego rozchodziła się fortepianowa melodia, znajduje się zaledwie kilka metrów od niego.

Jules zamrugał, potarł sobie oczy, choć najchętniej zamknąłby je na dłuższy czas. Teraz przypomniał sobie także tytuł tego utworu: *Preludium numer cztery*.

Utwór, który Cezar tak bardzo lubił, że miał go ustawiony od zawsze jako dzwonek telefonu.

43

Jules raz jeszcze spojrział na wyświetlacz, żeby sprawdzić, czy wybrał właściwy numer, ale na ekranie dotykowym rzeczywiście można było przeczytać CEZAR (Magnus Kaiser). A tym razem nie było najmniejszych wątpliwości, skąd dobiegał dźwięk dzwonka.

Znów ruszył korytarzem, tylko kilka kroków w kierunku pokoju dziecięcego. Szedł powoli, z rozwagą stawiając stopy, jakby stąpał po gładkim lodzie i starał się nie przewrócić.

To niemożliwe. To nie może być prawda.

Melodia stawała się tym głośniejsza, im bliżej drzwi mieszkania podchodził Jules. Doszedłszy do nich, zatrzymał się na chwilę, a następnie wetknął klucz do zamka i otworzył. Sam ten ruch zwykle aktywował czujniki na klatce schodowej, ale tym razem, nawet gdy Jules przekroczył próg, pękata lampa sufitowa pozostała ciemna, choć zazwyczaj zalewała się siarkowo-żółtym światłem.

Ciemność wzmocniła tylko upiorne wrażenie, jakie na Julesie wywarł widok zdjęcia widocznego na ekranie telefonu.

Zostało zrobione przed dwoma laty na Olympiastadion podczas meczu Herthy Berlin przeciwko RB Lipsk. Jules założył prowokacyjnie szalik Union Berlin i podobnie jak Cezar z piwem w ręku wykrzykiwał coś w kierunku piłkarzy lub sędziego. Teraz, gdy sobie przypominał, że zdjęcie to zrobiła Dajana, serce mu pękało na myśl, że Cezar wybrał je jako tło dla połączeń przychodzących od swego najlepszego przyjaciela.

Ale czy naprawdę nimi jesteśmy? Najlepszymi przyjaciółmi?

Przerwał próbę połączenia i natychmiast komórka na wycieraczce przed drzwiami przestała dzwonić. Chopin umilkł, wyświetlacz zgasł, a zdjęcie dwójki przyjaciół na meczu piłkarskim zniknęło. Wraz z nim rozwiła się nadzieja, że wszystko to musi mieć jakieś niegroźne wytłumaczenie i wystarczy tylko, żeby Jules się skupił i postarał się je znaleźć.

– Cezar?! – krzyknął w głąb klatki schodowej. Bardziej niż widokiem telefonu zdziwił się tym, że nie słyszy starej windy, której wykładane mosiądzem przesuwane drzwi otwierały się z odgłosem przypominającym strzelanie z bicia.

„Nie byłby pierwszą osobą, która symuluje, że jest skazana na wózek inwalidzki. Nie wiesz nawet, jak wielu oszustów ubezpieczeniowych stosujących tę sztuczkę udało mi się zdemaskować”.

Myśl o tym bezczelnym twierdzeniu ojca przypomniła mu o tym, że przesunął go do połączeń oczekujących.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał, przełączając się na rozmowę z ojcem i wracając do mieszkania z telefonem Cezara w rękę. Próbował go odblokować, żeby zobaczyć, kiedy był po raz ostatni w użyciu, ale okazało się, że jest zabezpieczony przez rozpoznawanie twarzy.

– Niech zgadnę. Nie odebrał? – powiedział ojciec.

– Gorzej – odparł Jules. Miał przy tym na myśli nie tyle fakt, że znalazł telefon swojego najlepszego przyjaciela przed drzwiami mieszkania. Ani też pytanie, jak oraz przede wszystkim dlaczego Cezar po cichu zostawił tam swoją komórkę. Jego odpowiedź miała związek z drzwiami do schowka, których klamkę nie tak dawno oderwał, ponieważ były zaklinowane.

Czy też zamknięte?

A teraz stały otworem.

44

Klara

„Nie znaczy tak”.

To chyba najbardziej perfidny komentarz mężczyzn, pytanych, czemu nie przestawali, choć partnerki ich o to prosiły.

Proszę, to boli.

Przestań.

Nie chcę.

Klara była świadoma, że za kilka sekund, gdy tylko zjawi się przy niej „ten, kto zaoferuje najwięcej”, zdania te nie będą miały najmniejszego znaczenia. Licytacja niewolnicy przeprowadzona przez Martina trwała najwyraźniej krócej niż dziesięć minut i teraz zbliżał się do samochodu dobrze zbudowany mężczyzna. Nadchodził powolnymi krokami od strony wyjścia ewakuacyjnego. Jeszcze kilka sekund i barczysty facet o chodzie nieco pijanego marynarza będzie z niej „korzystał”, słysząc przy tym jedynie to, co chciał usłyszeć:

Tak.

Jeszcze.

Mocniej.

Pewnego razu jedna z jej koleżanek z pracy naśmiewała się podczas przerwy obiadowej z „łasych na kasę lasek”, które czekały całe lata, żeby wnieść zawiadomienie o popełnionym na nich gwałcie, zwykle dopiero

wtedy, gdy pojawiały się widoki na pieniądze, ponieważ „rzekomy potwór” tymczasem doszedł do sławy lub się ożenił. Klarze zrobiło się wówczas tak niedobrze, że zwróciła w toalecie w pracy zjedzoną przed chwilą kanapkę. Nie była w stanie opowiedzieć tej koleżance z własnego doświadczenia, że kobieta czuje się jak ostatni śmieć, gdy sperma wypływa z jej rozerwanej waginy w zakrwawione majtki. Że najchętniej przez cały rok stałaby pod prysznicem o temperaturze stu stopni, żeby zedrzeć sobie skórę, zamiast bezpośrednio po gwałcie opisywać go ze szczegółami komuś obcemu. Że najczęściej to mężczyźni spisują przebieg zdarzenia, ale nawet kobiece ręce dotykające zhańbionego ciała w celu zabezpieczenia dowodów są nie do zniesienia. Dowodów w procesie, w którym słowo stanie przeciwko słowu, w którym druga strona będzie się starała przedstawić kobietę jako ostatnią zdzirę („Są nawet nagrania wideo pokazujące, jak pozwala się biczować innym facetom”) i w którym na koniec mężczyzna – jeśli wszystko naprawdę, ale to naprawdę dobrze pójdzie – dostanie wyrok w zawieszeniu, a kobieta będzie nosiła w sobie hańbę do końca życia.

Potrząsnęła głową i zapłakała.

Nie, dzisiaj też nic nie powie. Nawet jeśli facet, który mimo zimna panującego tej nocy miał na sobie tylko białą koszulkę z długimi rękawami i czarne dżinsy, połamie jej wszystkie kości.

Klara wcisnęła po raz kolejny przycisk zamykający od wewnątrz drzwi samochodu, choć dobrze wiedziała, że nie ma to sensu, bo Martin w swej niezgłębionej zapobiegliwości uchylił wcześniej kłapę bagażnika, żeby zagwarantować zwycięzcy licytacji bezproblemowy dostęp do wnętrza pojazdu.

„Gracz” (tak nazywali się uczestnicy tych perwersyjnych wieczorów) dotrzymał najwyraźniej swojej części umowy. Pieniądze musiały być wcześniej przelane za pośrednictwem sieci z jego konta. Takie były zasady. Przekazał już Martinowi zapłatę za niewolnicę, a to oznaczało, że teraz może z nią zrobić wszystko, a ona musi wszystko znieść. Najprawdopodobniej ten gnój myślał sobie to samo co Martin. Że kobiety same tego chcą. A on ma prawo, bo przecież za to zapłacił.

Nie znaczy tak.

Tym bardziej jeśli chodziło o zameżne kobiety, które winny być posłuszne swoim mężom. Jak to powiedział kiedyś pewien wysokiej rangi polityk w Bundestagu, argumentując, dlaczego gwałt w małżeństwie powinien pozostać bezkarny? „Częścią pożycia małżeńskiego jest także przewycięzanie niechęci do partnera. Mąż nie ma przecież ochoty popełniać przestępstwa – niektórzy mężczyźni są po prostu bardziej porywczy od innych”.

O tak, tacy właśnie są.

Martin z pewnością wyszukał dla niej szczególnie „porywczy” egzemplarz, pomyślała Klara, wstrzymując nieświadomie oddech, gdy mężczyzna stanął w odległości pięciu metrów od samochodu. Wyglądał jak drapieżnik przypatrujący się swej ofierze. Z trudem powstrzymywała się od krzyku. Sama myśl o tym, co się z nią za chwilę stanie, podczas gdy ona, pozbawiona pomocy, będzie wciąż przykuta do uchwytu nad drzwiami, sprawiała jej fizyczny ból.

Mam jeszcze jedną szansę, pomyślała. Ostatnią szansę.

Odchyliła się w bok. Wyciągnęła unieruchomione prawe ramię najdalej, jak to możliwe, a lewą ręką spróbowała dosięgnąć drzwi od strony kierowcy, a ściśle rzecz biorąc, ich wewnętrznej kieszeni, gdzie Martin włożył pistolet Hendrika – *i zapomniał o nim!!!*

– Ty skończony idioto! – powiedziała na głos. Każde przekleństwo, które rzucała, widząc oczyma wyobraźni swojego męża, przywracało jej siły. *Ten głupi wieprz naprawdę wysiadł, nie zabierając ze sobą broni!*

W porównaniu z kluczykami do kajdanek pistolet był o wiele większy i nie był zaklinowany, dlatego Klara mogła go łatwiej chwycić. Serce jej waliło jak kopyta spłoszonego konia. Nie czuła bólu w nadgarstku, bo tak wielka była euforia spowodowana tym, że trzyma lufę w ręku.

Niemal.

Udało się, zdążyła pomyśleć Klara, gdy w tej samej chwili broń wyslizgnęła jej się z dłoni. Nie dlatego, że miała spocone ze strachu palce, lecz dlatego, że odstęp między jej ręką a kieszenią w drzwiach nagle się powiększył. „Gracz” ubiegł ją i otworzył drzwi od strony kierowcy.

Wraz z zapaleniem się lampki oświetlającej kabinę zgasła w Klarze ostatnia chęć oporu. To, co się teraz miało zacząć, oznaczało jej koniec. Tyle tylko że nie będzie on efektem jej własnego wyboru, ale towarzyszyć mu będzie ból zadawany przez inną osobę.

Potężny facet, który był zdecydowanie zbyt duży jak na tak mały samochód (i o wiele za duży jak na drobne kobiece ciało), opadł na siedzenie. Już to wystarczyło, żeby pojazd się zakołysał.

– Witam szanowną panią – powiedział mężczyzna, zamykając drzwi. Potem obrócił się twarzą do Klary: – Znów się widzimy, co?

45

Słucham?

W instynktownym geście obronnym Klara położyła lewą, wolną rękę na piersi.

Nigdy wcześniej nie widziała twarzy tego mężczyzny, a mimo to wydał jej się teraz dziwnie znajomy. Wszystko w nim sprawiało wrażenie silnego, ale nie prostackiego. Kanciasta, pasująca do reszty muskularnego ciała, głowa, która przez odstające ciemne loki sprawiała wrażenie jeszcze większej. Wielkie dłonie z widocznymi żyłami, które położył na kierownicy w sposób, w jaki inni chwytają wykałaczki. Mięśnie klatki piersiowej, które groziły oderwaniem guzików koszuli. Wszystko obce, a jednak znajome.

Możliwe – na samą myśl o tym zadrżała – że Martin już kiedyś mu ją „zaprezentował”. Może był to wręcz ten zamaskowany mężczyzna, który stał ze smyczą w klubie sadystów w Le Zen?

„Gracz” położył kamerę Go Pro na desce rozdzielczej, jednak w taki sposób, że obiektyw był skierowany w bok i nie obejmował wnętrza pojazdu. Pewnie był zbyt podniecony. Być może był pierwszy raz w „stajni”.

– No już, pospiesz się – powiedział szeptem, ale Klara nie była pewna, czego on chce.

Ma się rozebrać?

Zacząć od tego, żeby zdjąć mu ubranie? Rozpiąć mu spodnie?

Facet zaczął grzebać w bocznej kieszeni drzwi. Wyjął z niej broń, która najwyraźniej nie wzbudziła jego najmniejszego zainteresowania, i szukał

dalej, również w przegródce za drążkiem zmiany biegów i zagłębieniu na kubek przed nim.

– Gdzie kluczyk? – spytał, nie patrząc na nią.

– Obok mojego fotela, na podłodze – wyjaśniła Klara. Jaki miałoby sens odwlekanie tego, co nieuchronne? I tak pewnie zechciałby ją w którymś momencie uwolnić z kajdanek, skoro i tak nie była w stanie stawiać oporu.

– Nie ten – stwierdził facet rzucając okiem w miejsce obok jej siedzenia.

Dziwne.

Jego głos także wydawał jej się znajomy.

– Pytam, gdzie jest mój kluczyk od samochodu?

Mój?

Klara zaczęła gwałtownie łapać ustami powietrze.

Jak to było możliwe?

– Hendrik?

– Nie, Święty Mikołaj – zażartował i otworzył schowek w desce rozdzielczej przed fotelem pasażera. – Masz go jeszcze?

– Co? – Była tak zaskoczona, że zupełnie zapomniała, o co pytał ją ten mężczyzna, który najwyraźniej był Hendrikiem bez przebrania Świętego Mikołaja.

– Kluczyk od samochodu! – Dotknął przycisku START, ale silnik nie zareagował. – Miałem nadzieję, że zostawił go w środku. Wiesz może, gdzie jest?

Pokręciła głową. Z jednej strony była to odpowiedź, z drugiej strony reakcja na sytuację, której wciąż nie umiała sobie poukładać.

– Co Ty tu robisz? – wychrypiała. Wraz z pytaniem powrócił strach, a wraz ze strachem ponownie rozpoczął się galop w jej piersiach.

Czy to jakaś ukartowana, perwersyjna gra? Czy Hendrik od samego początku był marionetką w rękach Martina?

– Próbuję odzyskać samochód. I jak się wydaje, wyciągnąć Cię z tego gówna.

Trudno było nie usłyszeć, jak jest podniecony. Jednak nie w seksualnym tego słowa znaczeniu i dlatego w Klarze zabłysła iskierka nadziei. Wyda-

wało jej się, on także najchętniej znalazłby się w dowolnym innym miejscu, byle tylko nie tutaj.

– Musimy się pospieszyć. Ten facet, który poziom niżej wystawił Cię na licytację, powiedział, że przyjdzie za pięć minut, żeby rzucić okiem. Być może nawet wcześniej, kiedy zauważy, że kamera nie nadaje.

Klara nie mogła przestać kręcić głową.

– Ale ja... nie rozumiem... Jak mnie znalazłeś?

– Widziałas mnie przecież w przebraniu Świętego Mikołaja. Jak sądzisz, w jaki sposób zarabiam pieniądze?

– Na imprezach bożonarodzeniowych?

– W środku nocy? – Zaśmiał się. – Dziewczyno, jestem striptizerem. Robię się na wieczorach panieńskich lub innych zakrapianych imprezach urządzanych przez kobiety. Tak jak w tym lesie.

Mimo swojego opłakanego stanu Klara nie mogła powstrzymać się od cichego śmiechu.

– To wyjaśnia także pistolet i kajdanki.

– Atrapy.

Wyciągnął broń z bocznej kieszeni drzwi i wskazał lufą na prawy przegub Klary.

– W środku nie ma kuli. Oszustwo, podobnie jak ta dziecięca zabawka na Twojej ręce. Przy czym kajdanki całkiem nieźle trzymają, nie spodziewałem się.

Sięgnął pomiędzy brzeg tapicerki i wykładziny samochodowej koło siedzenia i z godną podziwu szybkością udało mu się grubymi palcami wyłowić kluczyki do kajdanek.

Pochylił się w jej kierunku, prawdopodobnie po to, żeby ją uwolnić, ale Klara instynktownie się cofnęła.

– Nie, zostaw mnie!

– Nie?

– To pułapka. Nie dam się nabrać.

– Zdurniałaś? – Postukał się w czoło. – Przyszedłem tu, żeby Cię uwolnić. Wyrzuciłem mój kostium do śmieci, żeby jakiś taksówkarz w ogóle ze-

chciał mnie zabrać. Musiałem marznąć w samej koszulce i dżinsach, bo zachciało Ci się zwędzić mi brykę. Przysięgam, gdy tylko się stąd wydostaniemy, będziesz musiała odpowiedzieć mi na kilka pytań.

– Nic z tego, dopóki w wiarygodny sposób mi nie wyjaśnisz, jak mnie znalazłeś.

Hendrik przewrócił oczami.

– Nie wydaje mi się, żeby teraz był na to odpowiedni moment.

– Jeśli Twoje wyjaśnienie potrwa dłużej niż dziesięć sekund, to będzie znaczyło, że jest kłamstwem, a wtedy już po mnie.

– Okej – westchnął. – Skurwiel, który Cię tu porwał moim samochodem, ryczał coś, że Cię zaprowadzi do stajni.

Po plecach Klary przebiegł zimny dreszcz – nie tylko z tego powodu, że we wnętrzu stojącego na parkingu pojazdu robiło się tym zimniej, im dłużej się tutaj znajdowała.

– Aha. A Ty oczywiście od razu wiedziałeś, co on ma na myśli?

– Pozwolę sobie Ci przypomnieć: jestem striptizerem. Znam wszystkie zboczone imprezy w tym mieście. Nawet te nielegalne.

– Bzdura. Tylko członkowie klubu wiedzą, gdzie i kiedy się to dzieje.

Hendrik mruknął, że robi się to dla niego już zbyt głupie. Nie czekając na kolejne pytania lub sprzeciwy, pochylił się nad jej siedzeniem, sięgnął do jej ramienia i w mgnieniu oka uwolnił ją z kajdanek.

Najwyraźniej ma w tym wprawę.

– Spadamy stąd – rzucił. – Facet, który Cię porwał, wkrótce zauważy, że na jego konto dziś wieczór nie wpłynęła żadna forsa.

– Nie przelałeś pieniędzy?

– Oczywiście, że nie. Mówiłem Ci przecież, że nie jestem tu członkiem. Udawałem tylko, że zlecam na telefonie przelew. Powiedziałem, że może to potrwać dziesięć minut, bo akurat jest duży ruch na linii, ale najchętniej bym już zaczął. Wie przecież, gdzie mnie szukać.

Klara skinęła głową. To miało sens. Ponieważ tego typu imprezy były znane tylko wśród wtajemniczonych, wszyscy automatycznie zakładali, że każdy obecny ma konto do transferu pieniędzy. Sama tylko obecność była

wystarczającą gwarancją. Co ponownie stawiało ją przed pytaniem, jak Hendrik się tu dostał.

To pułapka! – krzyczał diabełek rozsądku w lewej półkuli mózgu Klary.

No i co z tego? I tak chciałaś dziś to wszystko rzucić – sprzeciwiał się zrezygnowany i wyczerpany głos jej serca.

Hendrik spojrzał na nią stalowobłękitnymi oczami, które mimo intensywnego zabarwienia patrzyły dziwnie melancholijnie, i chwycił ją za rękę.

– Spadamy. To kwestia kilku minut, nim ten zbok tu wróci, bo się zorientuje, że pieniądze nigdy nie wpłyną na jego konto.

– Raczej sekund – szepnęła Klara, obracając głowę w bok i kierując wzrok ponownie w stronę wyjścia ewakuacyjnego, z którego właśnie wybiegał jej mąż. W towarzystwie dwóch mężczyzn, trzymających chyba w rękach broń.

46

Było ich trzech. I rzeczywiście mieli broń w rękach. Najstraszniejszą z możliwych, jeśli przeciwnik jest jak Klara słabszy lub jak Hendrik uzbrojony tylko w pistolet atrapę. Martin i dwaj towarzyszący mu mężczyźni w kominiarkach trzymali w rękach długie noże.

– Kim jesteś?! – krzyknął Martin już z daleka.

Klara wzdrygnęła się, chociaż ryk jej męża doszedł do niej silnie stłumiony przez przednią szybę samochodu. Niezliczoną ilość razy widziała już, jak jej mąż się wścieka, często aż do granic szaleństwa. Nigdy jednak nie widziała w jego oczach tak silnej żądzы mordy.

– Gówno Ci do tego, cioto! – ryknął w odpowiedzi Hendrik.

Martin, który stał już w odległości metra, zagroził mu nożem:

– Wysiadaj, Ty wyrośnięty szczylu, to Cię zabiję.

– Palant. – Hendrik zaśmiał się z lekceważeniem. – Jesteś silny tylko wtedy, gdy Twój przeciwnik jest tak samo pozbawiony jaj jak Ty.

Rozgniewany Martin zwrócił się do kompanów, którzy stali po obu jego bokach:

– Powinienem był to wiedzieć. Nigdy nie widziałem tu jego zasranej mordy. I nikt nigdy nie proponował aż tyle za moją kurewską żonę.

Mężczyźni skinęli głowami w milczeniu.

– Nikt nigdy nie rozerwał Ci dupy tak jak ja, gdy z Tobą skończę – powiedział Hendrik.

– To wyłaż wreszcie! – szcęknął Martin.

Wzrok Klary wędrował pomiędzy Hendrikiem a jej mężem, podczas gdy Ci dwaj skupiali na sobie wzrok, mierząc się w konkurencji „kto pierwszy mrugnie, ten przegrywa”.

– Jeśli podejdziesz wystarczająco blisko, sztuczka, której wtedy próbowałaś, zadziała – mruknął do Klary Hendrik, który jak brzuchomówca prawie nie poruszał ustami.

Choć Martin stał wciąż oddalony o długość ramienia, Hendrik nacisnął przycisk uruchamiający silnik. Oczywiście bez skutku.

Gdyby tylko Martin podszedł nieco bliżej...

W Klarze zebrało się wystarczająco dużo złości, żeby spróbowała tego pozbawionego szans powodzenia planu.

– No, chodź tu i nas wyciągnij ze środka! – krzyknęła do męża przez szybę. Pokazała mu środkowy palec. – Ty głupi dupku! Chcesz może wiedzieć, kto koło mnie siedzi?

Posłała Martinowi wykrzywiony odrazą uśmiech.

– To Hendrik. Mój kochanek. Myślałeś sobie, że masz nade mną kontrolę? Gównu masz, a nie kontrolę. Pieprzę się z nim od miesiący.

Odwróciła się do Hendrika, przyciągnęła go do siebie, spojrzała w jego stalowobłękitne oczy, przycisnęła wargi do jego pełnych ust i pocałowała go z języczkiem.

Tak, jak się spodziewała, nie musiała długo czekać na wściekłą reakcję Martina. Rzucił się do przodu i uderzył pięścią w maskę samochodu. W tej samej sekundzie Hendrik dotknął przycisku START, a silnik...

...nie zapalił.

Martin zaśmiał się i pomachał nożem w ich kierunku.

– No i kto z nas jest teraz idiotą? – zapytał. – Naprawdę myślałeś, że mam kluczyki przy sobie? Ty palancie.

Obcesowo odsunął w bok stojącego po jego prawej stronie małego, nieforemnego faceta o sporej nadwadze, który również miał na sobie garnitur, i podszedł do drzwi pasażera.

– Otwierać – rozkazał, a facet na prawo od niego wyjął kluczyk i zdalnie odblokował centralny zamek.

Martin wsadził sobie nóż pomiędzy zęby, żeby zdjąć marynarkę, którą rzucił przed siebie na beton jak rycerz rękawicę. Potem przystąpił do szturmowania samochodu.

Jeden z głównych zarzutów, które Martin w trakcie trwania ich małżeństwa wciąż na nowo formułował, brzmiał: „Ty po prostu nie myślisz, co robisz”. Mantra, która poprzedzała niemal każdy policzek. Bardzo często Martin jednak się mylił. Zazwyczaj Klara po prostu zbyt dużo myślała i chciała uwzględnić zbyt wiele czynników jednocześnie (*z jednej strony Martin lubi, gdy w momencie gwizdka rozpoczynającego mecz Bundesligi na stoliku przy kanapie stoi w pogotowiu piwo, z drugiej strony powinno być ono zimne; kiedy zatem jest właściwy moment, by wyjąć je z lodówki, tak żeby nie miał poczucia, że musi mi o tym przypominać?*), co zwykle było przyczyną jej porażek. Jednak tym razem jej mąż miał rację.

Klara nie pomyślała, nie zastanowiła się, jakie to będzie miało konsekwencje, gdy pochyliła się nad fotelem Hendrika, a tym samym nad jego tułowiem, żeby wyjąć zabawkowy pistolet z kieszeni w drzwiach kierowcy chwilę po tym, jak Martin otworzył drzwi od jej strony. I na chwilę przed tym, jak złapał ją za włosy i przy akompaniamencie bólu, który przeniknął aż do jej zatok czołowych, wywłócił ją ze środka pojazdu na betonową posadzkę.

– Zostaw ją! – usłyszała krzyk Hendrika, który jeśli sądzić z odgłosów, również wyskoczył z samochodu. W tym momencie Klara miała oczy za bardzo zalane łzami, żeby klęcząc na czworakach na brudnym betonie, cokolwiek zobaczyć. Odczuwała tylko aż nazbyt dobrze jej znane współbrzmienie odczuć, składające się z bólu, strachu i rozpacz, do którego teraz dochodziła spora porcja wściekłości, która pozwoliła jej na powstanie, w dosłownym tego słowa znaczeniu, przeciwko swojemu mężowi.

Z krzykiem jak przy bólach porodowych poświęciła pukiel włosów, w które wciąż wczepione były palce Martina, i szarpnęła głową w bok. Obróciła się na betonie o jakieś dziewięćdziesiąt stopni i wstała, kierując broń w stronę męża i krzycząc coś całkowicie niezrozumiałego, co było mieszanką złożoną z „Teraz to Ty przegrałeś!”, „Wciąż czujesz się tak moc-

ny?!” oraz „Wsadzę Ci lufę w dupę i mam nadzieję, że kula wyleci przez głowę!”.

Wszystko to chciała jednocześnie krzyknąć, ale była zbyt nabuzowana i za bardzo przestraszona, żeby to rozsądnie wyartykułować, ponieważ wiedziała, że z pistoletem w ręku tylko blefuje. Robiła to jednak tak dobrze, że towarzysze Martina podnieśli ręce do góry, a grubszy z nich opuścił nawet nóż na ziemię.

– Tylko spokojnie, Klara! – usłyszała okrzyk Hendrika, który podbiegł do niej okrążając tył samochodu.

I to ją zdziwiło.

Strach, jak Klara się tego zdążyła nauczyć, ma często pozytywne skutki uboczne. Jeśli się go ciągle doświadcza, jak żołnierze w akcji, wyostrza zmysły. Zwraca się wówczas uwagę na niuanse i drobnostki, które na co dzień umykają. Na przykład na to, że mężczyzna zawołał ją po imieniu, a przecież ona nigdy mu się nie przedstawiła.

Skąd Hendrik wie, jak mam na imię?

Zaabsorbowana tą myślą na czas jednego wdechu, opuściła broń o centymetr. Martin najwyraźniej dostrzegł ten ułamek sekundy nieuwagi i zdołał ją wykorzystać. Silnie i skutecznie – kopiąc ją między nogi, tak jak to bardzo chętnie robił też wcześniej, gdy spóźniała się z wykonywaniem obowiązków domowych lub zbyt długo zostawiała go z Amelie samego.

Karta się odwróciła. Z „beznadziejnej” na „kompletną katastrofę”. Martin złapał Klarę za rękę, ona skuliła się odruchowo, a on uderzył ją jej własną bronią w twarz. To był błąd, gdyż krew, która trysnęła Klarze z nosa jak fontanna, obryzgała również jej dłoń, którą zaciskała na zabawkowym pistolecie. Niemal wyleciał jej z rąk, a ponieważ palce Martina także były zalane krwią, nie zdołał uchwycić broni. W tej samej chwili doskoczył do nich Hendrik, ale było już za późno.

Klara nacisnęła spust.

W trakcie rozpaczliwych starań, żeby nie wypuścić jedyne argumentu z rąk, tak mocno zacisnęła dłoń na rękojeści, że padł strzał.

Przez pomyłkę, zdążyła jeszcze pomyśleć, patrząc, jak Martin szarpnął się w tył, za Hendrika, który w całym tym zamieszaniu znalazł się między nimi.

Upuściła pistolet, ale nie usłyszała, jak upada na podłogę. Jej uszy były wciąż ogłuszone hukami, od którego pękały bębny i który wciąż odbijał się echem w jej głowie.

– Co jest? – spytała, ale tego także nie usłyszała. Miała wrażenie, jakby ktoś wepchał jej watę do uszu.

– Klara... – poruszyły się niemo wargi Hendrika.

Znów zwrócił się do niej po imieniu. Wyglądał przy tym tak, jakby wcale nie był już pewien, czy to właśnie ona przed nim stoi. Zdziwiony, bezradny, ranny.

Tak musi wyglądać mąż, który kocha swoją żonę ponad wszystko i nagle staje się świadkiem, jak ona go zdradza, pomyślała Klara, zdumiona tym, że Martin nie wykorzystał sytuacji i jej nie obezwładnił. Wręcz przeciwnie. Cofnął się, upuścił nóż na ziemię i ruszył w ślady swoich zamaskowanych pomocników, odwracając się i z każdym krokiem coraz szybciej biegnąc w kierunku klatki schodowej.

W całkowitym szoku Klara o mały włos zawołałaby za nim, żeby go zapytać, czemu to robi, choć w gruncie rzeczy było to dokładnie to, czego chciała: Martin ją zostawił. Możliwe, że na zawsze.

A Ty dokąd?

Dlaczego mnie zostawiasz?

Co się stało?

Odwróciła się do Hendrika i znalazła odpowiedź na wszystkie pytania, które kłębiły się w jej głowie, bo zobaczyła plamę.

Najpierw przypominała jej motyla, potem mapę wyspy, która na białej koszulce Hendrika rozprzestrzeniała się od łuku żeber aż w okolice nerek.

– Co...? – zapytała go, wciąż ogłuszona i wciąż niezdolna do sformułowania prawidłowego zdania.

Z jej ust wydobywała się para jak dym z lufy pistoletu, z której wyleciał pocisk.

Z hukiem.

To niemożliwe. Powiedział mi przecież...

Hendrik się zachwiał. Klara postąpiła krok do przodu, żeby go chwycić za rękę, ale nie była wystarczająco szybka. Hendrik przyłożył dłoń do rany i runął do przodu. Najpierw na kolana, potem na bok i padł na betonową podłogę w pozycji embrionalnej tuż obok pistoletu, który najwyraźniej nie był zabawką.

– Myślałam, że to tylko atrapa – jęknęła Klara. – Powiedziałaś, że nie działa.

Także ona uklękła, wyciągnęła drżące dłonie, ale nie odważyła się go dotknąć. Jej wzrok padł na marynarkę, którą zdjął Martin. Sięgnęła po nią, żeby przykryć Hendrika. Na plakacie na temat pierwszej pomocy, który wisiał w gabinecie, gdzie pracowała, czytała, że rannym trzeba zapewnić ciepło. Czy dotyczyło to także ran postrzałowych?

Boże, zastrzeliłaś człowieka!

Marynarka była ciężka. Nie wpłynął na to ciężar elektronicznego kluczyka do samochodu, bo zabrał go przecież jeden z tych palantów. Klara pomacała wewnętrzną kieszeń i natknęła się na telefon.

Moja komórka!

Dygocąc jeszcze bardziej, nie potrafiła z nerwów, a także z powodu zdrętwiałych, zabrudzonych krwią palców odblokować ekranu, żeby wezwać pomoc.

Tymczasem Hendrik poruszył wargami. Powoli wracał jej słuch, docierał już do niej dochodzący z dołu aż na poziom parkingu hałas uliczny. Jednak szept Hendrika był tak słaby, że nie mogła zrozumieć, czego od niej chce. Jakiś samochód osiem pięter niżej przyspieszył z rykiem wozu wyścigowego.

Natomiast rozum Klary pracował raczej z prędkością gąsienicy.

Wezwać pomoc.

Muszę. Wezwać. Pomoc.

Przypomniała sobie, że trzeba po prostu nacisnąć przycisk Home na telefonie, żeby połączyć się bezpośrednio z numerem alarmowym.

„Pomocy! Musicie przyjechać na piętrowy parking”, powiedziała by wóczas, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Ale przecież udałoby im się namierzyć jej telefon. „Koło mnie leży mężczyzna z raną postrzałową”, oświadczyłaby przez telefon.

O którym nie wiem, kim jest.

I skąd zna moje imię.

Zobaczyła, że Hendrik się poruszył. Spojrzała na broń leżącą obok niego.

A także dlaczego mnie okłamał.

W ostatniej chwili, zanim on zdążył go dosięgnąć, kopnęła nogą pistolet, który poleciał w stronę porzuconego volkswagena garbusa. Po sekundzie także ona ruszyła w tym samym kierunku. Tak szybko, jak pozwalała jej na to obolała kostka, z telefonem przy uchu, który zaczynał nawiązywać połączenie z numerem alarmowym, puściła się biegiem.

Do wyjścia.

Choć sobą za to gardziła, musiała najpierw pomyśleć o sobie. Musiała zostawić Hendrika samego.

Nim znowu da się nabrać na jego kłamstwa, co mogłoby ją kosztować utratę albo rozumu, albo życia.

Lub jednego i drugiego.

47

Jules

W pierwszych tygodniach po samobójstwie Dajany Jules budził się z poczuciem, że z rozpaczy umrze na atak serca. Te regularnie występujące w środku nocy objawy ostatnio ustąpiły, ale teraz, kiedy zapalił światło w schowku, nagle poczuł oznaki zwiastujące zbliżającą się śmierć: żelazną obręcz coraz bardziej zaciskającą się na klatce piersiowej i gwałtowny zlewny pot, który najpierw rozpałił mu czoło do czerwoności, żeby wkrótce potem doprowadzić go do dygotania z zimna.

Oraz oczywiście serce, które robiło wrażenie zbyt dużego, jakby dławiło się zebraną w nim krwią i nie było już w stanie wypompować zawartości komór z powrotem do naczyń krwionośnych.

Złapał się za klatkę piersiową, niezdolny odwrócić wzroku od schowka, który przedtem daremnie starał się otworzyć, a który teraz stał otwarty na oścież.

– Jesteś tam? – dopytywał się ojciec przez komórkę, którą Jules wciąż trzymał przy uchu.

– Tak.

Poczuł kolejne ukłucie w okolicy serca, tak silne, że musiał wstrzymać oddech. Dotykanie pożegnalnego listu Dajany w kieszeni na piersiach uspokajało go. Nawet jeśli jego treść była tak straszna jak nic innego, co w swoim życiu czytał, list ten dawał mu pewność, że ma zawsze przy sobie częst-

kę człowieka, któremu w życiu najbardziej ufał. Poza tym w ostatnich słowach pozostawionych przez Dajanę były też akapity, w których wyrażała swoją miłość. Zdania takie jak:

Pamiętasz jeszcze nasz pierwszy pocałunek w szkole? I te wszystkie piękne lata, które były potem?

Tak bardzo kochałam te Twoje listy, które zawsze mnie zaskakiwały. Pod poduszką, w lodówce, między moimi sportowymi rzeczami. W skrytce w samochodzie (...). W gruncie rzeczy chciałam chyba uwierzyć, że naprawdę zawarliśmy ze sobą układ, choć nigdy się nie pobraliśmy.

Jak bardzo sam siebie przeklinał, że nigdy nie zdecydował się na ten krok. Że nigdy nie poprosił ją o rękę i nie dał na zapowiedzi. Nie było teraz wspólnego zdjęcia ze ślubu, pokazującego, jak mówią sobie przy ołtarzu „tak”, ani filmu wideo z ich pierwszego tańca na weselu, do którego wybrałiby piosenkę *Somebody* Depeche Mode, której tekst tak dobrze do nich pasował i którą dałoby się tańczyć jak walca, choć była w tempie na cztery czwarte.

W ogóle prawie nie było materialnych dowodów ich nadzwyczajnego związku. Nie było nawet albumu ze zdjęciami, ponieważ Dajana była zdania, że najważniejsze obrazy przechowuje się w głowie, a nie na karcie pamięci telefonu komórkowego. I dlatego skarbiec ich konkretnych, namacalnych pamiątek był równie ubogo wyposażony jak drewniany regał w schowku, na którym widać było tylko kilka opakowań środków czyszczących, pudełko z klamerkami do bielizny, końcówki do odkurzacza, a także karton z żarówkami. Również pomiędzy regałami było jeszcze mnóstwo wolnego miejsca.

Wystarczająco dużo, żeby mógł się tam ukryć człowiek.

– Muszę jeszcze raz przeczesać mieszkanie – oświadczył ojcu, sięgając po karton z żarówkami.

– Co? Jak? I dlaczego „jeszcze raz”?

– Nie wiem, co tu się dzieje. – Jules wsunął na nogi crocsy, które stały obok drzwi wejściowych. – Mam przeczucie, że ktoś się tu ukrywa.

– W Twoim mieszkaniu?

– Tak. – Opowiedział mu o zamkniętych drzwiach do schowka, które teraz w cudowny sposób otworzyły się na oścież. – A gdy zatelefonowałem do Cezara, jego komórka zadzwoniła na wycieracze przed drzwiami do mojego mieszkania.

– Myślisz, że to *on* był w schowku?

Jules wyciągnął dwie żarówki z sześciopaku, a także kilka wysłużonych ścierek i zamknął drzwi od zewnątrz.

– Bzdura. Dlaczego miałby wtedy zostawić komórkę przed moimi drzwiami? Poza tym on potrzebuje wózka.

– Jak mówiłem, to może być kamuflaż.

Trzeba było niezwyklej, niemal fanatycznej motywacji, żeby udawać tego rodzaju kalectwo, i to w dodatku przez całe miesiące. Tylko po to, żeby potem po kryjomu wślizgnąć się do cudzego mieszkania.

I dosypać tabletek do soku...

– Czy nie mówiłeś mi kiedyś, że jak byliście młodzi, to Cezar również był zakochany w Dajanie?

– To było w jedenastej klasie. – Jules rozłożył na podłodze ścierkę i umieścił na niej żarówkę.

– Wzgardzona miłość pozostawia głębokie psychiczne rany. Być może nigdy sobie z tym nie poradził, że ona przyznała pierwszeństwo Tobie. Być może uważa, że jesteś odpowiedzialny za jej śmierć, bo nie zapobiegłeś jej samobójstwu.

– I teraz chce się zemścić?

– To całkiem możliwe. A ta cała Klara może mu w tym pomagać. Wydaje się przecież całkiem jasne, że istnieje pomiędzy nimi jakiś związek, inaczej nie byłoby go na tym parkingu. Być może oboje chcą Cię psychicznie sterroryzować.

Jules popukał się w czoło.

– I w ten sposób sam obaliłeś własną teorię. Skoro ponoć sam przed chwilą zobaczyłeś Cezara na parkingu, to nie może być w tym samym czasie u mnie.

Jules delikatnie przeniósł ciężar ciała na stopę stojącą na żarówce, którą wcześniej zawinął w ścierkę. Pękła, tak jak się spodziewał, z cichym trzaskiem. Nawet jego ojciec niczego nie usłyszał, a przynajmniej o nic nie zapytał.

– Okej, punkt dla Ciebie. Cezar nie może być w dwóch miejscach jednocześnie. A właśnie, wróciłem do domu.

Jules usłyszał, jak ojciec nazywa taksówkarza wyzyskiwaczem i żąda od niego rachunku, z pewnością po to, żeby go jutro przedstawić synowi z prośbą o zwrot wydatków.

Wykorzystał okazję, żeby rozsypać odłamki żarówki ze ścierki przed wejściem do pokoju dziecięcego. Następnie roztrzaskał w podobny sposób kolejne źródło światła, którego resztki rozsypał przy drzwiach do mieszkania i tych do schowka.

Jeśli ktoś będzie chciał wejść przez te drzwi, usłyszę to.

Miejmy nadzieję.

Teraz, gdy zabezpieczył już wyjścia i wejścia do tych miejsc, w których nie udało mu się nikogo odkryć, rozpoczął gruntowne przeszukiwanie pozostałych pomieszczeń. Na początek otworzył pokój gościnny.

– Przyszło mi coś jeszcze do głowy – zgłosił się ponownie ojciec. Z trudem łapał oddech. Prawdopodobnie zamiast użyć windy, wszedł po schodach po kilka stopni naraz.

Jules pstryknął kontakt, ale żarówka nad podwójnym łóżkiem, które jak na miejsce do spania przeznaczone dla gości, miało naprawdę imponujące rozmiary, pozostała ciemna.

Dajana uwielbiała gości, przeleciało przez głowę Julesowi, który dobrze wiedział, że już nigdy nie zaprosi przyjaciół, żeby u niego przenocowali.

– Czy to możliwe, żeby w zмовie uczestniczył jeszcze ktoś trzeci?

– Nie sądzę – odpowiedział Jules, choć w tej właśnie chwili jak najbardziej miałby powód, żeby zgodzić się z ojcem.

Bo gdy uklęknął i poświecił sobie komórką Cezara pod łóżko, to zobaczył odbicie światła. Było tam za mało miejsca dla dorosłego człowieka, a mimo to ujrzał coś białego, podbiegłego krwią.

Oko?

I w tej właśnie chwili zadzwonił telefon Cezara.

48

Klara

Proszę! Odbierz!

Klara stuknęła nerwowo stopą w podłogę taksówki, do której wsiadła bezpośrednio przed wejściem do hotelu Palace. Zgodnie z jej poleceniem kierowca ruszył na początek w kierunku dzielnicy Wilmersdorf, choć tak naprawdę wcale nie miała zamiaru tam jechać.

Ale musiałam przecież podać taksówkarzowi jakiś kierunek.

Czy też taksówkarce?

Klara była tak wytrącona z równowagi, że nie zauważyła, kto siedzi za kierownicą. Ale niezależnie od tego, czy był to mężczyzna, czy też kobieta, najlepiej by było, gdyby kazała się zawieźć do najbliższego szpitala.

Lub od razu na cmentarz.

Czuła się tak, jakby jej ciało miało za chwilę zacząć zrzucać skórę. Całe wydawało jej się obce, począwszy od głowy, która sprawiała wrażenie, jakby po uderzeniach Martina spuchła dwukrotnie. Ból pod czaszką pulsował przede wszystkim za oczami, które z kolei wydawały się o wiele za małe jak na oczodoły. Jej nos chyba był złamany. Zapłakana, błędziła po piętrowym parkingu, z którego nagle zaczęły wyjeżdżać liczne samochody, których kierowcy nawet nie zwracali na nią uwagi, tak jakby strzał z broni Hendrika był sygnałem startowym do jakiegoś szaleńczego wyścigu. Ale

przynajmniej dzięki temu główna brama stała otworem i Klara mogła się stąd wydostać.

Choć nie odzyskała wolności.

Tak jak czuła szalejący w głowie ból, tak samo była pewna, że to jeszcze nie koniec. I to nawet jeszcze nie na tę noc.

W tej chwili jechali Tauentzienstrasse w stronę Kościoła Pamięci.

Kierowca (*mężczyzna!*, jak zobaczyła w lusterku wstecznym, z siwymi włosami i ufarbowanymi na czarno wąsami) z obojętną miną podał jej do tyłu opakowanie nasączanych chusteczek.

– Do twarzy – wyjaśnił.

Klara skinęła z wdzięcznością głową i oczyściła sobie nos. Musiała wyglądać strasznie, najwyraźniej jednak nie na tyle strasznie, żeby Erdjan Y. (jak głosiła mosiężna tabliczka umieszczonej na kratce wentylacyjnej) miał opory przed zabranieniem jej.

Domyślała się, że widział już gorzej urządzone kobiety wychodzące z hoteli. Najwyraźniej uważał ją za wykorzystaną prostytutkę i w gruncie rzeczy tak właśnie się czuła. Zużyta i pusta, choć nie doszło do żadnej czynności seksualnej.

– Przyjaciel okej? – dopytywał się Erdjan.

– Słucham? – Klara potrzebowała dobrej chwili, nim przyszło jej do głowy, że taksówkarz musiał usłyszeć, jak podczas wsiadania rozmawia z numerem alarmowym i podaje miejsce, gdzie został Hendrik.

– Tak, tak. Mam taką nadzieję.

Nie miała doświadczenia z ranami postrzałowymi, ale zastanawiała się, czy nie jest to nawet korzystne, że Hendrik leży na zimnej betonowej podłodze na poziomie ósmym, co prawdopodobnie ogranicza wpływ krwi.

– Ale nie odbiera? – Erdjan skinął głową w lusterku wstecznym i zrobił kciukiem i małym palcem gest oznaczający telefon, który przyłożył sobie do ucha.

– Nie – odpowiedziała, przy czym w zasadzie powinna mu była wyjaśnić, że nie próbowała się dodzwonić do Hendrika. Jednak to „nie” odnosiło

się też do jej rzeczywistej próby nawiązania połączenia. Gdy dwadzieścia razy usłyszała sygnał, rozłączyła się.

Cholera.

Gdzie się podziewasz, kiedy jesteś potrzebny?

Taksówka zatrzymała się na światłach przy Europa Center z widokiem na Kościół Pamięci. Dawniej o tej godzinie gazeciarze podtykali ludziom najnowsze nagłówki pod nos. Dzisiaj, w czasach internetu, gdy każda wydrukowana wiadomość jest już nieaktualna, już się to nie opłacało. A w szczególności nie przy tej paskudnej pogodzie.

Żaden rozsądny człowiek nie przebywał w tej chwili na dworze, o ile nie wracał właśnie z drugiej zmiany ani nie zmierzał do innej źle opłacanej pracy. Młodociani imprezowicze, których nie były w stanie powstrzymać nawet śnieg i breja, przemierzali modne dzielnice na wschodzie miasta i dlatego tutaj ludzi na chodnikach można było policzyć teraz na palcach jednej ręki. Tym dziwniejsze było to, że gdy taksówka ruszała, Klara chyba rozpoznała jednego z nich.

– O nie! – krzyknęła tak głośno, aż Erdjan zapytał, czy potrzebuje więcej chusteczek. Okropności, którą zobaczyła w wejściu do jednego z domów, nie dałoby się usunąć chusteczką kosmetyczną.

Mężczyzna stał z pewnością jakieś pięćdziesiąt metrów od niej, w przyćmionym świetle dużej, przeszklonej bramy, która wydawała się Klarze dziwnie znajoma, a na której jednak w tej chwili nie chciała ani nie potrafiła się skoncentrować. Tej ostatniej odrobiny skupienia potrzebowała, żeby stwierdzić, czy nie staje się ofiarą własnej wyobraźni.

– Co się z panią dzieje? – spytał Erdjan, który się do niej obrócił.

– Nic! – wrzasnęła, choć miała wrażenie, że traci rozum.

I wszędzie widzi upiory.

Ale akurat ten upiór był prawdziwy!

Musiał kiedyś znów się pojawić.

Tyle że o tym zapomniałam.

Co prawda tylko na kilka godzin.

Nigdy nie sądziła, że będzie w stanie zapomnieć, ale właśnie dzisiaj jej się to zdarzyło. W dniu, który on wybrał dla niej, ona wyparła go ze swego umysłu.

Wysokiego wzrostu, o sportowej sylwetce, w długim, ciemnym płaszczu z postawionym kołnierzem, który podkreślał jego smukłą szyję.

Czy to naprawdę on? Czy tylko ma przywidzenia?

Tak jakby w zakrwawionych, wilgotnych chusteczkach w swych dłoniach zobaczyła nagle narządy, które wypadły z jej ciała, a w wąsach Erdjana krzaczasty ogon szczura, który zawinął mu się wokół szyi, żeby w każdej chwili rzucić się na jej twarz.

Spojrzała na swoją komórkę.

Oczywiście, że to on. Przecież wie, gdzie jestem. Namierza mój telefon.

A ultimatum już upłynęło.

Taksówka ruszyła, a Klara zaczęła wątpić w samą siebie. Czy naprawdę go widziała? Czy w jej komórce rzeczywiście jest pluskwa?

Czy może już całkiem oszalałam?

Obawiała się, że gdy się teraz odwróci, zobaczy Yannicka, który macha w jej stronę. Który podobnie jak Erdjan kciukiem i małym palcem robi gest naśladujący rozmowę telefoniczną.

Nadludzkiem wysiłkiem woli powstrzymała się od obejrzenia się za siebie. Zamiast tego w rozpaczy nacisnęła w komórce przycisk ponownego wybierania numeru.

49

Jules

Nie, pod gościnnym łóżkiem nie było oka, które błysnęło potwornie w świetle komórki Cezara.

Było tam dwoje oczu.

Gapiły się na niego. Oskarżycielsko. Szeroko otwarte krzyczały. Wydawały się martwe, ale się poruszyły. Zamrugwały.

W chwili, w której *duch* pod łóżkiem (Jules nie potrafił w tej chwili racjonalnie myśleć) się poruszył, ze strachu wypadły Julesowi oba telefony, zarówno jego własny, jak i ten należący do Cezara, który nagle zaczął dzwonić i teraz ponownie zamilkł.

Musi być nagi, pomyślał Jules i ten obrzydliwy obraz powstały w jego wyobraźni tylko pogorszył realną grozę. Wyobraził sobie zwinnego, umięśnionego zboczeńca, który natłuścił swoje ciało masłem, *bo inaczej nie dałby chyba rady się tutaj wczłgać*. W najbardziej oddalony, ciemny kąt pod dwuosobowym łóżkiem.

– Wyłaź! – zawołał Jules i sam się zdziwił, jak opanowanym i spokojnym głosem to powiedział, gdy tymczasem najchętniej uciekłby stąd jak najszybciej. Jedno uderzenie serca później nie mógł już powstrzymać dłużej tego odruchu.

Szczupła ręka nieznajomego wystrzeliła spod łóżka i schwyciła jeden z telefonów leżących na dębowym pakiecie. Jak pajak swą ofiarę, tak obcy

wciągnął telefon do siebie, w ciemność panującą pod łóżkiem.

Jules szybko się zorientował, że na szczęście włamywacz nie zabrał jego własnego telefonu. Podniósł go więc z podłogi i wycofując się w kierunku drzwi, zaczął rozważać dostępne opcje. Niebieskoszara pościel była skotłowana, poduszka leżała na podłodze, jakby włamywacz leżał wcześniej wygodnie na łóżku, a może nawet na nim spał.

– Kim jesteś?! – krzyknął Jules. – I czego chcesz?!

Oczywiście mógł poderwać do góry materac, żeby zdemaskować obcego, ale choć fizycznie z pewnością mu dorównywał, to w tym momencie był uzbrojony jedynie w ścierkę z potłuczonymi odłamkami żarówki, podczas gdy było bardzo prawdopodobne, że nieznajomy zaopatrzył się w nóż z jego kuchni.

Nie „bardzo prawdopodobne”, lecz pewne.

Tak więc Jules zachował się rozsądnie. Opuścił pokój, zamknął drzwi i właśnie miał zamiar zadzwonić na policję, gdy stwierdził, że wyświetlacz jego telefonu jest czarny. Bateria ostatecznie się rozładowała.

50

Przebiegł przez salon do gabinetu, gdzie otworzył swój plecak, który wcześniej postawił pod biurkiem. Gdzieś w środku musiał być naładowany powerbank, którego z początku nie mógł znaleźć. Na szczęście za chwilę, podczas przetrząsania zawartości, kabel od urządzenia owinął się wokół jego palców.

Natychmiast podpiął go do komórki. Jednocześnie usłyszał trzask. Odgłos, jakby ktoś przesuwiał jakiś mebel, niósł się korytarzem mieszkania w starej kamienicy.

Jules nie zwracał uwagi, po czym idzie, i w drodze powrotnej przewrócił się, zawadzając crocsem o zrolowany chodnik. Telefon znów wyslizgnął mu się z ręki, przy czym powerbank wprawdzie pozostał podłączony do komórki, ale ta tym razem spadła kantem na podłogę, a jej ekran pokryła siateczka pęknięć, jak na szybie pancерnej, w którą trafił pocisk.

Nie, tylko nie to!

Symbol ładującej się baterii wciąż był widoczny, ale to wcale nie znaczyło, że przy użyciu popękanego ekranu dotykowego uda mu się nawiązać połączenie.

Jules podciągnął się, chwytając się stołu jadalnego, i, zdjawszy crocсы, pobiegł dalej, w kierunku pokoju dziecięcego – pomieszczenia, gdzie przebywała najważniejsza w tym mieszkaniu żywa istota, którą musiał chronić.

W tej chwili oddałby prawą rękę za telefon stacjonarny, ale miał do dyspozycji tylko komórkę, która teraz, przez jego głupotę, być może już nie działała.

W korytarzu stanął na odłamkach szkła, które przebiły się przez jego skarpetki. Nie poczuł jednak bólu, tak był przejęty obecnością „ducha”, który oczywiście nie był nadnaturalną istotą, tylko człowiekiem z krwi i kości.

Uzbrojonym.

I bardzo możliwe, że nie czaił się już pod łóżkiem dla gości, *tylko być może był już w pokoju dziecięcym...*

Drzwi prowadzące do niego wciąż były zamknięte, ale to nic nie znaczyło. *Być może zamknął je od środka. Przytrzymuje je tak jak drzwi do schowka.*

Ten duch musiał być mistrzem kamuflażu. Skradał się po mieszkaniu w taki sposób, że Jules niczego nie spostrzegł. Chociaż go szukał, nawet jeśli tylko pobieżnie. A to dlatego, że nie umiał sobie wyobrazić żadnego motywu, którym miałyby się kierować włamywacz. Chyba że był on po prostu szaleńcem spragnionym widoku krwi.

Dziecięcej krwi!

Jules otworzył raptownie drzwi. O wiele za głośno i nieostrożnie.

– Tata?

– Przepraszam – szepnął uspokajająco. – Przepraszam, maleńka. Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała cudowna, niewinna istota zaspanym, nieobecny głośnie, który słyszy się tylko u małych dzieci, kiedy są tak zmęczone, że mimo wszelkich możliwych hałasów natychmiast z powrotem zasypiają.

Lub chore...

– Śpij dalej, skarbie – powiedział Jules i opuścił pokój, nie omieszkawszy przedtem zajrzeć pod łóżko.

Ale nikogo tam nie było.

Żadnych oczu czy rąk. Tylko kurz, pudełko z akwarelami i... *drewno?*

Bez wątplenia było słyhać, jak coś stuka. Odgłos dochodził z sąsiedniego pomieszczenia, co stało się dla Julesa jasne, gdy wrócił na korytarz.

Drewno o drewno. Typowe dźwięki otwierającego się i zamykającego, poruszanego przez wiatr okna.

Zrobił wielki krok ponad odłamkami żarówki i aż zacisnął zęby, gdy trafił jednak stopą na leżący dalej kawałek szkła.

Znów wszedł do pokoju gościnnego i znów stał w ciemnościach, ponieważ światło pod sufitem oczywiście wciąż nie działało, a on nie mógł sobie nawet poświecić latarką w telefonie, bo ten nie był jeszcze wystarczająco naładowany, by ta funkcja zadziałała.

Jednak teraz zagłębienie pod łóżko nie miało już sensu, ponieważ było przewrócone. Duch (Jules wciąż go tak nazywał) najwyraźniej musiał się wyprostować pod stelażem i zsunąć go z siebie razem z materacem.

A potem podszedł do okna...?

Było otwarte!

Prawe skrzydło dwuczęściowego okna poruszało się w powiewach wiatru do przodu i do tyłu, jakby chciało w ten sposób przywołać Julesa do siebie.

On jednak pozostał w miejscu, by się upewnić, że za podniesionym do pionu materacem nikt się nie czai. A także że w ciężkiej rustykalnej szafie, którą teraz powoli otworzył, nie kryje się żadna niespodzianka, która mogłaby zdradziecko na niego wyskoczyć.

Chyba po raz setny rzucił okiem na komórkę, aż wreszcie pokazało się logo i rozległa się gitarowa melodia, którą telefon sygnalizował poziom naładowania baterii, pozwalający na uruchomienie systemu. Trzy sekundy później Jules z ulgą stwierdził, że jego telefon wciąż działa. Zabrzęczały pierwsze wiadomości. Dwa esemesy, wiadomość na WhatsAppie. *Oraz połączenie.*

– Nie mogę teraz! – warknął do mikrofonu i chciał się rozłączyć.

– Stój, czekaj! – krzyknął jego ojciec. – Jesteś w niebezpieczeństwie. Dowiedziałem się czegoś o Klarze.

– Nie teraz.

– Teraz, chłopcze, to może Ci uratować życie. Wiesz, gdzie ona jest?

– Nie. Ale jeśli jeszcze raz się do mnie zgłosi, spróbuję ją ściągnąć do siebie do domu.

– Boże, nie! Tylko nie to! Nie zbliżaj się zbytnio do niej. Cokolwiek zamierzasz, poczekaj, aż będę u Ciebie – brzmiały ostatnie słowa ojca, zanim Jules odebrał kolejną rozmowę, o której przez cały czas powiadamiał go system.

Silny powiew wiatru otworzył szeroko okno tak gwałtownie, że aż zabrzęczały szyby. Tak głośno, że Jules w pierwszej chwili nie usłyszał, kto jest na linii.

Tylko tyle, że ta osoba płacze.

I błaga go o pomoc.

51

Klara

*J*a chyba zaraz zwariuję.

– Klara?

Spojrzała na swoje przedramię. Łzy rozmazały już numer, który zanotowała tam pisakiem Hendrika.

– Myślałam już, że podałeś mi pan zły numer. Dlaczego pan nie odbierał? Próbowałam raz po raz.

Erdjan Y. musiał się nawet zatrzymać po drodze. Klara poprosiła go, żeby stanął na najbliższym wolnym miejscu parkingowym, żeby mogła się dowiedzieć, gdzie może uciec.

– Kłopoty w domu – stwierdził lakonicznie kierowca, po czym minął dziesięć zatoczek parkingowych, nim się zatrzymał przed Ku'damm 195, żeby połączyć przymusową przerwę z możliwością zjedzenia kiełbaski curry.

Tak, nazwijmy to „kłopotami w domu”, pomyślała Klara, patrząc na bar, znany z tego, że jest czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę, a potrawy podaje się tu wyłącznie na porcelanowej zastawie. Co dobrze pasowało do luksusowych butików i markowych zakładów fryzjerskich, które otaczały z obu stron tę nieco odsuniętą od ulicy budkę.

Co mam zrobić? Dokąd mam teraz jechać?

Ciągnęło ją do córki, ale tam z pewnością czekał już na nią Martin.

Klara tak tęskniła do porad Julesa, że dzwoniła do niego z pewnością już ze dwadzieścia razy, ale jak do tej pory nie odbierał.

– Nie odbierał pan telefonu! – stwierdziła z wyrzutem.

– Bateria mi się rozładowała. – Głos Julesa brzmiał podobnie jak jej własny. Może nie był tak płaczący, ale z pewnością zastraszone. A w dodatku Jules mówił szeptem.

– Naprawdę?

– Nie ufa mi pani?

Jej oczy zasnuły się łzami.

– Nie ufam samej sobie. Ten pieprzony eksperyment. Wszystko mi pomieszało w głowie. Pamięta pan jeszcze, o co mnie pan przedtem pytał? – paplała. Nie mogła inaczej. Bała się, że gdyby przestała mówić, wybuchnęłaby spazmatycznym płaczem. – Kiedy panu opisywałam, jak rzekomy doktor Kiefer w klinice mnie oświecił, że podczas próby byłam przez pewien czas w stanie śmierci klinicznej?

– Przepraszam, ale w tej chwili mam tu problem...

– Chciał pan wiedzieć, czy on mówił prawdę. Tak, nie kłamał. Byłam rzeczywiście bliska śmierci, i to bezpośrednio po tym, jak lekarz rezydent wstrzyknął mi środek, który wywoływał halucynacje. Ale wszystko, co wydarzyło się potem, nie było realne.

– Ma pani na myśli rozmowę z hiszpańskim ordynatorem i to dziwne tłumaczenie...? – Jego głos wciąż brzmiał tak, jakby Jules się spieszył, ale jednocześnie miała wrażenie, że właśnie wyjaśniła się jakaś ważna dla niego zagadka.

– ...aż po samobójczą śmierć Kernika. Wszystko to w ogóle się nie wydarzyło.

– Czy ja dobrze usłyszałem?

– Sztucznie wywołane halucynacje okazały się u mnie o wiele silniejsze niż w przypadku innych testowanych osób. Musiałam zostać w klinice jeszcze trzy tygodnie, zanim byłam w stanie jako tako rozróżnić urojenia od rzeczywistości.

– A teraz nie jest pani wcale pewna, czy skutki uboczne eksperymentu wciąż się nie utrzymują?

Klara westchnęła potakująco.

– Boże święty, nie jestem nawet wcale pewna, czy pan naprawdę istnieje. Być może to wszystko tutaj, całe moje życie, jest tylko urojeniem i skutkiem prania mózgu. Ja... – Klara urwała i gwałtownie zmieniła temat w daremnej nadziei, że przerwie to jej gonitwę myśli: – Co pan miał na myśli mówiąc, że ma pan jakiś problem?

– Nie jestem już sam. Ktoś do nas wtargnął.

Ta nieoczekiwana informacja tak bardzo zaalarmowała Klarę, że miała uczucie, jakby jej nos miał za chwilę znów zacząć krwawić. Gdy jednak dotknęła go palcem wskazującym, wymacała tylko zaschnięte strupy pod dziurkami.

– Włamywacz? – spytała, czując gulę w gardle.

– Tak.

– Yannick! – wyrwało się jej, ale zaraz się w myślach poprawiła. *Nie, nie.* To nie mógł być on, bo widziała go przecież dopiero co, jak stał na ulicy.

O ile to był on.

Ponieważ jeśli popuściłaby wodze fantazji, nawet patrząc z tej odległości na Erdjana stojącego przy budce z kiełbaskami dostrzegłaby w nim podobieństwo do swojego dręczyciela.

Za chwilę całkiem zwariuję.

– Sorry, widzę go wszędzie – powiedziała, wzbudzając tym stwierdzeniem u Julesa więcej pytań, niż cokolwiek mu wyjaśniając.

Co najdziwniejsze on także mruknął tajemniczo:

– Jak ducha.

– Jakiego ducha?

– Niech mi pani opisz raz jeszcze, jak wygląda Yannick – poprosił.

– Po pięćdziesiątce, broda, niebieskie oczy, dłuższe czarne włosy, sześciopak na brzuchu...

– Hm, to nie pasuje do tego faceta pod łóżkiem...

Pod łóżkiem?

– Raczej to jego przeciwieństwo, ale...

– Ale co?

Znowu zaczęła mieć wrażenie, że krew cieknie jej z nosa, lecz tym razem nie sięgnęła do twarzy. Spojrzała, jak Erdjan wraca z butelką coli w ręku i twarzą otoczoną chmurą oddechu. Kiełbaskę wraz z frytkami musiał chyba pochłonąć jeszcze w barze, poza ostatnim kęsem, który żuł teraz z widoczną rozkoszą.

– Jest ktoś w moim otoczeniu, kto mógłby częściowo pasować do pani opisu – stwierdził Jules. – Poza wiekiem. Ale wszyscy mówią, że broda go postarza.

– Jak on się nazywa?

– Magnus Kaiser. Ale wszyscy mówią: Cezar.

52

Klara

Napięcie Klary osiągnęło nowy wymiar. Choć od wielu dni nie jadła niczego porządnego, zaczęło jej burczeć w brzuchu jak po porządnej uczcie.

– On także pracuje w Nocnym Powrocie. Przejąłem jego dyżur.

Wraz z tą informacją Jules wręczył jej chyba kolejny kawałek układanki, którym uzupełnił straszliwy obraz rysujący się w jej głowie.

– A więc w zasadzie powinnam dzisiaj rozmawiać przez telefon z Cezarem, a nie z panem?

– Lub z inną osobą. Rozmówca jest wybierany przypadkowo.

– Nic dziś wieczór nie jest przypadkowe – wypowiedziała Klara na głos swoje myśli. A potem, gdy Erdjan otwierał właśnie drzwi, podjęła decyzję.

– Gdzie mieszka Cezar?

– Po co chce pani to wiedzieć?

– Czyż nie mówił pan, że trzeba stawiać czoła niebezpieczeństwu?

– Odnoszę wrażenie, że dzisiejszej nocy nie jest pani raczej w stanie tego zrobić.

– Ale ja mam na to już tylko dzisiejszą noc.

Zważywszy ultimatum, które postawił jej Kalendarzowy Morderca, żyła teraz w zasadzie na kredyt.

„Jeśli do trzydziestego listopada niczego nie zrobisz, żeby zakończyć swoje małżeństwo z Martinem, zabiję Cię, gdy tylko nadejdzie ten dzień”.

Erdjan ponownie wsiadł do samochodu, otoczony wonią frytury i keczupu. Klara poczuła głód – równie niespodziewane uczucie, co ta nagła żądza czynu.

– Wie pan, przy całym szaleństwie, w które popadł Yannick, w jednym ma on całkowitą rację – szepnęła, choć Erdjan i tak nie mógł tego chyba usłyszeć. Taksówkarz włączył sobie radio i słuchał piosenki pop, w której ktoś, kto przypominał Dave’a Gahana, śpiewał o bólu, do którego się przyzwyczaił. *Co za zbieg okoliczności!*

Erdjan nucił do wtóru. Najwyraźniej podobała mu się ta niezwykła trasa. Nic dziwnego, licznik wskazywał już ponad trzydzieści trzy euro, a celu podróży wciąż nie było widać.

– Muszę w końcu przestać godzić się na rolę ofiary.

– Moje słowa – zgodził się z nią Jules.

Skinęła głową, podniecona myślą, że wszystko, co wydarzyło się dzisiajszego wieczoru, może się okazać punktem zwrotnym w jej życiu. Wciąż była słaba i bezsilna. Z pewnością bała się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Ale była gotowa umrzeć. Gotowa przyjąć najgorszy ból ze śmiercią włącznie. Najpierw na ścianie wspinaczkowej, potem w garażu, a później na piętrowym parkingu. I za każdym razem uniknęła najgorszego.

– Do dzisiajszego wieczoru myślałam, że jeśli sama odbiorę sobie życie, to przynajmniej w minimalnym stopniu dowiodę, że jednak to ja o sobie stanowię. Ale w gruncie rzeczy odczuwałam tylko strach przed nowym bólem.

Teraz jednak już jej to nie przerażało. Być może fakt, iż wciąż pozostawała przy życiu, po tym wszystkim, co ją dzisiaj spotkało, wydał jej się jakimś znakiem. A może po prostu ilość potworności, jakie może znieść jedna kobieta, już się wyczerpała. Tak musieli się czuć korespondenci wojenni, którzy tak często znajdowali się pod huraganowym ogniem, że przestawali się troszczyć o swoją śmiertelność, gdy wyruszali na następną wojnę. Nie dlatego, że nie bali się już śmierci, lecz ponieważ akceptowali jej nieuchronność.

– Znałem ludzi, którzy ze znacznie mniej zrozumiałych przyczyn popełnili samobójstwo – powiedział Jules swoim uspokajającym, przyjemnym głosem i po raz pierwszy zastanowiła się, jak jej rozmówca może wyglądać.

Piosenka (to był rzeczywiście utwór *A pain that I'm used to*) skończyła się, a Klara usłyszała na linii jakiś skrzypiący odgłos, jakby Jules otwierał stare, drewniane okno, co komponowało się z odgłosami wiejącego wiatru, które zabrzmiały w telefonie. Potem rzucił nagle:

– O cholera...

– Co się stało? – spytała nerwowo Klara.

– Pestalozzistrasse czterdzieści cztery, trzecie piętro – usłyszała głos Julesa. – To adres Cezara. Ale proszę zadzwonić na policję, jeśli naprawdę chce pani tam pojechać. Obawiam się, że w tej chwili nie jestem już w stanie pani pomóc.

– Dlaczego? Co się stało? – spytała Klara, dając Erdjanowi znak, że za chwilę pojedą dalej.

Przecież znała już adres.

Jaskini lwa?

– Jules, niech pan się nie rozłącza!

– Nie mam czasu – wysapał jej rozmówca. Brzmiało to tak, jakby wchodził po stromych schodach. – Obawiam się, że muszę najpierw ocalić życie innej osoby.

53

Jules

„*Duch*” jest najwyraźniej czarodziejem, pomyślał Jules, widząc telefon na parapecie za oknem.

Mistrzem w oszukiwaniu zmysłów. Jest jak iluzjonista, który potrafi skutecznie odwracać uwagę, ściskając mocno prawy przegub, by nieświadomemu niczego człowiekowi wybranemu z widowni ściągnąć z lewej ręki zegarek.

Ponieważ ludzki umysł nie potrafi się skoncentrować na kilku intensywnych doznaniach zmysłowych jednocześnie!

Komórka na oknie mogła być jedynie manewrem służącym odwróceniu uwagi od prawdziwego niebezpieczeństwa, ponieważ była ona pierwszą rzeczą, która rzuciła się Julesowi w oczy, gdy tylko otworzył okno.

Śnieg z deszczem zelżał, teraz już tylko mżyło, dzięki czemu Jules miał dobry widok na występ pod oknem, który na trzecim piętrze ciągnął się przez całą elewację budynku, przerywany co pięć metrów dla ozdoby przez wyrzeźbioną w kamieniu głowę orła. Parapet zapewniał człowiekowi dostatecznie dużo miejsca do stania, być może nawet do poruszania się, ale nie w zimie, kiedy przy tej pogodzie przemieniał się w mokrą zjeżdżalnię.

Mimo to „*duch*” musiał zadziwiająco szybko uciec tą drogą i spuścić się w dół po wygiętej rynnie, bo chociaż Jules bardzo się starał, nigdzie nie

mógł go dostrzec. Ani na trawniku przed domem, ani na chodniku, ani też na drodze nad jezioro.

Widoczna była tylko komórka na gzymsie.

Gdy Jules wziął ją do ręki, zobaczył, że to telefon Cezara. W wyniku ruchu aktywował się ekran startowy i Jules mógł zobaczyć w okienku podglądu pierwszą linijkę esemesa:

Odbierz, wiem, że znalazłeś tele...

Z łamiącym się głosem Klary w uchu Jules przechylił się przez gzyms.

– O cholera – wyrwało mu się. Potem zostało mu tylko tyle czasu, żeby podyktować Klarze adres, wyciągając w tym czasie rękę w widocznej niżej dłoni.

Nie miał jednak dobrego chwytu. Dotykał jedynie dwóch paliczków jego palców, które zaciskały się na zimnym kamieniu stanowiącym występ muru. Chcąc nie chcąc, Jules musiał wyjść na zewnątrz.

– Dlaczego? Co się stało? Jules, niech pan się nie rozłącza! – usłyszał głos Klary.

– Nie mam czasu. Obawiam się, że muszę najpierw ocalić życie innej osoby – wydyszał i wrzucił telefon do pokoju gościnnego.

Wyszedł przez parapet na gzyms, ukląkł tam mimo wiatru i spojrzał w dół, trzymając się jedną ręką ramy okiennej, żeby nie spaść. Oraz żeby mieć oparcie, gdy chwyci za rękę tego, który zrozpaczony dyndał na występie muru. Z jedną dłonią na kamiennym kancie, a z drugą zaciśniętą na kablu, który ten niewielki człowiek wyrwał z tynku.

Boże jedyny...

Włamywacz spojrzał na niego w górę rozpaczliwym wzrokiem, nic jednak nie powiedział. Prawdopodobnie tracił już siły.

Jego oczy nie były teraz podbiegnięte krwią, lecz całe wyglądały jak morze krwi, tak wiele żyłek zdążyło już pęknąć z wysiłku. Jules sięgnął po dłoń zaciśniętą na przewodzie.

Kabel okręcił się intruzowi wokół nadgarstka jak pętla. Na szczęście, bo bez tego dodatkowego chwytu ten człowiek już dawno spadłby na daszek

nad wejściem do budynku. Poza tym dzięki temu łatwiej było go wciągnąć. Dodatkowo pomagał też fakt, że facet był wagi muszej.

– Przestań wierzyć nogami! – krzyknął do niego Jules. Siły witalne nieznanego musiały ulec pobudzeniu, bo teraz najwyraźniej miał ochotę tańczyć salsę.

Jules przestraszył się, że nagły trzask, który wydała z siebie rama, oznaczał, że za chwilę może zostać wyrwana z muru i wraz z nim oraz włamywaczem poszybuje dwadzieścia metrów w dół. Konstrukcja jednak wytrzymała obciążenie, a także ciągnięcie za rękę i przełożenie obcego przez zimny parapet.

– Kim Ty, do cholery, jesteś? – spytał Jules, który dyszał równie mocno, co nieznanomy. Puścił go dopiero wtedy, gdy wciągnął go do środka pokoju.

Kabel elektryczny wciąż był owinięty wokół jego nabiegłego krwią nadgarstka. Chłopak (Jules nie wiedział, jak inaczej miałby go określić) wyglądał tak, jakby został ucharakteryzowany do filmu science fiction o istotach pozaziemskich, tak intensywny był siny odcień jego wyziębionej na wietrze twarzy.

Kolejne, co rzuciło się Julesowi w oczy, to blizna na lewym policzku. Po chwili dopiero pojął, że to nie była żadna blizna, lecz zmarszczka senna, tak jakby włamywacz jeszcze przed chwilą leżał na poduszce.

Wreszcie Jules zdziwił się jego wiekiem.

Taki młody?

– Czego Ty, u diabła, od nas chcesz?

Wciąż milczący obcy nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. Raczej mniej, jeśli potraktować pryszczę pod meszkiem nad górną wargą jako wskazówkę dotyczącą wieku.

– Czego tu szukasz?

Odpowiedź, którą otrzymał, miała woń soli. Do tego rdzawy smak i była lepka.

Zupełnie nie wiedział, jak to się stało, że ostrze noża do chleba, ukrytego dotąd pod dzinsami w snickersach włamywacza, nagle utkwilo pod jego żebrzem.

Jules osunął się do przodu, uderzył rzepkami kolan o podłogę tak mocno, że prawie pękły. Zobaczył krew, która kapała na parkiet i zbierała się w strużkę.

Chciał jeszcze coś krzyknąć do ducha, który wcale nie był duchem, tylko śmiertelnym zagrożeniem, ale nie przyszło mu do głowy, co miałby zawołać i po co.

Morderca o młodzieńczej twarzy odplątał kabel z dłoni.

Ostatnią myślą Julesa, zanim przewrócił się na bok, było: *Uratowałem życie mojemu mordercy*. Potem usłyszał, jak o wiele za młody sprawca wybiega z pomieszczenia i otwiera sąsiednie drzwi wiodące do pokoju dziecięcego. Usłyszał, jak się w nim zamyka, a potem jak przesuwa meble, chyba po to, żeby się zabarykadować od środka.

Fabienne, krzyknął imię swojej córki, ale tylko w myślach. Męczyło go świadomość, że oto po raz kolejny zawiódł.

Potem stracił przytomność.

54

Klara

Równie dobrze mogła pani przejść ten kawałek na piechotę – narzekał Erdjan, rozczarowany tym, że lukratywna trasa ostatecznie zakończyła się tak marnie. Od Ku'dammu do Pestalozzistrasse było tylko parę minut spacerkiem.

Klara zapłaciła czterdzieści euro swoją komórką i wiele by dała za to, żeby taksówkarz zabronił jej wysiadania z samochodu.

Żeby uparł się, że musi ją jednak zawieźć do szpitala, a nie wysadzać przed jasno oświetloną kamienicą z początku XX wieku.

Roczny czynsz w tak wspaniałym budynku musiał stanowić równowartość średniej klasy samochodu. A jeśli było to mieszkanie własnościowe, to Ci, którzy tu mieszkali, musieli je albo odziedziczyć, albo postawić wszystko na jedną kartę, biorąc milionowy kredyt.

Klara wysiadła i rozejrzała się wokół. W tynku o kremowym odcieniu i wśród jońskich kolumn szukała jakiegoś punktu zaczepienia, śladu, że kiedyś już tu była. Zadawała sobie pytanie, czy sklep ze zdrową żywnością na przeciwko lub wegańska kawiarnia wydają jej się znajome. Albo czy widziała już rosyjski szyld w oknie wystawowym sklepu ze starymi lampami.

Także nazwiska wygrawerowane na mosiężnych tabliczkach przy drzwiach do budynku nic jej nie mówiły. W każdym razie nie znalazła tam

żadnego Magnusa Kaisera, a tylko pustą tabliczkę przy mieszkaniu na trzecim piętrze.

Czy to był ten dom, w którym Johannes zmieniał się w Yannicka?

W którym przeżyłam zarówno najpiękniejszą, jak i najstraszniejszą chwilę swojego życia?

Wówczas drzwi wejściowe na dole nie były zamknięte, pamiętała to dobrze. Nie zwróciła uwagi na wiele innych rzeczy, a jednak wydało jej się dziwne, że w tak eleganckiej okolicy nikt nie przejmował się tym, że ktoś nieuprawniony mógłby wejść do środka. Drzwi do każdego z mieszkań z pewnością były zamknięte na wiele zamków, ale mieszkańcy tak sztywnej okolicy już na samo wyobrażenie, że jakiś bezdomny mógłby się położyć na marmurowej klatce schodowej, zwykle dostawali paranoi.

Klara pomyślała o oddalonym o rzut kamieniem stąd placu Savignyplatz i Profesorze, który z obolałą jamą ustną oczekiwał nadejścia kolejnego dnia, i zrobiło jej się bardzo smutno.

Oddychając ciężko, nacisnęła klamkę masywnych drzwi z kutego żelaza, a potem serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, kiedy się okazało, że także w tym domu nie były one zamknięte.

Z sercem podchodzącym do gardła weszła do sklepionej sieni i w drodze do schodów minęła chromowaną, designerską skrzynkę na listy. Poprzednim razem miała opaskę na oczach, dopóki nie znaleźli się w mieszkaniu i dlatego nie mogła przywołać wspomnienia czerwonego dywanu na drewnianych stopniach.

Czy to było trzecie piętro?

Wzięła telefon do ręki i wybrała numer 110, ale jej palec wskazujący zawisł nad przyciskiem nawiązywania połączenia.

Jules powiedział, że powinna zawiadomić policję.

Ale czy nie powiedział mi także, że w przypadku przemocy domowej policja niewiele robi?

Cóż, może będzie inaczej, jeśli usłyszą o mordercy, który groząc straszonymi, prowadzącymi ostatecznie do śmierci torturami, chce zmusić kogoś,

żeby zakończył swoje małżeństwo. Ale co będzie, jeśli się myli? Jeśli ten Cezar, który tu mieszka, nie mał nic wspólnego z jej mężzarniami?

Zwróciła już raz na siebie uwagę funkcjonariuszy swoimi niewiarygodnymi zeznaniami. Jeśli teraz wezwałaby policję do nieco naciąganej interwencji, straciłaby już wszelką wiarygodność.

O ile mam jeszcze jakąś przyszłość.

Stanąwszy na trzecim piętrze przed ciężkimi, pociągniętymi białą bejcą, dębowymi drzwiami, Klara niemal zaśmiała się z własnej naiwności. Była zupełnie nieprzygotowana.

I co niby chcesz teraz zrobić, głupia krowo?

Może zadzwonić do drzwi?

Albo poszukać klucza pod wycieraczką?

A może jak w hollywoodzkich filmach przelecieć w myślach różne kombinacje cyfr, żeby w ostatniej sekundzie wyłączyć instalację alarmową, która z pewnością tu się znajduje?

Co za bzdura! Może powinnam po prostu nacisnąć...

Klara nabrała głęboko powietrza, jakby miała spędzić dłuższą chwilę pod wodą. Przestając na moment oddychać, przez chwilę przestała też cokolwiek rozumieć. Bo jakkolwiek by na to patrzeć i cokolwiek by o tym myśleć, to, co się właśnie stało w żadnym razie nie mogło być dziełem przypadku.

Nic tej nocy nie dzieje się przypadkiem!

Bo w rzeczywistości sprawdził się najbardziej nieprawdopodobny ze wszystkich wariantów. Drzwi do mieszkania na trzecim piętrze pod adresem Pestalozzistrasse 44 nie były zamknięte i po lekkim popchnięciu uchyliły się do środka.

55

Jules

*B*ył nieprzytomny przez dwa dni. A może tylko przez dwie sekundy, ale stracił poczucie czasu. Być może utracił je wraz z krwią, która utworzyła kałużę pod jego ciałem w pokoju gościnnym. Gdy doszedł do siebie i poczuł zimno, jakiego nie zaznał nigdy w życiu, zmarnotrawił z początku najważniejsze sekundy na przyglądanie się strumykowi własnej krwi na dębowym parkiecie. Potrwało to dłuższą chwilę, nim sobie uświadomił, że krew płynie prosto na telefon komórkowy, który bezpośrednio przed akcją ratunkową wrzucił do środka pokoju.

Dlaczego młody nożownik go nie zabrał?

Być może dlatego, że pomyślał, że Julesowi nic już nie pomoże.

Sam nie pojmował, jak z tak głęboką raną kłutą w boku może jeszcze oddychać, ale najwyraźniej żadne ważne narządy wewnętrzne nie zostały uszkodzone.

Sięgnął po małą poduszkę, która spadła z przewróconego materaca, zdarł z niej poszewkę i przycisnął ją sobie do rany. Potem wstał.

Na uginających się nogach, przytrzymując się szafy, dotarł do drzwi. Chwiejnym krokiem ruszył korytarzem do drzwi wyjściowych. Drżącymi jak w gorączce palcami wielokrotnie próbował trafić kluczem do zamka, jednak ześlizgiwał się on raz za razem, nim wreszcie udało mu się otworzyć drzwi mieszkania.

Jeśliby musieli uciekać lub gdyby udało mu się zmusić nożownika do ucieczki, drzwi powinny być zawczasu otwarte.

Wybrał numer 110, jednak ponownie usłyszał w słuchawce frustrującą zapowiedź:

– Proszę czekać. Tu numer alarmowy berlińskiej policji. Obecnie wszystkie linie są zajęte. Proszę nie odkładać słuchawki. *Please hold the line. Police Emergency Call Department. At the moment...*

Rozłączył się zniecierpliwiony i nacisnął klamkę drzwi do pokoju dziecięcego.

Wraz z falą dreszczy pojawiły się halucynacje.

Zobaczył Valentina na stole obdukcyjnym. Oraz Fabienne tuż obok. Zabitych rękami szaleńca, który poderżnął im gardła nożem.

– Fabienne! – wrzasnął przez drzwi, które – tak jak się spodziewał – były zablokowane.

W normalnych warunkach rzuciłby się na nie tak długo, aż zdołałby przesunąć na bok szafę, łóżko czy jakiś inny stojący za nimi mebel albo zwichnąłby sobie bark. Z raną kłutą w boku nie było to możliwe.

– Nie bój się maleńka! – krzyknął więc, choć sam był śmiertelnie przerażony. Pomyślał o tym, jak pierwszy raz pozwolił Fabienne samej iść do szkoły. Jak śledził ją całą drogę, tak żeby nie mogła go zobaczyć. Jak przysięgał sobie, że będzie jej strzec przed całym złem tego świata.

I jak zawiódł.

– Jeśli spadnie jej choć włos z głowy, zabiję Cię! – krzyknął przez drzwi. – Powiedz mi, czego chcesz, a ja Ci to dam. Tylko nie waż się tknąć dziecka!

Poszewka na poduszkę już przesiąkła i świeża krew kapiała na podłogę, tworzyła kolejną czerwoną strużkę na parkiecie korytarza.

Jules spojrzał na swoje skarpetki i skinął głową.

Strużka wskazała mu drogę.

Podjął decyzję i rzucił się z powrotem do pokoju gościnnego. Zdjął skarpetki, które również były całe zakrwawione, bo odłamki żarówki utkwiły mu w opuszkach palców i pięcie.

Prawdziwe szczęście, że nie czuł tego bólu, bo inaczej by się ześlizgnął. Prawdopodobnie chłód zamarzniętych cegieł tworzących występ muru znieczulał każdą ranę.

Jules po raz drugi przeszedł przez parapet i po raz drugi złapał kabel, który w drodze wzdłuż ściany budynku raczej mu przeszkadzał, niż go ubezpieczał.

Telefon komórkowy, który wsadził sobie pod swetrem do kieszeni koszuli, zaczął właśnie dzwonić, ale to była teraz sprawa drugoplanowa. Najpierw musiał się postarać, żeby robiąc krok przez kamiennego orła, nie zgiąć.

Stał plecami do ulicy, choć na filmach zawsze wyglądało to inaczej, ale wolał mieć przed nosem żłobiony tynk niż przepaść.

Dłonie przytknął płasko do muru, stopy przesuwając centymetr po centymetrze w bok.

Taniec na gładkim lodzie.

Ktoś, kto by go obserwował z dołu, uznałby go albo za włamywacza, albo samobójcę.

Porywy wiatru szarpały jego ubraniem, ale on się posuwał do przodu.

Dopiero na wysokości pokoju dziecięcego stwierdził, że ryzyko ześlizgnięcia się w przepaść nie jest jego największym problemem.

Tylko pytanie, co ma teraz zrobić.

Okno było oczywiście zamknięte, poza tym Jules nie miał jak wziąć rozbiegu, żeby wskoczyć przez szybę do pokoju.

Przytknął obie ręce do szyby i spojrzał do środka.

Mała komoda stała ukosem pod klamką drzwi i blokowała wejście.

W tym momencie przy oknie pojawiła się twarz tamtego chłopaka, przez co Jules omal nie stracił równowagi.

Boże święty...

Jules uderzył pięścią w szybę, która – choć była tylko ze zwykłego szkła – okazała się zbyt gruba, żeby mógł ją rozbić bez użycia ostrego przedmiotu.

– Zostaw ją w spokoju! – krzyknął i ponownie uderzył. Znów bez skutku. Wydawało mu się, że widzi w oczach o wiele zbyt młodego mordercy, jak ten się zastanawia. Czy ma otworzyć okno i zepchnąć Julesa w dół, czy też ryzyko, że w ten sposób umożliwi mu wejście do środka, jest zbyt duże?

Obcy się odwrócił i Jules zaobserwował bardzo niepokojący ruch. Zobaczył, jak kieruje się w stronę łóżeczka w nożem w ręku.

Znów lunął deszcz. Silniej niż poprzednio.

Obraz przed oczami Julesa się rozmazał. Widział tylko duże ciało pochylające się nad mniejszym, nieruchomym ciałem i podnoszące je z łóżka.

– Fabienne! – krzyknął, a wtedy ponownie zadzwoniła jego komórka.

To podsunęło mu rozwiązanie.

Pośpiesznie sięgnął pod sweter i wyłowił palcami telefon schowany w kieszeni na piersi. Zachwiał się, ponieważ prawie wyciągnął także list pożegnalny Dajany, do czego nawet w tej ekstremalnej sytuacji nie chciał dopuścić. Kosztowało go to stratę jednej, dwóch cennych sekund. Ze świadomością, że przez tę zwłokę traci być może kolejne życie, uderzył krawędzią telefonu w okno. Raz, drugi, trzeci... aż grube szkło pękło na tyle, by mógł naprzec na nie ramieniem.

Całym ciężarem i z głośnym trzaskiem wleciał przez stłuczoną szybę do wnętrza pokoju dziecięcego.

56

Walka nie trwała nawet dziesięciu sekund.

Wpadając przez okno, przygniół intruza całym ciężarem ciała. Przetoczyli się po morzu szklanego konfetti, przez co Jules nie był pewien, czy włamywacz po raz kolejny dźgnął go nożem, czy też zraniły go odłamki szkła leżące na podłodze.

– Fabienne! – krzyknął z całych sił, ale tylko w myślach, całkiem oszalała, gdy zobaczył, że szaleniec z nożem w ręku chce się zbliżyć do dziecięcego łóżeczka.

– Zostaw ją w spokoju! – krzyknął teraz z kolei intruz głosem zadziwiająco niskim jak na jego drobne ciało. – Nic jej nie rób!

W półmroku rozjaśnionym tylko światłem ulicznych latarni, Jules nie mógł dostrzec, czy dziewczynka jest ranna. Jednak w razie wątpliwości to jej przysługiwało pierwszeństwo.

Muszę ją chronić. Nawet za cenę życia. Muszę ją chronić, muszę...

Rzucił się na łóżko, mając pewność, że zaraz zostanie po raz kolejny pościęty kuchennym nożem, tym razem ze skutkiem śmiertelnym. Jednak wszystko, co poczuł, to pęd powietrza. Wiatr szalał w pokoju niczym orkan, bo wpadając przez okno, nie trafiał na żadną przeszkodę. Morderca przewrócił komodę i wybiegł z pokoju.

Żeby znaleźć nową broń?

Po posiłki?

Albo żeby, Jules wprost nie miał odwagi tego pomyśleć, bo pobożne życzenia nigdy się przecież nie spełniają, uciec?

Ciężkie kroki na klatce schodowej sugerowały taką właśnie odpowiedź. Również brama, która z hukiem się zatrzasnęła, mogła być pewną poszlaką.

Lub podstępem.

– Tata?

Podniósł głowę.

– Ciii, mój skarbie, ciii. Wszystko w porządku, wszystko dobrze. – Pogłaskał ją po głowie, mając nadzieję, że nie składa fałszywych obietnic, które zakończą się jej śmiercią.

Gdy ten facet tu wróci.

Jeśli tu wróci.

– Odesłałeś go już do domu, tato? – spytało najcudowniejsze stworzenie na świecie, które płacząc i łkając, schowało twarz pod kołdrą.

– Tak, mój skarbie – szepnął z obawy, że każdy głośniejszy dźwięk mógłby tu znowu przywabić mordercę. Ale także z tego powodu, że trudno mu było mówić głośnie.

Jules próbował uporządkować myśli, które podobnie jak krew z rany wydawały się wyciekać z jego głowy.

Boże święty, kto to mógł być? I czego on chciał?

Znów odezwał się telefon. Tym razem odebrał połączenie.

– No wreszcie, chłopcze. Jestem w drodze do Ciebie – powiedział jego ojciec. – Co się dzieje?

Było tysiąc odpowiedzi na to pytanie, ale żadnej z nich Jules nie był w tej chwili w stanie udzielić. Dlatego sapnął tylko:

– Wyjaśnię Ci, jak będziesz u mnie.

– Dobrze, to mi otwórz.

Jules zaciągnął zasłony przy potłuczonym oknie, żeby stworzyć dla zimnego powietrza choćby najmniejszą przeszkodę. Potem maksymalnie odkręcił termostat kaloryfera i osunął się na podłogę.

Oparty plecami o grzejnik patrzył na korytarz, czując, jak uchodzą z niego siły, choć nie tracił jeszcze przytomności. I chciał by tak było przynajmniej do czasu, aż nabierze pewności, że dziś nie zawiódł.

Chociaż ten jeden raz.

– Drzwi są otwarte – powiedział, słysząc kroki na dole, przy wejściu do budynku. Mając nadzieję, że nie są to kroki mordercy, poprosił ojca, żeby się jeszcze nie rozłączał.

57

Klara

„Nie w winie jest prawda, lecz w przemocy”.

Klara przypomniała sobie to zdanie, jakby jej ojciec wypowiedział je dopiero co, a nie całe dziesięciolecia temu jako historyjkę na dobranoc.

Czuła wciąż zapach jego płynu po goleniu, łaskotanie na policzku, gdy ją całował, i słyszała jego lekko ochrypły od alkoholu głos, pachnący tytoń i winem. Była to kompozycja zapachowa, od której do dziś robiło jej się niedobrze.

– Wyobraź sobie, że Twoja najlepsza przyjaciółka została w metrze zaatakowana przez dwóch wyrostków. Pobili ją tak, że krew leci jej z nosa. Co robisz?

– Wchodzę pomiędzy nich – odpowiedziała wtedy ojcu z pełnym przekonaniem, a ten zganił ją spojrzeniem.

– Łatwo Ci teraz mówić. Każdy idiota może strzelić górnolotną przemowę i pleść o odwadze cywilnej. – Wyrażenie, które wówczas nic jej jeszcze nie mówiło. Pojęła je dopiero całe lata później, podobnie jak znaczenie tego wszystkiego, co słyszała tamtego wieczoru. – Ale dopiero wtedy, gdy zetkniesz się z prawdziwą przemocą, pokażesz swoje prawdziwe ja. Przemoc – podniósł palec wskazujący – zdiera maskę z twarzy. Zmusza Cię do działania. Bum! – Klasnął w dłonie, aż podskoczyła na łóżku. – Widzisz! Kiedy się przestraszysz, nie masz czasu na zastanawianie się ani na rozwa-

żanie dostępnych opcji. Wszystko rozstrzyga się w ułamku sekundy. Pomociesz przyjaciółce, czy uciekniesz? Przemoc! – Głos z przeszłości wciąż, mimo upływu dziesięcioleci, brzmiał wyraźnie w jej uszach. – Co zrobisz, gdy jej doświadczysz?

Dziś mogłaby udzielić swojemu ojcu jednoznacznej odpowiedzi: Nie ucieknie. Pozostanie na miejscu. Stawi czoła niebezpieczeństwu. Być może pierwszy raz w życiu, ale w każdym razie w chwili, gdy była bliższa śmierci niż kiedykolwiek. Tu, na trzecim piętrze, w tej wielkopańskiej rezydencji w starym budownictwie, mającej z pewnością siedem pokoi, które wzbudzały w niej budzące mdłości poczucie *déjà vu*.

Idąc korytarzem do pokoju z aneksem kuchennym, miała wrażenie, jakby po drodze meble do niej mówiły, a obrazy na ścianach szeptały. Były to mało wyszukane, czarno-białe fotografie, które można było nabyć w marketach budowlanych i które były o wiele za tandetne jak na tak luksusowe mieszkanie. Szary chodnik pod jej stopami mówił normalnym głosem, ale już stół jadalny w kuchni niemal krzyczał do niej z całą siłą:

– Witamy z powrotem!

– Nigdy tu nie byłam – zaprotestowała, jakby sprzęty stojące w tym mieszkaniu rzeczywiście miały dusze i powinna była się przed nimi usprawiedliwić.

W rzeczywistości nie było tu niczego, co by sobie przypominała.

A przecież na pewno zapamiętałyby starą lodówkę na coca-colę czy szarą sofę. *Boże, kto stawia sofę w kuchni!*

Przeszła przez rozsuwane drzwi do jadalni, gdzie stał stół, którego blat został zrobiony z jednej płyty z drewna orzechowego. Przesunęła ręką po wyźłobieniach na brzegu stołu, pomacała jego politurowaną powierzchnię, ale wciąż nie było tu niczego, co by jednoznacznie wskazywało na tę noc, po której jej samobójstwo stało się z góry przesądzoną sprawą.

W otwartej witrynie stała ramka z fotografią przedstawiającą młodego, brodatego mężczyznę na wózku inwalidzkim, a za nim szczupłego faceta o smutnych oczach, być może jego opiekuna.

Obu mężczyzn nie łączył nawet ślad podobieństwa z Yannickiem.

A mimo to regał z posegregowanymi alfabetycznie według autorów kryminałami krzyczał wręcz do niej:

– Zaraz się przekonasz, Klaro! Zaraz się przekonasz!

I tak właśnie się stało.

Nie w salonie i nie w małym pokoiku, gdzie stały tylko komputer i powoli usychający fikus. I nie w łazience. Tylko drzwi dalej.

Rozpoznała to miejsce, po ekspozycie wiszącym na ścianie.

Sztylecie samurajskim.

Jej wzrok powędrował w kierunku stolika nocnego. Ściślej mówiąc, w kierunku przełączników, które były wpuszczone w listwę. Z których jeden był już włączony.

I dlatego woda w łóżku mieniła się na czerwono.

„Domyślam się, że to pierwszy raz, kiedy pieprzyłaś się na trupie, co?”

W tej samej chwili, w której meble przestały krzyczeć do niej „Serdecznie witamy!”, gdy pewność wniknęła w jej umysł jak kleszcz w skórę ofiary, Yannick znów do niej przemówił.

Słyszała jego głos i oddech, czuła jego obecność. Powoli, w pełni świadoma, że popełniła fatalny błąd, wchodząc do tej sypialni, odwróciła się w stronę drzwi.

58

Jules

*T*a Twoja zasrana winda znów się zepsuła. Będę potrzebował reanimacji, jak już dojdę na górę – narzekał ojciec, który posłuchał prośby i pozostał na linii.

Jules usłyszał jego ciężkie kroki na klatce schodowej i zakończył rozmowę. Chwilę później zaskrzypiały deski przed drzwiami do mieszkania.

– Hej? – dobiegł go głos od strony wejścia. W starym budynku dźwięk niósł się z pokoju do pokoju i robił się chyba coraz głośniejszy zamiast coraz cichszy. Nie miało to jednak już znaczenia, bo mała i tak nie spała.

– Jestem w pokoju dziecięcym! – krzyknął Jules. – Przy Fabienne. – Pogłaskał ją czule po plecach, podczas gdy jej głowa wciąż była zagrzebana pod kołdrą.

– Przy Fabienne? Co, do cholery...?

Hans-Christian Tannberg nosił zazwyczaj sportowe buty, tymczasem teraz odłamki szkła z żarówki rozsypane na podłodze rozgniatyły czyjeś skórzane podeszwy.

– Co tu się dzieje? – zainteresował się głos, który nagle zyskał twarz. I nie była to twarz ojca Julesa.

– Tata?! – krzyknęła zdumiona dziewczynka.

– Nie bój się – powiedział Jules, starając się przeszkodzić jej w ściągnięciu z siebie kołdry, żeby nie zobaczyła mężczyzny, który nagle stanął

w drzwiach.

– Kim pan jest? – spytał wysoki mężczyzna w przemokniętym garniturze o całkiem sympatycznych w gruncie rzeczy rysach twarzy.

Mężczyzna, który może się bardzo podobać kobietom, pomyślał Jules.

– Tata! – krzyknęła dziewczynka, gdy udało jej się uwolnić głowę spod kołdry.

Nie spojrzała jednak przy tym na Julesa, czym zadała mu bolesny cios. Mimo że jej zachowanie było oczywiście zrozumiałe i nie istniała obiektywna przyczyna, dla której Jules miałby być zazdrosny. Nie po tak krótkim czasie. Przecież właściwie tylko spała, pogrążona w wywołanych przez gorączkę snach.

Nie ma jeszcze pomiędzy nami więzi. Wciąż nie wie, ile to dla niej zrobiłem dzisiejszej nocy.

– Tata! – zawołała po raz kolejny, próbując się wyrwać od Julesa i podbiec do mężczyzny w drzwiach.

Do jej rodzzonego ojca.

59

*M*ała oczywiście nie nazywała się Fabienne. Nie była do niej nawet podobna, a Jules był tego w pełni świadomy. Jednak w trakcie podejmowanych tej nocy prób uratowania jej życia – w najgorszym przypadku kosztem własnego – wyobraził sobie, że istota, którą chroni, jest jego córką. I był tym tak przejęty, że raz po raz pojawiała się ona w jego wyobraźni.

Moja mała dziewczynka.

Siedmiolatka spróbowała się podnieść. Osłabienie gorączką, trzymającą ją przez ostatnie godziny jak w transie, ustąpiło miejsca straszliwej pewności, którą Jules z łatwością mógł wyczytać w jej oczach: otóż mężczyzna, który tej nocy co chwila podchodził do jej łóżka, który się o nią troszczył, a nawet podawał jej lekarstwa, był kimś zupełnie obcym.

– Kim pan jest? – spytał człowiek stojący w drzwiach. Też był blady z przerażenia i trzęsła mu się dolna warga. – Czego pan od nas chce?

– Nie wstawaj z łóżka – rozkazał Jules dziewczynce. Już od dłuższego czasu trzymał w ręku nóż, który upuścił morderca, uciekając z dzieciennego pokoju.

– Ale ja chcę do taty!

– Nie, mała. – Wskazał na ostrze. – Wcale nie chcesz.

Oczy jeszcze bardziej się jej rozszerzyły. Jeszcze chwila, a polecą z nich łzy.

– Nie bój się, Amelie, nie bój się! – krzyknął mężczyzna od drzwi, ale był zbyt tchórzliwy, żeby zrobić choćby krok dalej.

Jules pokręcił głową i uśmiechnął się smutno.

– Takie słowa do istoty płci żeńskiej w pańskich ustach? Kto by się spodziewał. – Ruchem noża nakazał mu, żeby się cofnął. – Chodź, Martin. Pójdziemy na chwilę do łazienki.

Jedynego pomieszczenia, które można zamknąć, o ile się nie mylił.

W końcu był tu dziś w nocy po raz pierwszy i nie orientował się zbyt dobrze w rozkładzie mieszkania Klary.

60

Klara

Raz w północnej, głuchej dobie – mówiła szeptem Klara, odwracając się – *gdym znużony siedział sobie nad księgami dawnej wiedzy, którą wieków pokrył kurz*^[7].

Wiersz Edgara Allana Poego zawsze ją uspokajał.

Przepędzał głos Yannicka z jej głowy. A sytuacji, którą opisywały strofy – stary mężczyzna otwiera o północy drzwi do swojego domu i patrzy w pustkę, choć dopiero co rozległo się pukanie – pragnęła w tej chwili dla samej siebie.

Tylko ciemność – i nic więcej.

Ona także chętnie spojrzałaby w pustkę. Tak żeby nie było nikogo stojącego przed drzwiami do sypialni. Ani Yannicka, ani Martina, ani żadnego innego mężczyzny, który chce jej coś zrobić. Chociaż słyszała, jak zbliżają się ciężkie kroki.

Co znaczyło, że jednak tutaj jest. Z pewnym siebie uśmieszkiem, choć nieco zaskoczony, jakby się dziwił, że o tak późnej porze tu na nią trafił.

– Yannick! – wyrwało się jej na ten znany i znienawidzony widok.

– No i kogóż my tu mamy – powiedział i uśmiechnął się.

Jak w transie Klara nacisnęła symbol słuchawki na swoim smartfonie i wybrała numer 110. Potem zastanowiła się, czy uda jej się zerwać sztylet ze ściany, zanim Yannick ją ubiegnie, i zdecydowała się nie podejmować te-

go ryzyka. Pobieгла do sąsiadującej z sypialnią łazienki, mijając po drodze łóżko wodne, w którego przezroczystym, teraz podświetlonym na zielono materacu unosiły się kości miednicy. Miała ochotę wymiotować, ale opanowała się i zamknęła za sobą drzwi łazienki. Miała szczęście, że nie musiała czekać w kolejce. Natychmiast połączyła się z dyżurnym dyspozytorem.

– Przyjedźcie szybko, Pestalozzistrasse czterdzieści cztery, trzecie piętro.
– Starala się przesunąć zasuwkę, ale Yannick był szybszy. – On chce mnie zabić. – Cofnęła się w głąb pomieszczenia.

Yannick stał w drzwiach, tak jak tamtego dnia, kiedy wyszedł z łazienki, tylko że teraz patrzył do środka, podczas gdy Klara kulila się w kabine prysznicowej. Tak jak się tego spodziewała, w dłoni trzymał samurajski sztylet. Zdążył go już wyjąć z pochwy.

Tym razem nie ograniczy się do rozcięcia mi skrzydełka nosa.

Yannick spoglądał na nią z góry. Obserwował ją jak widz w kinie, który wprawdzie jest zainteresowany, jak rozwinię się pokazywana historia, ale dla którego zakończenie filmu nie ma większego znaczenia.

– Jaki jest powód zgłoszenia? – dopytywał się policjant.

– Ktoś mi zagraża – powiedziała, przyciskając komórkę do ucha, na co Yannick zmarszczył z rozbawieniem czoło.

– Kto, skarbie? – spytał szeptem. Tak cicho, że jego głos z pewnością nie mógł zostać potem odsłuchany z policyjnych urzędzeń nagrywających. To w tym celu zachowywał odpowiedni dystans.

Jeszcze.

– Nic Ci nie zrobię – skłamał. – To nawet nie jest moje mieszkanie. Zniknę stąd, zanim gliny zdążą się ruszyć.

– On ma broń – mówiła Klara do komórki. – Chce mnie zabić.

Yannick, który nadal stał w drzwiach, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Niczego nie rozumiałaś, głupia dziuro. *Ja* nigdy nie byłem dla Ciebie prawdziwym niebezpieczeństwem. Dla mnie byłaś tylko miłą rozrywką. Nigdy bym Cię nie zabił, ale teraz nie pozostawiasz mi wyboru!

– Czy może się pani ukryć w bezpiecznym miejscu? – spytał nieco nieprofesjonalnie mężczyzna w centrali. Słysząc było, że jest zdenerwowany.

– Nie. Może. Nie wiem – wyjąkała Klara, która w każdej chwili liczyła się z tym, że Yannick, Cezar, Jo czy też jak naprawdę nazywał się ten psychopata, wyrwie jej telefon z ręki.

Ale on wciąż zachowywał spokój. I dlatego Klara wykorzystała swoją jedyną szansę i krzyknęła z całych sił, choć w zasadzie nie było ku temu powodu, bo gotowy ją zabić szantażysta nie poruszył się ani o krok.

Mimo to krzyczała dalej:

– O Boże, on się zbliża! Znalazł mnie, on...!

Sięgnęła przy tym do tyłu, za pasek, wyciągnęła stamtąd pistolet Hendri-ka, który zabrała ze sobą z parkingu, i cały czas miała zatknięty za brzeg spodni i wycelowała przed siebie.

A potem strzeliła Yannickowi trzy razy w pierś.

61

*J*est pani tam jeszcze? Halo, wszystko dobrze? Nic pani nie jest? – Po tym, jak usłyszał strzały na linii, policjant w centrali był, co zrozumiałe, jeszcze bardziej zdenerwowany niż wcześniej.

Klara próbowała udzielić odpowiedzi. Otwierała usta, poruszała językiem, ale wydawało jej się, jakby mówiła pod kloszem.

– Tak, tak, wciąż tu jestem. Ale nic nie jest dobrze. Boże, nic już nigdy nie będzie dobrze.

Postąpiła krok do przodu i stanęła bezpośrednio nad Yannickiem, który patrzył na nią ze zdumieniem.

Osunął się na ziemię, opierając się plecami o kaloryfer łazienkowy. Jego prawe ramię drgało. Telefon komórkowy wypadł mu z dłoni i leżał teraz ekranem w dół na kafelkach podłogowych, które już wkrótce miały zabarwić się na czerwono.

Klara zaczęła panicznie łapać powietrze. Raz, drugi i trzeci, coraz szybciej. Gdy już napełniła płuca, ucichło natarczywe piszczenie w jej uchu, które zostało wywołane wystrzałem.

– Halo? Proszę zachować spokój. Jesteśmy już w drodze do pani.

– Dziękuję – powiedziała i zaczęła bez opamiętania płakać. – To było w obronie własnej – powiedziała i sama uwierzyła w to kłamstwo, które nie było wcale kłamstwem, bo gdyby tego nie zrobiła, leżałaby teraz na miejscu Yannicka. – Nie miałam innego wyjścia.

Załamana się. To nie była poza ani gra. Wszystkie nagromadzone w niej w ciągu tylu lat emocje znalazły nagłe ujście. Pomyślała o Martinie, o na-

graniu wideo z hotelu Le Zen, o wielu połamanych kościach, o wybroczeniach, o upokorzeniach, o tym, że została dziś wystawiona na licytację. Ciężar przeszłości leżał ołowiem na jej o wiele zbyt wątłych ramionach. Z trudem dała radę przekroczyć ciało umierającego u jej stóp mężczyzny, który się z nią przespał, żeby potem jej własną krwią namalować datę jej śmierci na ścianie. Gdy znalazła się z powrotem w sypialni i zobaczyła doczesne szczątki ofiary Kalendarzowego Mordercy, pękły w niej wszystkie tamy.

Jąkała się i bełkotała, krzyczała i płakała, prychała jak dzika kotka i dła-
wiła się jak osoba tonąca. Nic z tego, co mówiła, nie miało żadnego sensu.

– Za chwilę u pani będziemy – próbował ją uspokoić w trakcie przerwy na wdech policjant z numeru 110, ale to nie ton jego głosu sprawił, że nagle zamilkła.

Tylko pulsujący sygnał drugiego połączenia wydawany przez jej komórkę, który początkowo pomyliła z biciem swojego rozszalałego serca.

Klara otarła łzy przedramieniem i spojrzała na wyświetlacz.

Nawet kubek lodowatej wody nie mógłby jej szybciej otrzeźwić.

Wiedziała jedno: telefon z tego numeru o tej porze – grubo po północy – mógł oznaczać wyłącznie coś o wiele straszniejszego niż to, co przed chwilą przeżyła.

62

*H*alo, pani Vernet?

– Tak. – Klara już biegła. Wypadła z mieszkania z powrotem na klatkę schodową. Nie słyszała syren, więc prawdopodobnie miała jeszcze szanse na ucieczkę.

Z jednego miejsca zbrodni do drugiego.

– Co się stało? – Zbiegała po schodach. Obok kobiety w koszuli nocnej, którą musiały obudzić strzały i teraz kredowobiała na twarzy cofnęła się do mieszkania, gdy Klara przemknęła tuż koło niej.

– Mówi Elisabeth Hartmuth, jestem matką Vigo – powiedziała zupełnie niepotrzebnie kobieta. Klara zapisała sobie jej numer jako „BABYSITTER”. Vigo mieszkał razem z matką w oficynie jej kamienicy.

– Co się stało Amelie? – dopytywała się Klara.

Pani Hartmuth była bardzo dobroduszną, ale strasznie niemrawą kobietą. Wszystko, co robiła, wykonywała z nieznośną wręcz ociężałością. Mówiła powoli, chodziła powoli, a Martin często z niej pokpiwał, że także w myśleniu Vigo znacznie ją przegania.

– No tak, to jest między innymi przyczyna, dla której dzwonię. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że powinnam wezwać policję.

– Dlaczego? Co się stało? – Klara znalazła się z powrotem na Pestalozzistrasse. Wciąż nie było syren ani niebieskich świateł alarmowych. Tylko mżawka, która zamarzała na chodniku i przemieniała każdy krok w taniec na lodzie.

– Vigo wychodzi z siebie. Zbiegł na dół bosy, ma wszędzie krew: na rękach i na ubraniu. Vigo, o co ci... no nie zabieraj mi ...

Najwyraźniej jednak szesnastolatek nie posłuchał próśb i telefon znalazł się teraz w jego rękach. Poinformował Klarę o sytuacji znacznie szybciej i jaśniej niż jego matka:

– Musi pani natychmiast wracać do domu, pani Vernet.

Klara skręciła biegiem za róg ulicy. Poślizgnęła się na nieposypanym piaskiem chodniku, wstała i ruszyła dalej. Jakaś rozbawiona parka obejmowała się, chichocząc i próbując nie upaść na gołoledzi. Zamilkła, gdy zobaczyła Klarę: płaczącą, utykającą i wciąż z bronią w ręku, co sama spostrzegła dopiero teraz, gdy zobaczyła swoje odbicie w witrynie reklamowej.

Zmusiła się, żeby nie krzyczeć do telefonu.

– Co się stało z Amelie? – zadała jedyne pytanie, które było dla niej ważne.

I usłyszała z ust Vigo najbardziej przerażającą odpowiedź, jaką może usłyszeć matka:

– Nie wiem.

Stała jak wryta. Gapiała się na jasno oświetloną wystawę butików z wyrobami z kaszmiru, na której nie było płaszcza, który mógłby ją kiedykolwiek ogrzać, gdyby potwierdziły się jej najgorsze obawy.

– O ósmej była już w łóżku – powiedziała Vigo. – Ja sam położyłem się w pokoju gościnnym. Było już z pewnością po dziesiątej, gdy zostałem wyrwany ze snu przez jakiś huk. Najpierw pomyślałem, że to Amelie upuściła szklankę. Wstałem więc i chciałem pójść do kuchni, ale stał w niej ktoś obcy i rozmawiał przez telefon.

– Kto?

– Nie wiem. Włamywacz, jak sądzę. Najpierw pomyślałem, że to pani mąż albo jakiś przyjaciel, ale potem on powiedział: „Wszyscy w tym domu są skazani na śmierć”. Na szczęście mnie nie spostrzegł.

Klara chciała krzyknąć, ale pierwotny strach, jaki może poczuć tylko matka, która boi się, że za chwilę straci to, co najważniejsze w jej życiu, ścisnął ją za gardło.

– A ja nie mam przecież komórki, a u pani nie ma telefonu stacjonarnego.

Akurat to Martin widział w tym ciągle problem, że chłopak nie posiada telefonu komórkowego, a ona zawsze go uspokajała, że gdyby coś się działo z Amelie, wystarczy, że Vigo przejdzie przez podwórko i już jest w mieszkaniu matki.

– Chciałem więc pójść do mamy, żeby wezwać pomoc. – Głos Vigo załamał się. – Ale ten facet usłyszał, jak zadźwięczały klucze, więc musiałem się ukryć. Przechodziłem z pokoju do pokoju, zawsze tam, gdzie go nie było. Wziąłem z łazienki tabletki nasenne, żeby mu dosypać do soku. Uzbrowiłem się nawet w nóż, ale potem Amelie zaczęła krzyczeć i ten facet zjawił się z bronią w jej pokoju. Boże, tak bardzo bym chciał móc obronić Amelie.

Klara zamknęła oczy. Usłyszała przejeżdżający obok samochód dostawczy, poza mżawką na twarzy czuła też grube krople wody na karku, które skapywały z jakiegoś daszku na jej głowę. Niezdolna zrobić nawet jednego kroku.

– Musi mi pani uwierzyć, nie chciałem zostawić Amelie samej. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy wydawało mi się, że nie czuje się dobrze. Jednak nie dało się inaczej, on chciał mnie zabić. Boże, ukryłem się od łóżkiem, ale on mnie tam znalazł. Spróbowałem wyjść przez okno, żeby jakoś opuścić się na dół. Tak mi przykro. Musi pani natychmiast wracać do domu.

Powiedział to po raz drugi i niczego więcej nie musiał już jej mówić. To było jej hasło.

Do domu.

Rozłączyła się i ruszyła dalej w kierunku Kantstrasse. Jadąc tu, mijali chyba postój taksówek, *czy jej się tylko zdawało?*

Dla pewności otworzyła w smartfonie rejestr połączeń. Przełączyła się szybko do połączeń wychodzących, bo nie dalej jak wczoraj wzywała taksówkę do domu na Lietzensee. Musiała teraz tylko ponownie wybrać numer, a to było szybsze niż wyszukiwanie telefonu przez Google.

Okej, już mam!

Znów się poślizgnęła, ale tym razem utrzymała równowagę.

Taksówki Berlin. Drugi numer na liście połączeń wychodzących. Po niemal dwudziestu próbach, których potrzebowała, żeby połączyć się z komórką Julesa.

Ach, Jules...

Świadomość, że znów stoi przed zadaniem, któremu sama nie da rady sprostać, była dla niej jak śmiertelny cios.

Zaszlochała. Pomyślała o swoim rozmówcy, którego potrzebowała teraz pilniej niż kiedykolwiek.

Na czas nocnego powrotu do domu.

Czegoś najniebezpieczniejszego na świecie, jeśli jest się kobietą.

Dotarła już do Kantstrasse. Obejrzała się za taksówkami i odkryła postój, na którym czekały dwa pojazdy.

Musiała tylko przejść na światłach ulicę, przebyć kilka metrów, ale nagle zatrzymała się w miejscu. Zastygła w bezruchu, zupełnie jak Ci artyści uliczni, którzy udają posągi, czekając aż jakiś turysta wrzuci im pieniądze do kapelusza.

Lista połączeń, pomyślała.

Coś z nią było nie tak.

Jak to możliwe, że mój wczorajszy telefon po taksówkę jest drugi na liście połączeń wychodzących?

Stanęła na wysepce pośrodku jezdni. Podniosła raz jeszcze wyświetlacz do oczu. Starła śnieg z deszczem, który padał na ekran.

I nie znalazła go.

Połączenia z Nocnym Powrotem!!!

Zobaczywszy to, Klara poczuła, jakby coś w niej pękło.

– To nie przypadek – wychrypiała, podczas gdy pierwsza taksówka odjechała, a ona nie znalazła w sobie dość siły, żeby podnieść rękę.

Nic z tego, co wydarzyło się w ciągu tych ostatnich godzin, nie było dziełem przypadku.

Ani włamanie do samochodu Martina, które służyło temu, żeby ktoś wszedł w posiadanie kluczy do mieszkania przy Lietzensee. Ani z całą

pewnością to, że to akurat Jules był tą osobą, z którą rozmawiała dziś wieczór przez Nocny Powrót.

Klara nacisnęła ponowne wybieranie numeru i poczuła się jak we śnie, z którego za nic nie można się obudzić.

To mój czyściec.

Uwikłanie w trwającą w nieskończoność rozmowę z kimś, kto w kółko, raz za razem, wyjaśniał jej straszliwą prawdę, której jej umysł przez całą wieczność wzbraniał się pojąć.

I nie będzie miało znaczenia, jak Jules za chwilę opíše jej ten koszmar.

63

Jules

Siedział w ciemności na podłodze w kuchni. Wszystkie światła w mieszkaniu Klary i Martina były zgaszone, zasłony zasunięte. Dzięki temu mógł się lepiej skoncentrować. Lepiej oddychać mimo bólu, wywołanego przez cios nożem, zadany mu przez tamtego chłopaka.

Dobrze wiedział, że nie zostało mu dużo czasu, kiedy przycisnął już trzecią ścierkę do głębokiej rany, a strumień krwi się nie zmniejszał.

W tej sytuacji nawet mu odpowiadało, że wszystko zbliża się już do końca i że Klara tak szybko spróbowała się z nim skontaktować.

– Co z Amelie? – usłyszał, gdy tylko odebrał telefon. Było logiczne, że jako matka mogła w tej sytuacji zadać tylko takie pytanie.

Sam będąc kiedyś ojcem Jules nie chciał trzymać jej dłużej w niepewności, ale prawdopodobnie nie będzie miał już możliwości, żeby z nią porozmawiać, a musiał się tego dowiedzieć:

– Jak pani to odkryła?

– Chcę wiedzieć, czy...

– Zaraz to pani powiem. Usłyszysz pani na wszystko odpowiedź. Przysięgam. Ale dopiero wtedy, gdy mi pani odpowie, skąd pani to wie.

Stała pod gołym niebem. W tle słychać było mijające ją samochody, których kierowcy z pewnością nawet się nie obejrzel na zapłakaną kobietę stojącą na skraju jezdni.

Co za hańba.

Jeśli Nowy Jork był miastem, które nigdy nie śpi, to Berlin był miastem, w którym Jules nigdy już nie chciał się obudzić.

– Mój telefon nie był pomyłką – stwierdziła wreszcie Klara.

– Nie?

– Nie. Moja komórka nie odblokowała się w kieszeni spodni podczas wspinaczki. I nie połączyła się przypadkowo z Nocnym Powrotem.

– Tylko?

– To pan do mnie zadzwonił! Taki z pana gnojek! A teraz chcę wiedzieć dlaczego. Co z Amelie?

Jules skinął z uznaniem głową.

– Brawo. Chociaż myślałem, że wcześniej pani na to wpadnie.

– CO SIĘ DZIEJE Z MOJĄ CÓRKĄ?! – wrzasnęła do aparatu, a Jules ukarał ją w najgorszy możliwy sposób.

Rozłączył się.

Trzy sekundy później telefon znów zawibrował w jego dłoni.

– Czy możemy teraz porozmawiać w spokoju?

– Nie, no... ja wcale nie ...

– Jest pani zdenerwowana. Doskonale to rozumiem.

Ja z kolei pewnie tylko dlatego jestem taki spokojny, że straciłem już litr krwi.

– Proszę mnie uważnie posłuchać, bo to jest teraz bardzo ważne. Ma pani rację, nie zadzwoniła pani do mnie. To ja wybrałem pani numer.

– Dlaczego?

– Ponieważ chciałem z panią porozmawiać. Gdyby mi pani tego nie ułatwiła i nie pomyślała, że połączyła się pani przez przypadek, powiedziałbym pani, że w Nocnym Powrocie w przypadku szczególnie niestabilnych emocjonalnie ludzi czasem sami dzwoniemy do nich, o ile tylko znamy ich numer.

– Co za obrzydliwe świństwo. Co to za chora gra, w którą pan się bawi? Co to ma znaczyć?

Jules już otwierał usta, musiał jednak na chwilę odłożyć udzielenie odpowiedzi, ponieważ kłujący ból w boku pozbawił go tchu.

– To nie żadna gra – oznajmił w końcu. – To wszystko jest nadzwyczaj poważne. Spotkała pani Yannicka?

To pytanie wyraźnie wytrąciło ją z i tak już chwiejnej równowagi.

– Yannick, to znaczy... ja...

– Proszę o szczerą odpowiedź. Niech pani się tak nie płacze, tylko spróbuje się skupić. Spotkała go pani?

– Tak.

– I doszło do walki?

– Tak jakby.

– Wciąż żyje?

– To znaczy, ja... – zawahała się. – No, ja...

Jules uśmiechnął się z zadowoleniem. Pierwsza dobra wiadomość od bardzo długiego czasu.

– Serdeczne gratulacje. Zrobiła to pani.

– To nie jest powód do radości! – wrzasnęła Klara. – To najgorsza rzecz, jaką przyszło mi zrobić w życiu!

– Nie, to najlepsza rzecz – sprzeciwił się jej Jules. – Niech pani mi wierzy. Mój ojciec zasłużył sobie na śmierć.

64

Klara

*P*ański ojciec?

Czy Jules naprawdę to powiedział?

– Yannick jest...?

Klara wciąż stała na wysepce pośrodku Kantstrasse, oddalona tylko o kilka kroków od jedynej już teraz taksówki.

Do której już nigdy nie wsiądzie. Zrozumiała to w chwili, gdy zobaczyła radiowóz. Bez syren, bez świateł alarmowych, ale jadący w wiadomym celu.

– Tak jest, dobrze pani usłyszała, to mój ojciec. Obrzydliwe zboczone bydlę. To on ma na sumieniu moją żonę.

– Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

Radiowóz zatrzymał się przed apteką. Wsiadło z niego dwóch policjantów z bronią w pogotowiu. Coś krzyczeli do niej.

– Może pani tego nie rozumieć, ale niedługo wszystko pani pojmie. Nawet bardzo niedługo.

– Chciał pan, żebym go spotkała?

I go zamordowała...?

– Rzuć broń! Natychmiast rzuć broń! – krzyczeli policjanci.

Teraz usłyszała także syreny. Na razie były daleko, ale posiłki niedługo nadciągną. Czy na policję zadzwoniła rozchichotana parka? A może to ko-

bieta w koszuli nocnej na klatce schodowej podała jej rysopis?

Wszystko jedno.

– Zatem to wszystko, co wydarzyło się dzisiejszej nocy zaplanował pan od samego początku?

Nic nie dzieje się przypadkowo.

Jules zaśmiał się ze ściśniętym gardłem.

– Nie, przygotowałem tylko teren gry. To zupełnie tak, jak kiedyś wyjaśnił mi pewien konsultant ślubny, kiedy rozmawiałem z nim na temat mojego wesela z Dajaną, do którego nigdy nie doszło. „Może pan stworzyć tylko warunki brzegowe. Imprezę zawsze tworzą goście”.

– RZUĆ BRONŃ! – Policjanci byli oddaleni tylko o kilka metrów. Widziała już nerwowość w ich oczach i obrączkę na palcu stojącego najbliżej funkcjonariusza, który celował do niej ze służbowej broni.

Klara obróciła się w drugą stronę.

– Czy Amelie żyje?

– Tak, oczywiście. Ma się bardzo dobrze.

Wielki Boże. Łkając, odchyliła głowę do tyłu.

– Niech pan nie robi krzywdy mojej dziewczynce – poprosiła, upuszczając broń.

– Nigdy bym jej nic nie zrobił – brzmiały ostatnie słowa Julesa, które usłyszała, nim została powalona przez policjantów na ziemię.

65

Jules

Dziesięć minut. Może kwadrans, jeśli będzie miał szczęście. Nawet jeśli wszystko wskazywało na to, że Klara właśnie została zatrzymana przez policję, poruszy ona z pewnością niebo i ziemię, żeby jak najszybciej dostać się do domu. Może nawet radiowozem, który w zasadzie powinien ją zawieźć na posterunek. Nie ma na świecie potężniejszej siły niż rodzice, których dzieciom grozi niebezpieczeństwo.

Jules wiedział więc, że nie zostało mu dużo czasu. Poza tym byłoby lepiej, żeby się teraz ruszał, jeśli nie chce tu zaraz umrzeć.

Na kuchennej podłodze.

Oparł się na kolanach, potem chwycił się blatu wyspy kuchennej i podciągnął się, aż udało mu się wstać. Zataczając się, wrócił powoli do pokoju dziecięcego. Otworzył drzwi.

Zobaczył obłoczek własnego oddechu.

Zasłony, które zasunął przed zbitym oknem, wydymały się na wietrze. Pokój wyziębiał się z tą samą prędkością, co jego ciało.

– Sorry, mała. Coś mi się wydaje, że dzisiejsza noc wymknęła nam się spod kontroli.

Włączył nocną lampkę – różową figurkę Elsy z *Krainy Lodu* – dającą ciepłe światło.

Amelie jeszcze bardziej cofnęła się pod ścianę i znów zakryła głowę kołdrą.

Marzła. Ale nie chciała też dłużej na niego patrzeć. Nic dziwnego. Nie mógł mieć jej tego za złe.

Jules podszedł do łóżka, a ona cofnęła się jeszcze głębiej. Spróbował dotrzeć do niej przynajmniej słowami.

– Miałem złego ojca, tak jak Ty, Amelie. A moja matka była słaba. Tak jak Twoja. Ale dziś pokazała odwagę i siłę. – Pogłaskał ją przez kołdrę po głowie i poczuł, jak dziewczynka cała sztywnieje. – Tak mi przykro.

Wyprostował się i ruszył chwiejnie w kierunku drzwi. Wykończony tą nocą. Walką z nieznanym. Życiem.

Jednocześnie poczuł coś zupełnie niezwykłego. Łączące się z wielkim zadowoleniem uczucie z dawna wyczekiwanego sukcesu, który wreszcie udało mu się osiągnąć.

W korytarzu zatrzymał się raz jeszcze, cofnął się o krok i popatrzył Amelie po raz pierwszy prosto w oczy. Opuściła kołdrę zakrywającą głowę. Spojrzała za nim, prawdopodobnie po to, żeby się upewnić, że rzeczywiście już sobie poszedł.

Jej oczy były takie duże i niewinne, a zarazem tak pełne głębokiego smutku, który pewnie nigdy całkowicie jej nie opuści.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedział do niej ponownie. – Wiem, że dziś tego wszystkiego jeszcze nie rozumiesz. I nie mogę Ci z całą pewnością obiecać, że pewnego dnia mi podziękujesz, bo przecież nie będziesz wiedziała, od jakiego piekła Cię wybawiłem. Chyba że Twoja mama kiedyś Ci to wyjaśni.

Zamarł na chwilę, po czym pożegnał się wypowiadając chyba najważniejsze ostrzeżenie, jakiego mógł jej w tej chwili udzielić:

– Cokolwiek się stanie, Amelie, nie wchodź, proszę, do łazienki.

Wypowiedziawszy te słowa, sam udał się w to miejsce.

Kiedy tam dotarł, otworzył drzwi i raz jeszcze sprawdził puls Martina. Gdy już się upewnił, że ten jest martwy, zanurzył własną dłoń w kałuży utworzonej na podłodze z płytek. Dwa razy pchnął go wcześniej nożem do

chleba, zdecydowanie głębiej niż włamywacz, którego obecności i zamiarów być może nigdy nie zdoła sobie wytłumaczyć.

Spojrzał na zegarek.

Była godzina druga trzydzieści cztery. Trzydziesty listopada.

I właśnie tę datę napisał krwią Martina na ścianie łazienki. Własnymi palcami, swoim trudnym do pomylenia charakterem pisma. Gdzie cyfra 1 ma w górnej części zawijas, przez co liczba, którą pozostawił na ścianie już w miejscu pierwszego morderstwa, przy odrobinie wyobraźni przypominała konika morskiego.

66

Klara

Trzy tygodnie później

Nad Wodą.

Nie było chyba kawiarni z bardziej odpowiednią nazwą niż ta na Knesebeckstrasse.

Klara obserwowała Amelie zajętą blokiem rysunkowym w kąciку, który właścicielka zaaranżowała dzisiaj specjalnie dla niej, i znowu była bliska wybuchnięcia płaczem.

Z miłości.

Oraz z ulgi, że jej nie utraciła, chociaż było tak wiele powodów, dla których mogła nigdy już nie zobaczyć własnej córki. Najważniejszym z nich były jej własne plany. O mały włos odebrałaby sobie życie, zanim zdołałoby to zrobić Martin lub Yannick.

– Słucha mnie pani?

– Co?

Oderwała wzrok od córki i spojrzała na mężczyznę przed sobą.

Siedział na wózku inwalidzkim i rzeczywiście z brodą wyglądał nieco starzej, ale Magnus Kaiser nie był wcale podobny do Yannicka. W najmniejszym stopniu.

Cezar był z pewnością dwadzieścia lat od niego młodszy, miał dłuższe, o wiele jaśniejsze włosy i mimo ułomności fizycznej wyglądał na o wiele sprawniejszego. Przed wypadkiem musiał być prawdziwym miłośnikiem sportu.

– Tak, przepraszam bardzo. Moja córka dopiero co, przed kilkoma dniami, doszła jakoś do siebie. Od czasu śmierci swojego ojca prawie nic nie jadła, mało co piła i stale miała koszmary. Dla mnie to prawdziwy cud, że akurat dziś tak się dobrze czuje.

– Rozumiem.

Cezar zamieszał łyżeczką swoją kawę z mlekiem.

Coś leżało mu na sercu, inaczej nie prosiłby tak usilnie o spotkanie. Jednak w trakcie ostatnich dni Klara była tak bardzo zajęta rozmowami z adwokatami, składaniem zeznań i przeprowadzką, że nie miała jak się z nim umówić. Teraz, gdy było jasne, że czasu pozostałego do rozpoczęcia procesu nie będzie musiała spędzić w więzieniu (i zgodnie z informacjami udzielonymi przez jej obrońcę Roberta Sterna było dość mało prawdopodobne, żeby musiała tam kiedykolwiek trafić, jeśli pozostanie przy swojej wersji, że działała w obronie koniecznej), znalazła w końcu dość wewnętrzznego spokoju, żeby zająć się motywami czynu Julesa. I umówić się na to spotkanie.

– Na czym to stanęliśmy? – spytała Cezara.

– Opowiadałem pani o moich podejrzeniach. Jak już mówiłem, przyjaźniłem się z Dajaną. Był taki czas, że niemal zostaliśmy parą, ale ona ostatecznie wybrała Julesa, co jednak nie stanowiło dla mnie problemu. W każdym razie po tym, jak upłynęło już trochę czasu. Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi.

– Naprawdę?

– *Bardzo* dobrymi przyjaciółmi, jeśli chodzi o obopólne zaufanie. Rozmawialiśmy o wszystkim. Także o jej problemach z Julesem.

– Jakich problemach?

– Opowiedziała mi o swoim podejrzeniu. Obawiała się, że Jules uwikłał się w coś nielegalnego. – Przesunął nerwowo po zadartej skórcie przy pa-

znokciu kciuka.

– Coś konkretnego?

Cezar zmarszczył czoło.

– Nie chciała się wdawać w szczegóły. I właśnie to sprawiło, że stałem się nieufny. Zwykle rozmawialiśmy o wszystkim, a w tym przypadku kręciła i kluczyła. Miało to coś wspólnego z jego ojcem i innymi kobietami.

Dłubanie palcem przy kciuku ustało, ale teraz jego palce odkryły papierową serwetkę na stole, którą mogły zwijać w kulkę.

– Nie za bardzo wiedziałem, o co tu może chodzić. Ale Dajana trafiła we właściwą strunę. Jules się zmienił. Zawsze był inny niż wszyscy. Cichy, bardzo melancholijny. Praca w centrali alarmowej jeszcze dodatkowo go przybiła. Nie mógł się uwolnić od przypadków, którymi się zajmował, zabierał robotę do domu. Pewnego razu musiałem zawieźć go do jakiejś kobiety, którą mąż pobił tak, że ledwo mogła się ruszać. Chciał sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku, czy rozstała się ze swoim mężem.

– Zrobiła to?

– Nie. Jules kompletnie wtedy ześwirował. Zobaczyliśmy ich oboje przez okno w kuchni. Kobietę i mężczyznę. Jules chciał od razu zadzwonić do drzwi i spuścić lanie temu facetowi. Ledwie go powstrzymałem. – Uśmiechnął się smutno, wskazując na wózek. – Wtedy jeszcze na tym nie siedziałem.

Klara wypijała nieco zbyt duży łyk swojego bardzo gorącego chai latte.

– Nie chcę być niegrzeczna, ale po co mi pan to wszystko opowiada? Większość z tego znam już z gazet. Złożył pan już przecież zeznanie na policji.

Skinął głową i spojrzał speszony na blat stolika, jakby na talerzyku z ciastkiem, którego nie tknął, znajdowała się odpowiedź.

– Jestem tu, żeby przeprosić – powiedział cicho.

– Za co?

– Myślę, że sprawy nie zaszłyby tak daleko, gdybym wcześniej coś powiedział. – Ponownie podniósł głowę.

Czyżby płakał?

– Gdybym tylko panią ostrzegł.

Przechyliła głowę w bok, odsunęła sobie kosmyk z czoła i spytała:

– Miał pan możliwość mnie ostrzec?

– To dłuższa historia. – Widać było, że szuka odpowiednich słów, lecz w końcu jej wyznał: – Po samobójstwie Dajany przeprowadziłem małe śledztwo. Jak mówiłem, łączyło nas obopólne zaufanie. Znałem jej hasło do komputera, więc mogłem ze swojego notebooka otworzyć jej skrzynkę mailową. Dajana pozostawiła na niej szkic swojego listu pożegnalnego, który potem spisała ręcznie.

– No i?

– Znalazło się w nim pani nazwisko.

Moje nazwisko?

Rozmowa była tak niezwykła i pochłaniała całą jej uwagę, że Klara zwyczajnie zapomniała o spoglądaniu co minutę na Amelie, co teraz nadrobiła.

W tej samej chwili mała podniosła na nią oczy i obdarzyła ją szczerbatym uśmiechem.

– Proszę nie gardzić teraz mną za to, co zrobiłem – rozległ się głos Cezara i Klara ponownie odwróciła się w jego stronę. – Jules jest... był moim najlepszym przyjacielem. Mimo tego że z upływem lat tak się zmienił i zgorzkniał. W dzieciństwie przeżył same złe rzeczy. Musiał patrzeć, jak ojciec bije i maltretuje jego matkę. Skończyło się to dopiero wtedy, gdy zostawiła go i jego siostrę samych z tym szaleńcem.

Cezar po raz pierwszy sięgnął po widelczyk do ciasta, wbił go nawet w miodownik, ale nie wyglądało na to, że za chwilę zacznie go jeść.

– Właśnie to, jak powiedział mi kiedyś, było przyczyną jego syndromu pomagacza i podjęcia pracy w telefonie sto dwanaście. Ale stąd też wywodziła się jego nienawiść do kobiet, które bez słowa protestu znoszą swój los.

– Które potem mordował – szepnęła Klara ze wzrokiem skierowanym w stronę Amelie, która na szczęście nic nie słyszała z tej rozmowy.

I to akurat 8 marca, 1 lipca oraz 30 listopada. W najważniejszych dniach dla feministek, jak to zostało potem ustalone w mediach, zajmujących się

tymi zbrodniami: w Międzynarodowy Dzień Kobiet 8 marca, rocznicę zmiany kodeksu karnego 1 lipca 1997 roku (kiedy to gwałt małżeński w Niemczech stał się karalny) oraz rocznicę wprowadzenia praw wyborczych dla kobiet 30 listopada 1918 roku.

– Co jest w tym liście? – spytała Cezara.

– A obieca mi pani, że mnie nie znienawidzi?

– Jaki miałabym mieć powód?

Cezar westchnął.

– Powinienem być pójść na policję. Ale pomyślałem sobie, że to wszystko są urojenia chorej umysłowo kobiety. Przecież na krótko przed swoim samobójstwem Dajana była z powodu paranoi w klinice psychiatrycznej. Na ile poważnie miałem to traktować?

Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, Cezar wywołał u Klary tymi słowami pewne wspomnienie.

Sama użyła podobnych słów, gdy pytała swojego obrońcy, czy rzeczywiście musi zeznawać przed sądem: „Na ile poważnie zostaną potraktowane moje zeznania? Wiadomo przecież, że brałam udział w eksperymencie prowadzonym przez klinikę psychiatryczną”.

Cezar wciąż dłużył widelczykiem w ciastku i kontynuował swoją spowiedź:

– Próbowałem się dowiedzieć, czy rzeczywiście coś w tym było. Spytałem więc Julesa, czy weźmie mój dyżur w Nocnym Powrocie.

– Skąd pan wiedział, że on do mnie zadzwoni?

– Nie wiedziałem tego. Ale pokazałem mu, gdzie można znaleźć numery kobiet, które już wielokrotnie się z nami kontaktowały. Oraz gdzie znajdują się dane zawierające wskazówki dotyczące przyczyn, powodów strachu oraz inne informacje, które ułatwiają osobie towarzyszącej prowadzenie rozmowy.

– Miał pan *nadzieję*, że on do mnie zadzwoni?

Czyżbym była przynętą wystawioną przez Cezara?

– Miałem nadzieję, że tego *nie* robi. Ale około godziny dwudziestej drugiej zlokalizowałem mojego laptopa. Zainstalowałem na nim odpowied-

nie oprogramowanie, na wypadek gdyby ktoś mi go ukradł. I bingo! Julesa nie było w domu. Pojechałem więc taksówką dla niepełnosprawnych na Lietzensee. Tam, skąd dochodził sygnał GPS. Gdy zobaczyłem pani nazwisko na szyldzie koło dzwonka, Vernet, byłem jak ogłuszony. W tym momencie miałem już pewność, że coś się tu nie zgadza.

Zamilkł.

Klara nie odważyła się poruszyć z irracjonalnego strachu, że mogłaby zrobić coś, co tak bardzo speszyłoby tego nerwowego mężczyznę siedzącego naprzeciw niej, że przestałby mówić.

– Pojechałem więc windą na górę. Chciałem z Julesem poważnie porozmawiać i zadać mu pytanie, co robi w cudzym mieszkaniu.

– Ale się pan przestraszył?

– Tak. – Widać było, że się wstydzi. – Zabrzmi to może dziecinnie, ale światło na klatce schodowej nie działało. Nagle poczułem się taki bezradny.

– I wtedy pan się wycofał.

– Tak. Taksówka wciąż na mnie czekała. Wróciwszy do domu, stwierdziłem, że musiałem gdzieś zgubić swoją komórkę. Nie wiedziałem jednak, czy przed pani drzwiami, czy też gdzie indziej. Od czasu do czasu dzwoniłem do samego siebie z telefonu stacjonarnego, a tymczasem miałem nadzieję, że ktoś mi po prostu ukradł komórkę, a nie że dostała się w ręce Julesa. Wysłałem nawet z drugiego telefonu esemesa do złodzieja, z żądaniem, żeby zwrócił mi moją własność.

– Jednak nie zadzwonił pan na policję?

– Nie. I do dziś nie mogę sobie tego wybaczyć. – Odchrząknął zakłopotany. – To było tchórzliwe, wiem o tym. Zachowałem się jak dziecko, które ma nadzieję, że zło zniknie, jeśli się po prostu zamknie oczy.

– Nie chciał pan przyjąć do wiadomości, że pański przyjaciel jest zdolny do morderstwa.

Skinął głową.

– To było zbyt monstrualne. Po prostu nie do pojęcia. Być może sama to pani zrozumie, gdy to pani przeczyta. – Odsunął się od stołu i sięgnął po portfel.

Klara już chciała zaprotestować, powiedzieć, że zapłaci rachunek, gdy spostrzegła, że położył obok stolika kopertę.

– Proszę mnie nie znienawidzić – powiedział raz jeszcze.

Obrócił się w miejscu i ruszył wózkiem do wyjścia.

Klara spojrzała w ślad za nim. Obserwowała, jak czeka, aż któryś z gości przytrzyma mu drzwi. Chwilę potem jego wózek inwalidzki zniknął jej z oczu na Knesebeckstrasse.

Upewniła się, że Amelie wciąż jest zajęta rysowaniem. Z bijącym sercem i mokrymi od potu palcami wymacała kartki wewnątrz koperty.

Następnie wypila ze szklanki ostatni łyk wody, którą zamówiła do chai latte.

W końcu otworzyła kopertę z pożegnalnym listem Dajany.

67

Mój Najdroższy,

tak bardzo bym chciała, żeby to wszystko potoczyło się inaczej.

Tak bardzo bym chciała nigdy się tego nie dowiedzieć. Aby moje podejrzenia nigdy się nie potwierdziły. Jednak rozpoznałam Twoje pismo, figlarny skręt, którym kończysz cyfrę 2, zakrętas przy 1 jak u konika morskiego. To Ty jesteś Kalendarzowym Mordercą. Pozostawiasz daty na ścianach swych ofiar.

Pamiętasz jeszcze nasz pierwszy pocałunek w szkole? I te wszystkie piękne lata, które były potem?

Tak bardzo kochałam te Twoje listy, które mnie zawsze zaskakiwały. Pod poduszką, w lodówce, między moimi sportowymi rzeczami. W skrytce w samochodzie.

Zawsze mnie bawiło, że podpisujesz listy dodając datę, jakby były jakąś umową. W gruncie rzeczy chciałam chyba uwierzyć, że naprawdę zawarliśmy wtedy układ, choć nigdy się nie pobraliśmy. Nawet wówczas, gdy nie zrezygnowałeś z mieszkania, w którym się wychowałeś. Powiedziałeś wprawdzie, że z powodu złych wspomnień z dzieciństwa nie możesz tam dłużej mieszkać, ale wiedziałam, że od czasu do czasu tam się relaksujesz i nie pozwalasz, żeby stało puste. Przez wszystkie te lata, gdy u mnie mieszkałeś. Ponieważ potrzebowałeś nieco swobody. Teraz już wiem, do czego potrzebowałeś tego mieszkania, ale mój rozum jest zbyt ograniczony, by to pojąć.

Na początku tlił się we mnie strach, że na Pestalozzistrasse spotykasz się z innymi kobietami. Znałam przecież Twoją życzliwą, dobroduszną naturę.

Że wezwania pomocy, które do Ciebie w pracy trafiały, szczególnie od kobiet, nie dawały Ci spokoju. Sam mi przecież opowiadałeś, jak po zakończeniu zmiany wsiadasz do samochodu i jedziesz do osób, których telefony odebrałeś, żeby się upewnić, czy wszystko u nich w porządku. Ponieważ nie możesz znieść pustki, jaka następuje po wezwaniu pomocy, i niepewności, jak przebiegła interwencja.

Ach, gdyby chodziło tylko o zdradę! O ile łatwiej byłoby mi znieść zazdrość niż to, co potwierdził mi Twój ojciec. Pomimo tych potworności, mimo wszystko wciąż wątpię w siebie i zadaję sobie pytanie, czy sama nie ponoszę za to częściowo winy. Przecież to moja zazdrość kazała mi Cię śledzić. W ten sposób znalazłam Twoje poplamione krwią ubranie, o którym myślałeś, że uda Ci się go potajemnie pozbyć w pralni. Odkryłam malutkie kropelki krwi na emalii, które spadły z Twoich rąk w drodze do umywalki, a których nie udało Ci się dostatecznie dobrze wyczyścić, zanim po swej „nocnej zmianie” położyłeś się koło mnie w łóżku.

A potem zobaczyłam zdjęcie w gazecie, krew na ścianach i datę śmierci, którą Kalendarzowy Morderca pozostawiał przy swoich ofiarach, i natychmiast rozpoznałam Twoje pismo. Jednak, przyznaję, prawie udało mi się dzięki terapii w Berger Hof zamknąć oczy na prawdę. Dostrzegłeś zmianę, jaka we mnie nastąpiła, ale uwierzyłeś w moje kłamstwo, że to wypalenie z powodu przeciążenia opieką nad dziećmi oraz z uwagi na stres, z którym Twój zawód wiąże się także dla mnie. Jakże łatwo udało mi się Ciebie przekonać, że muszę się poddać kuracji psychiatrycznej. Potrzebowałeś czasu na swoje potworności? Powiedziałam terapeutom w Berger Hof, że cierpię na paranoję. Ponieważ łatwiej jest uwierzyć w kłamstwo, niż żyć ze świadomością, że się kocha mordercę.

Jednakże Twój ojciec położył gwałtowny kres mojemu procesowi samooszukiwania się, gdy odwiedził mnie w klinice. Miałam nadzieję, że przywiezie ze sobą dowody Twojej niewinności, bo tak, przyznaję się do winy, że napuściłam go na Ciebie. Nie widziałam jednak, że nie będzie wcale musiał prowadzić śledztwa. Myślałam, że zdjęcia Twojego łóżka, które przywiózł ze sobą, zszokowały także jego. Jakże bardzo się pomyliłam! Czy śmialiście się

z mojej naiwności? Czy też działał bez porozumienia z Tobą, gdy opowiedział mi całą prawdę? Mam nadzieję, że to drugie, bo wciąż stoi mi przed oczami jego perfidny uśmiech, jakby wykuty na jego twarzy, gdy mi mówił, że muszę być teraz bardzo dzielna. Byliście zespołem i zabijaliście razem.

Wiem dobrze, jak go cieszyły mój ból i moja bezsilność. Do dzisiaj czuję, jak byłam wówczas oszołomiona, gdy wziął mnie za rękę i podprowadził do okna w klinice, dobrze wiedząc o tym, że nikt nie uwierzy w historię opowiedaną przez psychicznie niestabilną pacjentkę. A może naprawdę myślał, że Was zrozumie. Że mieliście wystarczający powód, kiedy karaliście kobiety za to, że dobrowolnie wracały do swych prześladowców.

Cały zadowolony z siebie Twój ojciec pokazał mi wtedy młodą kobietę, również pacjentkę, która pogrążona w myślach siedziała na ławce w parku. Nazywała się Klara Vernet...

– Kwiaty?

Klara tak się wzdrygnęła, że uderzyła kolanami o spód kawiarnianego stolika.

– Co? – warknęła do ulicznego sprzedawcy, który nie mógł sobie wybrać bardziej nieodpowiedniej chwili i akurat teraz podtykał jej pod nos bukiet róż.

– Nie! – rzuciła. Nawet nie starała się być miła. Inaczej musiałyby współczuć tym wszystkim biedakom, którzy swój głodowy zysk najwyraźniej musieli przekazywać jakiejś mafijnej głowie rodziny. Upewniła się tylko, że śmierdzący tytoniem facet w bluzie z kapturem nie zaczepia Amelie, odczekała, aż poczapie w pozbawionych sznurowadeł butach na dwór, i zaczęła po raz drugi czytać akapit zawierający koszmarnie wynurzenia, które Dajana spisała w ostatniej, przepelnionej rozpaczą godzinie swojego życia.

Cały zadowolony z siebie Twój ojciec pokazał mi wtedy młodą kobietę, również pacjentkę, która pogrążona w myślach siedziała na ławce w parku. Nazywała się Klara Vernet, a on wybrał ją sobie na następną ofiarę. Jej mąż miał ją maltretować seksualnie i psychicznie, lecz ona mimo to go nie

opuszczała. Chociaż, o ironio losu, od lat już odczuwała taki strach, że zapisała sobie w komórce numer Nocnego Powrotu. Dla niej wyznaczyliscie dzień śmierci na 30 listopada. Podobnie jak dla Waszej pierwszej wspólnej ofiary.

Odkąd wróciłam z kliniki, nie byłam sobą, a Ty mimo to niczego nie zauważyłeś. Myślam, że nie jesteś już ze mną, bo wciąż walczysz ze swoimi demonami. Dla Valentina i Fabienne nadal jesteś troskliwym ojcem, ale dla mnie została z Ciebie już tylko pusta powłoka, przy czym tak się składa, że to jest coś, co teraz znowu mamy ze sobą wspólnego.

Wybrałeś wspólnie ze swoim ojcem datę dla Klary Vernet. Ja także wyznaczyłam dla siebie dzień. Nadszedł on właśnie dzisiaj.

Wiem dobrze, że nic byś mi nigdy nie zrobił. To, a także wiedza, że mimo wszystko nadal Cię kocham, sprawia, że dalsze życie jest dla mnie nie do zniesienia. Być może nawet udałoby mi się uporać z samym Tobą. Może mogłabym poskromić Twoje mroczne demony, kto wie? Ale z Twoim ojcem jako mentorem zła u Twego boku? Nie mam szans. To przekracza moje siły, moją wyobraźnię i moją chęć życia.

Żegnaj, mój Ukochany. Za chwilę, zaraz po podpisaniu listu, podetnę sobie żyły. Być może uda mi się jeszcze zadzwonić do Ciebie ostatni raz na numer 112, zanim całkiem opuszczą mnie siły. Jeszcze raz usłyszeć Twój głos, który wcześniej dawał mi oparcie, ufność i nadzieję. Być może, mi się to uda, a Ty będziesz mi towarzyszyć w mojej ostatniej drodze.

Zapewne nikt poza Tobą nigdy nie przeczyta tego listu. Gdyby jednak tak się stało, ta osoba z pewnością pomyśli: „Jak matka może zostawiać swoje dzieci z mordercą?”.

Jestem wręcz pewna, że Ty sam byś w ten sposób argumentował, gdybym opowiedziała Ci o moich zamiarach. I być może, patrząc w Twoje oczy, poczułabym się słaba i straciła siły na wprowadzenie mojej decyzji w życie.

Wiem jednak, że muszę to zrobić. Dzieci zawsze były Ci bliższe niż ja. A one utraciły już większość mnie, odkąd stałam się emocjonalnym wrakiem. Jestem nieskończenie wyczerpana, a jednocześnie tak strasznie wściekła na Ciebie. Moja śmierć, wiem to dobrze, będzie dla Ciebie karą. Wiem,

jak bardzo mnie kochasz. I jak bardzo będziesz cierpiał po moim samobójstwie. Być może – to moja nadzieja – ten wstrząs zawróci Cię na właściwą drogę, która dla mnie samej jest w tym życiu już na zawsze zamknięta. A wtedy, wiem to dobrze, będziesz dla naszych dzieci dobrym ojcem, tak jak zawsze byłeś dla mnie dobrym mężem.

Kocham Cię mimo wszystko,

Dajana

68

*J*uż od dłuższego czasu gapiła się w pustkę ponad ostatnią kartką listu, kiedy leżąc na spodku łyżeczka zaczęła cicho brzęczeć. Klara, wciąż pozostająca duchem w odległym świecie, namalowanym przed jej oczami przez słowa Dajany, potrzebowała dłuższej chwili, by zrozumieć, że to jej komórka wprawia kawiarniany stolik w wibracje.

– Halo?

– Jak się pani czuje?

Wraz z pierwszymi słowami rozmowy temperatura w kawiarni opadła do poziomu panującego na zewnątrz. Klara sięgnęła odruchowo po szal, leżący obok niej na krześle. Jednocześnie upewniła się, czy jej córka jest bezpieczna.

– Jules? – Imię, które kiedyś tak jej się podobało, że wyobrażała sobie, iż mogłaby je nadać swojemu drugiemu dziecku, stało się tymczasem tak znieawidzone, że robiło jej się niedobrze, gdy tylko je wypowiadała.

– Nie zajmę pani dużo czasu, proszę się nie martwić. I nigdy więcej już do pani nie zadzwonię. To z pewnością będzie nasza ostatnia rozmowa.

Klara oprócz szala założyła jeszcze puchową kurtkę i wyszła przed drzwi kawiarni, skąd dzięki sięgającemu aż do ziemi oknu mogła mieć stale oko na Amelie.

– Dzwonię na policję. – Obłok kondensacyjny spowił jej słowa jak para z elektronicznego papierosa. Było nieco poniżej zera, ale chłód, który w głębi duszy odczuwała, był o wiele silniejszy.

– Nie zawsze przyjeżdża tak szybko, jak się jej potrzebuje.

– No tak, zapomniałam. Jest pan przecież mordercą z telefonu alarmowego.

Po tym, jak media się dowiedziały, kto stoi za tymi morderstwami, tak ochrzciły Julesa.

– Mówię z własnego doświadczenia, ponieważ tamtej nocy sam próbowałem wezwać pomoc. Wydawało mi się, że ktoś zagraża pani córce. Wolałem sam się zdemaskować, niż narazić dziecko na niebezpieczeństwo.

Klara pomachała przez świeżo wypucowaną, przypominającą witrynę sklepową szybę do Amelie, która przez moment szukała jej wzrokiem, ale teraz już się uspokoiła, że jej mama rozmawia przed kawiarnią.

– Och, jakże to honorowo. Ale to pan był jedynym zagrożeniem dla Amelie. Walczył pan z jej opiekunem.

– Czytam gazety, Klaro. Zdążyłem się już zorientować. I bardzo mi przykro z powodu Vigo. Klucze wzięłem ze skrytki w samochodzie pani męża, który, jak wiedziałem, w ostatnie soboty miesiąca zawsze bardzo późno wraca do domu.

Po swoich imprezach w hotelu Le Zen. Albo w „stajni”, pomyślała Klara i zadała sobie pytanie, ile sesji terapeutycznych będzie musiała odbyć, zanim po raz pierwszy będzie umiała o tym porozmawiać z kimś obcym.

– Nic nie wiedziałem o opiece do dziecka. Kiedy przyszedłem, musiał już spać w pokoju gościnnym.

Klara prychnęła z pogardą.

– Pomyślał pan, że zostawiłam własne dziecko bez opieki?

– Już pani zapomniała? Chciała ją pani zostawić na zawsze – odbił piłeczkę Jules. Przypomnienie o nieudanej próbie samobójczej zawsze działało na Klarę otrzeźwiająco.

Przy czym mówiąc przez telefon tamtej nocy o swoim przypuszczeniu, Jules miał całkowitą rację. W gruncie rzeczy wszystkie jej próby samobójcze były wyrażanymi bez pełnego przekonania wołaniami o pomoc. Od przerwanej skoku ze ścianki wspinaczkowej aż po niezdarną próbę zatrucia się spalinami.

Jakaś ciężarna kobieta przeszła z wózkiem dziecięcym na drugą stronę ulicy i zatrzymała się przed sklepem z odzieżą ciążową.

Statystycznie rzecz biorąc, co czwarta kobieta doświadcza przemocy domowej. Zwykle sytuacja pogarsza się w okresie ciąży, bo wówczas mężczyzna czuje się jeszcze bardziej niepotrzebny, przeleciało Klarze przez głowę.

Czy ta kobieta także boi się wrócić do domu?

Spojrzała znów na Amelie, która siedziała na podwiniętej nodze i teraz jedynym jej problemem było to, jakim kolorem pomalować pień palmy na wyspie.

– Czego pan chce? – spytała Julesa.

– Sprostować coś.

– Nie musi już pan tego robić. Czytałam list pożegnalny Dajany.

– A więc Cezar dał pani kopię. Tego się obawiałem.

Klara pokręciła głową i ściszyła głos, choć akurat z dworca kolejki podmiejskiej wytoczyła się grupka młodych ludzi, wrzeszcząc na całe gardło.

– Jest pan jeszcze bardziej chory, niż myślałam. – Następne słowa wyduziła z siebie zniesmaczona: – Morderstwo zespołowe? Wspólnie ze swoim rodzonym ojcem?

– Właśnie że nie. Nie mam ze swoim biologicznym rodzicem prawie nic wspólnego. On uwielbiał maltretować ludzi, ja nie. On lubił zastraszać kobiety, jak chciałem im pomagać.

– Zabijając je?

Grupka młodych ludzi odkryła, że świetnym miejscem do ćwiczenia piłkarskich przyśpiewek będzie plac zabaw naprzeciwko kawiarni. W zasadzie był przeznaczony dla dzieci do lat dziesięciu, ale co było słychać, tym chuliganom najwyraźniej nie robiło to różnicy.

– Pokazując im, że muszą działać. Wskazywałem ofiarom, że istnieje droga wyjścia z pułapki. Tak, musiałem w tym celu wywierać na nie nacisk. Dlatego stawiałem ultimatum. I cieszę się, że teraz moje motywy są publicznie znane. Bo inaczej Wy, kobiety, byście tego nie zrozumiały.

– Co takiego trudnego jest do zrozumienia w tym, że nie wolno zabijać drugiego człowieka?

– Ależ to właśnie robią kobiety takie jak pani. Jak pani sobie myśli, co by wyrosło z pani córki, gdyby się pani nie wyzwoliła? Przyswoiłaby sobie znany wzorzec. To coś całkowicie normalnego, że tata bije, maltretuje, upokarza mamę. Że jedynym wyjściem jest samobójstwo. W ten sposób uczyniłaby pani z Amelie następną ofiarę.

Klara zamarła, wściekła na to, że Jules, przedstawiając swój wypaczony obraz świata, zwrócił jej uwagę na tę smutną prawdę. Także ona sama nauczyła się roli ofiary od swoich rodziców. Jaką byłaby osobą, gdyby jej matka miała dość siły, żeby przeciwstawić się swojemu mężowi?

– Słyszała pani z pewnością o mojej siostrze Rebecce?

– Nie udziela wywiadów – odpowiedziała Klara.

– Gdyby jakiegoś udzieliła, musiałaby powiedzieć reporterom, jak bardzo cierpiała w wyniku słabości naszej matki. Moja mama nigdy nie zrobiła niczego wbrew ojcu. Pozwalała mu robić ze sobą wszystko. Becci w ten sposób nauczyła się, świadomie czy nie, że taka właśnie jest wyznaczona przez naturę rola kobiety: cicho i z pokorą znosić dominację mężczyzn. Gdyby matka wówczas nie odeszła, moja siostra byłaby dziś taką samą ofiarą jak pani. – Natychmiast się poprawił: – Jak pani była. Sama nie zdaje sobie pani sprawy, jak wielkiej rzeczy pani dokonała, usuwając ze swojej drogi Yannicka.

– Pańskiego ojca! – syknęła Klara. Skinęła czule głową do Amelie, uspokojona, że dziewczynka znów się zajęła swoim obrazkiem. – Pańskiego współnika w morderstwach!

– Nieprawda, mój ojciec tylko się pode mnie podszywał.

Klara zająknęła się.

– Chwileczkę. On nigdy nie zabijał?

Usłyszała, jak Jules z niesmakiem mlasnął językiem.

– Był na to zbyt tchórzliwy.

– Nie rozumiem. Jak zatem odkrył, że to pan jest Kalendarzowym Mordercą, skoro pan mu tego nigdy nie powiedział?

Usłyszała, jak Jules wziął głęboki wdech, zanim się odezwał:

– Pewnego dnia doszło do zalania w mieszkaniu pode mną. Siedziałem w pracy i dlatego byłem nieosiągalny. Sąsiad pomyślał, że to przez moje wodne łóżko, i w panice zadzwonił do administratora. Ten wiedział, że mój ojciec tam kiedyś mieszkał i wciąż występował w księgach hipotecznych jako współwłaściciel. Zadzwonił więc do niego i mój ciekawski stary zorganizował ślusarza do otwarcia drzwi oraz wykorzystał całą tę sytuację, żeby się rozejrzeć po mieszkaniu.

– I wtedy właśnie odkrył łóżko wodne?

I jego przerażającą zawartość?

– Nie pisał na ten temat ani słowa. Zachowywał się tak, jakby wszystko było normalne, ale byłem pewien, że przy tej okazji przeszukał całe moje mieszkanie i nawet znalazł segregator z dokumentacją pod łóżkiem.

– Fotografował pan swoje ofiary? – Klara miała ochotę zwymiotować.

– Tylko datę na ścianie.

– Tylko! – jęknęła.

– W zasadzie powinna mnie pani zrozumieć. Spotkałem setki takich przypadków jak pani. Bezustannie dzwoniły do mnie kobiety, które prosiły o pomoc, a gdy wysyłałem ją do nich, pozostawały ze swoimi mężami. Pozwalały się bić, maltretować, gwałcić, zabijać. Chciałem zostawić jakiś znak, oświecić te osoby, wyciągnąć je z roli ofiary. W pani przypadku to mi się chyba nawet udało.

– Pan jest naprawdę umysłowo chory.

– Taaa, prawdopodobnie ma pani rację. Mimo to mam pewność, że jestem o wiele zdrowszy, niż kiedykolwiek był mój ojciec. Przez całe życie znajdował przyjemność w maltretowaniu kobiet. Uwielbiał psychicznie i fizycznie niszczyć moją matkę. Jej strach był dla niego jak narkotyk, a wtedy pożył wręcz jej śmierci. Spuszczał się, gdy widział, jak umiera szczęście w jej oczach. Gdy patrzył, jak jego słowa i czyny zabijają w niej wszelką chęć życia.

Tak jak w moim przypadku, pomyślała Klara. Gdy najpierw się ze mną przespał, by mi potem pokazać, że poszłam do łóżka z potworem.

– Okłamał panią, żeby zatruć pani duszę. Tak jak okłamał Dajanę i w ten sposób wpędził ją do grobu.

Klara zaśmiała się szyderczo.

– A więc myśli pan, że pańska partnerka lepiej by sobie z tym wszystkim poradziła, gdyby знаła prawdę: że to pan sam jest odpowiedzialny za wszystkie te morderstwa?

– Tak. Dajana przecież wyraźnie to napisała w swoim liście pożegnalnym. Gdyby go pani dokładnie przeczytała, rzuciłoby się pani w oczy, że w głębi swej istoty Dajana nigdy tak naprawdę nie miała zamiaru odebrać sobie życia. Podobnie jak pani.

– Skąd pan to wie?

– Chciała przedtem do mnie zadzwonić. Ponieważ wiedziała, że mój głos by ją przed tym powstrzymał.

Klara skinęła odruchowo głową. Jak Jules już to kiedyś sformułował: „Była zrozpaczona, ale jej pragnienie śmierci na koniec okazało się słabsze niż matczyzna miłość”.

Wtedy nie była tego jeszcze świadoma, ale te słowa tamtej nocy dotyczyły także jej.

– Ale zostawmy na boku kwestię, czy było to wołanie o pomoc czy nie. Nawet jeśli mylę się w tym punkcie, Dajana wciąż by żyła – ciągnął Jules. – To na moim ojcu spoczywa cała odpowiedzialność. Gdyby nie wcisnęła Dajanie tych kłamstw, sprawy nigdy by tak daleko nie zaszły. Moja żona nigdy by sobie nie podcięła żył, a moje dzieci wciąż by żyły.

– Ale pan wciąż byłby mordercą.

Jules ciężko westchnął, ale się z nią zgodził:

– To prawda. Jestem mordercą. Jednak tamtej nocy uratowałem panią.

– Przez to, że pokierował pan mną tak, żebym trafiła na pańskiego ojca?

– Jules sprawił wtedy, że zatańczyła jak marionetka na niewidocznych nitkach. Myślała, że jedzie do Cezara, a Jules tymczasem zwabił ją do swojego własnego mieszkania.

Cholera, nawet drzwi zostawił otwarte.

– Powstrzymałem panią przed odebraniem sobie życia.

– Pozwalając, żeby zamiast tego mógł to zrobić pański chory umysłowo ojciec? – Zaciśnęła zęby i syknęła: – Skurwiel chciał mnie zarżnąć.

– Nie jestem wcale pewien, czy on naprawdę byłby do tego zdolny. Mój ojciec nie zabił żadnej z tych kobiet. Chociaż muszę przyznać, że tej nocy doprowadziłem go do ostateczności. Udawałem, że nie jestem niczego świadomy. Zachowywałem się tak, jakbym nie wiedział, że się pode mnie podszywa, i to on podał się pani za Yannicka. Gdy wysłałem go do hotelu Le Zen, zmusiłem go niemal do prowadzenia śledztwa w jego własnej sprawie.

– Żeby go tym dręczyć?

Zgodził się z nią i dodał:

– Oraz żeby go zmusić do popełnienia błędu.

– Napuścił go pan na mnie.

– Tak, ale nie pozostawiłem pani całkowicie bez środków obrony.

Klara skinęła głową.

– Miał pan nadzieję, że użyję sztyletu ze ściany.

– I raz w życiu przerośnie pani samą siebie.

Łóżko wodne. Japoński sztylet. Płaszcz Tannberga podziurawiony przez kule. Jego ciało, które najpierw osunęło się na kolana, a potem zapadło się w siebie jak wysadzony w powietrze komin.

Wspomnienia z ostatnich minut spędzonych w mieszkaniu Julesa mignęły przed oczami jej duszy jak zdjęcia rzucone projektorem na ścianę. Tak samo jak wówczas, tak i teraz przyspieszył jej puls, a strach położył się kamiennym ciężarem na jej piersi.

– A gdybym go nie zabiła? Gdybym po prostu wróciła do domu, żeby raz jeszcze pożegnać się z Amelie...? – wyszeptała Klara, a Jules dokończył jej myśl:

– Wówczas to ja bym zabił panią.

Westchnęła głęboko. W ten sposób Jules potwierdził jej koszmarne przypuszczenia, które dręczyły ją każdej nocy przed zaśnięciem. Zaczaił się na nią w jej własnym mieszkaniu!

– Nie zrobiłbym tego bynajmniej z ochotą. Ale tylko w ten sposób można by było przerwać ten ciąg. Nie mogłem dopuścić, żeby także Amelie stała się kiedyś ofiarą.

Klara ponownie spojrzała do wnętrza kawiarni i w tej samej sekundzie dziewczynka do niej pomachała, że ma wrócić i ocenić jej dzieło. Weszła więc znów do środka.

– Kiedyś pani córka będzie na tyle dorosła, żeby się dowiedzieć, że jej matka jest bohaterką, która nie pozwoliła, by mężczyźni nią pomiatali, lecz sama wzięła sprawy w swoje ręce. Choć oczywiście bardzo bym sobie życzył, żeby załatwiła pani wtedy także swojego męża, to jednak wziąłem w końcu na siebie.

Klara zdjęła z siebie szal i kurtkę. Od nagłej zmiany temperatury twarz paliła ją żywym ogniem. Kelnerka spojrzała na nią pytająco, ale Klara dała jej z uśmiechem znać, że w tej chwili niczego więcej nie potrzebuje. Poza być może możliwością zlokalizowania mężczyzny znanego jako Kalendarzowy Morderca.

– Proszę potraktować to jako prezent – oświadczył Jules. – Dobrze pani wie, że Martin zasłużył sobie na śmierć.

– Nikt na nią nie zasługuje – zaprzeczyła bez przekonania Klara. – Zostanie pan za to pociągnięty do odpowiedzialności.

– Już zostałem. Wraz ze śmiercią Dajany straciłem sens życia.

– Jest pan psychicznie chory – wydusiła z siebie przez zaciśnięte zęby Klara. – I wie pan co? Chce mi pan teraz sprzedać swoje zboczone czyny jako wsparcie, ale tak naprawdę tylko mnie pan wykorzystał.

– Nieprawda. Towarzyszyłem tylko pani w drodze do drzwi. Przejście przez nie to była pani własna decyzja.

– Jest pan potworem.

– Ależ, proszę. – Jules się zaśmiał. – Ze wszystkich mężczyzn w pani życiu byłem ostatnio raczej tym najmniej groźnym.

Klara roześmiała się histerycznie, czym ściągnęła na siebie nerwowe spojrzenia dwóch kobiet z sąsiedniego stolika, którym przeszkodziła w rozmowie.

– Najmniej groźnym? – powtórzyła i najchętniej w tym momencie wybiegłaby zaraz z kawiarni, żeby móc krzyczeć bez przeszkód. – W pańskim łóżku pływają kawałki zwłok, które pan tam umieścił.

– Ale nie jako trofea, lecz jako przestrozę. Moja matka miała mi zawsze przypominać o moim postanowieniu.

– Pańska matka? – Klara zamknęła oczy i kolejny raz kamera jej wspomnień pokazała kończyny unoszące się w krwawej wodzie. Znowu leżała na łóżku wodnym, znowu zrobiło jej się niedobrze na myśl o tym, co przed chwilą robiła na nim z Yannickiem, jednak dopiero w tym momencie pojęła, czyje szczątki się pod nią znajdowały. – Myślałam, że pańska matka...

Nie, poprawiła się sama w myślach. Oczywiście, że wówczas jego matka tak po prostu nie uciekła. Była pierwszą ofiarą Julesa. Ponieważ jego matka nie broniła się przed jego ojcem.

– Przez całe lata jej szczątki spoczywały zakopane u nas w ogrodzie. Dopiero później znalazłem dla nich bardziej stosowne miejsce – stwierdził Jules. – Rozumie teraz pani, jaką świnią był mój ojciec.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Nieprawda – zaprotestował Jules. – Nie jestem kłamcą tak jak on. Przez całe swoje życie przechodził od kłamstwa do kłamstwa. Aż do swojej śmierci. Bał się, że mogła mi pani coś opowiedzieć przez telefon, co by mnie naprowadziło na jego trop. To było wręcz komiczne, jak często próbował mnie skłonić do tego, żebym przerwał rozmowę z panią. Nieustannie powtarzał mi, żebym się rozłączył. Przedstawiał panią jako kłamczuchę, jako wariatkę, której nie można ufać.

Klara skinęła w milczeniu głową. To nie mogło być dla Hansa-Christiana Tannberga zbyt trudne. Przecież była przedtem w klinice psychiatrycznej.

– Na koniec nie przyszło mu do głowy nic innego, niż podsunąć mi Cezara jako podejrzanego.

– Żeby odwrócić uwagę od siebie – stwierdziła.

– Tak, to wprost śmieszne. Nie mam zielonego pojęcia, jak chciał w ten sposób uciec spod stryczka. Być może sam tego nawet nie wiedział. Impro-

wizował, ale w pewnym momencie skończyły mu się pomysły i pozostała tylko jedna możliwość.

– Musiał mnie przechwycić – wykombinowała Klara.

– No właśnie – potwierdził Jules. – Dlatego pojechał natychmiast do mnie, gdy mu powiedziałem, że pojawi się pani u mnie w domu.

Klara pokręciła głową. Jedno musiała przyznać Julesowi. Zręcznie poprowadził tę zabawę w kotka i myszkę, w dodatku z dwoma uczestnikami, z których żaden ani przez chwilę nie wiedział, czy jest kotkiem, czy myszką. Wbrew sobie musiała uznać perwersyjną genialność tego planu. Jules postawił ich oboje w takiej sytuacji, w której mógł być tylko jeden zwycięzca: mianowicie on, Jules. Jeśli ona nie obroniłaby się przed Hansem-Christianem Tannbergiem, lecz została przez niego zamordowana, Jules już by się o to postarał, żeby jego ojciec także za pozostałe morderstwa trafił za kratki. Klara miała pewność, że Jules tej nocy wezwał policję na Pestalozzistrasse nie po to, żeby ją uratowała, ale by Hans-Christian został przyłapany na gorącym uczynku jako Kalendarzowy Morderca.

– Teraz zna pani całą prawdę.

Jakby to było jakieś hasło, Klara ponownie otworzyła oczy. Nic w jej otoczeniu się nie zmieniło. Kelnerka wciąż stała za ladą, kobiety rozmawiały, jej córka malowała.

– Cóż, pozwolę sobie już panią pożegnać – użył na koniec staromodnego zwrotu.

Coś w jej wnętrzu krzyczało, żeby natychmiast się rozłączyła a zbrukany przez tę rozmowę telefon wyrzuciła do śmieci. Inny wewnętrzny głos zmusił ją, żeby otwarcie zagroziła Julesowi:

– Wie pan, że zrobię wszystko, żeby został pan schwytyany i ukarany?

– Oczywiście, że o tym wiem. Jeśli się czegoś pani nauczyła tej nocy, to tego, że trzeba się bronić przed mężczyznami. – Zaśmiał się. Zabrzmiało to tak, jakby był z siebie dumny.

– Nadal będzie pan mordować? – spytała Klara.

– Wciąż pani smakuje chai latte czy też tymczasem zrobiło się już zbyt zimne?

Klara zbladła. Spojrzała na szklankę, w której piana już opadła i z której od dawna już nie upiła ani odrobiny.

– Gdzie pan jest? – spytała i rozejrzała się wokoło.

Poza Amelie i dwiema kobietami w kawiarni było jeszcze dwoje gości, siedzących nieco dalej, w pobliżu toalet. Drobnym mężczyzną o bardzo wysokim głosie rozmawiał właśnie ze swoją towarzyszką, gdy Jules zaproponował Klarze:

– Proszę spojrzeć na wolne krzesło obok siebie.

Spojrzała na prawo i serce jej zamarło na moment, kiedy zobaczyła tam różę.

– To mój prezent pożegnalny. Od tej pory będę pani niewidzialnym towarzyszem.

W tej chwili zadźwięczał dzwonek przy drzwiach do kawiarni i do środka wszedł rosły, barczysty mężczyzna.

– Cóż, na dziś to już koniec – pożegnał się Jules i zanim się rozłączył, dodał: – Pani przyjaciel już tu jest.

69

Wyglądasz jak śmierć na hulajnodze – zaśmiał się mężczyzna i cmoknął Klarę w czoło. Starał się w miarę możliwości nie mówić po berlińsku, ale nie zawsze mu się to udawało.

– Hendrik! – zawołała z radością Amelie i wyskoczyła ze swojego kąci-ka malarskiego, żeby rzucić się na mężczyznę, jakby był dmuchanym zam-kiem.

W ramionach Hendrika, na jego potężnej piersi, siedmiolatka wyglądała jak krucha, porcelanowa lalka.

Którą w gruncie rzeczy jest, pomyślała Klara, zmuszając się do uśmie-chu i upuszczając pod stół różę.

Upomniała swoją chichoczącą córkę, żeby nie była taka gwałtowna, ale Hendrik zachowywał się tak, jakby został postrzelony całe lata temu, a nie zaledwie przed kilkoma tygodniami temu i jakby nigdy nie wymagał opera-cji ratującej życie. Proces powrotu do zdrowia przebiegał w jego przypadku zadziwiająco szybko, ale Klara wiedziała, że jednak codziennie musi zaży-wać proszki przeciwbólowe.

– Przyniosłeś coś dla mnie? – dopytywała się Amelie i, jak zawsze gdy je odwiedzał, wyciągnęła prezent z jego kieszeni. Dziś była to torebka oran-żady w proszku, która już po chwili znalazła się częściowo na sukience Amelie i podłodze kawiarni. Z uśmiechem na ustach dziewczynka pobiegła do lady, żeby potem usiąść ponownie ze szklanką wody przy swoim stoliku do malowania.

– Jest tak do Ciebie podobna, Klaro. – Hendrik aż się uśmiechnął, spoglądając z góry na Amelie.

Klara czuła za każdym razem lekkie ukłucie, gdy zwracał się do niej po imieniu. Tej nocy, która przesądziła o jej losie i której się po raz pierwszy spotkali na piętrowym parkingu, zdziwiła się, skąd zna jej imię. Usłyszał je oczywiście od Martina. Ten bydlak wystawił ją na licytację pod jej prawdziwym imieniem!

– Z kim tam rozmawiałaś? – chciał wiedzieć Hendrik, siadając ciężko na krześle.

– Nie bądź taki ciekawski.

Klara czuła się dobrze w obecności tego niezwykłego mężczyzny, który faktycznie zarabiał na życie, rozbierając się przed innymi kobietami.

„*Ale tylko do slipek*”, jak sam podkreślał.

– To był mój adwokat – skłamała Klara. Później opowie Hendrikowi o rozmowie z Julesem, gdy dziecko już zaśnie, a ona znów nie będzie mogła zmrużyć oka. Nie było lepszego środka pobudzającego niż koszmarna przeszłość.

– To co zrobimy we troje z tak pięknie rozpoczętym dniem? – spytał Hendrik, który przerwy w rozmowie i chwile milczenia uważał za coś całkowicie zbędnego, o czym Klara zdążyła się już przekonać w ciągu ostatnich tygodni. Ale sama musiała przyznać, że nigdy by się z nim nie umówiła na randkę, gdyby jej do tego nie nakłonił tym swoim gadulstwem.

Zaczął się to już podczas pierwszych jej odwiedzin przy jego szpitalnym łóżku. Klara chciała przeprosić za swój czyn, a on był cały w skowronkach i gadał jak nakręcony. Wciąż wydawało jej się to jakimś upiornym koszmarem, że pistolet w jej rękach wystrzelił i że trafił akurat w niego.

„Dlaczego broń była naładowana?”, spytała go podczas kolejnej wizyty, a on jej odpowiedział z niemal figlarną miną zawiadyki: „*Zazdrośni mężowie. No, wiesz, jestem striptizerem. Dość często jestem napadany przez facetów, którzy chcą się dowiedzieć, czy ich żony podczas wieczorów panieńskich nie posunęły się za daleko. Dlatego noszę ze sobą na wszelki wypadek splotkę*”.

Dla własnego „bezpieczeństwa” nie zdejmował też nigdy po występie przebrania, *„dopiero aż wrócę do domu. Żeby nikt nie widział mojej twarzy i potem nie zaczął się na mnie na parkingu”*.

Zdawał sobie oczywiście sprawę, że to coś więcej niż tylko lekka paranoja i że grubo przesadza. W gruncie rzeczy był nieśmiałym facetem, który maskował swoją niepewność treningiem siłowym, erotycznymi pozami oraz noszeniem ostrej broni, z której nigdy nie miał zamiaru skorzystać. Ponieważ ciążył na nim wyrok (przez trzy lata „zapominał” o odprowadzaniu podatku), stracił pozwolenie na posiadanie broni. Za to i za niewłaściwe przechowywanie broni palnej miał teraz znowu odpowiedzieć przed sądem. Do tego wszystkiego przyznał się Klarze podczas „pojednawczej kawki” w szpitalnej kawiarni.

„Zgadza się, skłamałem. Spluwa była prawdziwa. Ale wtedy uważałem Cię za wariatkę, co to się włóczy nocą po lesie i w dodatku chce gwizdnąć mi samochód. Zależało mi na tym, żebyś nie zaczęła wymachiwać bronią, dlatego Ci powiedziałem, że ten pistolet do niczego się nie nadaje”.

Klara pochyliła się do przodu, pogłaskała wielką dłoń, która jej jeszcze nigdy intymnie nie dotykała, bo było na to jeszcze o wiele za wcześnie, o ile w ogóle kiedyś do tego dojdzie i zapytała:

– Znalazłeś?

Hendrik skinął głową i wyciągnął kopertę. To był już dzisiaj drugi mężczyzna, który kładł przed nią na stoliku kopertę, tylko że ta od Hendrika była o wiele grubsza.

– Ile tam jest? – zapytał.

– Dużo. – Poprosiła go, żeby przyniósł pieniądze z sejfów domu przy Lietzensee. Z mieszkania, którego progu nigdy w życiu już nie przekroczy. – Myślę, że jakieś dziesięć tysięcy euro.

Były to pieniądze „na rozrywki”, które Martin przechowywał w domu.

Hendrik gwizdnął z uznaniem przez zęby.

– Wow! Po co tak pilnie potrzebowałaś tej forsy?

Klara spojrzała przez okno na wiadukt kolejki podmiejskiej na Savignyplatz, który widać było w pewnym oddaleniu.

– Zaraz wracam – mruknęła i wstała.

Poprosiła osłupiałego Hendrika, żeby przez chwilę popilnował Amelie, i ruszyła do wyjścia.

– Dokąd idziesz?! – zawołał za nią, a ona odwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła.

– Chcę spróbować niemożliwego.

Naprawić coś.

– Może mi się uda.

Wyszła na zewnątrz, na zimne grudniowe powietrze, zastanawiając się, czy słowo „może” nie jest najstraszniejszym a jednocześnie dającym największą nadzieję słowem na ziemi.

Ostrożnie zbliżyła się do legowiska bezdomnego, który spoglądał teraz na nią ze swojego przemoczonego materaca i spod plastikowej plandeki lękliwym wzrokiem. Wzrokiem, który uświadomił jej, że strachu i bólu, których ktoś raz doświadczył, nigdy nie da się całkowicie wymazać.

Ale czasem może się udać chociaż tyle, że wspomnienie o nich stanie się nieco bardziej znośne.

Może, pomyślała Klara sięgając po kopertę, żeby przekazać ją Profesorowi, w którego smutnych oczach zobaczyła coś na kształt nadziei.

I pomyślała, że to się uda.

Może.

Postowie

Berlin, 1 kwietnia 2020

Niestety nie jest to żart primaaprilisowy: piszę te słowa w czasie, kiedy razem z milionami innych ludzi utknąłem w realnym thrillerze, któremu na imię koronawirus.

Głowa pęka mi już od zalewu informacji, które wtłaczam do niej od wielu tygodni. Przedwczoraj moja komórka zameldowała, że przeciętny czas spędzany przeze mnie przed ekranem w zeszłym tygodniu wynosił osiem godzin i dwadzieścia minut dziennie (a więc całe trzy minuty dłużej niż zwykle).

W tej sekundzie na pasku informacyjnym przewijają się informacje, że we Włoszech przedłużono zakaz podróży zagranicznych do 13 kwietnia, w Lufthansie 87 000 ludzi ma pracować tylko na pół etatu, w Panamie mężczyźni i kobiety muszą chodzić oddzielnie po ulicach, liczba osób zmarłych na COVID-19 w Stanach Zjednoczonych wzrosła do 4000, a w Niemczech liczba zakażonych wynosi 69 346 osób, z czego 774 zmarły. Jest 1 kwietnia i nikt obecnie nie wie, czym to się skończy.

Istnieje jednak nadzieja. A jeśli czytacie te słowa, to znaczy, że moja nadzieja się ziściła. Bo w tym momencie, o godzinie 10.37 czasu berlińskiego, nie mam bladego pojęcia, czy ta książka się ukáže punktualnie jesienią. Oczywiście obecnie istnieją o wiele bardziej palące problemy niż termin premiery jakiegoś thrillera psychologicznego. Jeżeli jednak trzymacie teraz w rękach wydrukowany i oprawiony tom, znaczy to, że drukarnie wciąż pra-

cują. Że łańcuchy dostaw nie uległy całkowitemu zerwaniu. Że rynek książki wciąż w jakiejś tam formie funkcjonuje. (A jeśli czytacie tę książkę jako e-book, działa przynajmniej internet – też wcale nie najgorzej).

Dopiero co udzieliłem wywiadu przez Niemiecką Agencję Prasową DPA, gdzie byłem pytany, czy scenariusz, w którym wszyscy teraz tkwimy, nie jest idealną inspiracją dla jakiegoś thrillera. Opowiedziałem jednoznacznie: „Nie!”.

Często w przeszłości byłem krytykowany, że wydarzenia przedstawione w moich książkach nigdy nie mogłyby zaistnieć w rzeczywistości. Że określone przestępstwa są nierealistyczne i są dziełem tylko mojej fantazji. Dziś odpowiadam: „Na szczęście!”.

Piszę dla rozrywki. Nie chcę w tym celu wykorzystywać wszystkich szczegółów rzeczywiście występującego na świecie cierpienia. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego w oczach tak zwanych krytyków warta wysiłków byłaby sytuacja, w której pozostały przy życiu małżonek mógłby powiedzieć: „Dobra robota, panie Fitzek! Dokładnie w ten właśnie, okrutny sposób seryjny morderca zaszlachtował moją żonę”.

Następnie zostałem zapytany o to, dlaczego w ogóle czytamy takie straszne historie. Czy w obliczu obecnej katastrofy nie byłoby lepiej zająć się czymś „łżejszym”? (Cokolwiek ktoś przez to rozumie).

Także na to pytanie odpowiedziałem przecząco i skorzystałem z okazji, aby rozprawić się z pewnym nagminnym błędem. Ludzie, którzy nie lubią literatury sensacyjnej, wyrażają często całkowite niezrozumienie dla kwestii, jak można czerpać przyjemność z zajmowania się śmiercią. Błąd tkwi tymczasem w samym podejściu: dobra literatura sensacyjna jest zawsze w głównej mierze sporem z życiem!

Także przed czasami koronawirusa wiele osób czytających moje książki doświadczyło w swoim życiu nieszczęśliwych zrzędzeń losu. Wiem o tym z licznych listów, które przychodzą do mnie na adres fitzek@sebastianfitzek.de. (Przepraszam, że nie mogę na nie wszystkie odpowiedzieć).

Jeśli wypadek samochodowy, który z trudem udało się przeżyć, ciężka choroba, która na szczęście została pokonana, lub o wiele za wczesna

śmierć kogoś nam bliskiego pozostawiają po sobie jakiś promyk nadziei, to tylko w postaci wiedzy, że każde zrzęczenie losu skłania nas do myślenia o drogocennej wartości życia.

Jakże przed czasem koronawirusa wszystko wydawało mi się oczywiste: chodzenie do kina, wspólne zakupy z przyjaciółmi, obiad we włoskiej restauracji, wakacje w Grecji, wyjście na kort tenisowy...

Katastrofa – i to jest jedyna dobra wiadomość – na nowo ustawiła moje priorytety. Pokazała mi na przykład, że choćby sieciowe znajomości były nie wiem jak wspaniałe, o wiele ważniejszy jest rzeczywisty kontakt z moimi bliźnimi.

Dobry thriller konfrontuje nas z wymyślonym niebezpieczeństwem i szkoli w ten sposób naszą empatię. Na koniec każe nam pomyśleć także o nas samych. Jak my byśmy się zachowali w ekstremalnej sytuacji?

Przemoc – brzmi moja teza, która w tym thrillerze odgrywa ważną rolę – zdziera z naszych twarzy maski. Bo, wierzcie mi, każdy z nas jakąś nosi. Także nasze ubranie i fryzura nas maskują. (Ja na przykład ukrywam moje boczki pod szerokimi koszulami, a moje uczesanie sprawia, że zakola na mojej głowie nie wyglądają jak pasy do lądowania na lotnisku. Przynajmniej mam taką nadzieję. Nie pozbawiajcie mnie złudzeń). W obliczu katastrofy stajemy się „nadzy”. Nie mamy czasu na przemówienia czy snucie dalekosiężnych planów. Musimy działać – i to natychmiast. Dlatego mówi się, że kryzys zawsze wyciąga z ludzi to, co najlepsze i co najgorsze. Wolalbym skonkretyzować: kryzys demaskuje ludzi, pokazuje nam nasze prawdziwe ja. Z tego właśnie powodu tak chętnie wrzucam moje postaci do lodowatej wody i czerpię diaboliczną przyjemność z przyglądania się, jak sobie radzą. Ta przyjemność jednak przemija, gdy zimna woda z fikcji przecieka do rzeczywistości. Bo wtedy moim zdaniem nie nadaje się już na pożywkę dla rozrywki.

Jak zwykle, także w czasach koronawirusa sprawdza się niestety stara prawda pisarzy: Rzeczywistość bywa dziwniejsza, straszniejsza i trudniejsza do wyobrażenia niż fikcja. Często my, autorzy, musimy zmodyfikować prawdę tak, aby inni mogli uwierzyć w nasze fikcyjne kłamstwo.

À propos prawdy:

Telefon towarzyszący w powrotach do domu naprawdę istnieje! Wejdźcie przy okazji wizyty w sieci na stronę www.heimwegtelefon.net. Wydarzenia i opisy związane z Nocnym Powrotem w książce są jednak (jak już wcześniej wspominałem) wytworem mojej własnej fantazji. Skorzystałem także ze swobody twórczej, aby przedstawić przebieg pracy i technikę wykorzystywaną w tym serwisie. Telefon towarzyszący w powrotach do domu jest tak naprawdę usługą skierowaną do wszystkich ludzi, podczas gdy „mój” Nocny Powrót specjalizuje się w rozmowach z kobietami.

Podziękowania

Aby moja fantazja nie utknęła gdzieś pomiędzy laptopem a nirwaną, także przy tworzeniu tej książki musiało mnie wesprzeć bardzo wielu pomocników, którym wszystkim chciałbym teraz bardzo serdecznie podziękować. (Chciałbym i muszę – nie zdajecie sobie sprawy, jak niektórzy z nich potrafią być urażeni tylko dlatego, że nie wymieniłem ich po imieniu; w 2007 roku stało się tak z moim bardzo dobrym przyjacielem, który do dzisiaj odczuwa wielkie opory, aby na powitanie upaść przede mną na kolana).

Jestem świadomy, że ponieważ nie znoszę podziękowań w cudzych książkach, w moich stają się one nieznośnie długie. Wynika to z tego prostego faktu, że uważam po prostu za głupie, gdy na końcu o uszy czytelnika obijają się same nazwiska, które nic mu nie mówią. Żeby więc Wam unaocznić, jak wiele osób ma udział w powstawaniu książki, a mimo to nie ostrzeliwać Was całkowicie obcymi nazwiskami, ponownie wybrałem (nieco dłuższy) złoty środek. Tym razem krótko przedstawię zaangażowane osoby, abyście wiedzieli, kto się kryje za danym nazwiskiem.

A zatem moje serdeczne podziękowania kieruję do następujących osób:

Carolin Graehl oraz Regine Weisbrod

Fotografowie podczas sesji zdjęciowych posługują się jednym standardowym zdaniem: „Super, wspaniale, właśnie tak... Zróbmy jeszcze raz to ujęcie”. Podobnie brzmią komentarze moich obu superredaktorek Carolin i Regine, gdy piszą do mnie: „Cudowna, pełna napięcia pierwsza wersja.

Mamy tylko dwieście pięćdziesiąt pytań”. A każde z nich sprawia, że książka staje się potem o wiele lepszym dziełem.

Doris Janhsen

Moja wydawczyni zawsze po cichu i w skrytości złości się, że musi czekać całymi miesiącami, nim dostanie coś do czytania, ponieważ najpierw muszę przepracować dwieście pięćdziesiąt pytań. Przynajmniej Doris tak twierdzi. Być może też cieszy się z okresu ochronnego, który jej umożliwia prowadzenie firmy Droemer Knaur w taki sposób, że jako autor nie potrafię sobie wymarzyć dla siebie lepszego wydawnictwa.

Josef Röckl

Jeśli ktoś sądzi, że ludzie od finansów muszą być zawsze sztywni i rozsądni, ten myli się w przypadku Josefa. I jednocześnie ma rację. Na oficjalnych fotografiach dla prasy uosabia on powagę, jakiej oczekuje się od dyrektora zarządzającego, który pochłania bilansy tak jak inni oglądają ciurkiem wiele odcinków serialu. Gdy jednak po skończonej robocie, podczas luźniejszej kolacji w wydawnictwie, zdejmuje marynarkę, jego radość życia jest tak zaraźliwa jak... (hm, zaraźliwe porównania w obecnej sytuacji lepiej przemilczę, bo sami wiecie, co mam na myśli!).

Sibylle Dietzel, Ellen Heidenreich & Daniela Meyer

Musiały pewnie już dostać skurczów mięśni od ciągłego załamywania rąk, ponieważ zawsze, gdy piszę do wydawnictwa „Mam chyba pomysł, jak by mogła wyglądać książka”, oznacza to dla działu produkcji ekstremalnie dużo pracy. Przypominam sobie Pupsi & Stinki, gdzie zapragnąłem, aby w każdej książeczce dla dzieci znalazła się pierdząca poduszka, co doprowadziło do tego, że na koniec całe wydawnictwo „sprawdzało jakość” różnych pierdziawek (żadna nie zdała egzaminu). Czy chodzi o odwrotną numerację, wlepki pomiędzy stronami czy przepakowywanie pakietów – nie ma dla nich rzeczy niemożliwych.

Bettina Halstrick

Dzięki Giraffenladen – swojej agencji marketingowej dla książek i ich autorów – Bettina zrobiła karierę, a mimo to jeszcze się mnie nie pozbyła. No tak, ale w ten sposób jej wspaniała praca zakończyłaby się przekreśleniem sporej sumy na rachunku.

Hanna Pfaffenwimmer

Gdyby to od niej zależało, odbywałbym spotkania autorskie w każdej księgarni w Niemczech, Austrii i Szwajcarii. A gdyby rok liczył pięć tysięcy pięćset dni, ta kierowniczka działu eventów w wydawnictwie Droemer zorganizowałaby coś dla mnie każdego wieczoru. Niestety czasem także piszę książki... (Sorry, Hanna, przykry nawyk, nie wiem, skąd on mi się wziął).

Steffen Haselbach

Na jego wizytówce możecie przeczytać „Kierownik Działu Literatury Pięknej”, ale w mojej komórce jest on zapisany jako „Mr Magic”, ponieważ zawsze udaje mu się wpaść na najgenialniejsze tytuły książek. Także Pacjenta, a teraz Nocny Powrót należy zapisać na jego konto. A wszyscy, którzy sobie myślą: „No, to nie może przecież być zbyt trudne. Aż tak wymyślnie te tytuły to chyba nie są”, z pewnością nie łamali sobie głowy nad pytaniem, jaki tytuł książki nie jest zbyt oklepany, a z drugiej strony zbyt dziwaczny, a przede wszystkim czy nie został już użyty. (Rodzice, którzy szukają imienia dla swej pociechy, wiedzą, o czym mówię).

Helmut Henkensiefken

Jego agencja nazywa się ZERO, ale jego zespół i on sam robią coś wprost przeciwnego: tworzą najlepsze okładki książek w całych Niemczech, nie tylko dla moich dzieł. Dla mnie jednak Helmut jest bohaterem, ponieważ jako pierwszemu udało mu się zrobić mi zdjęcie, z którego nawet ja jestem zadowolony. (Wydaje mi się, że jestem mniej więcej tak samo fotogeniczny jak potwór głębinowy).

Katharina Ilgen

Nigdy nie widziałem, aby szefowa Działu Marketingu i Komunikacji się nie śmiała. (Być może powinienem przestać wciągać marynarkę w spodnie). To więcej niż przyjemność, że opiekuje się mną osoba jednocześnie tak profesjonalna, jak sympatyczna.

Monika Neudeck

Poznacie ją na targach książki po tym, jak toruje mi drogę przez tłum z jednego spotkania na następne – z energią godną bramkarza w klubie Berghain i z tak sportową sylwetką, że jej widok natychmiast przypomina mi o niewykorzystanym karnecie do studia fitness. Ona także, podobnie jak Katharina, jest zawsze w dobrym humorze, niezależnie od tego, jak głośny jest publiczny harmider, który obie rozmyślnie wywołały.

Antje Buhl

Jeszcze jedna kandydatka na dynamit w wydawnictwie, przy czym jej siła wybuchu przypomina raczej wzbogacony uran. (Coś mi się wydaje, że po tym skojarzeniu trudno będzie, żeby ten opis zabrzmiał pozytywnie). Właściwie chciałem powiedzieć, że to wręcz niewiarygodne, czego ta kobieta każdego roku dokonuje w wydawnictwie. I żeby zakończyć dowcipem w stylu tych o Chucku Norisie: Gdy ona kaszle, koronawirus ucieka.

Barbara Herrmann & Achim Behrendt

Uwielbiam poczucie humoru naszych władz, a zwłaszcza urzędu skarbowego, aby w firmie, która zarządza moimi sprawami (Raschke Entertainment), w trakcie covidowego szaleństwa zapowiedzieć kontrolę podatku od wynagrodzeń. (A więc dokładnie w tym czasie, gdy nikt niepotrzebnie nie powinien chodzić do pracy, a przedsiębiorstwa boją się o swoje dalsze przetrwanie, co dotyczy zwłaszcza firm organizujących duże imprezy). Gdybym nie użył wszystkich moich wdzięków, rozmawiając z Barbarą, porzuciłaby kwarantannę i razem z Achimem rzuciła się na poszukiwanie wymaganych dokumentów – tak jest obowiązkowa.

Micha & Ela Jahn

Przypuszczam, że tych dwoje nienawidzi Świętego Mikołaja tak, jak pewna zaprzyjaźniona ze mną matka, która kiedyś mi powiedziała, że jest nieskończenie wściekła na tego – cytat – „obłudnika!”. Przyczyna? Podczas gdy ona zdiera obcasy, aby zdobyć dla swoich dzieci wymarzone prezenty, „on zbiera oklaski, tak naprawdę nic w tym celu nie robiąc”. Podobnie obawiam się, że tylko nieliczni z tych, którzy zamawiają prezenty w sklepie fitzek-shop.de, wiedzą, że każda paczka jest własnoręcznie pakowana przez Michę i Elę i osobiście zanoszona na pocztę.

Sabrina Rabow

Wykonuje równie wybitną pracę PR-ową, jak słodki jest jej pies Ole. Gdybyście teraz zobaczyli zdjęcie Olego, wiedzielibyście, że nie może być większej pochwały. Wszystkim mogę polecić jej mądre, wrażliwe i strategiczne doradztwo. (Chyba że ktoś jest autorem thrillerów psychologicznych. Wtedy niech się lepiej trzyma od niej z daleka).

Manuela Raschke

Najlepsza przyjaciółka, sparingpartnerka (ale nie w sporcie, bo tam jest nim jej mąż Karl-Heinz, który ze swej strony określa mnie jako sparingofiarę), menedżerka... Jest tak wiele określeń dla niej. Dla mnie najważniejsze jest jednak to, że mogę jej zaufać w każdej sytuacji. W związku z tym: Manu, bo nie mogę Cię telefonicznie złapać. Dlaczego moje konta są zablokowane i jest przy nich Twoje nazwisko? I dlaczego jako Twój adres widnieją teraz Kajmany?

Sally Raschke oraz Jörn Stollmann

Jeśli czytaliście jakiś mój post w social mediach, trafił on tam poprzez biurko Sally. Bez paniki, sam piszę swoje teksty, ale o technicznej stronie wstawiania postów wiem tyle, co ryba o rąbaniu drewna. Przy czym dzięki tym wszystkim relacjom na żywo podczas kwarantanny coraz lepiej rozumiem Instagrama. Mimo wszystko nie tak dobrze jak Sally, która razem ze Stollim nadaje formę i wygląd całej mojej aktywności sieciowej.

Poza opieką nad stroną internetową oraz innymi czynnościami ma ona oczywiście także wiele innych obowiązków. Podobnie jak Stolli nie tylko wkleja wesołe obrazki pod moimi tekstami na Facebooku, lecz także wykonuje dla mnie o wiele poważniejsze zadania – jak codzienne podlewanie kwiatów, wyrzucanie śmieci czy odkurzanie książek. Czasami, gdy pozwala na to jego szalony kalendarz, tworzy projekty okładek, gry i książki dla dzieci.

Franz Xaver Riebel

Jest typowym berlińczykiem. Innymi słowy: mieszka w dzielnicy Prenzlauer Berg, choć urodził się w Bawarii. Mimo wszystko zdołał sobie przyswoić język niemiecki jako język obcy w wystarczającym stopniu, aby raz jeszcze sprawdzać moje teksty swoimi argusowymi oczami.

Angie Schmidt

Nie ma imprezy bez Angie. Nie mam przy tym na myśli to, że można ją spotkać w każdej dyskotecie w Berlinie, czego jednak nie mogę wykluczyć. (Ponieważ wolę siedzieć za biurkiem, niż w weekendy z nagim torsem wywiijać w budach z muzyką techno, trudno mi ocenić, co robią w wolnym czasie inni mieszkańcy stolicy). Mowa była tu o moich odczytach.

Christian Meyer

Czym dla prezydenta agencji Secret Service, tym Christian Meyer jest dla mnie. Nie żeby autorzy potrzebowali osobistych ochroniarzy. Nie jesteśmy influencerami, którzy przyciągają tysiące nastolatków, gdy rozdają w supermarketach autografy. (Przy okazji: mój suchy szampon Writers' Delight jest teraz o 20% tańszy dla osób, które podadzą kod rabatowy „Fitzi”!). Cieszę się jednak z tego, że Christian towarzyszy mi już od dziesięcioleci. Bez niego nie zniósłbym dłuższych przejazdów pomiędzy poszczególnymi spotkaniami autorskimi.

Roman Hocke

Pewien muzyk zdradził mi ostatnio, że w umowach z wytwórniami muzycznymi mowa jest nie tylko o prawach autorskich do piosenek na terenie Niemiec i na świecie, lecz także w całym wszechświecie. To nie żart! Jest tak chyba na wypadek, gdyby ktoś wpadł na pomysł otworzenia radiostacji na Marsie. Gdy usłyszał o tym ten najlepszy agent literacki na świecie (co ja mówię, w całym wszechświecie), łzy stanęły mu w oczach na myśl o tym, że będzie musiał teraz renegocjować umowy ze wszystkimi swoimi autorami. (Ale, Roman, nie zapomnij w moim przypadku wykluczyć z umowy egzoplanety 51 Pegasi b. Chcę tam sobie bowiem polecieć, gdy tylko będę miał pięćdziesiąt lat świetlnych urlopu).

Planeta Pegasi byłaby chyba też dobrym pomysłem na wycieczkę zakładową dla Twojego cudownego zespołu, dzięki któremu agencja literacka AVA International jest najlepsza: Claudii von Hornstein, Susanne Wahl, Markusowi Michalekowi oraz Corneli Petersen-Laux.

Sabine & Clemens Fitzek

„Fitzek, Fitzek... coś mi to nazwisko mówi”, mruknęła pielęgniarka, która w styczniu miała zrobić mi zastrzyk zawierający dużą dawkę witaminy D. (Mój lekarz sądził, że ilość tej witaminy była w moim organizmie na poziomie występującym u ofiar porwań, które były przez trzy lata przetrzymywane w kopalni – ciekawe, skąd ma takich pacjentów).

W skali zenady od jeden do dziesięciu osiągnąłem nagle poziom dwieście, bo tego właśnie dnia miałem na sobie swoje najbrzydsze majtki. Nigdy jeszcze podczas rutynowego omawiania poziomu hormonów tarczycy nie musiałem przecież ściągać dzinsów. I to w dodatku przy mojej czytelniczce?

Zanim jednak zdążyłem podjąć starania, by przekonać pielęgniarkę, że zbieżność nazwisk jest czysto przypadkowa, zapytała ona: „Nie jest pan może spokrewniony z Sabine Fitzek, tą sławną neurolog?”.

„Tak”, odpowiedziałem z ulgą. „Jestem jej mężem, neuroradiologiem. Razem z żoną zawsze pomagamy mojemu bratu w wyszukiwaniu informacji do jego książek”. (Sorry, Clemens, ale pielęgniarka myśli sobie teraz, że to Ty w naszej rodzinie jesteś tym facetem ze starymi, podartymi majtkami).

Linda Christmann

À propos rodziny. Opisanie tego, jak Lindzie się udało w tak krótkim czasie tak nieskończenie wzbogacić moje życie, przekroczyłoby ramy trylogii Jojo Moyes. Godne podziwu jest choćby to, że nie przeszkadza jej moje rozgniewane spojrzenie, gdy po przeczytaniu pierwszego szkicu wierci mi dziurę w brzuchu pytaniami, na które nie znam natychmiastowych odpowiedzi, jak na przykład: „Czy istnieją jakieś określone powody w dzieciństwie, dla których dorośli ludzie dopuszczają się przemocy w domu?”, „Czy są jakieś kursy, gdzie można się nauczyć, jak się zachowywać na imprezach jako Święty Mikołaj” lub „Kochanie, dlaczego wciąż wychodzisz z zakrwawionymi rękami z naszej piwnicy?”.

Regina Ziegler

Nie ma słowa „niemożliwe”. Jeśli ktoś w Niemczech żyje według tego motta, to jest to ta pierwsza i odnosząca największe sukcesy producentka filmowa, której zawdzięczam o wiele więcej niż tylko ekranizację książek Odcięci i Pasażer 23. Na przykład najlepsze na świecie klopsiki w sosie kaparowym, które – mam nadzieję – pojawią się także następnym razem, gdy będzie udzielać mi swych mądrych wskazówek jako pierwsza czytelniczka rękopisu powieści.

No tak. Właśnie zadzwonił dział produkcji i powiedział, że nie powinienem marnować tak wiele papieru, a ludzi, którzy nie są tak ważni, mam wymienić tylko z nazwiska: Marcus Meier i Thomas Zorbach z vm-people, nie o Was tu chodziło.

Do zadań osób, które między innymi są odpowiedzialne za marketing moich książek, należy także kucanie w środku nocy na opuszczonych bocznicach kolejowych pomiędzy odpadkami przemysłowymi i budowlanymi, gdzieś za przenośnymi toaletami, które na to straszliwe pustkowia zostały przetransportowane na wózkach widłowych, aby stworzyć idealne tło dla zwiastuna kolejnej książki Fitzka. (Muszę już naprawdę kończyć. Im dłużej

piszę te podziękowania, tym bardziej się dziwię, że wszyscy Ci ludzie w ogóle chcą ze mną pracować).

Jak zwykle na koniec dziękuję wszystkim cudownym ludziom pracującym w księgarniach i bibliotekach oraz zaangażowanym w organizację festiwali i imprez. W tej chwili nic się u Was nie dzieje, choć w moich oczach jesteście tak istotni dla systemu jak żadna inna branża na świecie. Zamiast chomikować papier toaletowy i makaron, ludzie powinni raczej gromadzić dobra kultury. Mam wielką nadzieję, że niedługo nasze supermarkety z duchową strawą będą znów otwarte!

Życzę Wam zdrowia.

Do ponownego spotkania,

wasz

Sebastian Fitzek

Berlin, 7 kwietnia 2020, godzina 13.44

(Tak, to prawda, rzeczywiście pisałem te podziękowania sześć dni. Patrzcie, jak to dużo pracy... Nie zdążyłem w tym czasie nawet obejrzeć wszystkich odcinków Gry o tron).

Przypisy

[1] Dosł. Diabelska Góra – sztuczne wzgórze usypane na obrzeżach Berlina z powojennych gruzów (przyp. tłum.).

[2] Pełna nazwa Kurfürstendamm – główna ulica zachodniej części Berlina.

[3] Charakterystyczna budowla przy Kurfürstendamm, zniszczona i częściowo odbudowana po II wojnie światowej.

[4] Duże kino w centrum Berlina, jedno z miejsc Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Berlinie.

[5] Wielki objazdowy festiwal muzyczny w Stanach Zjednoczonych.

[6] Wielki teatr rewiowy w Berlinie.

[7] Edgar Allan Poe, *Kruk*, przełożył Zenon Przesmycki.